

Carrie Kabak

Odwagi Kate!

Markowi, z miłością

Nora biegła kawałek prosto jak tunel, a potem poszła w dół, tak nagle, że Alicja nie miała nawet chwili na pomyślenie, jak by się tu zatrzymać, a już poczuła, że spada w bardzo głęboką studnię.

Albo ta studnia była bardzo głęboka, albo ona spadała bardzo powoli, bo lecąc w dół, miała mnóstwo czasu, żeby się rozglądać i zastanawiać, co będzie dalej.

„Przygody Alicji w krainie czarów”

Lewis Carroll

Tłum. Robert Stiller

Prolog 1995

W niedzielę 16 kwietnia 1995 roku przyrzekłam sobie, że już nigdy więcej nie będę spała z moim mężem Rodneyem.

Tego dnia otworzyłam drzwi przy Copper Lane 75 i rzuciłam bagaż na wyłożoną terakotą podłogę w przedpokoju. Potem pamiętam tylko, jak się poślizgnęłam i wylądowałam twardo na tyłku. Kiedy siedziałam w kocich wymiocinach, powitał mnie Rzep, wymachując chudym ogonem.

- Niedobry kot!

Miałam nadzieję, że nic więcej mnie nie zaskoczy po tym, jak moja sąsiadka Pam zaczepiła mnie przed domem, mówiąc: „Mam złe wieści, Kate. Musieliśmy wzywać policję”.

Co do diabła się stało?

- Cholera, co się stało?

- Było trochę głośno nad ranem. Nadmiar entuzjazmu, to wszystko. Odważna jesteś, że pozwoliłaś Charliemu na imprezę.

Impreza. O cholera, tak, impreza. Rzuciłam kurtkę w stronę pralki i ruszyłam do kuchni po mop i wiadro. I zamarłam.

Stałam przez chwilę z zamkniętymi oczami, nim poczułam, że znowu jestem gotowa spojrzeć.

Odłamki, skorupy i odpryski szkła tworzyły spory stos w jednym z kątów. Na ścianach zakrzepło spływające żółtko. Zasłony trzymały się na jednej żabce. Otwartą zmywarke wypełniały puszki po piwie i kartony. W mętnej wodzie w zlewie pływały niedopałki papierosów i kawałki pizzy.

I ta stojąca kałuża przy tylnych drzwiach.

Ktoś sikał w mojej kuchni.

Do diabła z żółtymi jak słoneczniki szafkami, które sama oszlifowałam i pomalowałam, z półkami, które sama pocięłam i wymierzyłam pod turkusowe pojemniki. Do diabła z solniczkami i pieprzniczkami w niebieskie pasy, które

zbierałam przez osiemnaście lat. Osiemnaście lat! Do diabła z podłogą, którą sama wiórkowałam i polerowałam tak długo, aż moje kolana krzyczały z bólu. Ktoś sikał w mojej kuchni!

Pobiegłam na górę i zaczęłam walić zaciśniętymi pięściami w drzwi do pokoju syna.

- Za mną. - Tylko tyle byłam w stanie powiedzieć. Posłuchał. Podreptał na dół z kubkiem kawy w ręce. Stałam pośrodku bałaganu i spojrzałam na niego, a kiedy zobaczyłam na jego twarzy chłodną obojętność, do oczu napłynęły mi łzy.

- Wyluzuj, mamó - powiedział. - To była tylko impreza. No wiesz, nieproszeni goście i takie tam. Nic wielkiego.

Charliego to nic nie obchodziło. Pamiętam, że właśnie w tamtej chwili ogarnęła mnie wściekłość i szaleństwo. Jego to zupełnie nic nie obchodziło! Rozbijałam talerze o podłogę - a czemu nie, do cholery, pozwólcie mnie też się trochę zabawić - i patrzyłam, jak porcelana eksploduje na drobne kawałki. Sześć, siedem, osiem, dziewięć strzaskanych talerzy. A kiedy skończyłam, zobaczyłam, że Charlie wygląda przez okno, wystukując nogą melodię, którą słyszał w głowie. Wtedy opadłam na krzesło i schowałam twarz w dłoniach.

Co się stało z moim małym chłopcem? Czułam pod brodą jego główkę pokrytą puszką, wąchałam znajomy dziecięcy zapach talku i mleka. Słyszałam jego pierwsze słowa, jego chichot, znowu widziałam jasne brązowe oczy. Kochałam go do bólu, ale tym razem równie boleśnie przejrzałam na oczy. Tak bardzo chciałam go objąć i spojrzeć mu w twarz, żeby odnaleźć miłość, której nie byłam w stanie zobaczyć, ale powstrzymałam się.

Urwałam kawałek ręcznika papierowego i otarłam twarz. A teraz schyl się, Kate, otwórz szafkę pod zlewem i wyrzuć ten papier. Wydawałam sobie w myślach proste polecenia, żeby jakoś zacząć funkcjonować.

Z rury nad koszem jak zdechły ślimak zwisała sflaczała prezerwatywa.

Ledwie zauważyłam, kiedy Charlie przestał być dzieckiem i dorósł do wieku, kiedy...

Zerknął pod zlew.

- To nie moje - stwierdził.

- Pozbądź się tego.

Wysłałam go do pokoju. Nie chciałam jego pomocy. Musiałam się zastanowić. Opracować plan działania.

Kiedy sprzątałam, dezynfekowałam, skrobałam i wybielałam, wypiałam trzy podwójne szkockie z zapasów Rodneya, po jednej na godzinę, i jakimś cudem zdołałam jeszcze potem przygotować kolację.

Charlie zjadł i wyszedł.

Śpi, je, wychodzi. Tak teraz wyglądał wzorzec. W niedzielę 16 kwietnia 1995 roku zdałam sobie sprawę, że nie ma już powodu, dla którego zostałam tu tak długo. Mój syn przestał być dzieckiem. Wypełniłam ten dom ręcznie robionymi narzutami, sosami, sosnowymi meblami i wiklinowymi koszami. Uwiłam to gniazdko dla Charliego gałązka po gałązce, ale on już go nie potrzebował. Ani się nim nie przejmował. Nie byłam pewna, czy jeszcze przejmował się mną.

Kiedy złość minęła, a dzięki zbyt dużej ilości czystej whisky pozbyłam się napięcia w karku, nadszedł czas, żeby porozkoszować się dębowym aromatem wina Shiraz w kieliszku.

Albo w dwóch kieliszkach.

Postawiłam na stole wino, kromkę chleba, kawałek sera i usiadłam, żeby chwilę pomyśleć. Wtedy zjawił się Rodney.

- Wróciłeś - stwierdziłam. - Jak było na golfie?

- Dobrze.

Cisnął klucze na sosnowy stół, który codziennie woskowałam, i podszedł do mikrofalówki.

- To moja kolacja?

Zerknął na talerz w środku i przycisnął parę guzików, żeby odgrzać sobie jedzenie.

Mefisto burczał, a Małgorzata zawodziła. Nastawiłam Fausta Gounoda i podkręciłam głośność naprawdę mocno, żeby łatwiej mi się myślało. Rodney wyłączył muzykę, włączył telewizor i zaczął oglądać historię klubu piłkarskiego Wolverhampton.

Patrzył przed siebie na ekran i nawijał nitki makaronu na widelec. Wielka kula ledwie mieściła mu się w ustach, więc szybko ją przełknął.

Na głowie sterczały mu kępki włosów, a ja próbowałam dostrzec w nich coś ujmującego.

Starałam się też zachwycić tonem jego głosu. - Kopnij tę cholerną piłkę do siatki, ty pedale! - warknął, wymachując pięścią.

Próbowałam zatęsknić za dotykiem jego wąskich ust, nad którymi jeżyły się szorstkie jak łupina kokosa wąsy.

- Rod, spójrz na mnie na chwilę - szukałam uczucia w jego mętnych oczach. - Impreza Charliego wymknęła się spod kontroli.

- Ojej.

Jego wzrok znowu powędrował do telewizora.

- Rod, oni pili piwo i nie tylko, a poza tym z jakiegoś powodu wsadzili puszki do zmywarki, a pustą butelkę po wódce wrzucili do akwarium.

- GOL! Cholera, najwyższy czas!

- A przynajmniej myślę, że była pusta. Goldie wygląda na zdrową, ale Fred pływa wężykiem, a Mabel dryfuje do góry brzuchem. Dwa klosze są potłuczone, a szklanki do brandy

leżą w kawałkach. Może powinniśmy obciąć Charliemu kieszonkowe, żeby zapłacił za nowe?

- Sędzia zagwizdał. Uwierzysz w to?

- Nie oglądałeś tego meczu trzy lata temu? Stłukłam dziewięć talerzy. Ktoś nasikał w kuchni i nie uwierzysz, co jeszcze znalazłam. Pięć potłuczonych pojemników, cztery rozbite żarówki...

- Powinni wywalić tego złamasa na zbity pysk.

- ...i tresowane szczury na szczycie szklanej góry, no i prezerwatywę.

Myślę, że byłam już wtedy solidnie zalana.

- Rod, nie czuję się najlepiej. Chyba położę się dziś na sofie.

Pościeliłam łóżko. Kiedy Rzep ułożył mi się na brzuchu, zamknęłam oczy i popłynęłam na pokładzie statku, który kołysał się i zanurzał, a kiedy zakręcił gwałtownie, ześlizgnęłam się w kotłujące się fale. Woda zabulgotała mi w uszach, ale w ciągu kilku minut wydostałam się na powierzchnię i nabrałam powietrza z kuchni przy Copper Lane 75.

Wspinałam się po kręconych schodach, bo zobaczyłam u szczytu małe drzwi. Potykałam się, walcząc o oddech, bo powietrze było cięższe od ołowiu. Obok drzwi stał stół, a na nim leżał klucz. Ale kiedy sięgnęłam po niego, zniknął. Szukałam drogi ucieczki i zobaczyłam dziurę pełną światła, ale posypała się ziemia, gdy próbowałam się wygramolić, i spadałam, spadałam. Ziemia zatkała mi usta i nie mogłam krzyczeć. Słyszałam głuchy odgłos kapiącej wody i spadałam, spadałam.

Część pierwsza
Lata sześćdziesiąte

Rozdział 1

1965

Sobota, 17 kwietnia Cherry Blossom Road 33, Dorton
Wielka Brytania, Europa, planeta Ziemia

Przygryzam usta. - Mogę zamiast tego dostać pas do
pończoch?

Moja matka Biddy przesuwa paznokciem po paczce, żeby
rozerwać celofan. - Potrzebujesz gorsetu, który będzie
podtrzymywał jak trzeba - stwierdza, wyciągając gorset koloru
łososiewego. - I skończ z tą miną. To prześliczna
wyszczuplająca bielizna. - Klepie się po świeżo zrobionej
fryzurze, która wygląda jak wylakierowany hełm, i otwiera
drugą paczkę.

Grube szwy, trzy rzędy haftek, wzmacniane boki,
półgorset.

Biustonosz jak cholera.

- Przymierz - mówi.

Zapinam go z przodu, obracam i naciągam szerokie paski
na ramiona.

Mój pierwszy stanik, a już go nie cierpię.

- Mamo, nie sądzę, żebym miała już czym wypełnić te
stożki.

- Mówi się „miscozki”, poza tym to najmniejszy rozmiar,
70A.

- Pozostałe dziewczyny noszą miękkie staniki.

- Dobrze. A za dwa miesiące będę potrzebowały
porządneho stanika, takiego jak twój.

Łapię z podłogi torbę na zakupy Biddy i sprawdzam, co
jeszcze kupiła. Znajduję tylko dwa pastelowe swetry bliźniaki,
brązowe getry, a to co? Kolczyki. Wszystko dla niej, nic
fajnego dla mnie.

Tania luźna sukienka byłaby w porządku, na przykład taka w grochy z małym okrągłym kołnierzykiem. Albo stanik bez drutów.

- Kate, przestań grzebać w mojej torbie.

Zanim kończę grzebać, wyciągam broszurkę. Przedstawia piersiastą blondynkę idącą po Piccadilly Circus w samym tylko łososiowym komplecie. „Gwarantując pełną kontrolę - mówi kobieta, unosząc brwi i błyskając zębami - mój stanik Na Sercu nadaje odpowiedni kształt piersiom, a gorset wyszczupla”.

- Ej, mam, widziałaś to? „Nadaje kształt i wyszczupla, gwarantując pełną kontrolę”.

- Czytałam w sklepie - mruczy.

- Czy ja nie jestem już dość kontrolowana? Zapomnij o gorsecie, sama odwalasz kawał dobrej roboty.

- Jaka z ciebie mądrała, Kate. Szkoda, że w szkole nie jesteś taka bystra. - Biddy zatyka dłońmi uszy. - Mogłabyś ściszyć muzykę? Ten głupek Mick Jagger działa mi na nerwy.

Przytrzymując gorset za podwiązki, tanecznym krokiem podchodzę do radia.

Biddy zaciska mocno usta. - Przestań tańczyć półnaga. I schowaj gorset do szuflady z bielizną. Dbaj o niego.

Ściszam odrobinę radio i słyszę ciche kroki.

- Ojciec idzie na górę, szybko, zakryj się. Nie powinien cię tak oglądać.

- To znaczy jak?

Pokazuje na piersi i rysuje palcem kółka.

- To znaczy, że tata nie może wiedzieć, że mam piersi?

Biddy bierze torbę z zakupami.

- Nie bądź niesmaczna. Wiesz, o co mi chodzi.

Cóż, chyba wiem. Tata wyglądał na trochę zdenerwowanego, kiedy w zeszłym tygodniu ciocia Shauna powiedziała: „Tom, tylko popatrz na Kate, jaką ma

prześliczną drobną figurę. Niedługo będzie zawracać chłopcom w głowach, prawda?".

Rozdział 2

Piątek, 17 września

Minęło pięć miesięcy, a mój biustonosz Na Sercu nadal nie ma czego unosić ani rozdzielać. Gorset mnie wykańcza, zwłaszcza teraz, ocierając mi uda, gdy wspinam się Bryre Hill Lane.

Musiałśmy zostać z Moirą w kozie, bo ojciec Flannagan przyłapał nas na zajadaniu komunii podczas sprzątanego ołtarza. Moira nie rozumiała, o co tyle krzyku. Nic nie zostało poświęcone. - To nie było tak, że podjadałyśmy ciało Chrystusa, proszę pani - tłumaczyła dyrektorce.

Za tę uwagę dostałyśmy dodatkową godzinę.

Jednak późny powrót do domu ma swoje plusy, zwłaszcza że Barry Finch jechał tym samym autobusem, a teraz szedł ulicą tuż za mną. Wspaniały Barry Finch, powinnam dodać. Jakie są szanse, że Moira zadzwoni, gdy tylko dotrę do domu, bo nie będzie mogła się doczekać, aby usłyszeć, czy Barry odezwał się do mnie?

Ale cholera, szanse są niewielkie, kiedy mam na sobie zieloną marynarkę, plisowaną spódnicę i krawat. Totalna plama.

- Ej, ładny mundurek - rzuca przeciągle Barry.

- Yhm - mruczę, bo okazuje się, że trudno mi zachować rezerwę, kiedy czuję, jak pończochy zjeżdżają mi do kolan. Mówiłam Biddy, że pas gorsetu jest za długi. Na miłość boską, zajmuję trzecie miejsce wśród najniższych osób na moim roku.

- Trochę zadzieramy nosa, co?

Teraz idzie obok mnie. Czuję na szyi falę ciepła i do diabła czerwienię się. Spuszczam głowę i przyglądam się moim przetartym pantoflom, aby niczego nie zauważył.

- Jak się żyje w szkole dla dziewcząt Snobhurst?

Ma na sobie obcisłe džinsy, skórzaną kurtkę i idzie z rękoma w kieszeniach.

- Bardzo śmieszne - mówię. - To katolicka szkoła, Shawhurst.

- Dla dziewczyn. - Robi perskie oko.

Zielone oczy, czarne włosy. Gęste brwi, śniada cera. Romeo Montecchi. Nie, po chwili zastanowienia raczej Tony z West Side Story. Żołądek podchodzi mi do gardła.

- Lepiej wyglądasz w rozpuszczonych włosach - rzuca Barry. Pachnie dymem papierosowym i wodą po goleniu Aramis. Gdy się uśmiecha, robi mu się taka delikatna, przypominająca nawias zmarszczka po jednej stronie ust. Muszę zapamiętać ten szczegół dla Moiry.

- Zawsze tak się czeszę - odpowiadam. Doszliśmy prawie na szczyt wzgórza. Wiem, że mieszka w czwartym ceglanym domu na prawo, w tym za żelazną furtką. Zarzucam długim warkoczem na lewo, na prawo, bo myślę, że można to uznać za słodkie, beret mi odlatuje, a Barry rzuca się, żeby go podnieść, i odczytuje naszywkę w środku. Ma lekko odstające uszy. Krótkie paznokcie. Obcisłą fioletową koszulkę. Dostrzegam włosy na klatce.

- Kate Cadogan, VI b.

- Klasa szósta b.

- Więc masz tylko czternaście lat.

- I co z tego?

Właściwie to czternaście lat skończę dopiero siódmego października, ale on nie musi o tym wiedzieć.

- Skończyłem siedemnaście w zeszłym tygodniu - mówi. Rety! Całe siedemnaście lat! Znak zodiaku: Panna.

- Do zobaczenia w poniedziałek - mówi i otwiera furtkę.

Do zobaczenia w poniedziałek. Wzruszam ramionami, jakby mnie to nic nie obchodziło, zabieram beret, wkładam go na głowę i odwracam się, nie zerkając za siebie. Próbuje

odejść swobodnym krokiem, niestety pas całkiem mi się zsunął, więc koniec końców drepczę jak kaczką. Mam nadzieję, że Barry nie patrzy.

Przekręcam klucz w zamku przy Cherry Blossom Road 33. Żadnego śladu po Biddy, ale słyszę brzęk sztućców w kuchni, więc już wróciła do domu.

Telewizor w salonie jest włączony, a Rolling Stonesi śpiewają piosenkę o telefonach.

Ha! I dzwoni nasz telefon. Przyłączam się do Micka Jaggera i śpiewam do słuchawki, bo wiem, że to musi być Moira.

- Ślicznie.

Oddychaj powoli, Kate. To Barry. Nie zemdlej teraz.

- Znalazłem twój numer w książce, Kate Cadogan.

- No proszę, Barry Finchu.

- Skąd znasz moje nazwisko?

Cała moja klasa zna twoje nazwisko.

- Sheila Colby mi powiedziała. Przyjaźnisz się z jej bratem, prawda? - Sheila Colby uwielbia go do szaleństwa, a on zadzwonił właśnie do mnie! I ma siedemnaście lat.

Słyszę ciche kroki na dywanie, odwracam się i widzę Biddy idącą w moim kierunku. Ma skrzyżowane ręce.

- Muszę kończyć - mówię Barry'emu.

Odkładam słuchawkę. Modlę się, żeby nie pomyślał, że go sobie odpuszczam, i modlę się, żeby Biddy nie zapytała, z kim rozmawiałam.

Biddy mówi, że będę miała mnóstwo czasu na chłopaków, gdy pójdę do college'u i skończę osiemnaście lat. Mawia, że w obecnych czasach dziewczęta za szybko dorastają, noszą za krótkie spódniczki i pokazują majtki. Nic dziwnego, że pakują się w kłopoty.

Mama tupie nogą. - Z kim rozmawiałaś, Kate?

- Z Moirą - odpowiadam, bawiąc się pasmem włosów.

Widzę, że Biddy ma nowe buty, bordowe na szpilce. Wyglądają dość zabawnie w połączeniu z zieloną szpitalną sukienką i wykrochmalonym fartuchem. Pewnie je przymierzała. Kolejne do jej kolekcji stu dwudziestu pięciu par butów.

- Pamiętaj o odrobieniu wieczorem lekcji. Nie zostawiaj tego na ostatnią chwilę w niedzielę. Rozmawiałaś z chłopakiem, prawda?

W duchu odpowiadam: Tak, rozmawiałam z chłopakiem, i co z tego, jakiś problem?, ale nie śmiałabym powiedzieć czegoś takiego. Nie do Biddy.

- Kim on jest? - pyta. - On?

Odwraca się w nowych butach w szpic i idzie do kuchni. - Kolacja będzie za pół godziny. Tata dziś wcześniej wraca do domu. Nie urodziłam się wczoraj, Kate. Wiem, że rozmawiałaś z chłopcem. Potrafię się zorientować.

Coś mi mówi, że nie usłyszałam jeszcze wszystkiego.

Bogu dzięki, nikt nie wspomina o chłopcu przy gulaszu z kluskami. Zbieramy się przy kuchennym stole, mój ojciec zawsze siada po jego lewej stronie, a Biddy po prawej. Moje miejsce wypada pośrodku, naprzeciwko tapety z wirującymi imbryczkami.

Biddy zaczyna rozmowę, opowiadając o genitaliach pacjenta i o tym, jaka była zakłopotana, gdy musiała dziś ogolić „tam w dole” kierownika banku. A pani Bootsby - Smythe wyobraża sobie, że niby kim jest, z tymi jej manierami i napuszonym wdziękiem? No cóż, przypomniła sobie, gdzie jest jej miejsce, gdy musiała poczekać na doktora Morrisona z nogami w strzemionach fotela. Poniżej pasa wyglądała całkiem jak grzebień koguta.

Zdusiłam chichot, mając przy okazji nadzieję, że „tam na dole” wyglądam jak trzeba. Boże, błagam, żebym nigdy nie

trafiła do rejonowego szpitala, kiedy moja matka będzie na dyżurze.

- Kate, niech to nie wyjdzie poza tę kuchnię, ale Sophie Greengough jest w ciąży, a ma dopiero szesnaście lat.

Sophie zaliczyła wpadkę? Będzie miała dziecko? A nigdy nie widziałam jej z chłopakiem, zbierała same piątki, zawsze zdobywała szkolne nagrody. Rewelacyjnie gra w tenisa, hokeja na trawie i tak dalej.

- Niech Bóg pomoże jej biednej matce - mówi Bidy. - Pani Greengough płakała w poczekalni, gdy Sophie szła do kliniki przedporodowej.

Próbuję wyobrazić sobie, jakby to było to zrobić. Pozwolić chłopakowi, żeby cię dotknął i... Boże, nie pozwoliłabym na to nawet Barry'emu Finchowi. Moira wytłumaczyła mi ze szczegółami. Jej zamężna siostra Fiona powiedziała jej to, co chciała wiedzieć.

- O czym myślisz? - pyta Bidy. - Tom, przykryj masło, proszę. Kolacja się kończy i zgodnie z rytuałem rodzice zapalają papierosy

Tata kładzie pokrywkę na maselnicy, żeby dym nie zepsuł masła, a ja muszę dalej siedzieć. To byłoby nieuprzejme, gdybym od razu wstała.

- Co ci chodzi po głowie, Kate? - pyta ojciec za Bidy. Smużka dymu wypływa mu nozdrzami i podpływa pod oczy. Ojciec ma ciemne, błyszczące od brylantyny włosy, przyczesane gładko jak u gwiazd w starych filmach.

- Nic. Mogę zadzwonić do Moiry?

Chcę jej powiedzieć o Sophie Greengough.

- Jasne. A nie rozmawiałaś z nią zaraz po powrocie do domu? - Bidy stuka paznokciem w stół. - Nie jestem głupia, moja panno, w żadnym razie. - Zaciąga się głęboko papierosem. - To nie przez Moirę Murphy zrobiłaś się czerwona jak burak.

Tata wstaje bez entuzjazmu, żeby zebrać talerze. Zawsze szuka sobie zajęcia, gdy wyczuwa sprzeczkę. I jak zawsze Bidy każe mu usiąść.

- A potem powiesz tacie, że nigdy nawet nie kiwnie palcem, żeby pomóc - stwierdzam.

- Nie pozwalamy ci spotykać się z chłopcami, prawda, Tom?

- Jesteś jeszcze dzieckiem - odpowiada tata.

Liczę zmarszczki na jego czole, jedna, dwie, trzy, i kłamię. - Nie spotykam się z chłopcami - mówię i pytam, czy mogę wziąć jeszcze jedną babeczkę owocową.

Poniedziałek, 20 września

To był beznadziejny dzień. Dostałam miesiączkę, a nie miałam przy sobie niczego, więc Moira powiedziała, żebym poszła do szkolnej pielęgniarki, i tak skończyłam z podpaską wielkości pieluchy.

- Masz pasek do umocowania podpaski? - zapytała pielęgniarka. - Nie? To proszę, kochanie.

Wypchana, podpięta, ściśnięta i obwiązana ledwie byłam w stanie chodzić. Cieszyłam się, kiedy zabrzmiał kończący lekcje dzwonek.

W autobusie Moira tapirowała mi warkocz, podczas gdy ja zerkałam w lusterko, próbując zakryć korektorem pryszcz.

Naprawdę była dobrą przyjaciółką, pożyczając mi brzoskwińską szminkę i kredkę do oczu.

Widzicie, mam nadzieję, że wpadnę na Barry'ego Fincha.

Jestem już prawie na końcu Bryre Hill Lane, nadal nie ma śladu Barry'ego, a na dodatek dostaję zabójczych skurczów.

Kiedy jednak docieram na Cherry Blossom Road, widzę jego młodszą wersję jeżdżącą w kółko na rowerze przed moim domem.

- Mieszkasz tutaj? - pyta chłopiec. Kiwam głową.

- Kate Cadogan? Znowu kiwam.

- Barry kazał ci to dać.
- Jesteś jego bratem? - pytam, biorąc złożoną kartkę.
- Aha, i przeczytałem ten liścik - uśmiecha się szelmowsko. - Jesteś jego dziewczyną?

Czy jestem? Nie wiem.

- Może - odpowiadam.

Odjeżdża ulicą, wyjąc jak karetka. Boże, tak się cieszę, że nie mam brata. Ale mam list! Czuję mrowienie na całym ciele, a serce wali mi jak młot. Jestem najszczęśliwszą dziewczyną na świecie, czy co? Chowam liścik do rękawa i szukam klucza.

Drzwi otwiera Biddy.

- Cześć, mamó.

Całujemy się, a ona pyta, dlaczego zawsze grzebię przy pryszczach, dlaczego mam rozpuszczone włosy i dlaczego jestem umalowana.

- Tylko próbowałam - odpowiadam.

- Jasne i jesteś blada jak ściana. Co się stało?

- Mam okres.

Biddy bierze moją kurtkę, każe mi się położyć na sofie, przynosi koc, butelkę z gorącą wodą i aspirynę. Zrobi mi kubek gorącej herbaty i zastanawia się, czy nie ma gdzieś paru imbirowych herbatników.

Matka uwielbia być pielęgniarką w domu. Włącza telewizor, a ja rozluźniona rozkoszuję się opieką i troską, których nie doświadczam zbyt często.

A liścik schowany w rękawie nadal czeka na odczytanie.

Zanim minęła szósta, zjedliśmy kotlety wieprzowe, pieczone ziemniaki i mus jabłkowy. Masło przykryte, papierosy zapalone, a Biddy zaciąga się głęboko i mówi: - Kate, wyglądałam przez okno sypialni i widziałam chłopczyka, który dawał ci liścik.

- Liścik?

Nigdy niczego nie przegapi.

- Co w nim jest?

Patrzę na tatę. Naprawdę muszę jej mówić? Tata strzepuje papierosa do popielniczki i unika mojego wzroku. Nigdy nie widziałam, żeby sprzeciwił się Biddy.

- Nie wiem - mamrocze. To prawda.

- Więc przeczytaj teraz. Masz go w rękawie.

Tato, proszę, powiedz coś. Ojciec patrzy na Biddy i czyta w jej myślach. Stanie po jej stronie. Jak zawsze.

- Pokaż mi ten liścik - mówi Biddy.

Wyjmuję go, zgniatam i chowam w zaciśniętej pięści.

- Pokaż.

Patrzę na tatę. Z surowym wyrazem twarzy kiwa na mnie głową, jakby mówił: „No dalej, pokaż go matce, jak ci każe”. Patrzę przed siebie na tapetę i skupiam się na wirującym imbryku. Niebieskim.

- Nie, mammo.

Biddy łapie mnie za rękę i próbuje rozewrzeć mi palce. Drapie paznokciami i mówi przez zaciśnięte zęby: - Masz mi pokazać ten list. Jestem twoją matką. Tom, powiedz jej.

- Co próbujesz ukryć? - pyta ojciec, zerkając z ukosa na Biddy. Zrywam się, przewracając krzesło, i wyrywam rękę. Biegnę.

Te przekłete pończochy spadają mi, a ten cholerny głupi pas nie pozwala mi dać susa po dwa schodki naraz. Biddy goni mnie, a tata wrzeszczy: - Rób, co ci każe matka! Słyszysz?

Jestem w łazience. Nim zatraskuję drzwi przed nosem Biddy, widzę jej twarz.

Spojrzenie ma wściekłe, ale jej usta się śmieją.

- Otwórz te drzwi, ale już! Buch, buch, buch!

Rozkładam kartkę. Strona wyrwana z zeszytu. Serce bije mi mocniej.

Kate Cadogan, będę czekał na ciebie we wtorek na przystanku autobusowym. Za jednego całusa postawię ci kawę w Dorton. Za dwa przewiozę cię rowerem.

Barry

Biddy nie może tego zobaczyć. Chowam liścik do stanika. Buch! Jej głos przybiera na sile. - Natychmiast. Otwórz. Drzwi.

- Zaraz. Cisza.

Splukuję wodę w toalecie, czekam chwilę i wpuszczam Biddy. - Spuściłam go - mówię jej.

Dyszy ciężko, jakby brakowało jej tchu. - Nie wierzę ci - odpowiada.

Łapie mnie za nadgarstki i grzebie w rękawach. Podnosi mi sweter, a ja próbuję go wyrwać z jej uścisku.

- Tylko spróbuj rozciągnąć ten porządny sweter - ostrzega mnie.

Opuszczam bezwładnie ręce, bo już nie wiem, co robić. Cofam się do kąta w łazience. Gorące łzy płyną mi po policzkach, gdy jej ręka wędruje do moich piersi, maca i szpera w poszukiwaniu liściku. Otwieram usta i zamykam z powrotem. Chcę krzyczeć, chcę powiedzieć, żeby mnie puściła, ale nie potrafię. Mam wrażenie, jakby to był sen, w którym chce się krzyknąć, ale nie można wydobyć z siebie głosu.

Wreszcie otwiera liścik, czyta w milczeniu, poruszając ustami, jakby odmawiała różaniec.

Rozdział 3

Piątek, 5 listopada Szkoła średnia Shawhurst, Brayminster
Pamiętajcie, pamiętajcie piąty listopada, Zdradę prochową
i spisek. Nie ma powodu,

Aby zapomniano o zdradzie prochowej.

Guy Fawkes, Guy Fawkes,

To jego zamysłem

Było wysadzić króla i parlament...

Nasza nauczycielka historii, pani Noonan, kończy czytać wiersz i pyta, w którym roku miał miejsce spisek prochowy. Tak, zgadza się, Amando, w 1605 roku, dobra dziewczynka, mówi. A kto wtedy był królem? Nie, Kate, nie Karol II. Tak, Martho, Jakub I, król Anglii, a zarazem Jakub VI, król Szkocji. A dlaczego Guy Fawkes chciał wysadzić parlament? Pamiętamy?

- Pamiętajcie, pamiętajcie piąty listopada - mówi Moira, tupiąc nogą i pstrykając palcami. - Spalcie go w beczce smoły, spalcie jak płonąca gwiazdę, spalcie go, zaczynając od głowy, spalcie, aż będzie martwy jak trzeba...

- Moiro Murphy, doskonale cię widzę i słyszę. Lubimy odstawiać teatrzyk, prawda? Brendo, czy mogłabyś wstać i nam przypomnieć?

- Jakub I nie był zbyt tolerancyjny wobec katolików, pani Noonan.

Ziewam, wędruję myślami i widzę Barry'ego Fincha, jak jednym machnięciem głową odrzuca włosy z oczu.

- Niestety król był nietolerancyjny i to rozgniewało wielu młodych mężczyzn, Kate Cadogan, proszę się obudzić i uważać. Brendo, mów dalej.

- Guy Fawkes i grupa konspiratorów doszli do wniosku, że należy wysadzić parlament.

- I kto by wtedy zginął?

Wyglądam przez okno i widzę wronę drepczącą przez boisko do hokeja. Wygląda zupełnie jak pan Scargill, nauczyciel matematyki.

- Kate Cadogan?

- Król! - wypaliłam. - On chciał zabić króla.

- Tak, razem z księciem Walii i członkami parlamentu. Ale Guya Fawkesa przyłapano na gorącym uczynku, poddano torturom, a potem stracono.

Szturchnęłam Moirę. - Cholera! To byli krwawi barbarzyńcy. Spojrzała na mnie, zezując.

Czasem Barry Finch tak robi, żeby mnie rozśmieszyć.

- DZIEWCZĘTA! - Pani Noonan klaszcze w pulchne dłonie. - Zajmijmy się waszymi pracami, dobrze? Murphy, Cadogan, bardzo proszę, koniec rozmów.

Razem z Moi sklejamy na podłodze sześć arkuszy papieru i zaczynamy rysować siedzibę parlamentu. Odwalamy niesamowitą robotę, zwłaszcza że musimy posługiwać się językiem migowym.

Nazywamy naszą pracę „Marzenie Guya Fawkesa”. Uważam, że jest genialna. Jeszcze kilka wybuchów, parę bijących w niebo słupów dymu i zrobione.

- Moira... kapiesz farbą po Big Benie.

- To są iskry - wyjaśnia, strzepując jeszcze parę kropek. - Ej, myślisz, że Dawn Massey i Mary Dunn są nienormalne? Na ich pracy widać, jak Guyowi wylewają się wnętrzności.

- Aha, są chore, prawda?

Trzęsiemy w bezgłośnym chichocie, Boże, aż mnie brzuch boli. Nagle Moira nie wytrzymuje i parska na głos.

- Cisza tam! - Pani Noonan zerka ponad okularami. - Dziewczęta, zostało jeszcze dwadzieścia pięć minut.

Nakładam gąbką trochę więcej dymu.

- O której spotykamy się z Barrym i Geoffem? - pyta cichutko Moira.

- O siódmej.

Moira przychodzi dziś do mnie. Zostaje na noc. Pochyla się i szepcze mi do ucha: - Mam wspaniałą nową szminkę. Na początku jest przezroczysta, a...

- Dobrze, Murphy i Cadogan, posunęłyście się za daleko. Proszę się zgłosić po lekcjach.

- Módl się, żeby była delikatna - mruczę. - Zmów modlitwę do anioła stróża.

- Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu - mówi pani Noonan.

- „Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój” - szepczę.

- Zamknij się - syczy Moira.

- MURPHY!

Twarz pani Noonan robi się pąsowa. Jeśli odrzuci naszą pracę, będę załatwiona. Moje oceny polecą na łeb na szyję.

Rozlega się dzwonek i Noonan, ta nazistka, zatrzymuje nas w kozie. Jakoś to przeżyję. - Do waszych rodziców zostanie wysłane zawiadomienie - przypomina nam.

Lecimy z Moirą do szatni, zakładamy buty, zarzucamy kurtki i nakładamy berety. Udaje nam się zatrzymać szkolny autobus tuż przed odjazdem.

- Oto nasz plan - mówi Moira zdyszana. - Mówimy, że idziemy do klubu dla młodzieży i że wszystko będzie dobrze, bo zjawi się tam ojciec Tierney.

- Ale zamiast tego pójdziemy obejrzeć fajerwerki w Brayminster College.

- Aha, z nimi - Moira przewraca oczami i udaje, że omdlewa.

- Z nimi - mówię. - Spotykamy się z Barrym i Geoffem na moście, tak?

- Aha.

Dwa tygodnie temu wpadłyśmy na Geoffa przed Woolworth. Powiedział, że jest kumplem Barry'ego i że chodzą na te same zajęcia w szkole. Stwierdził, że widział nas razem. W każdym razie, mówiąc w skrócie, od tego czasu Moira i Geoff się spotykają.

Moira twierdzi, że jej rodzice nie mają nic przeciwko temu. Szkoda, że moi tak wydziwiają na punkcie chłopaków.

Wyglądam przez okno w autobusie i patrzę na wzgórza pełne owiec. Potem przejeżdżamy przez Brayminster, z krzywymi domkami, małymi sklepikami i wiekowymi pubami. Nie różni się bardzo od Llandafan, małego walijskiego miasteczka, w którym mieszka moja babcia. Spędziłam z nią i Griffem, jej drugim mężem, przerwę międzysemestralną. Powiedziałam Mamgu - lubi, gdy używam tego walijskiego słowa, zamiast zwyczajnie mówić „babcia” - że chciałabym dostać stanik bez drutów na urodziny. Proszę, bach, mówi, co znaczy „mała”, i wciska mi do ręki funta. Co jeszcze bym chciała? Powiedziałam, że chciałabym ciemnozielone rajstopy do szkoły, bo wtedy mogłabym pozbyć się wyszczuplającego pasa. Daje mi piątkę i obiecuje jeszcze dziesięć szylingów, jeśli zetrę niebieski cień z oczu. Achyfi, powiedziała, w końcu oślepniesz od tego. Wytłumaczyłam jej, że chciałam wyglądać jak Twiggy, a ona roześmiała się i powiedziała, że jestem twpsen. (W ten delikatny sposób dała mi do zrozumienia, że jestem głupia). Proszę, mówi Griff, i daje mi dziesięć szylingów, kup sobie też fioletowy i niech Bidy naprawdę się wścieknie.

- Chodź, Katie. - Moira ciągnie mnie za rękaw. - Wsiadamy z autobusu. Jesteśmy w Dorton.

- Cholera. Już? Podaj mi torbę.

Wspinamy się Bryre Hill Lane przypominającą małe asfaltowe uliczki, którymi chodziłam z dziadkami. Griff pokazał mi młode żmije mieszkające w żywopłocie, żebym

wiedziała, że nie wolno ich dotykać, bo wtedy paskudnie cię dziabną, bach, powiedział.

Kiedy wróciłam z Llandafan, Bidy zapytała, jakim prawem Mamgu decyduje, co może nosić jej córka. Och, więc ona wie, jakiego stanika potrzebuję, tak? Nie potrafiła nawet porządnie ubrać własnego syna, dziergała mu swetry z włóczki, którą znalazła na wyprzedaży. A jakie wartości odżywcze można znaleźć na talerzu z morską rybą i bobem? Biedny Tom musiał to jeść, siedząc przy stole przykrytym białymi od mąki workami. Stał bosy na szmacianym dywanie, kiedy był zaledwie malutkim niemowlęciem. A gdy urodziła mojego ojca, sama była jeszcze dzieckiem. Dobrze, że nadarzył się Griff i się z nią ożenił.

Boże, pomyślałam, zupełnie jak Najświętsza Pani i Józef.

W każdym razie kupiłam ten fajny staniczek w stokrotki i kremowe rajstopy z koronką do szkoły.

Łososiowy pas i biustonosz leżą teraz w komodzie Bidy. Początkowo matka się wściekła, ale powiedziała mi, że pas jest na nią dobry. I co ja myślę o matce, która wchodzi w ubrania córki? Czy zdaję sobie sprawę, że jest równie szczupła jak wtedy, gdy wychodziła za tatę, mając dwadzieścia cztery lata?

Moira powiedziała, że nigdy, ale przenigdy nie powinnam wybaczać Bidy tego, co zrobiła w łazience.

Nie wiem, co się stało z moim listem. Przeszukałam cały dom, ale go nie znalazłam. Za to natrafiłam na kilka książek taty. Leżały na jego szafie. Napisała je Edna O'Brien. Są fantastyczne. Bidy uważa, że książki oznaczają w domu nieporządek. Myślałam, że mamy tylko podręczniki do pielęgniarstwa i dziwną książkę o metalurgii, którą ojciec czasem przynosi ze swojego laboratorium.

W każdym razie w tych książkach Edny O'Brien są wspaniałe, nieprzyzwoite fragmenty, które chciałam dziś wieczorem pokazać Moirze. Jedna z nich opowiada o dwóch przyjaciółkach, które wydalono z zakonu za pisanie rzeczy w stylu: „Ojciec John wsadził długiego siostrze Mary”.

- Ej, KATIE, obudź się! Czemu się tak uśmiechasz? Przez całą drogę przez Bryre Hill Lane gadałam do siebie! Wiecznie gdzieś odpływasz myślami. - Moira szturcha mnie w żebra. - Patrz, mijamy dom Barry'ego Fincha. - Wyszczorza zęby w uśmiechu. - Powiedz mi coś. Czy wkłada ci język w usta, kiedy cię całuje?

Kiwam głową. - Geoff też to robi?

Też kiwa i wybuchamy śmiechem, obejmując się, i potem przez resztę drogi idziemy, trzymając się za ramiona.

- Co zamierasz zrobić z włosami dziś wieczorem? - pyta.

- Rozpuścić.

- Hm.

Bardzo podoba mi się nowa fryzura Moiry. Króciutka, blond i naprawdę jej pasuje. Moira ma figurę patyczaka, szczęściara. Mówi, że za dużo jem i co prawda teraz świetnie wyglądam, ale jak nie będę uważać, to zrobię się okrągła jak pani Noonan.

Kiedy zjawiamy się przy Cherry Blossom Road 33, Bidy grabi właśnie liście przed domem. Zawsze pracuje, nigdy nie przestaje, ma niewiarygodne zasoby energii. Sama zburzyła ścianę w kuchni, żeby pozbyć się spizarki. Po prostu wstała i zrobiła to, zanim tata wrócił do domu. Dwa dni później wszystko wykleiła tapetą w wirujące imbryki. To tapeta Sandersona, powiedziała, bardzo elegancka, poczekaj tylko, aż ciotka Shaunna zobaczy, i kto teraz ma największą kuchnię?

- Dzień dobry, pani Cadogan. Dziękuję, że pozwoliła mi pani zanoć - mówi Moira.

- Bardzo proszę. - Biddy przechodzi na swój elegancki telefoniczny ton. - Słyszałam, że jesteś najlepsza w tym roku z chemii i fizyki.

- A Katie świetnie sobie radzi na zajęciach praktycznych - odpowiada moja najlepsza przyjaciółka. - Dostała piątkę z plusem.

- I dokąd ją to zaprowadzi? Smażę dorsza na kolację, Moiro. (Mówi „kolacja” zamiast „obiad”, kiedy mamy gości).

Pomagamy Biddy odnieść narzędzia ogrodnicze i pamiętamy, żeby zdjąć buty, zanim wejdziemy do domu.

Moira zanosí rzeczy na górę, a Biddy zaczyna obierać ziemniaki w zlewie. Pracowała przez cały dzień w szpitalu, zgrała liście, a teraz gotuje kolację dla mojej przyjaciółki.

Całuję ją w policzek. - Dziękuję, mamó. - Odpowiada mi uśmiechem i też mnie całuje. Każe mi nakryć do stołu. Odsuwam stół od ściany i nakrywam dla czterech osób, biorąc prawie najlepszą zastawę.

Biddy przeprosiła mnie za to, co stało się w łazience, dwa dni później. Wy tłumaczyła mi, że to jej obowiązek pilnować córki i dbać o jej bezpieczeństwo. Kiedy nie chciałam pokazać listu, nie miała innego wyjścia, jak użyć siły. Rozumiesz to? I tata zabrania mi choćby przechodzić w pobliżu tego chłopaka, słyszysz?

Biddy zawsze udaje, że to ojciec rządzi, ale wiem, że to nieprawda.

Poczucie winy miesza się z dreszczykiem podniecenia na myśl, że zobaczę wieczorem Barry'ego. Spotykał się ze mną na przystanku autobusowym już od pięciu, a może nawet sześciu tygodni. Czasem jeździłam na bagażniku jego roweru, obejmując go i przyciskając policzek do jego skórzanej kurtki, gdy zjeżdżał Bryre Hill Lane.

Mam chłopaka. A on ma siedemnaście lat.

Uważam, że nieposłuszeństwo wobec rodziców jest niewielkim grzechem. Zastanawiam się, czy francuskie pocałunki to grzech śmiertelny. Nie ma mowy, żebym wypowiedziała się z tego ojcu Flannaganowi. Moira mówi, że Ingrid Beddoes zaglądała przez kratki konfesjonału w zeszły czwartek i widziała, jak ojciec zabawiał się ze sobą.

Francuskie pocałunki. Dostaję dreszczy, gdy Barry tak mnie całuje, ale też trochę się boję. Wiem, że chciałby posunąć się dalej, ale nigdy, przenigdy mu na to nie pozwolę. Nie chcę skończyć jak Sophie Greengough. Wdziałam ją w zeszłym tygodniu. Rzuciła szkołę i teraz pracuje. Nosi sukienki wielkie jak namiot i ma gigantyczny brzuch.

Biddy robi najlepsze frytki. Moira rzuca mi znaczące spojrzenie, gdy biorę drugą dokładkę, więc zsuwam je na talerz taty, kiedy ten wstaje, żeby przynieść imbryk. Pospiesznie jemy kolację i wstajemy od stołu, gdy tylko Biddy mówi: „Tom, przykryj masło, proszę”.

Moirze bardzo podoba się płowa sukienka ze sztruksu, którą sama uszyłam. Trwało to wieki, bo musiałam obrębić dziurki, wszyć kołnierzyk i całą resztę. Wczoraj wieczorem skróciłam ją o kolejne parę centymetrów.

- A teraz podetniemy ci włosy - mówi Moira.

- Co?!

- Obetnę ci grzywkę.

- Żartujesz sobie? Biddy krew zaleje.

- Daj spokój, z grzywką będziesz wyglądała ślicznie.

Przynoszę krawieckie nożyce, Moira prowadzi mnie do łazienki, każe usiąść na toalecie i zaczyna ciąć. Ciach, ciach, ciach. Odmierza linijką, żeby mieć pewność, że wszystko jest idealnie równo.

Odsuwa się na krok i marszczy brwi.

- Katie, masz tak długie włosy, że praktycznie sięgają ci tyłka.

- Dobra, tnij. Ciach, ciach, ciach.

Wrzucamy wszystkie obcięte włosy do plastikowej torebki. - Chryste, Moira, ścięłaś mi połowę włosów.

Nie możemy znaleźć żadnego szamponu, więc Moira zakrada się do kuchni i przynosi płyn do mycia naczyń oraz ocet.

- Będzie dobrze. Ocet podkreśli rudy odcień twoich włosów. Serio.

Prawie mnie topi w umywalce, wieki całe suszy i czesze moje włosy, a kiedy mija wieczność, stwierdza: - Zrobione. Stań prosto.

O Boże, spodoba ci się, mówię serio. Odwróć się.

Moira ma rację. Stuprocentową. Podobają mi się, podobają mi się, i to jak! Grzywka sięga do brwi, a włosy, tworząc aksamitną zasłonę, opadają ciężko na ramiona. Jak u Cher. Gapię się w lustro i dech mi zapiera. - Jesteś genialna, Moi - szepczę. - Nie jestem już do siebie podobna.

- Chodź, zrób mi makijaż - mówi.

Robię jej wielkie kocie oko czarną kredką do oczu.

- Super, Kate. A teraz podaj mi szminkę. Patrz, jest przezroczysta, a „po kwadransie nabierze idealnego odcienia ciemnego różu”.

Gdy nie pojawia się żaden kolor, nakłada drugą warstwę.

Naciąga bluzkę w czerwone i brązowe pasy, wciska się w białą minispódniczkę, a potem plastikowe kozaki. Odłot. Wygląda jak Mia Farrow, po prostu niesamowicie.

Znowu nakłada szminkę. - Co z tym dziadostwem? - pyta.

Zbiegamy na dół, łapiemy nasze kurtki, szaliki i rękawiczki. Nie zapalamy światła na wypadek, gdyby Biddy albo tata weszli do przedpokoju i zobaczyli, ile ton kosmetyków mamy na sobie.

- Do widzenia, mamó, tato! - krzyczę.

Idzie Biddy, stukając obcasami.

- Do widzenia, państwo Cadogan. - Moira łapie mnie za rękę. - Pryskamy. - Wychodzimy w ostatniej chwili.

Para bucha nam z ust na mroźnym powietrzu. Niebo usiane jest fajerwerkami i iskrami. Ziu, szu, buch! - sztuczne ognie rozpryskują się na tysiące gwiazd.

Moira odwraca się do mnie z uśmiechem.

- Zapowiada się wspaniały wieczór, nie?

Patrzy na mnie, a jej oczy rozszerzają się jak spodki.

- No co? Na co się tak gapisz?

- O mój Boże, Moi, masz purpurowe usta! Jakbyś piła krew.

Rozdział 4

Pędzimy w dół Bryre Hill Lane, żeby dotrzeć do Dorton. Nasz pierwszy przystanek to publiczna toaleta, żeby Moira mogła wytrzeć usta.

- Pospiesz się! - syczę. - Tutaj kręcą się zboczeńcy.

Moira wydziera się więc jak idiotka i chichocze niczym hiena. Bardzo zabawne.

- Szybciej, Moi - mówię, ciągnąc ją za kurtkę. - Tu śmierdzi. Skręcamy w prawo i biegniemy nad rzekę, gdzie on już jest. Mój

Barry opiera się o mur z rękoma w kieszeniach. Zagadany po uszy z Geoffem.

Łapię oddech, kiedy mnie dostrzega.

- Skarbie. - Dotyka moich włosów. - No, no! Całuje mnie w usta. Wyczuwam smak pasty do zębów. - Podoba mi się twoja fryzura - mówi.

A ja myślę, że to on bardzo mi się podoba.

Wszyscy wsiadamy do samochodu Geoffa i czuję się, jakbym miała dwadzieścia lat. Barry obejmuje mnie ramieniem i proponuje ostatniego dymka z papierosa, ale kręcę głową, tata i Bidy zniechęcili mnie do papierosów na resztę życia.

Wyrzuca niedopałek przez okno i odwraca się, żeby znowu przywrzeć ustami do moich warg. Jego język mocno się wgłębia, inaczej, nie tak delikatnie jak wcześniej. Słyszę świst fajerwerków, wyczuwam w powietrzu siarkę, Moira i Geoff rozmawiają, rzucając ochy i achy, mówiąc: „Widziałeś to?”.

Barry nie przestaje mnie całować. Jego twarz drapie mój policzek jak papier ścierny. Naprawdę chcę oglądać fajerwerki, patrzeć na blask ognisk, obok których przejeżdżamy, słuchać, jak dzieciaki krzyczą i piszczą. Ale zamiast tego krążę językiem wokół jego, pokazując mu, że

wiem, co robię; Barry dotyka mnie i przyciska. Wplatam palce w jego włosy, tak jak to widziałam na filmach, i wtedy jego ręka łąduje na moim kolanie, pocierając je rozpostartymi palcami. Jego kciuk wsuwa się między moje uda i wtedy go odpycham.

Opuszkiem palca dotyka czubka mojego nosa i mówi: „Dzieciak”.

Zapala następnego papierosa i opada na oparcie, żeby wypuścić smugę dymu pod dach samochodu.

Mały nawias pojawia się w kąciku jego ust.

Geoff wjeżdża przez bramę do Brayminster College i jedzie dalej na boisko.

- Cholera, nie ma gdzie zaparkować - mówi i wali rękoma w kierownicę.

Wszyscy szukamy miejsca wśród rzędów samochodów.

- Cofnij, o, niedobrze, motocykl był pierwszy.

- Patrz, widzisz? Dwa samochody.

- Nie, za nami.

- Spróbuj w trzecim rzędzie!

- Dobra, skreć ostro w prawo, ja was poprowadzę - mówi Barry. W końcu parkujemy, a Barry pomaga mi wysiąść. - Chodź, ślicznotko - mówi, łapiąc mnie za rękę.

Moira i Geoff mówią: - Chodźmy po hot dogi. A co powiecie na hamburgery i colę?

- Albo piwo. - Barry całuje mnie w czubek głowy. - Kupić ci piwo, Katie?

Wzruszam ramionami. To znaczy tak albo nie, albo cokolwiek.

Ognisko jest gigantyczne. Ogromne płomienie skaczą, sięgają fioletowego nieba i rozrzucają wokół pomarańczowe iskry. Barry obejmuje mnie w talii. Wyczuwam zapach skóry i potu.

Piwo. Piję piwo. Zerkam na Moirę, żeby sprawdzić, czy jest jakiś fajny sposób picia. Wymachuje butelką w trakcie mówienia.

- Prawda, że ognisko jest fantastyczne? - zagaduję Barry'ego. Piwo dobrze smakuje. Mdło, trochę pleśnią i pachnie polami chmielu.

- Nie machaj tak butelką, bo rozlejesz, skarbie. Geoff, idziemy po hot doga. Do zobaczenia.

Odwracam się i widzę, że Moira pokazuje mi uniesione kciuki.

Dziewczyny ciągle gapią się na Barry'ego, co mnie nie dziwi, bo to prawdziwy przystojniak. A kto jest jego dziewczyną? Ja. I wiecie co, widzę gromadkę dziewczyn ze szkoły Shawhurst stojących przy grillu. Ingrid Beddoes, Sheila Colby, Sue McCooke, Dawn Massey, Dottie O'Shea i Val Hickey.

I jest Sophie Greengough, która opiera ręce na brzuchu, jakby to była półka.

- Ingrid, Dottie... - Kiedy podnoszę rękę, żeby im pomachać, Barry łapie mnie za ramię, obraca i prowadzi w stronę szkolnych budynków.

- Weźmiemy hamburgera. Albo ziemniaki. Lubisz pieczone ziemniaki?

- Barry?

- Chodź tu.

Rozpina skórzaną kurtkę, przyciąga mnie do siebie, obejmuje i całuje. Delikatnie. - Po prostu chcę zostać z tobą sam, skarbie.

Zrobiłam rozeznanie, słyszałam, że spotykał się przede mną z mnóstwem dziewczyn, ale wiem, że ze mną jest inaczej. Jestem kimś specjalnym. Ze mną spotyka się najdłużej. Ingrid tak mówi.

Barry sadza mnie sobie na kolanach na niskim ceglany murku i razem jemy hamburgera. Gryzę tam, gdzie przed chwilą gryzł on. Pije już trzecie piwo, ja drugie.

- Jesteś śliczna - mówi. - Wiesz o tym?

Tego wieczoru czuję, że rzeczywiście jestem, dzięki nowej fryzurze, sukience i całej reszcie. Moira powiedziała, że wyglądam jak modelka z magazynu „Jackie”.

- Chcesz zobaczyć pracownię rysunku technicznego?

Barry uczy się architektury.

- Dobra.

Prowadzi mnie przez hol kręconymi schodami z żelazną poręczą, otwiera drzwi numer 113A. Pokazuje mi swoje rysunki. Skomplikowane Unie, pomiary, kąty i kratki.

- Razem z Moi namalowałyśmy na egzamin siedzibę parlamentu.

- Serio? - Unosi mi włosy i głaszcze kark.

- Jak nie dostanę piątki, będę miała kłopoty.

- Wiesz, co mnie kręci? - Nie spuszcza ze mnie wzroku i oddycha szybko. - Ta twoja plisowana spódniczka. Twój mundurek. Doprowadza mnie do szaleństwa. - Znowu język, jego dłonie na moich pośladkach przyciągające mnie. Czuję go na brzuchu.

Prowadzi mnie do jakiegoś składziku. To nic takiego, mówię sobie. Przecież wie, że mam czternaście lat, prawda? Przeciska guziki mojej sukienki przez dziurki, które sama obszyłam. Jego ręce lądują w moim staniku w stokrotki, palce obmacują piersi. Cofam się w kąt składziku. Sukienka podjeżdża do góry, a jego paznokcie drapią, gdy przesuwają dłonie między rajstopami a skórą.

Palce Barry'ego dotykają mnie tam.

- No, Katie. - Łasi się do mojego ramienia.

- Kocham cię, Barry.

Drzwi są uchylone. Przez wąską pionową szparę widzę okna, a za nimi fajerwerki i niebo. Dlaczego nie ma nas tam na dworze? Chcę, żeby moi znajomi widzieli mnie z Barrym Finchem.

Zielone iskry, czerwone race, złote strzały - wszystko to przegapialiśmy. Barry ociera się o moją nogę.

- No dalej, Katie.

- Kochasz mnie, Barry?

Fontanna gwiazd, spadające łzy, rozproszone światła. Więc to właśnie powinnam czuć, szybkie bicie serca, mrowienie. Jego palce nie przestają się poruszać.

- Kochasz mnie, Barry?

- Aha. - Zabiera rękę i wkłada do kieszeni džinsów. Wyciąga małą foliową paczuszkę i zaczyna gmerać przy suwaku.

- Nie.

Nie, nie, nie, tylko nie to.

- Nie? - Zwiesza głowę, włosy opadają mu na twarz, przeklina, wzdycha i uderza dłonią w ścianę.

Wśród huku petard i gwizdu rac fajerwerków słyszę, jak szepcze: - Cholera... grzeczna z ciebie dziewczynka.

- Przepraszam - mówię. Proszę, nie znienawidź mnie.

Barry zapina mi sukienkę i kurtkę z kapturem.

- Nie ma sprawy - stwierdza. Chociaż jego twarz mówi co innego.

W samochodzie już mnie nie obejmuje. Pali i wygląda przez okno.

Kiedy mówię, że najlepiej będzie, jeśli wysadzą nas na moście, bo inaczej mama i tata zobaczą, jak wysiadamy z samochodu, mruczy tylko: „Chryste”.

Tata wpuszcza nas do domu przy Cherry Blossom Road 33, a kiedy zdejmuję kurtkę, stwierdza, że moja sukienka jest za krótka.

- Co zrobiłaś z włosami? - pyta Bidy. - Wiszą jak ogon szczura.

- Ale pani Cadogan, ona tak ładnie wygląda. - Moira każe mi przysiąść i unosi moje włosy wysoko nad głową. - Niech pani wyobrazi je sobie związane w kucyk. Prawda, że śliczne?

- Kate, chodź ze mną - mówi Bidy. - Potrzebujesz dodatkowej poduszki dla przyjaciółki. - A kiedy jesteśmy na górze przy szafie z pościelą, pyta: - Dlaczego pozwoliłaś tej młodej damie obciąć sobie włosy?

Wzdycham.

- Czy to było westchnienie?

- Nie, mamó.

Po prostu chcę iść do łóżka.

- Moira - wołam. - Chodź na górę.

Leżymy obok siebie z Moirą i gapimy się w sufit.

- Katie, dobrze zrobiłaś, mówiąc „nie”.

- Boże, Moi, to nie tak, że go pragnęłam, ale powstrzymałam, bo nie powinnam tego robić. Powstrzymałam go, bo nie chciałam. Rozumiesz, co mówię?

- Obmacywanie to jedno, ale pójście na całość to zupełnie inna sprawa.

- Czy ty...

- Nie.

Leżymy przez chwilę w milczeniu i wtedy Moira szepcze:

- Ej, Katie, włącz lampę. Poczytajmy te nieprzyzwoite kawałki w książkach twojego taty.

Sięgam pod łóżko. - Masz.

- Daj, ja będę czytać. Przypomniałam sobie zabawny woreczek wiszący między jego owłosionymi udami i to, jak się wtedy bałam.

- Nie ugryzie cię, powiedział, a jego woreczek pod wpływem dotyku urósł niespodziewanie niczym kwiat w uścisku moich palców.

- Dziewczęta, proszę iść spać! - krzyczy Bidy. - Jest pierwsza nad ranem.

- Przepraszam, pani Cadogan, czytałyśmy katechizm - odpowiada Moira.

Trzęsiemy się w bezgłośnym śmiechu, bolało jak diabli, aż się popłakałam.

W składziku byłam śmiertelnie przerażona. Czy muszę iść na całość, żeby go zatrzymać?

- O Boże, Moi...

- Co się stało?

- Barry już nigdy więcej nie będzie chciał mnie widzieć, prawda?

Rozdział 5

Czwartek, 11 listopada

Nie wiedziałam Barry'ego od nocy Guya Fawkesa. Od sześciu dni. Moira mówi, żeby rozegrać to na luzie, udać trudną do zdobycia, nie dzwonić ani nic.

Ale nie mogę się doczekać, więc dziś po szkole chwilę kręcę się po Dorton, kupuję najnowsze wydanie „Jackie”, wypijam colę. A teraz mam nadzieję, że jeśli poczekam dość długo przed domem Barry'ego, to on w końcu się pokaże.

Dostałam też dziś kartę ocen ze szkoły. Wygląda to fatalnie:

Język angielski

3+ Kate ma serce do tego przedmiotu i pisze nadzwyczajne eseje, ale nie pracuje regularnie. Przez większość czasu na zajęciach buja w obłokach.

Literatura angielska

3++ Doskonała praca na semestr, ale wyniki egzaminu rozczarowujące.

Matematyka

2+ Słabo. Buja w obłokach. Nie wysiła się. Chemia i fizyka

1 To nie jest mocna strona Kate.

Biologia

3= Obiecująca, jeśli wreszcie się obudzi.

Łacina

4+ Co się stało? Duże zaskoczenie. Geografia

2++ Proszę o spotkanie z rodzicami. Historia

3 Dostateczny, ale ciągle pogaduszki z Moirą Murphy są nie do przyjęcia.

Plastyka

5 - Bardzo twórcza, ale przez większość czasu Kate żyje w innym świecie.

Zajęcia praktyczne

5+ Doskonałe wyniki. Prawdziwa przyjemność dla nauczyciela. Okazuje duże zainteresowanie.

Podpis rodziców:..... Data:.....

Opieram kartę o furtkę Barry'ego i ostrożnie podpisuję imieniem i nazwiskiem Bidy pamiętając, żeby „B” i „C” były zakrecone, tak jak ona pisze. Bridget Cadogan. Pokazuję jej wyłącznie oceny na koniec roku - to wszystko, co wie.

- Kate.

Odwracam się. Chwilę trwa, nim dociera do mnie, że stoi przede mną Barry. - Cześć - szepczę i łapie mnie kaszel.

Przełykam ślinę, składam kartę ocen. Czuję się głupio.

- Co tu robisz? - Nie patrzy mi w twarz, zerka w górę ulicy, na swoje stopy, w dół ulicy. Ręce jak zwykle trzyma w kieszeniach.

- Moi twierdzi, że chciałeś tylko jednego - wypaliłam. - Ma rację?

Nie wierzę, że to powiedziałam.

Kręci głową, ale nie wiem, co oznacza jego uśmiech.

Mija mnie, mówiąc: - Przykro mi, ale jesteś za młoda, laleczko. - Otwiera furtkę, idzie ścieżką, zatrzymuje się i odwraca. - Słuchaj, jesteś dla mnie za dobra. Czy to ci poprawi humor?

- Barry, nie odchodź. Naprawdę cię kocham.

Kopie kamień. - Słuchaj, Kate, wynoś się z mojego życia, dobra? Nie mogę się ruszyć, nogi mam jak z waty. Piorunuje mnie wzrokiem. - Dotarło?

Chowam kartę do torby i biegnę, pędzę jak nigdy w życiu. Kiedy się zatrzymuję, muszę wstrzymać oddech, bo inaczej zwymiotuję. Chmury zbierają się na ciemnym niebie, spadają kropelki deszczu. Zaczynam szlochać, wypłakuję sobie oczy, bo teraz i tak nikt nie zauważy łez, prawda?

Kiedy docieram na Cherry Blossom Road, wiem, że muszę przestać płakać, bo nie zniósłabym pytań Bidy. Żółte światła w oknach pod numerem 33 jaśniejają ciepło. Widzę, jak matka zaciąga morelowe zasłony dopasowane do winylowej sofy i dywanu.

- Zdejmij buty i wejdź. Dlaczego nie włożyłaś rano płaszcza przeciwdeszczowego? - pyta, całując mnie w mokry policzek. - Nie po to dałam ci kapelusz przeciwdeszczowy, żebyś go nosiła w torbie. A przy okazji, ciotka Shauna i wuj Frank przychodzą dziś na kolację.

Och, nie. Założę się, że Josie też będzie.

- Nakryjesz dla sześciu osób w jadalni?

Aha. Sześć, więc Josie też. Cholera. Tylko tego mi brakowało. Mojej kuzynki. - Aha.

- Mówi się „tak”. Idź umyj głowę. Zaczesz grzywkę do tyłu. Proś Boga, żeby szybko odrosła. Włóż sukienkę, ale nie to coś ze sztruksu, co uszyłaś. Jest zdecydowanie za krótka i ma źle zrobione dziurki na guziki.

Wspinam się po schodach, a w głowie słyszę słowa Barry'ego.

Słuchaj, jesteś dla mnie za dobra. Czy to ci poprawi humor?

Zdejmuję mokry mundurek i szukam czegoś wygodnego. Dżinsy, gruby czarny pulower, ciepłe skarpetki. Wiążę włosy w kucyk, bo nie mam ochoty ich myć, i patrzę w lustro.

Przykro mi, ale jesteś za młoda, lalczko. Dotarło?

Dzwonek. Tata wrócił. Biddy będzie chciała rozłożyć lniany obrus na stole w jadalni, rozstawić porcelanowe talerze Royal Doulton i posrebrzane sztuce. Lepiej się tym zajmę.

Tata wręcza mi tabliczkę ciemnej czekolady Fry z miętowym kremem. - Dla mojej córeczki - mówi.

Łzy szczypią mnie w oczy.

- Tom, Bogu dzięki, że jesteś w domu. - Biddy biegnie z kuchni, wycierając ręce w ścierkę. - Poszedłbyś po bristol cream? Zostało nam tylko ćwierć butelki. Kate, włożyłaś dzinsy. Nie powiedziałam, że masz włożyć sukienkę?

Słuchaj, Kate, wynoś się z mojego życia, dobra?

- Tom, widziałeś, w jaki sposób Kate mnie zignorowała?

Tak Biddy, nie Biddy, oczywiście Biddy. Biegnę na górę zadzwonić do Moiry, nim tata zdąży powiedzieć, że mam robić to, co każe matka. Słyszałam?

Moira mówi: to dziwne, Kate, naprawdę dziwne. Barry tak powiedział? Ale to nie ma sensu, więc co powiedział najpierw, a co potem? A jak to powiedział? No dobra, zacznij od początku. Co właściwie stało się tamtego wieczoru w składziku?

Opowiadam jej ze szczegółami i kiedy mówię, proszę, powiedziałam ci już wszystko, słyszę „klik” i głos Moiry brzmi głośniejsz i wyraźniej. Wtedy zdaję sobie sprawę, że Biddy podsłuchiwała całą rozmowę z drugiego aparatu.

Cholera, cholera, cholera.

Zapach duszonego steku, który wita mnie na schodach, nie zmniejsza w żaden sposób mojego bólu. Ani przerażenia. Teraz naprawdę się doigrałam. Biddy wszystko słyszała, a ja czułam się brudna i wiedziałam, że spalę się w piekle.

- Kate, nie słyszałaś dzwonka do drzwi? Otwórz, proszę.

Polecenie Biddy jest zwięzłe i suche, a jej lodowate spojrzenie potwierdza moje najgorsze obawy. O tak, wszystko doskonale słyszała. Składzik. Piwo. Jego język. Palce. O cholera, cholera, cholera.

Otwieram drzwi i widzę miłą twarz cioci Shauny, komicznie wyszczerzone zęby wuja Franka i krzywy zgryz Josie.

- Chodź i uściskaj swoją ciotkę, kochanie. - Ciocia Shauna obejmuje mnie, a ja chciałabym zostać w jej

ramionach już na zawsze. - Och, popatrz na tę grzywkę - mówi, zgarniając ją na czoło. - Prawda, Josie, że Kate wygląda wspaniale?

- Aha. - Kuzynka macha do mnie ręką, rzuca szybkie „cześć” i krzyczy: - Ciociu Biddy, gdzie jesteś?

- W kuchni, kochanie.

Frank rozpromienia się, obejmuje mnie i klepie w plecy. - Och, naprawdę dobrze wyglądasz. - Pachnie guinnessem i marynowanymi cebulkami. - Co mamy dziś na kolację? O, witaj Tom, świetnie wyglądasz. - Rusza do kuchni, żeby Biddy też powiedzieć, jak wspaniale wygląda.

Idę za nim i widzę, jak matka bawi się loczkami Josie. - Prawda, że wyglądają elegancko, Kate?

- Dziękuję, ciociu Biddy - odpowiada Josie, zerkając na mnie jednym okiem. - To trwała. Zrobiłam ją w salonie Vidala Sassoona.

Boże, ale z niej kłamczucha.

- Nieprawda - krzyczy z przedpokoju ciotka Shauna. - Nasza sąsiadka Caitlin ją zrobiła. Co o niej myślisz, Biddy?

- Piękna.

Josie ma na sobie liliowy golf i czarną spódnicę. Jej grube uda wyglądają blado w siatkowych pończochach. - Mogę ci pomoc, ciociu Biddy? - sapie.

Josie ma astmę. Potrafi sprowokować atak, jeśli zacznie dość mocno dyszeć w zamkniętej łazience. A wtedy nie może jechać do domu, prawda? Nie kiedy jest tak chora. Więc może zostać? Ciocia Biddy się nią zajmie.

Prawda jest taka, że Biddy rozpieszcza ją do szaleństwa. Bóg jeden wie dlaczego.

- Tak, możesz, Josie. Proszę, rozłóż serwetki. Ojej, kochanie, ciężko oddychasz? Wzięłaś inhalator?

- Zapomniałam, ciociu Biddy. No pewnie.

- Usiądź przed kominkiem. Poczęstuj się lemoniadą. Kate, proszę na słowo.

Podchodzę do kuchenki, gdzie Bidy tłucze ziemniaki na puree.

- Kate, czy możesz iść się przebrać?

Josie ciężko stąpa w wiązanych butach na obcasach.

- Mamo, ale dzinsy i sweter są wygodne. - Przyciągam ją do siebie, ale ona sztywnieje.

- Rób, co chcesz - odpowiada, odsuwając się ode mnie. - Tom, pomóż mi zanieść warzywa. Odłóż je, Kate, nie słyszałaś, że prosiłam ojca?

I cały posiłek upływa na zachwytach. Jaka ty jesteś bystra, Josie. Ależ dziękuję, ciociu Bidy, jestem druga w klasie. A jak tobie idzie, Kate? Co teraz czytacie na literaturze? Och, Josie, jedyna książka, którą Kate czyta, to Przygody Alicji w krainie czarów. Och, jej specjalnością są także chłopcy.

Ciocia Shauna mruga do mnie.

Bidy znowu zaczyna. A co będziesz robić po szkole, Josie? Studiować prawo? Och, czy to nie wspaniałe? I jakie masz śliczne paznokcie. Kate, wyjmij palce z ust.

Kiedy na stole pojawia się szarlotka, rozmowa przechodzi na wystrój domu, a sapanie Josie zamienia się w świszczące charczenie. Kiedy ciocia Shauna i wuj Frank rozmawiają o mojej karierze w związku z zajęciami praktycznymi - zobaczmy, czym jeszcze mogłabyś się zajmować - charczenie zamienia się w rżenie.

A kiedy tata nalewa szklaneczkę sherry, a ciocia Shauna nie pozwoli, aby Bidy dała Josie łyżka, choćby maleńkiego, żeby ułatwić jej oddychanie, Josie zaczyna się dusić.

Wuj Frank wychodzi po pigułki na astmę i inhalator, bo w końcu czyż nie mieszkają raptem pięć kilometrów stąd, mówi Bidy, i pędzi na górę zmienić prześcieradło na moim łóżku.

Josie ma spać w moim pokoju.

Tym razem prawie się cieszę, bo boję się, że matka będzie chciała się ze mną rozmówić. Przeraza mnie konfrontacja. Nie wyobrażam sobie, żeby Biddy chciała wracać do rozmowy telefonicznej, kiedy Josie jest z nami.

Wkrótce wuj Frank wraca z receptą. - Dzięki, Biddy i Tom. To na pewno nie jest za duży kłopot? Kate, dobra z ciebie dziewczyna, że oddajesz swój pokój.

- Do zobaczenia w niedzielę - mówi ciocia Shauna, ujmując moją twarz w dłonie.

Josie zdołała załatwić sobie dwa dni bez szkoły i dwudniowy pobyt u nas.

Odliczam godziny przed burzą.

Stoimy jedno za drugim. Tata przede mną, Biddy za mną i machamy z chodnika odjeżdżającej cioci Shaunie i wujowi Frankowi. Mróz gryzie mnie w palce i leci mi z nosa. Chyba łapie mnie przeziębienie.

Idąc za tatą do domu, mówię: tak, tato, jest zimno. Pytam go, czy widział te wszystkie gwiazdy na niebie. A tę wielką czerwoną? Nie, nie żartuję, naprawdę była czerwona. I wtedy zostaję pchnięta w bok na framugę, gdy obok mnie przepycha się Biddy, odwraca się i zagradza mi przejście.

Unosi rękę.

Zaciskam oczy i czuję żar uderzenia w twarz. A potem jeszcze jednego. W końcu nadchodzi trzecie, tak silne, że z nosa wylatuje mi gil.

Josie zerka z góry. Widzę, jak błyskają jej krzywe zęby, gdy uśmiecha się, chowając twarz za palcami.

Tata gapi się to na mnie, to na Biddy. - Coś ty zrobiła, Kate? - pyta, wytrzeszczając oczy.

- Nic, do cholery, nic. - Moja dłoń wydaje się zimna, gdy przykładam ją do policzka, aby otrzeć łzy. - Nic! - szlocham, wycierając nos w rękaw.

Josie siedzi teraz na trzecim schodku od góry i rozkoszuje się przedstawieniem. Wcisnęła tłusty nochal między pręty poręczy.

- Na co się kurwa gapisz? - pytam ją.

- Czyś ty powiedziała... powiedziałaś... - Biddy ledwie może cokolwiek z siebie wydusić.

- Powiedziałaś „kurwa”? - pyta ojciec. I kiwa głową, jakby chciał powiedzieć: proszę, Biddy, powiedziałem to za ciebie.

Potem robi dwa kroki w moją stronę, też unosi rękę, a ja próbuję zobaczyć jego oczy przez łyż. Czekam i zastanawiam się, czy uderzy mnie w ten sam policzek. No dalej, myślę. Czemu nie? Ale opuszcza rękę i mówi: - Idź do swojego pokoju.

- Nie mogę - szepczę. - Mam spać na sofie.

Czy on chociaż wie, dlaczego Biddy mnie uderzyła?

Wkładam rękę do kieszeni dzinsów i wyciągam tabliczkę ciemnej czekolady, tej z miętowym nadzieniem, tej, którą tata dla mnie przyniósł.

Jego córeczka oddaje mu czekoladę.

Teraz jest już rozmiękła i miętowy krem wycieka przez pęknięte opakowanie.

Rozdział 6

Piątek, 12 listopada Szkoła średnia Shawhurst,
Brayminster

- Jak długo zostaje ta mała suka? - Moira musi przekrzyknąć szkolny dzwonek.

- Josie? Zostanie tak długo, jak będzie sapać.

Sama dzisiaj nieźle posapuję. Jestem zaziębiona jak diabli i już wysmarkałam połowę paczki chusteczek.

Zgodnie ze szkolnym regulaminem trzymamy się lewej strony, gdy spacerujemy korytarzem. Gadamy o wspaniałych Beatlesach, Stonesach, Gerrym i Pacemakers, no i rzecz jasna o Barrym, analizując, co powiedział, jak powiedział, co zrobił i w jaki sposób.

I dlaczego postanowił złamać mi serce.

Gdy wstałam tego ranka z sofy, Bidy zdejmowała właśnie gumowe rękawice w kuchni. Tu jest twoje śniadanie, powiedziała, wskazując palcem na miskę płatków. Mieszała kawę rozpuszczalną z wrzątkiem, pogrzkując. Czy chcesz mleka? Czy chcesz mleka? Ile razy musi to powtarzać?

A tata? Zajadał płatki i nie odezwał się nawet słowem.

Wieczorem chciałam uciec z domu. A rano obudziłam się z sercem ciężkim od wyrzutów sumienia, bo naprawdę planowałam złapać pociąg do Llandafan. Desperacko potrzebowałam rozmowy z Mamgu i Griffem, ale niech to diabli, co miałam im powiedzieć?

Powiedzieć im, co się stało z Barrym, powiedzieć im, co Bidy usłyszała przez telefon? Powiedzieć im, że powiedziałam „kurwa”? Spójrzmy prawdzie w oczy, kłamałam, oszukiwałam, przeklinałam.

Nic dziwnego, że matka mnie nienawidzi. Co ja sobie myślałam? Czy jestem zdzirą? Według Bidy tak.

- Cholera, Katie - powiedziała Moira - matka nie powinna cię bić.

- Może na to zasłużyłam. Ale Moira pokręciła głową.

Poszłabym do spowiedzi, gdyby Ingrid nie przysięgała, że widziała przez kratki, jak ojciec Flannagan zabawia się ze sobą.

- Obudź się, Kate, cały czas na kogoś wpadasz - mówi Moira. - Ale bujasz w obłokach, I wytrzymaj nos.

Prawie czuję piżmowy zapach kadzidła, gdy mijamy otwarte drzwi do kościoła. To właściwie część szkoły i często z Moir zerkamy do środka, żeby zobaczyć, czy nie ma akurat pogrzebu.

- Och, dobry Boże, Kate - jęczy Moira. - Przed ołtarzem stoi otwarta trumna. Nie żartuję.

Przeciskam się nieco obok Moiry, żeby zajrzeć do kościoła. Trumna wygląda jak stylowy mebel z mosiężnymi uchwyty, zawiasami, śrubami i zasuwkami. Wokół stoją wysokie świece i kwiaty - wszystko jest piękne, kremowe i spokojne.

- Wiem, jak ci poprawić humor. - Moira szczerzy szelmowsko zęby. - Po zajęciach z literatury zerkniemy na ciało.

Zimny dreszcz przebiega mi po ciele. - Moira Bernadette Murphy, jesteś wariatką.

- Rzucam ci wyzwanie, Kate Marie Cadogan.

- Biegnijmy, jesteśmy już spóźnione. Kolejna godzina kozy to ostatnie, czego nam trzeba.

Mamy już jedną tego wieczoru od tej nazistki Noonan.

- A kto będzie na dyżurze?

- Panna Everett.

- Bułka z masłem.

Siostra Philomena nie zauważa, jak zakradamy się do klasy, siadamy na miejscach i wyciągamy nasze egzemplarze Romea i Julii. Wybieramy miejsca obok Ingrid Beddoes, bo jest zabawna.

- Jej szatkę zieloną i bladą noszą jeno głupcy. (Tłum. Józef Paszkowski) - Siostra Philomena sepleni, więc w jej wykonaniu brzmi to tak: „Jej satkę zielonom i bladom nosom jeno głupcy”.

Ingrid udaje, że grzebie w nosie, a potem ogląda palec. - Bladom nosom - szepcze z obrzydzeniem.

- Ingrid, zechcesz czytać rolę Romea? - pyta siostra.

- Także mam odejść niezaspokojony? - Ingrid rzuca nam spojrzenie i unosi brwi.

Szturcham Moirę. - Patrz na następną linijkę.

- Pscyt! Pscyt! Romeo!

- Zaraz się posikam, przysięgam - szepcze Moira.

Próba powstrzymania śmiechu jest męczarnią. Na szczęście zwycięża katar i po postu kicham.

- Na zdrowie, Kate. Mam dla was niespodziankę. Betty Barlowe, zechcesz opowiedzieć nam o tym?

- Przyniosłam West Side Story, siostró Philomeno, musical oparty na Romeo i Julii.

Siostra doskakuje do gramofonu, nucąc wysokim głosem I Feel Pretty, i w klasie rozlegają chichoty.

- Zachowujcie się jak damy albo zmienię zdanie - ostrzega uczennice, grożąc palcem.

Modłę się, żeby zmieniła. Barry to mój Tony.

Kiedy Tony i Maria wyśpiewują sobie miłość, Moira klepie mnie po ramieniu i rzuca mi uśmiech mówiący „Nie martw się, będzie dobrze”. Dlaczego życie jest takie bolesne?

Cieszę się, kiedy rozlega się dzwonek. Wszystkie wstajemy twarzą do figurki Najświętszej Marii Panny, żeby zmówić modlitwę. Moira szybko się żegna i mówi: - Chodź, idziemy zerknąć na ciało.

- Cholera, nie jestem w nastroju.

- To po kozie. Rzucam ci wyzwanie, masz iść tam sama.

- A jak pójdę?

- To potem możesz wpaść do mnie, a ja poproszę mamę, żeby zadzwoniła do twojej i powiedziała, że zanocujesz u mnie. - Moira zerka kusząco.

- Nie chcę popełnić grzechu.

- Co ci nagle odbiło? Zrobiłaś się taka religijna? Co jest złego w tym, że zerkniesz na nieboszczyka? Nie jesteś ciekawa?

- Nie dość już nagrzeszyłam? Duszę mam pewnie czarniejszą niż sadza.

- Chryste, Katie.

- No dobra już, dobra.

Gdy siedzimy w kozie, Sheila Colby i Sue McCooke zerkają na mnie i znowu zaczynają szeptać. Co im do diabła odbiło? „Pss, psss - pssss, psss”. Przez cały tydzień tak gadają. Ciągłe pytam Moirę: czy mam żółte zęby? Mam wosk w uszach? Sweter noszę tył na przód? Co? No co?

Moira pokazuje im język. - Zachowują się tak dziwacznie, odkąd się dowiedziały, że spotykałaś się z Barrym - mówi.

„Spotykałam” - dobrze powiedziane. Czas przeszły.

I wtedy pojawia się Dottie O'Shea. Ledwie łapie oddech. - Bogu dzięki, że Everett jeszcze nie ma.

Wskakuje na biurko nauczyciela. (Ma tony nagród z gimnastyki). - Podaj mi krzesło, Ingrid.

Staje na nim, sięga do zegara na ścianie i przesuwa wskazówkę o kwadrans do przodu.

- Ej, Dottie, czy Sophie Greengough już urodziła? - pyta jedna ze starszych dziewczyn.

- Tak, dziewczynkę, jest prześliczna.

„Pss, psss - pssss, psss”. Sheila Colby i Sue McCooke znowu zaczynają szeptać.

Zjawia się panna Everett.

Wchodzi do klasy, zerka na zegar na ścianie i siada za biurkiem z zagadkowym wyrazem twarzy, ale myślę, że dała się nabrać.

Siedzimy z Moirą z przodu. Nie zdawałam sobie sprawy, że panna Everett ma aż tak gęste wąsy ani że brodawka na jej brodzie jest tak wielka i że wyrastają z niej trzy zakręcone włoski.

Nauczycielka prosi jedną ze starszych dziewczyn, żeby rozdała papier w linie, po dziesięć kartek dla każdej.

Zły znak.

- Dziewczęta, macie napisać akt żalu pięćdziesiąt razy - mówi panna Everett.

- Ach... - wzdycha Moira.

„Ach, żałuję za me złości, jedynie dla Twojej miłości, bądź miłościw mnie grzesznemu, dla ciebie odpuszczam bliźniemu” - piszę.

Przy jedenastym „Ach, żałuję” czuję, jak Ingrid klepie mnie w ramię. Podaje mi karteczkę i wskazuje głową na Sheilę Colby, dając do zrozumienia, że to od niej.

- Ehm - chrząka panna Everett. - Proszę, podaj mi tę kartkę. Tak, ty. Jak masz na imię?

Oczywiście patrzy na mnie.

- Kate Cadogan, proszę pani.

Ha. Sheila Colby będzie miała spore kłopoty. Twarz panny Everett robi się purpurowa.

- Treść tego liściku jest cokolwiek niepokojąca - stwierdza. No, no. Co Sheila napisała? Moira patrzy na mnie oczami okrągłymi jak spodki.

- Proszę dalej, dziewczęta. I jeśli młoda dama, która przestawiła zegar, nie przyzna się w ciągu pięciu minut, będę zmuszona poprosić was o kolejne dziesięć aktów żalu.

- Proszę pani! To Dorothy O'Shea zrobiła - jęczy Sheila Colby.

Moira zamyka za mną drzwi, stoję sama w mrocznym kościele, wśród wysokich świec i masy kwiatów - pięknych, kremowych i spokojnych. Idę cicho w stronę trumny, która wygląda jak stylowy mebel z mosiężnymi uchwytami, zawiasami, śrubami i zasuwkami. Stoi na podwyższeniu przykryta fałdami czarnego materiału.

Zakręcone jak rogi cienie przesuwają się po ołtarzu. Diabły? Kate, ty półgłówku, mówię sobie, diabły nie kręciłyby się po kościele. To migoczące światło świec, tylko tyle. Nie bądź taką idiotką. Idź dalej, pokaż Moirze, że dasz radę.

Ha! A potem przyjdzie jej kolej.

Kiedy zaglądam do trumny, spodziewam się zobaczyć kogoś naprawdę starego, ale ta kobieta jest mniej więcej w wieku Bidy. Ma takie same czarne włosy, okrągłą twarz. Z wosku jak figura Madame Tussaud.

Więc tak to jest, gdy dusza ulatuje do nieba. Albo piekła.

Kobieta ma brzoskwińską szminkę na ustach i niebieski cień na zamkniętych powiekach. Pomarańczowy puder nie został rozprowadzony jak trzeba, więc zbiera się w grudkach przy uszach. Splecione palce są wysuszone i pomarszczone na końcach.

Nie powinnam życzyć śmierci mojej matce zeszłego wieczoru, po tym jak mnie uderzyła. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała dla Bidy, to żeby leżała martwa w wyłożonej satyną trumnie.

Jezu, wybacz mi.

Pędzę do zamkniętych drzwi.

Chryste, wypuście mnie stąd!

Rozdział 7

Niedziela, 14 listopada

Kiedy wczoraj wróciłam od Moiry, Biddy była już trochę mniej zimna. Kupiła końcówkę materiału na wyprzedaży, żeby coś sobie uszyć, oraz parę pantofli na maleńkim obcasie. Tylko zobacz, jaka skórka, mówi. Zawsze ma szczęście do takich okazji dzięki drobnym stopom.

Tego ranka odwieźliśmy Josie z powrotem do ciotki Shauny i wuja Franka. Zanim przygotowaliśmy się do mszy o jedenastej, Biddy całkiem już odtajała.

Moje przeziębienie też zniknęło.

Wszystko było dobrze, póki dyrektorka, panna Kendrick, nie zatrzymała moich rodziców na parkingu przed kościołem, by powiedzieć: przepraszam, że mówię o tym państwu teraz, w niedzielę, ale chodzi o ten liścik Sheili Colby. Czy moglibyśmy się spotkać w najbliższą środę? Tak, to bardzo ważne i dotyczy Kate.

Mnie?

Tak, dziesiąta trzydzieści to doskonała pora. Ojciec Flannagan będzie przy rozmowie. Dyrektorka doskonale rozumie, dlaczego pan Cadogan nie może się zjawić, ale sugeruje, że mógłby później wziąć córkę na słówko.

Liściki, liściki, liściki. Wykończą mnie. Co do diabła napisała ta Sheila Colby?

- No cóż, Kate, nie sądziłam, że będziesz tak trudnym dzieckiem - wzdycha Biddy z przedniego siedzenia samochodu w drodze powrotnej na Cherry Blossom Road. - Kiedyś byłaś taką słodką dziewczynką. Co jeszcze, Kate, co jeszcze?

Chowa do torebki modlitewnik i rękawiczki, wyciąga różaniec. Jej usta poruszają się bezgłośnie, gdy modli się po cichu.

Pewnie za moją duszę. Tata nic nie mówi, ale jest zdenerwowany, bo przygryza dolną wargę, a na jego brodzie pojawia się kilka dołeczków. Widzę je wszystkie.

Środa, 17 listopada

Opuszczam zajęcia praktyczne, a dziś jest pieczenie chleba. Chciałam się pouczyć o drożdżach, mące, bagietkach i takich tam. Pani Washington powiedziała, że upieczemy wiejski bochenek.

Już prawie wpół do jedenastej. Czekam w recepcji na Bidy. Najbardziej wielebny członek inkwizycji, ojciec Flannagan, siedzi naprzeciwko pogrążony w głębokim śnie. Ma czerwony nos, wielki jak kartofel, krąg siwych włosów, a jego głowę podtrzymuje podwójny podbródek.

Koloratkę ma odrobinę przybrudzoną. Ciekawe, kto mu pierze. Pewnie zakonnice.

Stuk - puk. Rozpoznaję kroki Bidy zbliżającej się na wysokich obcasach. Jej głośne pukanie do drzwi wyrywa ze snu ojca Flannagana.

- Dzień dobry, ojcie Flannagan - mówi Bidy.

Bierze jego dłoń, a ja modłę się, żeby tylko nie pocałowała go w pierścień.

Uff, nie robi tego.

Ojciec Flannagan poklepuje jej rękę. Założę się, że jeszcze pół godziny temu te dłonie były na jego ptaszku.

Zabawne, kiedy miałam trzy lata i widziałam go w złotych szatach w czasie błogosławieństwa mówiącego językiem aniołów w oparach kadzidła, myślałam, że to sam Bóg.

Adoremus, in aeternum, sacratissimum, sacramentum.

- Kate?

- Cześć, mamó.

Bidy siada obok mnie.

Panna Everett wychodzi z gabinetu dyrektorki. Ma na sobie gruby tweed i ciężkie skórzane buty. Kiwa głową na powitanie do ubranej w turkusową kremplinę Biddy.

- Dzień dobry, ojczy, proszę wejść. Tędy, pani Cadogan. Kate - mówi, wskazując ręką.

Idziemy.

- Proszę siadać - mówi panna Kendrick. Proszę to, proszę tamto.

Moira mówi, że dyrektorka wygląda jak buldog, bo jej szczęka wystaje za górną wargę. Ma potwornie szerokie ramiona.

- Od czego zacząć? - pyta. Ciągłe mruga prawym okiem, nie przestaje nawet na chwilę.

Niesamowite.

- Proszę pozwolić mi odczytać liścik, który podano Kate w czasie odbywania kary po lekcjach - mówi panna Everett. - „Mam nadzieję, że Barry Finch zakłada gumkę, kiedy to z tobą robi. Dziecko Sophie Greengough ma na imię Tracy. Zgadnij, kto jest tatusiem?”.

- Rozmawiałyśmy już dyskretnie z Sheilą Colby - dodaje panna Kendrick.

Jasna cholera.

Gumka. Cięża. Tatuś. Dziecko. Powoli do mnie dociera. Zgadnij, kto jest tatusiem? Serce mi wali jak oszalałe. Przykro mi, ale jesteś za młoda, laleczko. Dotarło?

Ojciec Flannagan kreśli znak krzyża. Biddy czerwieni się i zaciska usta.

Panna Kendrick gapi się w sufit. Jednym okiem, bo nad drugim Zupełnie nie panuje.

Biddy rzuca mi spojrzenie. - Najświętsza Matko - szepcze, a do ojca Flannagana mówi: - Proszę jej wybaczyć, ojczy.

Komu ma wybaczyć? Mnie?

- Kate, czy odbyłaś stosunek seksualny z tym młodym człowiekiem? - pyta panna Everett.

To się nazywa przejść do sedna sprawy. To, co mówię, brzmi jak bełkot. - My tylko, my, ja, ale, potem...

- Czy ten młody człowiek używał prezerwatywy? - panna Everett strzela palcami. - No, dalej, Kate.

Wiem, że świetnie się bawi.

Nie potrafię odpowiedzieć. Próbuję, ale wydaję z siebie tylko kretyński pisk.

- Pani Cadogan - teraz kolej na pannę Kendrick - możemy polecić doskonałego lekarza szkolnego.

- Katolicki dom dla niezamężnych matek - mówi ojciec Flannagan, klepiąc mnie w kolano - dobrze się zaopiekuje biedną Kate.

- Szkoła i kościół pomogą w każdy możliwy sposób - dodaje panna Everett.

A Bidy? Zapada się w krzesło i cicho płacze.

Kiedy przestaje i na koniec ociera oczy chusteczką, wszyscy patrzą na mnie. Ksiądz i jego podbródki, dyrektorka i jej jedno oko, nauczycielka przedmiotów ścisłych i jej włochata brodawka.

Twarz Bidy jest opuchnięta z żalu. Wstaję i kładę rękę na jej ramieniu. - Mamo, nie jestem w ciąży. - Łza spada jej z brody, więc po prostu muszę ją przytulić. - Mamo - przyciągam jej głowę do piersi i głaszczę po włosach - na nic mu nie pozwoliłam.

Szepcze coś w mój sweter. Muszę się schylić, bo nie słyszę, co mówi.

- Dość już, usiądź, popsujesz mi fryzurę.

Więc ojciec Flannagan udziela mi błogosławieństwa, prosi Pana, aby miał mnie w opiece, żegna się ze wszystkimi i pospiesznie wychodzi, mrucząc coś o dwudziestu pięciu spowiedziach, których musi wysłuchać przez lunchem.

Panna Kendrick przysuwa sobie telefon, podnosi słuchawkę i wybiera numer.

- Pani Healy? (To szkolna sekretarka). Ma pani kopię raportu karnego Kate Cadogan?

A to po co? Żeby wizyta Bidy miała jakiś sens? Och. Jezu Chryste.

Dwie listy lądują na biurku. Panna Kendrick podaje nam je.

- Nie jest za dobrze, pani Cadogan. Czytam swój egzemplarz:

ZATRZYMANIE PO LEKCJACH

1. Konsumpcja opłatków do komunii.
2. Rozmowy na zajęciach historii.
3. Podrobienie podpisu na karcie ocen. Skąd wiedzieli?
4. Naruszenie prywatności. (Wyjaśnienie „tylko oddawałam ostatnie honory" nie do przyjęcia).

A tak. Zapomniałam. Moira wpadła na Starą Wronę, Scargilla. Prawie go tchu pozbawiła. Już mnie trzymał za kark, więc nie miałam jak jej ostrzec. Wypadła z kościoła po tym, jak zajrzała do trumny. Bełkotała tylko: ohyda, przerażające, Jezu, fuj, nigdy więcej.

Trzeba jednak oddać sprawiedliwość Bidy, która musi być zachwycona faktem, że nie jestem w ciąży, ale zastanawia się, panno Kendrick, czy szkoła nie zechciałaby skupić się na niskich ocenach Kate i, proszę wybaczyć, że o to pyta, ale w jaki sposób grono pedagogiczne zamierza pomóc jej w nauce?

Oczywiście gdy tylko opuszczamy gabinet panny Kendrick, i tak dostaję po uszach za podrobienie podpisu. O rety, jednak stanęła w mojej obronie!

Całuję ją na pożegnanie. - Dziękuję, mamo.

- Kate, nigdy więcej nie zbliżaj się do Barry'ego Fincha, słyszysz? Kiwam głową.

Bo go nienawidzę.

- Porozmawiamy z tatą. - Obciąga żakiet od kostiumu, poprawia włosy, wychodzi przez szkolne drzwi, stukając obcasami, i zanurza się w resztkach listopadowego ranka.

Kiedy masło zostaje przykryte, papierosy zapalone, a ja gapię się na tapetę z wirującymi imbryczkami, biorę udział w poważnej rozmowie.

Muszę wziąć się do galopu, poprawić oceny i Kate...

- To, co słyszałam przez telefon, było obrzydliwe. - Biddy marszczy nos. - Zachowujecie się z Moirą jak dwie zdziry. A gdybyś zaszła w ciążę? Co wtedy?

Przypominam sobie małe foliowe zawiniątko, które miał w kieszeni Barry. Dobry Boże, przyszedł doskonale przygotowany, prawda?

Biddy uderza dłonią w blat stołu. - Uważam, że powinnaś przestać spotykać się z Moirą Murphy. Ma na ciebie zły wpływ, a rodzice w ogóle jej nie kontrolują.

Nie, nie, nie. Nigdy. Moi to moja najlepsza przyjaciółka.

- Nie chcę, żeby cokolwiek stało się mojej małej dziewczynce - mówi tata. - Jeśli jakiś chłopak jeszcze raz cię dotknie, to mu...

Nie kończy. Zagryza dolną wargę, a na brodzie pojawiają mu się dołeczki.

Piątek, 17 grudnia

Wybrałam się na zakupy do Brayminster, żeby wydać pieniądze, które dostałam razem ze świątecznymi kartkami. Pięć i dziesięć funtów od Mamgu, Griffa oraz mojej irlandzkiej babci.

I od Oony.

Kim jest Oona? Pytam Biddy. Żoną wuja Barneya, oczywiście.

Trudno mieć mi za złe, że zapomniałam. Matka rzadko wspomina o bratowej, która najwyraźniej jest zwykłą pijawką.

Kupiłam sobie żółtą sukienkę ze stójką, pokrowiec na koszulę nocną dla Mamgu, skarpetki dla Griffa, elegancką papeterię dla Bidy oraz imbirowe czekoladki dla taty. A dla Moiry kupiłam notatnik z Beatlesami. Nie ma mowy, żebym porzuciła najlepszą przyjaciółkę.

Autobus jest załadowany na dole, więc muszę wejść na górę, gdzie zrobiło się gęsto od papierosowego dymu.

Pojazd sapie w miejscu, czekając, aż zmienią się światła. Spoglądam w dół na ludzi tłoczących się na chodniku, niosących paczki, torby, martwe indyki. Ulicę rozświetlają świąteczne lampki, jemiola z ostrokrzewem zdobi latarnie.

O, i idzie Sophie Greengough. Pcha granatowy wózek, wymijając przechodniów z zakupami. Widzę tylko dziecko wymachujące maleńką piąstką i dostrzegam maleńką główkę w różowej czapeczce.

A za nimi powłóczy nogami Barry. Idzie wzdłuż krawężnika ubrany w płaszcz. Wygląda zupełnie inaczej. Zatrzymuje się, żeby kopnąć w grudki śniegu prosto na ulicę.

Mają szesnaście i siedemnaście lat, a już są małżeństwem.

Skąd ludzie wiedzą, że się na nich patrzy? Jak oni to wyczuwają?

Barry spogląda prosto na mnie. Widzę starszą twarz od tej, którą zapamiętałam. Autobus z warkotem rusza, a ja odwracam się, żeby zobaczyć zielone oczy Barry'ego. Muszę przytrzymać paczki, gdy autobus przyspiesza - i już go nie ma.

Ciekawe, czy ten maleńki nawias nadal pojawia się w kąciku ust, gdy się uśmiecha.

Rodziców nie ma jeszcze w domu, oboje nadal pracują, więc dzwonię do Moiry, żeby powiedzieć jej, że widziałam Barry'ego i Sophie z dzieckiem.

- Dzień dobry, pani Murphy.

- Witaj skarbie. Biedna Moira tak się martwi. Zawołam ją.

A to co znowu?

Słyszę kroki, a potem...

- O Boże, nie uwierzysz. Tata został przeniesiony do Cardiff. Cardiff?

- Przeprowadzamy się - szepcze Moira. - Mama już zaczęła się pakować. Kupują ogromny dom, bo tata dostał podwyżkę, ale...

Słyszę, że płacze.

- Będę za tobą bardzo tęsknić, Katie.

Moja najlepsza, jedyna w swoim rodzaju, najbliższa przyjaciółka opuszcza mnie?

Dlaczego Biddy przeniosła telefon z salonu na korytarz o białych ścianach i szarej podłodze, gdzie czuje się taką pustkę, gdzie jest tak cholernie nieprzytulnie i zimno?

- O Boże, Moi.

Mój głos odbija się echem i nagle czuję się bardzo, bardzo samotna.

Rozdział 8

1968

Poniedziałek, 20 maja Cherry Blossom Road 33, Dorton

Moja matka ma dość pracy w szpitalu w Dorton.

- Jestem wyczerpana, Kate - Papieros kołysze jej się w ustach. - Za długo byłam pielęgniarką.

Przykrywam masło i podaję Biddy zapalniczkę. - Mam egzamin dziś rano, muszę pędzić.

- Nie masz nawet pięciu minut dla swojej matki?

Nie mam czasu, żeby odpowiedzieć. Potrzebuję agrałki. Nie mogłam dziś rano dopiąć spódnicy w pasie i odpadł guzik. Szukam w szufladzie z dziwnymi monetami, sznurkami, torebkami z nasionami, w szufladzie, gdzie wrzuca się wszelkie szpargały, na które nie ma lepszego miejsca.

- Kate, spódnica przesunęła się tyłem na przód. Przytyłaś?

- Troszkę.

- Zapnij sweter. Wyglądasz niechlujnie.

- Wolę rozpięty.

Mówiąc szczerze, nie mogę tego cholernego swetra dopiąć na biuście. O Boże, jest już wpół do dziewiątej, a ja jeszcze nie mam wszystkich rzeczy potrzebnych na zajęcia praktyczne.

- Mamo, mogę wziąć te jajka? I bekon? A smalec, mamy jakiś smalec?

Biddy ziewa. - Powinnam rzucić całe to pielęgniarstwo. Wypaliłam się. Całkiem.

Wciskam do koszyka składniki na tartę i przykrywam je ściereczką. - Trzymaj kciuki - mówię, wkładając szkolną marynarkę.

- A po co ci trzymanie kciuków na zajęciach praktycznych? Posyłam jej całusa i pamiętam, żeby cicho zamknąć drzwi, bo

jak nimi trzasnę, to odpadną zawiasy. Podobno.

Jest cudowny majowy poranek. Słońce rzuca rozmyte wodniste światło na dachy i drzewa, a ja po raz pierwszy w życiu nie mogę się doczekać szkoły. To znaczy, że nie mogę się doczekać lekcji, a nie spotkania z dziewczynami.

Ale to całkiem inna historia.

Trochę się zmieniło w szkole. Jestem teraz w ostatniej klasie, nie da się ukryć. Moje oceny poszły w górę, zbieram piątki i czwórki. Za dobrą pracę, Kate, za zainteresowanie przedmiotem, Kate, najlepsze oceny, Kate, dobra robota, tak trzymać, Kate.

- List do ciebie, słodziutka - mówi Bill Bailey, listonosz. Mruga. Za żadne skarby nie zaufałabym mu w ciemnym zaułku.

- Dzięki. - Nie zachęcam go. Wystarczy słowo albo dwa. Cmoka językiem. - To miłosny list?

- Wątpię - odpowiadam i odchodzę, chowając kopertę do torby. Mam nadzieję, że spódnica nie obróciła mi się tył na przód.

W autobusie znajomy charakter pisma Moiry sprawia, że się uśmiecham. Piszemy do siebie, odkąd wyjechała z Dorton.

Czwartek, dziesiąta wieczór

Hej, Katie!

Opowiadałam ci, jakich mam potwornych nauczycieli? Wiem, powtarzam to za każdym razem, gdy do Ciebie piszę. To dopiero stare krowy! A ja myślałam, że w Shawhurst było źle! Ale przynajmniej to koedukacyjna państwowa szkoła, więc nie musimy mówić pięćdziesięciu zdrowasiek dziennie ani chodzić do spowiedzi.

Więc kiedy przyjedziesz odwiedzić swoją najlepszą przyjaciółkę??!! Nie widziałyśmy się całe trzy lata. Bidy już mnie pewnie nie lubi, co? Bo chętnie wpadłabym do Dorton.

Chyba się zakochałam. (Znowu). Nazywa się Aled Rhydderch. (Ledwie przechodzi przez gardło). HA! Mam grzeszne myśli czy jak?!

Zadzwoń od Ingrid, to ci wszystko opowiem.

Powinnyśmy zacząć myśleć o college'u, skarbie. Myślę, żeby złożyć papiery do INTUW*... Ej, Kateeeee, przeprowadź się do Cardiff! Tutaj jest mnóstwo college'ów. Mogłybyśmy razem wynajmować pokój albo mieszkanie, czy coś. Totalny odlot, co?

Całuję, Moi Sto buziaków

PS *Instytut Naukowo - Techniczny Uniwersytetu Walijskiego, ty głąbie.

Z wrażenia mam ściśnięty żołądek. To właśnie zrobię! Wysię mózgownicę, żeby mieć dobre oceny, pójdę do college'u cateringowego w Cardiff, zamieszkać z Moirą i... ach, czy to nie byłaby najwspanialsza rzecz na świecie?

Egzamin z zajęć praktycznych nie wypadł najgorzej. Pani Washington powiedziała, że moja tarta ma dobry kolor, a fakturą polewy trafiłam w dziesiątkę. Grzyby byłyby miłym dodatkiem, droga Kate, ale i tak świetna robota. Mmmm, smaczne. Doskonały wybór sera. Myślmy o dalszej karierze w tej dziedzinie?

Chętnie byśmy myśleli, ale Bidy dostałaby szału. Kiedy ktoś ją pyta: - Jak mała Kate radzi sobie w szkole? - Odpowiada: - Och, naprawdę bardzo dobrze, córka planuje studiować języki na uniwersytecie.

Jasne, jasne. - Mamo - przypominam jej - jestem najlepsza na zajęciach praktycznych, no wiesz, prowadzenie gospodarstwa domowego.

A kiedy wracamy do domu, pyta: - Musisz mi robić taki wstyd? Przestanieś wreszcie gadać jak głupia o zajęciach praktycznych?

Boże. Biddy uważa catering za niegodną pracę. Ciągłe powtarza, że mam większy wybór. Ona nigdy nie miała szansy dostać się na uniwersytet. O nie, to Shauna była oczkiem w głowie matki, jedyną córką posłaną do college'u, ulubienicą.

- Pójdiesz na uniwersytet i będziesz studiować języki - mówi Biddy.

- Tylko dlatego, że mam cztery plus z łaciny? To nie znaczy, że to lubię.

Kto śpiewa moje imię?

- Ka - tie, Ka - tie, Ka - tie.

- Katie, kochanie, wróć na ziemię. To pani Washington.

- Dziewczęta, wszystkie wykonałyście dobrą pracę. Wasze tarty były wspaniałe. A teraz posprzątajmy stoły na połysk. Macie kwadrans, żeby skończyć przed dzwonkiem na lunch.

- Usiądziesz ze mną w czasie lunchu? - pyta Ingrid Beddoes.

- Jasne - odpowiadam.

Szkolna stołówka pachnie gotowaną kapustą, jak zawsze. Siadamy przy stole razem z Jenny Doyle, Veronicą Scott i Jill Mowbry oraz Val Hickey, która zaczyna szeptać Ingrid do ucha, zasłaniając usta dłonią.

- Więc przyjdiesz? - pyta, prostując się i nakładając sobie łyżkę groszku.

Ingrid obejmuje mnie za szyję i mówi: - Tylko jeśli Kate też jest zaproszona.

Nie wiem dlaczego, ale pozostałe dziewczyny zaczęły być naprawdę złośliwe, odkąd przytyłam parę kilo.

Na siatkówce wołają na mnie „wielkie uda”. Na historii proponują jeszcze jedno krzesło pod drugi pośladek. A kiedy siostra Philomena pyta, kto będzie kobietą z Bath, „w grubym płaszczu wokół szerokich bioder, wesolą jak skowronek”, wołają: proszę siostry, proszę siostry, Kate będzie!

Odkąd Moira wyjechała, Ingrid jest jedyną przyjaciółką, jaką mam w szkole.

Val marszczy nos i obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów.

Rysuję kółka z rozsypanej soli.

- Dobra - wzdycha. - Impreza zaczyna się o siódmej w piątek w moim domu. Starych nie będzie do północy.

Nie mam co na siebie włożyć.

- Zaprosiłam tłum chłopaków z Brayminster.

Zupełnie nie mam co włożyć. Mogłabym wziąć nylonowy sweter, jasnoniebieski, ale kiedy prasowałam go w zeszłym tygodniu, wytopiłam w nim pośrodku dziurę. Musiałam nożem do chleba zeszkrobać z żelazka zastygłe resztki.

Biddy przycięła rękawy, przerobiła je na krótkie, a materiał wykorzystwała na łatkę. Da się to nosić z džinsami, bo nie, na pewno nie kupi mi nowego swetra. Ona z tatą mają dość rachunków do opłacenia. Nowy mundurek kosztuje sto funtów co pół roku. Sto funtów, Kate.

Ingrid szturcha mnie łokciem.

- Jedz pudding, Katers. Mam jeszcze ochotę na szybkiego dymka za budką na rowery.

Podnoszę łyżkę i pochłaniam gąbczasty pudding z rodzynkami. Całą porcję.

Rozdział 66

Środa, 22 maja

Telewizyjny program W dziesiątkę czy pudło właśnie się kończy i jury zdecydowało, że nowa płyta Judy in Disguise (With Glasses) to niewypał. Cóż, moim zdaniem jest świetna. Cały czas chodzi mi po głowie.

Nucę ją sobie, kiedy dochodzę do wniosku, że lepiej już powiedzieć rodzicom dobranoc i iść do łóżka.

- Myślmy o kupieniu sklepu, Kate. Co?

- Sklepu? Jakiego?

Rodzice rozłożyli gazety na stole. Biddy wskazuje na małe ogłoszenie. - Piekarni - mówi.

Tata uważnie zakreśla je długopisem.

- Będziecie sprzedawać herbatniki, bułki i takie tam? - pytam. Zabawne. Biddy nie chce, żebym zajmowała się cateringiem, ale sama zamierza prowadzić sklep z wypiekami. Nie rozumiem.

Ale to byłaby dla mnie świetna praktyka. Ej, mogłabym robić rzeczy na sprzedaż!

- Mama mogłaby skończyć ze szpitalem. - Tata wręcza mi tabliczkę ciemnej czekolady Fry.

- Dzięki, tato. Ej, mam, mogłabym piec ciasta! A może robiłabym dzemy? Albo sosy? Wyobrażam sobie półki pełne słoików i...

- Masz szkołę, na której musisz się skupić, moja panno. Za długo pracowałam w służbie zdrowia i teraz potrzebuję odmiany. Zasługuję na to, prawda, Tom?

- Tak, Biddy.

- Możesz pracować w sklepie w weekendy za kieszonkowe - mówi Biddy. - Ale to będzie moja mała działka.

- To będzie jej mała działka - przytakuje tata.

- Tom, jutro obejrzę sklep. Mam dwa dni wolnego w szpitalu. O, do diabła, za dwa dni jest impreza.

- Mamo, wszystkie dziewczyny z ostatniej klasy idą w piątek do domu Val Hickey. Mogę iść?

- Chłopcy też będą?

Zaprosiłam tłumy chłopaków z szkoły średniej Brayminster. Kręcę głową. Nie.

- No to czemu nie - stwierdza tata.

Biddy składa gazetę i patrzy na mnie zupełnie jak Val Hickey. - Włosy wiszą ci jak stare zasłonki po bokach twarzy. Może ścięłabyś je na krótko? A po trwałej już by się tak nie przetłuszczały.

- Dobrze.

Spróbuję wszystkiego.

- Zapiszę cię do mojej fryzjerki na piątek.

- Dobra.

- „Tak, mamo” brzmiałoby o niebo lepiej niż „dobra”.

- Mamo, nie mam w co się ubrać do Val Hickey.

Biddy ma taki nowy sweterek, kremowy na górze, czarny na dole z rękawami trzy czwarte. Mówi, że niczego nie może mi pożyczyć, bo jest o dwa rozmiary mniejsza ode mnie. Zatrzymuje się, żeby przejechać ręką po talii. Ale ma kawał krempliny na górze. Zamierzała uszyć sobie spódnicę i żakiet, ale zamiast tego może mi uszyć sukienkę.

Biddy potrafi uszyć sukienkę w pięć minut. Jest całkiem dobra w te klocki. Mam nadzieję, że chodzi o materiał w kolorze kawy, a nie ten pomarańczowy.

Nie, oczywiście, że miała na myśli kawowy.

- Możesz zrobić rękawy trzy czwarte? I żeby była krótka?

- Postaram się.

- Dziękuję, mamo. - Przełamuję tabliczkę czekolady na pół, żeby się z nią podzielić, ale ona kręci głową i każe mi iść do łóżka.

Wbiegam po schodach. Nowa fryzura! Nowa sukienka!
Będzie wspaniale!

Szkoda, że piersi tak mi podskakują. Bolały wtedy jak diabli.

Piątek, 24 maja

Biddy nie pokazała mi jeszcze sukienki, to ma być niespodzianka. A teraz mam się z nią spotkać w salonie Elegancka trwała w Dorton.

Gdy otwieram drzwi, wita mnie fetor amoniaku. Dziewczyna za kontuarem przerywa pisanie i podnosi głowę.

- Nazwisko, proszę.

Mówię, a ona długopisem wskazuje na Biddy, która siedzi w kącie z plastikowym czepkiem pełnym dziur. Pasemka włosów wyciągnięto przez otwory i pomalowano na żółto.

Macham, a ona kiwa na mnie palcem.

Przedstawia mnie Sadie w różowym kombinezonie, która podetnie mi włosy i zrobi trwałą, kochanie. I kto ma dziś szczęście, bo dzięki mamie będzie miał nowiutką fryzurkę? Czyż nie będziemy za chwilę prześlicznie wyglądać?

Zostawiam torbę, zdejmuję marynarkę, sweter i krawat, podwijam kołnierzyk koszuli. Zawijają mnie w pelerynę, każą siadać na fotelu przy oknie. Pytam Sadie, która stoi już z nożyczkami gotowa do pracy, czy mogłaby mnie obciąć tak, jak to jest teraz modnie, z dłuższymi końcami z tyłu i małymi baczkami podciętymi pod kątem?

- Sadie, nie zostawiaj jej żadnych dłuższych kosmyków. - Biddy pochyła się nad umywalką, żeby umyła jej głowę. Jakim cudem usłyszała, co mówię?

- Mamy zawsze wiedzą najlepiej, co? Moim zdaniem Sadie jest trochę przygłupia.

Patrzę, jak moje włosy spadają na ziemię. Cała masa. O Boże, o Boże, o Boże. To nie wygląda dobrze, to nie wygląda dobrze. Uspokój się, Kate, jeszcze nie skończyła.

Ciach, ciach, ciach, nożyczki i palce Sadie szybko pracują. Nie ruszaj się, mówi, zamknij oczy, popatrz w górę, w dół, pochyl głowę.

Wtedy słyszę buczenie maszynki. Maszynki? I koniec. Gotowe.

- Podkreśla linię szczęki - żartuje Sadie. Jakiej szczęki? Przelykam łyzy. Zafundowała mi cholerną męską fryzurę.

- A teraz czas na ładną delikatną trwałą.

Ponieważ Biddy jest głucha i czerwona jak burak, siedząc pod suszarką, Sadie krzyczy: - Co o tym myślimy, mamusiu? Chcę umrzeć.

Matka unosi gwałtownie brwi, otwiera szeroko oczy i uśmiecha się jak szalona.

- Ładnie - mówi, poruszając tylko ustami. Kogo ona oszukuje? Boże wszechmogący.

Sadie szarpie moje włosy, zawija i nakręca na milion wałków. Potem nakłada potwornie śmierdzący płyn do trwałości.

Na moich kolanach ląduje z trzaskiem stos czasopism.

- Kawy czy herbaty? - pyta dziewczyna zza kontuaru.

Pół godziny później Sadie pyta: - Już jesteśmy gotowe?

Pewnie tak, bo polewa mnie utrwalaczem. A potem wsadza pod suszarkę, podczas gdy Biddy właśnie wychodzi spod swojej. Jej rozjaśnione pasemka wyglądają rewelacyjnie.

A ja? Podtrzymuje mnie nadzieja, że trwałą zdoła uratować ten dzień.

Ale cholera, nic z tego.

Biddy jest wściekła, bo nie odzywam się, gdy wspinamy się Bryre Hill Lane. Nie mogę mówić. Jestem w szoku.

Bogu dzięki, że Barry Finch już nie mieszka w czwartym domu po prawej, w tym z żelazną furtką. Umarłby, gdyby mnie teraz zobaczył. Ze śmiechu.

Dotknąłby moich włosów i powiedział „skarbie”.
Nierzeczywiste.

Stuk - puk. Obcasiki Biddy są równie ostre jak jej język. -
Nie ma powodu, żeby się tak krzywić - mówi. - Przestań się
wreszcie dąsać. To do ciebie nie pasuje.

To ta fryzura do mnie nie pasuje. Do cholery, bądźmy
szczerze.

Gdy tylko Biddy otwiera drzwi, rzucam się do telefonu.
Muszę zadzwonić do Ingrid - nie ma mowy, żebym poszła tak
na imprezę. Już podnoszę słuchawkę, gdy Biddy mówi: -
Prawie w ogóle się do mnie nie odzywałaś, a teraz
spodziewasz się, że zobaczysz sukienkę, którą szyłam
godzinami, tak?

Przygryzam wargę. Mogłabym włożyć tę kawową
sukienkę do kremowych rajstop i brązowych zamszowych
butów, które dostałam od ciotki Shauny, tych, w które Josie
nie dała już rady wejść.

A potem, potem...

A po tym dniu zapuszczę z powrotem włosy i zacznę się
głodzić.

Idę za Biddy do sypialni, w której trzyma maszynę do
szycia.

- Oto twoja sukienka - mówi.

Nie dość, że jest fluorescencyjnie pomarańczowa, to
jeszcze wygląda, jakby była pokryta pęcherzykami.

Odchrząkuję i mówię: - Myślałam, że to będzie brązowa
sukienka.

Wskazuję na materiał w kolorze kawy leżący na fotelu.

- To mój materiał - mówi Biddy.

To jej materiał. Pomarańczowe bąbelki są dla mnie.

- Przymierz. Zabieram ją do łazienki.

- Ma przyzwoitą długość, przed kolana - krzyczy Biddy. - Tata wrócił, idę zaparzyć herbatę. Nie słyszałam jeszcze „dziękuję”.

Nie mogę się zmusić, żeby włożyć to coś na siebie.

Kiedy tata widzi moje włosy, mówi: - Nie przejmuj się, możesz nosić kapelusik. - A ja wybucham płaczem.

Biddy wraca z herbatą. - No sam zobacz, Kate znowu płacze. Niewiele brakuje, żeby się poryczała, prawda? Co się stało?

Ciągnę za hełm, który mam na głowie, i winię ją za to, że pozwoliła fryzjerce zrobić mi coś takiego.

- Ona jest taka niewdzięczna, Tom. A czy ty coś z tym robisz?

Nic.

- Tato. Sukienka jest okropna, nie żartuję. - Przykładam ją do ramion, żeby zobaczył.

Przez sekundę widzę współczucie na twarzy ojca, zanim Biddy ciska we mnie słowami: - Ty niewdzięczna mała suko. - Rzuca tacę na kanapę, a tata skacze, żeby zlać herbatę z powrotem do filiżanek.

- Pracuję całą noc, nie śpię nawet chwili, szyję jej sukienkę najlepszym ścięciem, wykańczam jak dla księżniczki, a ty słyszysz, co ona mówi?

Dołączki pojawiają się na brodzie taty, który mówi: - Włóż sukienkę. Ma bardzo ładny kolor.

Kiedy mówię, że prędeż umrę, Biddy wrzeszczy: - Zejdź mi z oczu!

Oboje zaczynają na mnie krzyżeć. Widzę tylko kłapiące usta, poruszające się języki i zaciskające zęby. Za chwilę zostanę odesłana do pokoju. Nawet byście nie pomyśleli, że mam siedemnaście lat.

- Jak śmiesz mówić w ten sposób do nas, jesteśmy twoimi rodzicami! - wrzeszczy tata. - Na górę, ale już!

Zawsze jest tak samo. Wpadam do pokoju po awanturze i przyrzekam sobie, że więcej z niego nie wyjdę. Słyszę, jak rodzice na dole raz za razem powtarzają przebieg kłótni. Słyszę, jak Biddy mówi, a potem powiedziała to, a potem powiedziała tamto, więc odpowiadałam jej... A po chwili matka zacznie płakać i wybiegnie na korytarz, a tata poleci za nią, mówiąc: Biddy, Biddy, nie zadręczaj się, ona nie jest tego warta.

Biddy będzie wzywać Matkę Boską.

A ja zwlokę się po schodach. Wiem, że znajdę ją w kuchni szlochającą nad zlewem z mokrą ścierką w dłoniach. A tata będzie siedział przy stole z popielniczką, w której leżeć będą trzy niedopałki. Będzie przy czwartym papierosie i zobaczę zmarszczki na jego czole, jedną, drugą i trzecią, ale dołeczki na brodzie znikną na mój widok, bo będzie wiedział, że przyszłam przeprosić.

- Przepraszam, mamo.

Wybacz, że zgrzeszyłam przeciwko tobie, a z twoją pomocą więcej grzeszyć nie będę.

Obejmujemy się i obie płaczymy, a tata mówi: Kate, idź umyj twarz i włóż sukienkę, którą matka ci uszyła. Idź na zabawę i baw się dobrze. Miło spędzisz czas z dziewczętami.

Nie myśl sobie, że cię nie kochamy.

Tata podwozi mnie na farmę Ingrid, przechodzimy obok zaschłego krowiego gnoju i pukamy do kuchennych drzwi.

- Nie mów nawet słowa - rzucam, gdy Ingrid otwiera drzwi.

Łapie mnie za rękę i biegiem ciągnie na górę. Mówię jej wszystko, a ona zaczyna się śmiać. Pada na łóżko, a jej obcięte na pazia włosy układają się wokół głowy jako aureola Marii Panny.

- Och, biedna, biedna Kate.

Stoję tam w płaszczu przeciwdeszczowym, a kiedy rozpinam pasek, krzyczy.

- Dobry Panie, skąd wytrzasnęłaś tak cholernie brzydką sukienkę? - A potem znowu krzyczy: - Wszyscy pomyślą, że jesteś sygnalizatorem świetlnym!

- Aha, migoczące oślepiające pomarańczowe światło.

Ingrid ciągnie mnie za włosy, a ja mówię jej, żeby je ścięła, bo nie da rady ich wyprostować, na miłość boską.

Przeszukujemy szafę Ingrid, ale nic na mnie nie pasuje. Więc zakrada się do pokoju matki i wraca z przyzwoitą bluzką z etaminy i džinsami. Brzuch sterczy mi nad talią, ale bluzka jest dość długa, żeby wszystko zakryć. Nakładam podkład i maluję mocno oczy. Potem Ingrid doznaje olśnienia, wybiega z pokoju i wraca w podskokach z kremową chustką. Zawiązuje mi ją wokół głowy w cygańskim stylu i wyciąga przy uszach puszyste loczki.

Dobra, mówię, teraz odważę się iść na imprezę.

Rzecz jasna Ingrid wygląda po prostu bosko z ciemnymi jak smoła włosami, w zielonej bluzeczce i czarnej mini.

- Pospieszmy się - mówi. - Autobus ma być za dziesięć minut.

Mogło być gorzej. Pozostałe dziewczyny są zbyt zajęte pogaduszkami z chłopakami, aby skomentować mój dziwaczny cygański strój. Oczywiście wszyscy chłopcy mnie ignorują, ale nie mogę ich za to winić.

Patrzę, uśmiecham się, kiedy powinnam, śmieję się, kiedy powinnam, piję cydr i chowam się w kącie, dopóki Ingrid nie zmusza mnie, żebym z nią zatańczyła.

Nigdy wcześniej nie tańczyłam. Staram się ją naśladować, ale moje kolana nie zginają się wtedy, kiedy chcę, a stopy nie przesuwają po grubym dywanie tak jak jej.

- Wyluzuj, Katie!

Więc próbuję, przytupując ciężko, podczas gdy Beatlesi śpiewają o niewidzialnych łańcuchach.

Rozdział 10

Niedziela, 28 lipca

PIEKARNIA

POD NOWYM KIEROWNICTWEM

Szeroki wybór pieczywa: pszenne, ciemne, razowe, pełnoziarniste, wiejskie, francuskie, pakowane, słodowe, żytnie, z rodzynkami, z kminkiem, domowe oraz bułki maślane i rogaliki.

Biszkopty na specjalne okazje: czekoladowe, waniliowe, pomarańczowe lub cytrynowe, z delikatnym lukrem. Sam wybierz nadzienie: owoce, bita śmietana lub krem. A może sezonowe ciasto owocowe z prawdziwą brandy (na życzenie), marcepanem (na życzenie) i specjalną polewą?

Od złożenia zamówienia do dostawy może upłynąć do dziesięciu dni.

Czytam reklamę Biddy w miejscowym szmatławcu. Szkoda, że nie napisano w nim także: „Spróbuj naszych dżemów. Morelowych i migdałowych, jeżynowych i jabłkowych, a może brzoskwiniowych, imbirowych lub malinowych?”.

Mam ogromny album pełen przepisów na konfitury. Wycięłam je z czasopism, które Biddy przyniosła ze szpitala, kiedy chodziła do pracy. Ale nadal nie wolno mi niczego przygotować do sklepu.

Całe pieczywo, ciasta i inne wyroby kupowane są w hurtowniach piekarniczych i spożywczych.

Pracuję tam w weekendy. Nadal nie mogę uwierzyć, że Biddy zaufała mi i pozwoliła samodzielnie zajmować się sklepem w niedziele, a jednak. Sklep pomalowano na ten sam odcień zieleni co sklep Laury Ashley, z zasłoną w zielone pasy, ladą i półkami z sosny oraz stojącymi wszędzie koszykami.

Kiedy klienci wchodzą i wykrzykują: o proszę, witam, siostró Cadogan, więc nie pracuje już pani w szpitalu? Dzień dobry, pani Bootsby - Smythe, odpowiada Biddy, no cóż, odeszła ze służby zdrowia, aby przejąć ten interes.

Biddy zaczęła mi się zwierzać, kiedy jesteśmy same w sklepie. Wiecznie jęczy na tatę. Rozgląda się najpierw, upewnia, że nikt nie słucha, i zaczyna. Tata nigdy nie zarabiał dość pieniędzy, żeby utrzymać rodzinę, mówi mi, nigdy porządnie nie zarabiał. Myślisz, że się starał, ale skąd, patrzy tylko, jak wszyscy inni dostają awans tuż pod jego nosem, i co w związku z tym robi? Nic. Przez całe małżeństwo musiała urabiać sobie ręce po łokcie.

O tak, Kate, ciągnie, tydzień po ślubie zabrał ją do Llandafan, żeby poznała Mamgu i Griffa, a w niej serce zamarło, gdy zobaczyła, skąd tata się wywodzi. Małeńki domek, Kate, stojący w szeregu z innymi. Żadnego podwórza od frontu, tylko zaśmiecony ogródek. A skąd pochodziła Biddy? Z farmy w Cloondray w Irlandii, gdzie mieli sto pięćdziesiąt akrów pastwisk i pól pod pszenicę, siedemdziesiąt sztuk bydła i byka. Ponad dwieście owiec i trzy barany.

I osiem tłustych macior.

Bez knura? Biedne maciory, mówię, i kurczę, matka rzuca mi naprawdę wściekłe spojrzenie.

- Proszę panienki, panienko, hej - hej!

Klientka stuka monetami w szklaną gablotkę. Rzucam gazetę pod ladę i mówię głosem sprzedawczyni: - Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

- Sześć drożdżówek z rodzynkami, proszę. Dużych. Oczywiście muszę się nieźle namęczyć, żeby oprzeć się ciasteczkom z bakaliami, maślanym herbatnikom, pączkom z dżemem i ciastkom z kremem. Och, a tej chwili dałabym wszystko za porcję drożdżowego ciasta z filiżanką herbaty.

Ale jestem na diecie. A oto, co zmusiło mnie do działania, Po pierwsze, od czasu Barry'ego Fincha żaden chłopak nie spojrzał na mnie dwa razy. Pewnie dlatego tacie odpowiada to, że jestem pulchna. Nie ma się czym martwić, mówi. Nadal jestem jego małą dziewczynką.

- Ej, panienko, chcę zamówić tort urodzinowy. Coś naprawdę specjalnego na trzecie urodziny dla wnuka.

- Mam broszurkę. Zaraz przyniosę.

Tak naprawdę do przejścia na dietę zmusiła mnie piosenka zaśpiewana w szkolnej bibliotece przez Gabby Coles: „Kate Cadogan jest tłusta i pryszczata, jest loczkowata i potwornie cycata”.

Tak, niezbyt to miłe.

Zapytałam Biddy, czy byłam tak ładna jak ona, zanim przytyłam. Zamrugła, uśmiechnęła się, odsłaniając przerwę między jedynkami. Kate, powiedziała, jesteś bardziej podobna do rodziny ojca.

Cokolwiek to znaczy.

Na razie schudłam trzy i pół kilo. Przygotowuję się do Cardiff, do szkoły gastronomicznej. Biddy spadnie z krzesła, jak się dowie.

- Panienko, nie podoba mi się żaden z tych tortów. - Klientka przechyliła głowę i wykrzywia usta. - Szukam czegoś naprawdę specjalnego.

- Pani wnuk ma trzy lata? To może ten?

Nie, nadal kręci głową. - Jak powiedziałam, chcę czegoś naprawdę specjalnego.

- A co lubi? Samochody? Rakiety?

- Uwielbia kielbaski, o tak. I frytki z fasolą w sosie pomidorowym.

Klientka rozpromienia się, odsłaniając różowe dziąsła bez zębów. - Będiesz wiedziała, co zrobić, kochana. Zrób mi

ładny tort. Idź po książkę z zamówieniami. Nazywam się Beatrice McGee.

Literuje swoje nazwisko i mówi, że wróci w środę, siódmego sierpnia, i że chciałaby czekoladowy biszkopt z kremem pomarańczowym.

- On uwielbia kielbaski - przypomina mi, ściskając w rękach torbę z drożdżówkami.

To był upalny, naprawdę gorący poranek, a teraz dochodziła druga po południu, Bogu dzięki, pora zamknąć sklep. Zbieram wpływy do płóciennej torebki, żeby schować je w sejfie. Oblizuję dwa znaczki, które naklejam na koperty, jedną z listem do Moiry, drugą z podaniem do gastronomicznego college'u w Cardiff.

Jutro je wyślę.

Kiedy chowam niesprzedane ciasta i chleb, zerkam szybko do lustra, zanim zamknę sklep. Włosy odrosły mi ze dwa centymetry, a loczki nieco się wyprostowały. Och, jak bym chciała mieć taką fryzurę na pazia.

Mogę tylko pomarzyć.

Jeszcze pięć kilo do zrzucenia i piętnaście centymetrów do odrośnięcia.

- Gdzie chcesz wysłać zgłoszenie? Tom, słyszałeś, co powiedziała Kate? Tom, czy nie prosiłam, żebyś wyniósł śmieci?

Tata chodzi w kółko, nie bardzo wiedząc, co ma najpierw zrobić.

- Będziesz się uczyć języków. Nie będę płaciła za to, żebyś przez trzy lata uczyła się mieszać sos. Tom, odłóż tę porządną marynarę. Pewnie cały czas wisi na oparciu krzesła, odkąd wróciliśmy z porannej mszy, co?

Biddy mówi, że cordon bleu to tylko wymyślny sos rozlany na niewielkim kawałku mięsa.

- Mogę dostać stypendium, mamó.

- Och, czyżby? Zobaczymy.
- A gdzie jest ten college? - pyta tata.
- W Cardiff.
- A co złego jest w college'u w Brayminster?
- Ona chce być z tą Moirą Murphy, Tom.

Na brodzie taty pojawiają się dołeczki. - Nadal jesteś bardzo młoda, Kate. Może wolałabyś mieszkać w domu.

- W Cardiff są najlepsze kursy - kłamię.

Żeby zmienić temat, pokazuję Biddy książkę z zamówieniami na torty. Patrz, osiem zamówień. Dobrze jak na niedzielę.

Co tam jest napisane ołówkiem z boku? Dlaczego to wykreśliłaś? Och, Beatrice McGee? Zmieniła zdanie, odpowiadam.

Będiesz wiedziała, co zrobić, kochana, powiedziała Beatrice McGee. Zrób mi śliczny tort.

Zrobię. Pokażę Biddy, na co mnie stać.

Środa, 7 sierpnia

Przysięgam, schudłam kolejny kilogram. Moje włosy nie wyglądają tak źle przy szczuplejszej buzi. Uda nie przypominają już baleronów, a życie byłoby absolutnie cudownie wspaniałe, gdybym...

...gdybym tylko miała lepsze oceny z matematyki i fizyki. Moje nadzieje na stypendium spełzły na niczym.

Co oznacza, że muszę przekonać Biddy, że warto za mnie płacić. Jak to zrobię?

Cóż, przyjąłam jeszcze dwa inne potajemne zamówienia. Sama poszłam do piekarni, kupiłam czekoladowe, cytrynowe, waniliowe biszkopty z delikatnym lukrem, porcję pomady cukierniczej, trochę marcepanu i kilka małych fiolek barwników.

Powiedziałam tacie, że potrzebuję nieco prywatności, więc czy mogłabym mieć zamek w drzwiach sypialni? Miałam

szczęście, zrobił to, choć Bidy zamartwiała się, że niszczy porządne drzwi.

W każdym razie przez trzy noce pracowałam nad ciastami w swoim pokoju, utrzymując wszystko w czystości dzięki białym prześcieradłom. Dla Beatrice McGee zamieniłam wierzchołek tortu w talerz z malutką obwódką w kratkę. Dodałam marcepanowe kiełbaski, frytki z lukru i pomarańczowe żelki w kształcie fasolek. Zrobiłam koronę ozdobioną klejnotami z gumy owocowej dla pani Rainbow, która powiedziała, że jej córka to prawdziwa mała księżniczka. Trzeci tort był w kształcie nagiej kobiety z lukru siedzącej w kąpielni z pianą. Musiałam iść do sklepu po wanienkę dla lalek. Przeznaczony był dla współlokatorki sekretarki, panny Jones, która pracowała w biurze ubezpieczeniowym naprzeciwko naszej piekarni.

Zaraz zjawi się Ingrid, żeby pomóc mi przewieźć torty do Dorton. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę minę Bidy.

Na zewnątrz rozlega się klakson. Ingrid zdała egzamin na prawo jazdy i teraz może pożyczać czarnego mini coopera matki. Trzy torty idealnie mieszczą się na tylnym siedzeniu.

- Katers, dostałam się na uniwersytet w Cardiff. Rozumiesz, co to znaczy?

- Ty, ja i Moira znowu razem? - Właśnie!

Jak idiotki przez całą drogę do Dorton śpiewamy Mrs. Robinson.

Kiedy przyjeżdżamy, Beatrice McGee siedzi na kamiennym schodku przed piekarnią i czeka. Macham do niej, a ona podchodzi do mnie, nie przejmując się za bardzo ruchem ulicznym.

- Nie mogłam się doczekać, kochaniutki - mówi, ledwie łapiąc oddech. - Umieram z ciekawości, żeby zobaczyć tort dla Billy'ego.

Unoszę wieko pudełka i jej twarz się rozjaśnia, staruszka klaszcze w dłonie. Grzebie w torebce, mówiąc, że zasługuje na nagrodę, kochaniutka, za ciężką pracę. Proszę, proszę, weź, mówi, wciskając mi banknot za kołnierzyk szkolnej koszuli.

- Bardzo dziękuję, pani McGee. - Szczerzę zęby. - Muszę dać pani rachunek. Przejdźmy na drugą stronę, dobrze?

Widzę, że Biddy trzyma ręce jak lornetkę przy oczach. Znika w sklepie, gdy tylko wchodzimy na chodnik.

- Dzień dobry, pani Cadogan.

- Dzień dobry, Ingrid.

Przyjaciółka stawia pozostałe dwa torty na ladzie.

- Pani jest mamą Kate? - pyta Beatrice McGee. - Widziała pani, co pani córka zrobiła dla mojego Billy'ego?

- Bardzo ładne.

Podnoszę głowę znad książki rachunkowej. Nie mogę się doczekać miny Biddy, ale jej oczy nic mi nie mówią.

Wręczam rachunek Beatrice McGee, a ona wychodzi z tortem. Cisza.

W końcu Biddy się odzywa.

- No nie wiem, co myśleć o tych kielbaskach. Wyglądają raczej jak dwie kupy w nocniku - mówi. Patrzy ze złością, ale na ustach ma uśmiech. - Kiedy ci pozwoliłam realizować zamówienia na torty? A co jeszcze tu mamy?

- Och, to wspaniałe torty - odzywa się Ingrid i czerwieni się z mojego powodu.

Bo oczywiście Ingrid jako pierwsze musiała otworzyć pudełko z nagą kobietą w kąpielni unoszącą nogę z elegancko pomalowanymi paznokciami. Ma także elegancko pomalowane sutki.

- Jezus, Maria i święty Józefie.

Zakładam, że ten tort też nie bardzo jej się podoba. Wszystko przewraca mi się w żołądku.

- Wstyd mi na myśl, że moja córka mogła zrobić coś takiego. - Z trzaskiem zamyka pokrywkę, bierze mój tort, wychodzi przez zasłonę z koralików. Słyszę stukot obcasów na chodniku na tyłach sklepu, a potem brzęk pokrywy od kosza na śmieci.

Bazgrzę słowo „księżniczka” na kawałku papieru, przyczepiam go do ostatniego tortu i ruszam do drzwi. - Zawieź mnie gdzieś, Ingrid, proszę. Gdziekolwiek.

Cieszę się, że przyjaciółka mnie nie obejmuje, bo niewiele brakuje, żebym się poryczała.

Część druga
Lata siedemdziesiąte

Rozdział 11

1970

Piątek, 10 kwietnia Corbydd Road 315, Broath, Cardiff,
południowa Walia

Słowa kłębią się w mojej głowie i odmawiają spłynięcia po ręce przez długopis na kartkę. Oto ja, próbuję napisać esej o id, ego i superego oraz wszystkich fallicznych rzeczach. Przerywam, żeby się zastanowić, dlaczego pozwoliłam, żeby Biddy namówiła mnie na studia nauczycielskie.

Oglądam obgryzione paznokcie i zniszczoną końcówkę długopisu.

Kate, zostań nauczycielką, powiedziała Biddy, a nie służącą w kuchni. Zapomnij o college'u gastronomicznym w Cardiff, a zamiast tego idź na uniwersytet. Szeptała słowo „uniwersytet” z takim namaszczeniem, jakby mówiła o Watykanie.

Tak, pani Bootsby - Smythe, Katie studiuje socjologię, fizjologię, psychologię rozwojową i edukację, i Bóg wie co jeszcze.

I tak, Moira uczyła się na farmacji, Ingrid na dziennikarstwie, a ja? Pierwszego i średniego stopnia nauczycielka zajęć praktycznych, Boże, zmiłuj się. A małe dzieci doprowadzają mnie do szału. Poza tym, że do wszystkiego, co robią, dodają kłaki ze swetrów, brud i smarki, to jeszcze ledwie się odwróćę, a już wkładają sobie nawzajem ciasto do uszu, wciskają do nosów rodzinę, obsypują twarze mąką i...

...i kompletnie nie mam do tego serca, a moje oceny są fatalne.

Kiedy próbuję zrozumieć, czy id pojawia się w fazie analnej czy genitalnej i kiedy życie wchodzi w fazę oralną, patrzę na snujący się po salonie naszego mieszkania dymek o zapachu paczuli.

- Moi! - wrzeszczę. - Jeśli nie pozbędziesz się tego kadzidełka, to przysięgam, zaraz zwymiotuję!

Moira przybiega, machając rękoma jak ptak, żeby pochwalić się nową bluzką w poetyckim stylu. Szerokie rękawy są dość obfite.

- Jak wyglądam?

- Cudownie - mówię.

- A włosy?

Nowa roztrzepana fryzurka naprawdę do niej pasuje. Ma na sobie fioletowe dzwony z szerokim paskiem opierającym się na biodrach.

- Wyglądasz wspaniale, Moi.

- Chodź z nami wieczorem, Katie. Będziemy się fantastycznie bawić.

- O cholera, nie mogę. Jestem już trzy dni spóźniona z esejem. Ingrid wchodzi, stukając deską do prasowania.

- Och, chrzanić esej. Slade grają w klubie studentów. Nie możesz tego przegapić.

- Slade?

- Aha, no wiesz, zespół z Birmingham z Noddym Holderem. Moira siada przed fotelem i opiera brodę na moich kolanach.

- Będą tam tłumy studentów z medycyny. Wie, że mam słabość do stażystów.

Żelazko syczy. - Kurczę, znowu pluje! - mówi Ingrid. - No, Katie, daj, uprasuję ci dzinsy.

Ingrid ma bzika na punkcie porządku. To jedyna znana mi osoba, która prasuje dzinsy.

Zamykam z trzaskiem segregator.

Poddaję się - nie potrafię określić podobieństwa między tubką pasty do zębów a penisem. Co do cholery ma to wspólnego z rozwojem dzieci? Mam cały weekend na skończenie eseju.

W kuchni zawijam chleb wokół kawałka sera i ruszam do łazienki, żeby pogrzebać w mojej kolekcji farb do włosów. Dzisiaj włożę sprane dżinsy, te, które rozciąłam, żeby wszyć wstawki z kwiatami. Dzwony są naprawdę szerokie.

- Moi - krzyczę. - Podetniesz mi włosy po umyciu? Mam mnóstwo rozdwojonych końcówek.

Teraz mam wspaniałą fryzurę na pazia, która z tyłu opada aż do połowy pleców. Przewalam szafkę w łazience w poszukiwaniu wszystkiego, czego potrzebuję, żeby wyglądać jak najlepiej: emulsja dla dzieci, golarka, cienie, szminki, sypki puder i perfumy Aqua Manda.

O siódmej wychodzimy, głośno stukając butami na koturnach, zanurzamy się w mokry kwietniowy wieczór i ślizgamy po tęczyowych kałużach oleju.

Ach, to jest Cardiff! Z zapachem prażonego chmielu, spalin, wodorostów i indyjskiego curry - Kocham to miejsce.

Kiedy tylko mogę, wsiałam do pociągu i odwiedzam Mamgu i Griffa w Llandafan. Wracam do Dorton, kiedy Bidy mówi, że nie widzieli mojej twarzy od czterech tygodni, Kate, od czterech tygodni. Gdy telefon w budce umiera, błagając o więcej monet, słyszę, jak ojciec mówi z oddali: czekaj, nie kończ jeszcze, i że tęskni za swoją małą dziewczynką.

- Chodź - mówi Ingrid, potrząsając parasolką. - Jesteś z nami? Wróciłaś już z krainy czarów?

Piętrus zatrzymuje się z piskiem hamulców. Wrzucamy monety w szczelinę skrzynki z napisem „Proszę wrzucić dokładną należność” i gnieździemy się razem na jednym siedzeniu, bo mamy sobie tyle do powiedzenia, tylu rzeczy nie możemy się doczekać, tyle mamy tematów, z których możemy się razem pośmiać.

To właśnie nazywam wolnością.

Rodzice są poza zasięgiem wzorku.

Szkoda tylko, że nie poza zasięgiem myśli.

Kiedy wchodzimy do klubu studentów, wita nas łomot perkusji. Nasze dłonie zostały podstemplowane słowem „Olać”, więc idziemy do łazienki.

Studenci skupiają się w grupkach po kątach, w postrzępionych dzinsach i kamizelkach bez rękawów. Szczupli i brodaci, ze zmierzwionymi włosami opadającymi na plecy. Zbiorowisko Jezusów.

- Napijmy się czegoś - mówi Moira.

- Ciekawe, która pierwsza urwie się dzisiaj z facetem. - Ingrid już przygląda się towarowi.

Nie widzę za wielu studentów z kierunków nauczycielskich.

Miałam już paru takich. Ale nie zostali na długo, bo widzicie, nie wpuszczam ich do majtek. Czego do cholery chcesz, obrączki ślubnej?

- Co chcesz, Kate?

- Kate, co chcesz?!

- O rety, przepraszam, odpłynęłam.

Zamawiamy cydr, bo jest tani i podają go w wysokich szklankach.

A ja chcę bratniej duszy. Wiecznej miłości.

- Cześć, jak masz na imię? Chcę namiętności.

- EJ, CZEŚĆ! Jak masz na imię?

- Kate! - Moira macha dłonią przed moją twarzą i szepcze: - Po twojej lewej stronie stoi obłądny facet i nie może się doczekać, żeby poznać twoje imię.

Patrzę w jego zaspane oczy. Takie blade. Ma krótki, wspaniały nos, puszyste blond włosy z przedziałkiem pośrodku. Spora broda, bordowa koszula, nowe dzinsy.

- Jestem Kate.

- Jack. - Bierze mnie za rękę i całuje w dłoń.

Cofam palce, zaciskając je w pięść, potem zakrywam usta i kaszlę, mając nadzieję, że wypadło to naturalnie i go nie uraziłam.

- Więc chodźmy - mówię do Ingrid i Moiry. - Przegapimy Slade. Słyszę, jak podążają za mną, pytając: nie podobał jej się? Dlaczego? Dla mnie był w porządku.

- Chodźcie. Po prostu nie był w moim typie i tyle!

Kleпки w podłodze podskakują, gdy się zjawiamy. Slade ubrani w cylindry i buty na obcasach grają z całą werwą, prawie połykając mikrofony i wypełniając salę pulsującym rytmem. Dopijamy napoje, a potem rzucamy torebki na podłogę i zaczynamy wirować z tłumem. Tańczymy obok siebie, nigdy razem, kołysząc się w miejscu, kręcąc mocno biodrami, zdobywając nową przestrzeń, wypełniając ją, stając się częścią rozkołysanego tłumy.

W stroboskopowym świetle widzę migoczący obraz Ingrid zapalającej papierosa jakby w zwolnionym tempie, widzę włosy Moiry unoszące się i opadające, jej szybujące korale. Przesuwam ręką w górę i dół, patrzę na moje palce, które nagle rozdwarzają się i przeplatają z innymi...

Palcami Jacka.

Jack puszcza moją dłoń i drobi kroczyki w kółko. To się nazywa indyk, mówi, a ja myślę sobie, co za kretyn, a potem śmieję się, bo to najśmieszniejsza rzecz, jaką od wieków widziałam. Im więcej się śmieję, tym bardziej on szaleje. Tańczy tango z wyimaginowaną partnerką i kończy piruetem.

Slade śpiewają Cum On, Feel the Noize.

Rozdział 12

Sobota, 11 lipca Penbarth Beach

- Jak długo?

- Dokładnie trzy miesiące i jeden dzień. - Jack obraca się na brzuch. Czuję zapach brzoskwiń i gruszek na jego brodzie, gdy mnie całuje.

- Więc chodzimy na poważnie? - pytam. Uśmiecha się i w odpowiedzi znowu mnie całuje.

Popiół i węgiel leżą w kręgu z kamieni, gdzie paliliśmy ognisko. Piekliśmy pianki nadziane na wyrzucone przez morze patyki, pogryzaliśmy owoce, skubaliśmy skórę francuskiego pieczywa.

Morze robi wdech i wydech, w miarę jak odpływ zabiera je ze sobą, a ja pozwalam głowie zapaść się w miękką poduszkę piasku. Bawię się ostrą jak brzytwa trawą, przesuwając ją między palcami. Zamykam oczy i czuję, jak słońce przypala mi nagą skórę.

- Kiedy mi pozwolisz? - Jack przesuwa palec po moim nosie, ustach, brodzie, wzdłuż szyi, niżej, niżej, między piersiami. Podnosi się, żeby spacerować dwoma palcami po moich brzuchu. Jego dłoń przywiera do mojego ciała i przesuwa się dalej, dalej.

Mrowienie zamienia się w gorącą falę przyjemności i paniki. Skaczę na równe nogi, strzepuję z ciała piasek. Moje ruchy są chaotyczne.

- Kate? - Jack ciągnie mnie znowu na piasek i ujmuje moją twarz w dłonie. - Co się stało?

- Chcę, żeby to było coś specjalnego.

- Co może być bardziej specjalnego od tego?

- Potrzebuję czasu, Jack, mam dziewiętnaście lat, a ty dwadzieścia siedem, ja nigdy...

- Kocham cię.

- Ja ciebie też.

- Kiedy?

Kiedyś muszę to zrobić, prawda?

Biorę głęboki oddech i mówię: - W następny weekend. Kiedy Moira i Ingrid pojedą do rodziców.

Staram się wyrzucić z myśli twarz Bidy.

Wtorek, 14 lipca

Po co w ogóle się wysilam i robię notatki? Jeśli o mnie chodzi, to zwykły bełkot. Zrozumienie teorii Piageta na pewno bardzo mi się przyda, jeśli tylko przetrwam ten kurs i skończę na uczeniu dzieciaków, jak gotować jajka. Siedzę przy oknie w sali wykładowej, gapię się w niebo i zastanawiam, ile rodzajów błękitu jest w pudełku z farbami. Błękit paryski, indygo, kobalt...

- Stadium operacji konkretnych to trzecie stadium w teorii Piageta. Zwykle następuje między siódmym a dwunastym rokiem życia. W tym stadium dziecko zaczyna rozumować logicznie, dość spójnie organizuje swoje myśli. Jednakże... panno Cadogan? Jest pani z nami? Myśli pani, że mogłaby pani zorganizować swoje myśli i pozwolić mi wierzyć, że nie marnuję czasu? Dziękuję bardzo. - Kaszle. - Stadium to charakteryzuje się również decentracją. Na tym etapie dziecko rozwija także różne rodzaje pojęcia stałości i zaczyna rozumieć odwracalność operacji.

No proszę.

Największe znaczenie ma teraz dla mnie fakt, że niedługo stracę dziewictwo. W następny weekend, ściśle mówiąc.

Zapiekanka z warzyw i jęczmienia. To właśnie zrobię, bo Jack jest wegetarianinem. Świece. Przygaszę światła, włączę Jamesa Taylora. Włożę pasową minisukienkę, którą uszyłam w zeszłym roku. Białe rajstopy? Czarne lakierki. Miękkie poduszki na podłodze, żeby przypominały mi ten rozmarzony dzień na piaszczystych wydmach.

Muszę kupić więcej Aqua Manda.

- Stadium operacji konkretnych charakteryzuje się także umiejętnością postrzegania przez dziecko równocześnie dwóch wymiarów przedmiotu, porządkowania przedmiotów w klasy i być może panna Cadogan mogłaby skończyć mój wywód?

Boże, więc właściwie jaka jest różnica między szkołą a college'em? Nauczyciele, profesorowie, do cholery, wszyscy tacy sami. Wszyscy patrzą na mnie, a ja czuję się jak skończona idiotka. Gryzę ołówek, a mój wzrok śmiga po podręczniku, próbując znaleźć miejsce, w którym profesor Owen się zatrzymał. Och, pomóż mi, Najświętsza Panienko, Matko Boża, chociaż właściwie dlaczego miałyby to robić? Niedługo przestanę należeć do jej klubu.

Mam. Odchrząkuję. - ...porządkowania przedmiotów w klasy i określania relacji między przedmiotami w szeregu.

Uff.

Rozbrzmiewa dzwonek i nadchodzi czas lunchu. Krzesła szurają, a ciszę przerywa jednostajny pomruk walijskich akcentów z dolin i z północy, dziwaczного nosowego brzmienia z samego Cardiff i kilku akcentów angielskich. Z Yorkshire, Newcastle, Bristolu.

Dai Morgan dogania mnie. Boże, on wygląda całkiem jak Cat Stevens.

- Idziesz dziś do klubu studentów?

- Nie mogę. Profesor Owen kazał mi poprawić esej z Freuda. Chce go dostać do jutra.

- Po prostu napisz, że wszystko w społeczeństwie jest tak pomyślane, żeby wyglądało jak kutas.

Jest ekscytujący, nawet trochę niebezpieczny. Ale Kocham Jacka.

- Pomogę ci z esejem - mówi Dai.

- Może innym razem?

Naprawdę kocham Jacka. Bezpieczny, wygodny, zabawny Jack. Można na nim polegać, ma dwadzieścia siedem lat, jest dojrzałym studentem, który za dwa lata będzie świeżo upieczonym prawdziwym lekarzem.

Dai wzrusza ramionami, a ja zostaję i patrzę na jego długie nogi, gdy wchodzi do uniwersyteckiej stołówki.

E tam. Z nim to byłby tylko numerek na jedną noc. A ja potrzebuję czegoś więcej.

Sobota, 18 lipca

O dziewiątej Jack staje w drzwiach w szortach i T - shircie w paski. A ja odstawiłam się w spódnicę i bluzkę. Myślałam, że to specjalny dzień. Kryję rozczarowanie i gadam coś o śniadaniu, czy już jadł? Ach, więc chce kawę albo tosta? Jajka, mamy jajka. Mama Ingrid przysyła z farmy.

- Cśś. - Muska mnie w usta i mówi, żebym się nie denerwowała.

Zdenerwowana?

- Idę tylko po receptę, to wszystko - odpowiadam. Na pigułkę.

- Najpierw zostaniesz zbadana, ale to nie będzie bolało.

To prawie lekarz, głupia, myślę sobie. Jasne, że wie takie rzeczy. Mruga. - Szkoda, że sam nie mogę cię zbadać. Chodźmy.

- Cześć, Ingrid, cześć, Moira, wrócę za jakąś godzinę.

- Miłej zabawy - krzyczą.

Nie powiedziałam im, dokąd idziemy.

Jack bierze mnie pod rękę i prowadzi do samochodu. - Wskakuj - mówi.

Ktoś napisał „umyj mnie” na przedniej szybie.

Wycieraczki poruszają się w lewo i w prawo, robiąc czyste półkola, przez które możemy wyglądać. Ruszamy, skrzynia biegów wyje, w miarę jak się rozpędzamy, żeby skrócić w North Road.

Po pięciu milach w milczeniu dojeżdżamy do szpitala. Jack nie zatrzymuje się, żeby czytać tabliczki, mówi, że wie, dokąd jechać. A ja myślę, że skoro mam być badana, to dobrze, że włożyłam spódnice, bo nie będę musiała się za bardzo rozbierać. Skręcamy na podjazd, który prowadzi do płaskiego budynku. Jack kiwa w stronę podwójnych drzwi, dając do zrozumienia, żebym wysiadła. Ale idzie ze mną, prawda, pytam, a on mówi, że nie, nic mi nie będzie, ma coś do załatwienia, wróci dokładnie za godzinę i będzie czekał w tym samym miejscu.

Łapie mnie za nos i mówi, że przywiezie niespodziankę, malutką, bo w przyszły weekend da mi coś o wiele ważniejszego.

Chciałam, żebyśmy poszli razem, ale mimo to uśmiecham się i kiwam głową.

- Nazwisko?
- Kate Cadogan.
- Inicjał drugiego imienia?
- M.
- Data urodzenia?
- Siódmy października. 1951.
- Jak wygląda pani cykl miesięczny?
- Dobrze, dziękuję.

Pielęgniarka podnosi wzrok i stuka długopisem o dolne zęby. Uśmiecha się cynicznie. - Regularny, nieregularny, kiedy miałaś miesiączkę po raz ostatni?

- Regularny... Dopiero co.
- Przydałaby się data.
- Czternastego lipca.
- Proszę usiąść. Zostanie pani wezwana.

Moja karta ląduje na stosie innych w przegródce. - Następna! Poznaję wiele twarzy z college'u. Witamy się półuśmiechem i odwracamy oczy.

Nie znoszę tego.

Minęło dwadzieścia minut. Dostałabym piątkę z plusem, gdyby sprawdzono moją wiedzę z różnych dostępnych metod antykoncepcji. I ich skuteczności. Przeczytałam tę cholerną ulotkę już pięć razy i zaczynam szósty.

- Abstynencja
- Kapturek

- Prezerwatywy
- Krażek
- Wkładka
- Metody naturalne
- Pigułka
 - Kate Cadogan?
- Sterylizacja Wreszcie.

Pielęgniarka z wielkimi białymi nogami mówi: - Proszę za mną.

Mam się rozebrać za zasłoną, wsunąć fartuch przez głowę i upewnić się, że wiązania są z przodu.

Robię trzy idealne kokardki, ale gdy tylko wskakuję na stół do badania, pielęgniarka wszystkie rozwiązuje. - Słyszę, że doktor Duffy już idzie - mówi, przechylając głowę.

Bogu dzięki przez drzwi wpada kobieta i oznajmia: - Najpierw zbadamy górę, kochanie.

Najwyraźniej na dół przyjdzie czas później. Przypomina mi pannę Kendrick, dyrektorkę mojej starej szkoły. Też wygląda jak buldog i ma takie same jasne włoski na rękach.

- Masz chłopaka? - pyta doktor Duffy, gdy ugniata mi piersi. - Tak.

- Miałaś stosunek seksualny z tym młodym człowiekiem? Kate, odbyłaś stosunek seksualny z tym młodym człowiekiem? - zapytała panna Everett.

- My tylko, my, ja, ale, potem... - Z moich wydobywa się tylko bełkot.

- Czy ten młody człowiek stosował prezerwatywę? - Doktor Duffy zakłada rękawiczki. Jej wzrok bada sufit, podczas gdy jej palce badają mnie.

Panna Everett strzela palcami. Czy ten młody człowiek używał prezerwatywy?

- Siostro, mały wziernik poproszę.

Najświętsza Matko Boska, szepnęła Bidy. Proszę jej wybaczyć, ojcie Flannagan.

Pani doktor wyjmuje palce. Co za ulga. Mamo, na nic mi nie pozwoliłam.

- Nie było stosunku - mamrocze. Tak to powinnam powiedzieć?

- Chciałabyś porozmawiać z naszym doradcą, kochanie? Wydajesz się niepewna, niezdecydowana. Jesteś gotowa do współżycia seksualnego?

Nie potrafię odpowiedzieć. Próbuję, ale wydobywa się ze mnie tylko pisk, więc kręcę głową, a potem kiwam. Nie i tak.

- Ale nie chcemy zajść w ciążę, tak? Nie w wieku dziewiętnastu lat. Proszę rozsunąć nogi. Grzeczna dziewczynka.

Pani doktor trzyma teraz w ręku coś, co wygląda jak zaokrąglone szczypce.

- Poczujesz lekki dyskomfort i...

... i boli jak diabli, kiedy je rozsuwa.

- Już zrobione. - Metal wysuwa się. - Wyglądasz na ładną i zdrową. Myśleliśmy o pigułce?

Właśnie myślałam o tym, żeby mnie stąd wypuścili, ale tak, mówię, myślałam o pigułce i jestem pewna, że nikt w rodzinie nie chorował na zakrzepicę.

Przed kliniką czekam na Jacka, który się spóźnia. Ściskam papierową torbę z ulotkami, receptą, paczką prezerwatyw, których musi używać młodzieniec, kochanie, przez miesiąc, dopóki nie będzie można polegać na samej pigułce.

W końcu Jack się pojawia i macha czymś do mnie przez okno samochodu.

Wkłada mi do ręki paczkę miętówek after eight, tych cieniutkich czekoladowych wafelków z miętowym kremem. Zastanawiam się, czy naprawdę jestem gotowa, aby zostać małą dziewczynką kolejnego mężczyzny...

Rozdział 13

Sobota, 25 lipca

Cholera, Ingrid zabrała ze sobą płytę Jamesa Taylora. Rozrzucam płyty na dywanie w salonie i klęczę nad nimi w poszukiwaniu czegoś innego.

Ze strachu mam ściśnięty żołądek; tak samo jak przed egzaminami. Przeżycia w klinice w ostatnią sobotę zbiły mnie z tropu. Siedziałyśmy tam wszystkie, czekając, żeby nas przygotowano. To lata siedemdziesiąte, mała. Wolna miłość, równość dla kobiet, nie tylko mężczyźni mogą sobie teraz pozwolić.

Fuj.

Ale ja chcę wiecznej miłości.

Wiem, którą płytę puszczę. Baby I'm - a Want You.

Głos lidera Bread jest kojący.

Zapiekanek z warzyw i jęczmienia stoi w piekarniku, a tanie wino z supermarketu chłodzi się w misce z wodą. Szkoda, że nie mamy lodówki. Kupiłam ogromny bukiet kwiatów. Kosztowały mnie czterdzieści pięć pensów, bo były przeterminowane. Przycięłam wszystkie gnijące łodyżki i włożyłam je do emaliowanego dzbanka. Mam nadzieję, że woda nie wycieknie z niego na stół, który wypolerowałam woskiem w sprayu. Blat tak lśni, że widać w nim odbicie żółtych i pomarańczowych chryzantem.

Powinnam napuścić wody na kąpiel.

Pamiętaj moje słowa. Jeśli chłopak chce to zrobić przed ślubem, to znaczy, że cię nie szanuje. Nigdy więcej go nie zobaczysz, jak już dostanie swoje. Mam rację, Tom?

Tak, masz rację, Bidy.

Wlewam olejek sandałowy do wanny i w twarz bucha mi pachnąca para.

Po kąpeli owijam się w ręcznik i idę do kuchni wypić końcówkę czerwonego wina, które Ingrid zostawiła na blacie.

Jęczmień gotowy, warzywa delikatne i cholera, wszystko już jest zrobione. A Jack zjawi się dopiero za godzinę. Mieszam ocet i olej w słoiku po dzemie, żeby zrobić sos do sałatki. Tylko na tyle możemy sobie pozwolić w tej klitce.

Skręt.

Trzymamy towar schowany pod szafą Ingrid, w puszcze po tabletkach na kaszel.

W kuchni ugniatam wysuszone ziele na talerzu, palcem wskazującym i kciukiem wybieram nasionka. Palcem wskazującym i kciukiem zwijam papier. Palcem wskazującym i kciukiem wsuwam skręta między usta i zaciągam się głęboko. Wstrzymuję oddech, póki smużka dymu wypływa mi nosem prosto w oczy.

Faza oralna zaczyna się po urodzeniu i trwa osiem miesięcy; charakteryzuje się zainteresowaniem niemowlęcia ustami i gratyfikacją, jaką czerpie z oralnej stymulacji, przez ssanie, gryzienie, przełykanie.

Jedzenie.

Wkładam do ust łyżkę płatków śniadaniowych i sprawdzam, która godzina.

Nadal mam ściśnięty żołądek. Robię kolejnego skręta.

Przenoszę się do salonu, żeby zmienić płytę i usłyszeć, jak Free śpiewa All Right Now.

Poprawiam węzeł na ręczniku i tańczę do miarowego rytmu gitary i perkusji, a moje ramiona sięgają wyżej i wyżej. Bluszcz na tapecie skręca się i obraca. Tak zawile, tak delikatnie. Te jagody są tak realne, że mogłabym je zrywać jedna po drugiej.

U dziewczynki rozwija się kompleks, w ramach którego pragnie ojca i rywalizuje z matką o jego uczucia. Jednakże w końcu przechodzi przez kolejne kompleksy i zaczyna się identyfikować z matką. To sygnalizuje zakończenie fazy

fallicznej. Faza genitalna następuje po latentnej, która przypomina fazę analną, a Freud uważał, że...

Rozbrzmiewa dzwonek do drzwi. Biorę niedopałek i zostawiam go w popielniczce Ingrid. Zerkam przez firanki i widzę Jacka stojącego na frontowym podwórzu. Przyszedł za wcześniej, a ja nie zdążyłam się ubrać. Moja pąsowa sukienka nadal czeka na łóżku.

Parzę się zapałką, zapalając świecę, a dzwonek znowu rozbrzmiewa. Nieważne, mogę się ubrać, kiedy Jack będzie sącył wino, rozluźniał się i słuchał muzyki.

I zjemy przy stole, który tak lśni, że widać w nim odbicie żółtych i pomarańczowych chryzantem.

Nasz wieczór będzie idealny.

Trzeba pokonać trzynaście schodów, nim dojdzie się do korytarza. Właśnie to policzyłam. Boże, jakie to zabawne. Trzynaście!

- Katie, jakaś ty śliczna. - Jack chowa twarz w moich włosach, a ja chichoczę, bo czy on wie, że faza genitalna jest według Freuda najdłuższą w rozwoju dziecka?

- Co robiłaś, niegrzeczna dziewczynko? - Kręci głową, jakby mówił, nic nie mów, i tak wiem. Chce, żebym przestała, pohamowała ten nawyk, bo zgadza się, palenie trawki jest równie złe jak palenie papierosów.

Nie, nie chce, żebym recytowała akt żalu po łacinie, chce wejść na górę.

Prowadzi mnie do salonu. Ściąga mój ręcznik i siada po turecku na podłodze. Jego blade oczy upajają się moim widokiem. Potem przyciąga mnie do siebie i turlamy się, i turlamy po dywanie w różyczki. Łąduje na mnie ciągle ubrany w marynarkę, ciągle w spodniach.

- Prześlicznie pachniesz - mruczy. Muzyka milknie. - Katie, Katie. - Jego język skrada się za moim uchem, po szyi. Jego dłonie krążą, jego palce przesuwają się.

Jack zabiera rękę i sięga do kieszeni sztruksów. Wyjmuje małą paczuszkę, tę, którą dostałam w klinice. A ja gapię się na tapetę i słyszę szelest folii. Czuję pchnięcie i tępy ostry ból, ale już wkrótce jest po wszystkim i odwracam głowę, kiedy Jack porusza się we mnie. Woda cieknie z dzbana na stół i liczę krople kapiące na dywan w różyczki.

Mieliśmy zjeść zapiekankę, zanim to... się stanie. Miałam włożyć pąsową sukienkę i światło świec miało tańczyć na naszych twarzach, a ja przy cichej muzyce miałam szepnąć „Jack, kocham cię”.

- Boże! Katie!

I z jękiem Jack przetacza się na plecy.

A woda nadal kapie, a ja szlocham razem z nią, a potem trzęsę się w niemym śmiechu.

Jack też się śmieje, mówi, że nigdy więcej nie pozwoli mi palić trawki, nie teraz, kiedy jestem jego i ma o mnie dbać. Z kieszeni wyjmuje maleńkie aksamitne pudełeczko. Otwiera je i w środku widzę blask brylantów wokół rubinu. Rubin ma taki sam kolor jak kropla krwi na białym ręczniku, na którym leżę.

Jack łapie mnie za nos. - Oto niespodzianka, którą obiecałem - mówi.

- Jesteśmy zaręczeni?

- Jesteśmy zaręczeni. A teraz...

Teraz jestem małą dziewczynką kolejnego mężczyzny.

Rozdział 14

1972

Sobota, 7 października Pokój 2B, Albion Road 350, Cynboyd, Cardiff

Co powinnyśmy kupić Katie na jej dwudzieste pierwsze urodziny? Seksowną bieliznę, rzecz jasna, powiedziały Moira i Ingrid wszystkim zaproszonym na imprezę. Powinnam je zabić.

Boże. Czasem naprawdę tęsknię za mieszkaniem z przyjaciółkami. Tęsknię za tą zabawą.

Prawie pękałyśmy od histerycznego śmiechu, kiedy szampan się spienił i popłynął nam po rękach. Byłyśmy już nieźle wstawione, zanim pierwsi goście zaczęli się zjawiać. Atmosfera rozkręcała się, w miarę jak pokój wypełniał się coraz większą liczbą ludzi; wszyscy nieśli zapiekana kielbasę, kanapki albo tartę.

A potem zaczęły się tańce, muzyka ryknęła i zabawa się rozkręciła.

Prawdziwa impreza

Wzdycham ciężko.

Cóż, lepiej przejrzę te prezenty. Oddzielając piękną od krzykliwej, ułożyłam bieliznę w dwóch szufladach. Mam nadzieję, że nie ma żadnych moli w tej starej kiepskiej komodzie. Jack upierał się, żebyśmy urządzili wspólny pokój „tanimi antykami”. Nie potrafię sobie wyobrazić, skąd pochodzi połowa tych rzeczy. Najpewniej z pobocza drogi.

On jest szalony.

Zerkam na stół i uśmiecham się, bo czeka tam na mnie jeszcze ostatnia paczka.

W środku w bibułce leży długi szal z frędzlami, z jasnozielonym wzorkiem po jednej stronie i liliowymi kropkami po drugiej. Kaszmir i jedwab! Tak delikatne, że szal prześlizguje się między moimi palcami. Boże, strasznie mi się

podoba. Moira i Ingrid są wspaniałe, musiał kosztować majątek. I jest coś jeszcze. Bawełniane majtki z wyszytymi pastelowymi supełkami.

Co to jest u licha?

Otwieram kartkę i widzę pismo Moiry.

Chciałyśmy wyhaftować dla Kate figi naprawdę seksowne. Uznałyśmy, że słowa: NIE DOTYKAĆ Będą tu najbardziej stosowne.

Wybrałyśmy kolor różowy i błękitny I wiedziałyśmy, że to pomysł ambitny

Zrobić śliczne majteczki I BRAJLEM poprowadzić niteczki.

Prześmieszne.

Kurczę, jestem spóźniona! Zerkam na zegarek, łapię „Cosmopolitan”. Stukam kluczami w akwarium, żeby pożegnać się z Abbottem i Costello. Rybki wybałuszają oczy i nerwowo przełykają, cholera, Jack cały czas mówi, żebym tak nie stukała. Twierdzi, że nasze złote rybki któregoś dnia umrą ze strachu. Zatrząskuję drzwi do naszego pokoju, naszego domu, dopóki Jack nie zostanie wykwalifikowanym lekarzem, a ja cholernym wykwalifikowanym nauczycielem.

Słońce brązowi tych kilka liści wiszących nadal na drzewach przy Albion Road, a ja zgniatam te, które leżą na ścieżce pod moimi butami. Bardzo przyjemna rzecz. Chrup, trzask, trach. Kończę dziś dwadzieścia jeden lat! Cieszę się na myśl o spędzeniu urodzinowego weekendu z dziadkami w Llandafan.

Jack musiał wyjechać na kurs do Londynu. Tak żałował, że przegapi imprezę z okazji moich dwudziestych pierwszych urodzin, że będzie poza domem w ten wyjątkowy dzień. Jestem jego skarbem. Wynagrodzi mi to, powiedział, wręczając mi wielki gruby tom poświęcony historii Cardiff.

Książka, powiedziałam. Prezent dla ciebie, uśmiechnął się, posłał mi całusa i stwierdził, że powinien się zbierać. Zobaczymy się w poniedziałek.

Daleki odgłos gwizdka konduktora przypomina mi, że powinnam pędzić. Mam do pokonania dwoje schodów ruchomych i tylko dziesięć minut, żeby dotrzeć na peron 9A.

Ale udaje mi się.

Uwielbiam odległe dudnienie pociągu, jego ciepły oddech na nogach, gdy sunie wzdłuż peronu. Uwielbiam ten jęk, gdy się zatrzymuje. Uwielbiam trzask drzwi, stukot stóp na betonie. Uwielbiam, jak pociąg sunie ciemnymi torami, aby znowu wydostać się na światło. Mrugasz, tak nagle to się dzieje, dopóki nie przyzwyczaisz oczu do październikowego nieba. Siedzisz na zakurzonej obiciu fotela i przyglądasz się pasażerom siedzącym wokół. Biznesmeni, matki i dzieci, sprzedawcy, nastolatki, emeryci.

Widzisz pozbawione wyrazu twarze tych, którzy spełniając swój obowiązek, wyjeżdżają z miasta na weekend z rodzicami.

Co będę musiała zrobić w przyszły weekend.

Otwieram „Cosmopolitan”. Jest artykuł o tym, jak pasują do siebie znaki zodiaku. Zobaczymy jak Jack, Baran, pasuje do mnie, Wagi.

To połączenie nie należy do wspaniałych, ponieważ w jednym domu nie ma miejsca dla tak różnych temperamentów.

Muszę przyznać, że wspólne mieszkanie w jednym pokoju z podwójnym łóżkiem, zardzewiałym piecykiem, szafą, dwiema komodami, stołem i czterema krzesłami nie było łatwe. Udawanie, że nie mieszkamy razem, też nie należało do rzeczy łatwych. Tata i Biddy umarliby, gdyby się dowiedzieli. Bogu dzięki, nigdy nie zdecydowali się na odwiedziny. Nie mogę zostawić piekarni, mówi Biddy, nie tym amadans, tym półgłówkom, które twierdzą, że są sprzedawczyniami. Bóg nie

dał im nawet dwóch komórek w mózgu, żeby miały się czym podzielić.

Baran, który uwielbia przewodzić, może zastraszyć Wagę, a to prowadzi do pewnych problemów. Dlatego też, chociaż związek jest możliwy, raczej nie potrwa zbyt długo.

Rety, kto by wierzył w te bzdury? Czytam dalej.

Madame Zena Zodiak mówi, że Waga to najbardziej seksualny znak zodiaku.

Seks. Pierwszy raz był okropny, ale jak już się przyzwyczaiłam, polubiłam związaną z nim bliskość. Rzucam na bok czasopismo.

Nie, wszystko jest dobrze.

Jeszcze dwa przystanki i będę w Llandafan.

A skoro mowa o bliskości, kiedy odwiedzamy z Jackiem Dorton, mówię mu, żeby nie całował mnie zbyt często, bo wtedy na czole taty pojawiają się zmarszczki i dołeczki na brodzie. Jack mówi, że mój ojciec jest zwyczajnie dziwny, ale ja zaprzeczam. Tata przyzwyczai się, tylko trzeba mu dać trochę czasu.

Pozostał jeszcze jeden tunel. Stukanie, pukanie i znowu pociąg wpada w ostre światło.

Jeśli idzie o Biddy, to cóż, świetnie się bawi. Nie jestem pewna, na ile naprawdę lubi Jacka, trudno powiedzieć, ale mówi wszystkim klientom w piekarni, że córka zaręczyła się z doktorem. Tak, pani Biddle, pani Houghton - Davis, z doktorem!

Chociaż jest dopiero studentem medycyny.

Boże! Siedząca obok mnie pasażerka doprowadza mnie do szału, rozgryzając w zębach miętówki, jedną po drugiej. Proszę, kochana, mówi, poczęstuj się. Cóż, biorę, nie chcę jej urazić. Czy zwariowałam? Weź dwie, nalega. Potem wyglądając przez okno, mówi: szkoda, że zima nas dogania, prawda? Tak, odpowiadam, rzeczywiście szkoda.

Hm.

Biddy mówi, że szkoda, że Jack tak wygląda. - Nie uważasz, że mógłby się przyzwycić obciąć? Jego włosy wyglądają jak szczotka i sterczą na głowie.

- Nic na to nie poradzi, mamó. Jego włosy są w porządku. Poza tym jest przystojny. Nie sądzisz, że nowa bródka do niego pasuje?

- Kawał czerwonego mięsa dobrze by mu zrobił - mówi Biddy.

- Jest wegetarianinem, zapomniałaś?

- Co dobrego dla mężczyzny może być w garści nasion i paru fasolkach? Jako lekarz powinien lepiej się orientować. Jest anemiczny, prawie śpi z braku żelaza. Widzisz tę drewnianą łyżkę? - Biddy przestaje mieszać sos, żeby ją unieść i mi pokazać. - Jest od niej chudszy.

- Jack uważa na wagę.

- Jasne, i co mu z tego zostało? Kobięca talia, i tyle. - Biddy łapie budzik do jajek jako kolejną pomoc wizualną.

Jeszcze jeden przystanek do Llandafan.

Pomoce wizualne. Są teraz ostatnim krzykiem mody w szkole. Pokaż dzieciom przedmiot, film, trójwymiarowy wykres. Zapomnij o liczbach. Zamiast tego daj im bryły, kostki i patyczki. Myśl obrazami. W? Co to jest W? To Występna Wodna Wiedźma!

Wiedźma.

Możliwe. Ale chyba przyzwyczyłam się już do Biddy. Uśmiechy i szyderstwa, łagodność i kpiny, wiesz, że cię kocham Kate. Spontaniczne uściski po wybuchach złości. Ramiona tulące najpierw, a potem szarpiące za kare, nalegające, by odwzajemnić uścisk.

Lokomotywa gwizdze. Hamulce syczą i pociąg zatrzymuje się na stacji Llandafan.

Są, czekają na peronie.

Moi dziadkowie.
Mamgu i Griff.

Rozdział 107

Llandafan, południowa Walia

Oto Mamgu. Włosy w delikatnym liliowym odcieniu, obfita sylwetka, miękka i krągła w szarym płaszczu i sukience w fiołki. Wpadam w jej czuły uścisk. Otacza mnie znajomy zapach mydła Imperial Leather i dropsów. - Shwmae? - pyta.

- W porządku, Mamgu. A co u ciebie?

- Iawn. Wszystkiego najlepszego! A przy okazji, twoja matka wysłała kartkę do Llandafan. W każdym razie na kopercie widnieje jej pismo.

- Witaj, cariad.

Sztuczne zęby Griffa trzeszczą, gdy całuje mnie w policzek, a ja obejmuję jego kościste ciało. Odkąd pamiętam, był chudy jak patyk. Wciska mi w rękę torbę z szarego papieru, życzy wszystkiego najlepszego z okazji urodzin i mówi, że kupił mi goździk.

Kiedy jednak zaglądam do środka, wita mnie oleisty rybi zapach.

- Raczej śledzika, Griff. Śmieje się.

- Och, ty! - Uderzam go żartobliwie.

- Twp - mówi Mamgu, krzywiąc się. - Głupi jesteś, ot co, Griff. Myśli, że taki z niego dowcipniś. Kupiłam wędzonego śledzia na kolację. Pomyślałam, że będzie ci smakować.

Jej akcent unosi się i opada, gdy mówi Griffowi, żeby wziął moją walizkę. Dziadek wskazuje na czerwoną budkę telefoniczną przy kasie biletowej. - Mildreth, zadzwonisz do Bidy, że Kate dojechała cała i zdrowa?

Mamgu kręci głową, a gdy wychodzimy ze stacji, przechodzi na walijski: - Ces i bryd o dafod mawr. Dw i erioed wedi cael pryd o dafod fel 'na o'r blaen.

Oczywiście nie rozumiem nawet słowa. W sumie moja znajomość walijskiego sprowadza się do niecałych trzydziestu słów. Griff przysuwa się do mnie, gdy idziemy kręconą drogą

prowadzącą do ich małego szeregowego domu. - Mamgu dostała straszną burę od twojej mamy.

- Skończyłam z tą kobietą - mówi Mamgu, unosząc rękę. - Powiedziałam jej tylko, że szkoda, że ona i Tom nie przyłączą się do nas w czasie dwudziestych pierwszych urodzin Kate.

Moi rodzice nie świętują urodzin. Wymieniamy się prezentami i kartkami, ale właściwie nie pamiętam żadnych przyjęć ani niczego takiego. Nie odkąd skończyłam pięć lat. Właściwie nigdy specjalnie się nad tym nie zastanawiałam.

- Bach, w końcu to wyjątkowa okazja, kończysz dwadzieścia jeden lat.

- Przyjazd do Llandafan to wyjątkowa okazja - mówię, ściskając dłoń Mamgu.

- Wiesz, co powiedziała twoja mama? Za kogo ty się uważasz, Mildreth, żeby nam mówić, co powinniśmy robić, a czego nie?

Idziemy gruntową drogą prowadzącą do szeregu domów stojących u podstawy skalistego zbocza. Mamgu i Griff mieszkają w czwartym bielonym domu po prawej stronie, w tym, który nazywa się Ty Wen.

Griff otwiera brązowe frontowe drzwi i pyta: - Tisho panad?

Tym razem wiem, co to znaczy. - Plis - mówię. - Poproszę.

Bo na nic nie mam teraz takiej ochoty jak na filiżankę mocnej herbaty.

- Nie, Griff, ja zaparzę - mówi Mamgu. - Ty powieś płaszcz Kate, a potem zanieś na górę jej walizkę.

- Jak wolisz - odpowiada, krzywiąc się i mrugając do mnie.

- Siądź przy ogniu, Kate. - Mamgu znika w spiżarni razem z torbą ze śledziami i wraca z puszką herbatników. -

Zrobiłam blachę walijskich ciasteczek. Jak sięgniesz teraz po trzy talerze, to będziemy mogli usiąść i zaplanować dzień.

Na kredensie leżą dwie koperty. Jedna duża, druga mała. - To kartki dla mnie? - pytam. - Ie.

Otwieram najpierw tę od rodziców. Układające się w pętlę słowa „Z najlepszymi życzeniami” wiszą na niebie ponad chatką krytą strzechą. Biddy kupiła całe pudełko takich kartek na jarmarku przy kościele Niepokalanego Poczęcia w ostatnie Boże Narodzenie. W środku wśród malw napisała: „Dużo miłości, tata i mama. Prezent w przyszły weekend”.

Następna kartka była cała w muszelkach. Wyglądały jak prawdziwe, aż musiałam dotknąć.

- Prześliczna - mówię.

- Griff wybrał - odpowiada Mamgu. - Ona nie chce muszelek, powiedziałam mu, ale on stwierdził: spodobają jej się, Mildreth.

Wie, że lubię wszystko, co wiąże się z plażą, morzem, piaskiem. Jak zwykle w środku są banknoty. Cały zwitek.

- To za dużo, Mamgu.

- Cicho. Podaj filiżanki i spodki.

Ustawiam porcelanę na obrusie, tym zrobionym z białych od mąki worków. Widzę, że od ostatniej mojej wizyty Mamgu wykończyła brzegi drobniutkimi krzyżykami.

- Teraz ten obrus wygląda naprawdę ładnie.

- Właśnie skończyłam następny. To spóźniony prezent zaręczynowy dla ciebie i tego chłopca.

Przytulam ją. Nie starcza mi ramion, żeby ją objąć w pasie. Griff schodzi z ostatniego schodka. - Więc Jack będzie lekarzem, he? Tam leży coś dla ciebie.

- Dziękuję za pieniądze - odpowiadam z uśmiechem. - Diolch yn fawr.

- Widzisz, Mildreth, jaka z niej prawdziwa walijska księżniczka. - Patrzy mi w oczy. - Jesteś szczęśliwa, bach?

Myślę, że jestem, więc odpowiadam twierdząco.

- Co powiedziała? - dopytuje się Mamgu, przekrzykując gwizdek czajnika.

- Powiedziała ydww, Mildreth.

Tak.

- Siadajcie oboje - mówi Mamgu. - A może po herbacie pójdziemy na plażę i poszukamy małży? Masz mocne buty, bach? Pożyczę ci swoje, na gumowej podeszwie. Te twoje wyglądają jak końskie kopyta.

- To koturny, tak to się nazywa - mówi Griff. - Nic nie wiesz, Mildreth? Mam lepszy pomysł. Chodźmy do zamku Hendron i wejdźmy po kręconych schodach na sam szczyt wieży.

- Co? Z twoją nogą? - śmieje się Mamgu. - Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć.

- Mildreth, mae'r te ma'n ofnadwy - stwierdza Griff, kręcąc nosem i sięgając po puszkę z herbatnikami.

Mamgu odsuwa ją, żeby nie mógł sięgnąć. - Mówisz mi, że moja herbata jest okropna i spodziewasz się, że dostaniesz herbatniki? - Wstaje i rusza do spiżarni.

Przegryzam się przez warstwę masła i patrzę, jak Griff za nią podąża. - Zachowuj się jak należy, Griff - ostrzega go ze śmiechem.

Okruszki ciastka rozplývają mi się w ustach, a między zębami pozostają do rozgryzienia drobniutki rodzynki.

I myślę sobie, że jestem w domu.

Posapując, Mamgu stawia małe kroczyki. Nie chce zatrzymać się na odpoczynek. Wspinamy się na normańską wieżę zamku Hendron, łapiąc się każdej sterczącej skały, aby zachować równowagę.

Griff zdołał wejść na samą górę mimo chorej nogi i wkrótce słyszymy: - Mildreth, przegrałaś zakład, płac. - Jego głos rozlega się echem i opada do nas.

- Ach, ale z ciebie mądrala - odkrzykuje Mamgu.

W końcu udaje nam się go dogonić. Gdy podziwiamy rzekę wijącą się u podnóży wzgórza, gdy upajamy się widokiem pól i lasów leżących poniżej, Griff znowu mnie pyta: - Jesteś szczęśliwa, bach? - Jego błękitne oczy są pełen troski.

- Jestem.

A wtedy jego ręką wskazuje niebo, a kiedy podążam za jego palcem, dostrzegam jastrzębia. Opada, nurkuje, leci, szybuje.

Wolny.

- Czas iść na plażę - mówi Mamgu, przerywając milczenie.

Często chodzimy na plażę w poszukiwaniu małży. Wiosną Mamgu pokazuje mi, gdzie znaleźć pędy mleczu na sałatkę. Każe mi skubać listki pokrzywy i dodawać je do rosółu zwanego cawl. Uczy mnie, jak potem pocierać liśćmi szczawiu oparzenia. Późnym latem chodzimy po porośniętych wrzosami wzgórzach albo wstajemy o piątej rano, żeby szukać na pastwiskach pieczarek.

A teraz schodzimy drogą do Morfa Bychan. Widzimy łąkę piachu pofalowaną przez przypyływ. Mewy sprzeczą się nad meduzami wplątanymi w wodorosty, gnijące liny i kawałki plastiku. Wszystko nurza się w mule i tym, co wyrzuciła na brzeg woda.

Poślizguję się, zaczepiam kostką o ostrą skałę, bo nie jestem tak doświadczona jak moi dziadkowie, którzy dokładnie wiedzą, gdzie postawić stopę.

Oprócz kilku garści małży znajduję też parę krewetek leżących nieruchomo w kałużach wody. Rzucam się na nie, zanim uciekną. Podnoszę plastikowe torby i podziwiam łup. Czuję chłód bryzy na twarzy. Robi się późno. Niebo i morze

przybierają stalowoszarą barwę, a ja zdaję sobie sprawę, że oddaliłam się od Mamgu i Griffa.

Zlizując sól z ust, wołam do nich.

- Czas wracać do domu?

Kiedy wracamy do Ty Wen, pomagam przy warzywach. Łuskam fasolkę z aksamitnych strączków i kroję na plastry ziemniaki, żeby usmażyć je na maśle. Kiedy śledzie skwierczą na żelaznej patelni, Mamgu wrzuca krewetki i małże do gotującej się wody. A potem przytrzymuje bochenek chleba przy brzuchu, najpierw smaruje masłem, a potem kroi cienkie jak papier kromki. Stukamy się szklankami z piwem imbirowym, żeby wznieść toast za moje urodziny.

Kiedy Mamgu doprawia owoce morza octem i pieprzem, my obieramy krewetki z łusek i wyjmujemy małże ze skorupki.

Rozkoszuję się każdym słonym kęsem. Brzuch mnie boli, gdy śmieję się z Griffa, który musi założyć okulary do czytania, żeby wyjąć ości ze śledzi.

- Po prostu je przełknij - mówi Mamgu, kręcąc głową. - Są delikatniejsze od włosów na twojej głowie. Ale z ciebie wielki twp.

Zastanawiam się, o jakich włosach mowa, bo Griffowi został już tylko na głowie meszek.

- Mógłbym przysiąc, że twoja mamgu chce, bym się udławił i umarł.

Znowu się śmieję i odsuwam od siebie myśl, że cokolwiek mogłoby się przytrafić któremuś z nich. Uspokaja mnie fakt, że Griff ma sześćdziesiąt sześć lat, a Mamgu dopiero sześćdziesiąt jeden.

Miała raptem szesnaście lat, gdy urodziła tatę.

Kiedy urodziła twojego ojca, sama była dopiero dzieckiem. Dobrze, że nadarzył się Griff i się z nią ożenił.

Kiedy nad Ty Wen zapada zmrok, Griff przystawia świecę do lamp olejowych, aż zaczynają syczeć i rzucać pomarańczowe światło. Ogień strzela, iskierki mieniają się, a Mamgu stawia na stole ciasto owocowe z lukrem.

Jeszcze więcej płomieni, więcej światła, więcej magii. Odliczam dwadzieścia jeden świeczek.

- Musisz zdmuchnąć je wszystkie naraz, żeby życzenie się spełniło - mówi Griff.

Więc wymyślam życzenie, ale dwie najbliższe świece są uparte. Czuję podmuch oddechu Mamgu. - Wszystkiego najlepszego, cariad. Udało ci się wszystkie zdmuchnąć! Ale wiem, że to nieprawda.

Rozdział 16

1973

Poniedziałek, 10 września Szkoła podstawowa i gimnazjum Eglwys, Cardiff

Jej włosy to masa skręconych loczków. Marszczy nos. - Dostajemy ją? - Kiedy akcentuje słowo „ją”, odsłania przerwę między małymi ząbkami.

- Na to wygląda - syczy w odpowiedzi psotny chłopak, zerkając na mnie spod ciemnej grzywki.

- Chciałam tę wysoką w ładnej sukience.

- Ja też.

Cóż, tak wygląda wspaniały początek mojego pierwszego dnia w szkole podstawowej i gimnazjum Eglwys. Ubrałam się od stóp do głów w różne odcienie szarości. Mam płaskie pantofle z zamszu i sweter bliźniak, który wyciągnęłam od Bidy, by pasował do mojej spódnicy. Włosy zwinęłam w kok na czubku głowy. A moja nowa klasa i tak mnie nienawidzi. Myślałam, że docenią matczyne nauczycielskie podejście.

Wyglądam jak karzeł, stojąc obok tej ładnej i wysokiej, której ciemne włosy spływają kaskadą, a opalenizna jak z greckich wysp lśni pod bladożółtą sukienką i która nosi sandały na nieprawdopodobnie wysokich obcasach.

W czasie ostatnich praktyk nauczycielskich uczyłam szesnastolatki w jednej z najgorszych okolic w Cardiff. Dziewczęta szyderczo się uśmiechały. Nie będą dla nikogo piec żadnej pieprzonej zapiekanki z wołowiny. Chłopcy rzucali mi lubieżne spojrzenia. Dostaje pani swoje? Bo jak nie, to oni chętnie się tym zajmą.

Dlatego właśnie wolałam zajęcia z siedmioletnimi aniołkami.

- Ona jest straszna - szepnęła rudowłosa mysz.

Łapię mysz za rękę. Obie poprowadzimy resztę ekipy do mojej klasy.

Mojej klasy.

- Gęsiego, proszę - nawołuję jak zawodowiec.

- Och, czy to pani urodziny, panno Cadogan?

Najsłodszy chłopiec zerka spod strzechy blond włosów i wskazuje grubym palcem na moje kartki z życzeniami. Mam ich sporo na biurku. Na moim biurku.

Kartki od Mamgu i Griffa, od ciotki Shauny i od Jacka. I od Oony z Irlandii.

Kartki od Moiry i Ingrid. Nie mogły znaleźć porządnej pracy w Cardiff, więc wylądowały w Londynie. Tak samo jak Jack.

Załatwiłam sobie posadę nauczycielki tutaj, a on złożył podanie o przyjęcie do królewskiego szpitala w Cardiff. Był tak cholernie pewny, że dostanie pracę. Katie, te rozmowy pójdą jak z płatka.

Zaledwie cztery tygodnie przed tym, jak przysłano mi zawiadomienie z datami semestrów, otrzymał list „z przykrością informujemy”.

Napisałam nazwisko na tablicy.

Mojej tablicy.

Więc mam zostać w Cynboyd, w naszej maleńkiej kawalerce ze złotą rybką, ale nie na długo. Jack popracuje w Londynie rok, nie więcej, tak powiedział. Nie chcemy mieszkać w dużym mieście, prawda, kotku? Jak tylko będzie to możliwe, przeprowadzimy się na prowincję, do Walii.

- Panna C - A - D - O - G - A - N - powtarza moja klasa.

W maju będę już panią Thorpe! Nie zmieniamy daty ślubu, powiedział Jack. Nie ma powodu, żeby cokolwiek zmieniać. Wszystko się uda.

Słyszę szepty za sobą i uśmiecham się. - Jak ma na imię? Nie wiem. Sam zapytaj.

Boże, Kate, powiedział Jack przez telefon. Praca w St. Bartholomew to wyzwanie i życie w pędzie! Z takim

doświadczeniem musi w przyszłym roku dostać fantastyczną posadę w takim szpitalu jak St. David. To niedaleko od Cardiff. Chciałabyś mieszkać w Cowbridge, najśladza? Kupimy dom. Zaoszczędzimy i w ogóle.

Jack trzyma niepotrzebne ubrania i rzeczy w naszej kawalerce. Jeszcze nie widziałam, gdzie mieszka, ale mam czas. Mieszka razem z dwoma chłopakami w Islington. To całkiem fajny dom, mówi.

Odwracam się do klasy. Do mojej klasy!

- Wybierzcie sobie na razie jakiegolwiek miejsca. Później podzielę was na grupy.

- Mogę zostać z Danielle?

- Peter Palmer śmierdzi kupą, proszę pani. Nikt nie chce siedzieć obok niego.

Dwadzieścia sześć okrągłych twarzy patrzy na mnie. Ratunku.

- No dobrze. W porządku.

- Muszę siusiu, panno Cadogan. Zobaczmy. Lista. Sprawdzę listę.

- Marina Davis?

- Jestem.

- Ja też - krzyczy Matthew Gruen.

- Barbara Holt?

- Muszę do toalety. Naprawdę, proszę pani.

- Mark Kurth?

- Jestem. Będzie pani naszą nauczycielką już na zawsze? - Jego dolna warg drży.

- David Llewelyn?

- Jestem. Martin naprawdę musi do łazienki.

- Karen Morrow?

- Jestem. Ta druga nauczycielka ma długie różowe paznokcie.

- Yvonne O'Connor?

- Jestem.

- Yvonne, wyjmij palec z nosa, grzeczna dziewczynka. - Urywam i czekam, aż klasa ochłonie.

Kiedy chichoty przechodzą w dziwny głupawy śmiech, kaszlę. Ehm. Kaszel oznacza, że kontynuujemy.

Albo zamknijcie się, do cholery.

- Elizabeth Ogle, Janet Philips?

- Martin zmoczył spodnie. On tak codziennie.

Zachowaj spokój, skończ sprawdzać listę, Kate, później się tym zajmiesz.

- Nicola Richards, Ben Riggle, Becky Stroud?

- Fuj, proszę pani, to jest na całej podłodze.

Skończę sprawdzać listę, choćby to miało mnie zabić. Mały bóbr o obwisłych piersiach wchodzi z uśmiechem na twarzy i mówi: Dzień dobry wszystkim. To szkolna sekretarka. Och, czyżbyśmy już mieli mały wypadek? Mam przynieść mop i wiadro? Trzymają zapasowe majtki w szafce przy biurze, panno Cadogan, ona oczywiście popilnuje klasy, podczas gdy ja pójde po suche ubranie.

Teraz już prawie każde dziecko bliskie jest zsikania się, po tym jak padło słowo „majtki”.

- CISZA, ale już! - Klaszczę w dłonie. Dobry Boże, podziałało.

- Zaraz wrócę, pani...? - Czekam, aż mały bóbr odpowie.

- Panna Broomhead.

Broomhead (Broomhead (ang.) - dosł. szczotkogłowa (przyp. tłum.))? Oczywiście teraz dzieciaki nie chichoczą, tylko wyją ze śmiechu. Klaszczę. Cisza. Panna Broomhead sprawdza dalej listę, a ja każę Martinowi - Mokre - Spodnie iść za mną.

Jak wytrzymam rok czegoś takiego?

- Lubię panią. - Martin wyszczerza zęby w uśmiechu. Ma ogromne oczy i nos jak guziczek.

Wkrótce przyzwyczaję się do tych numerów wykręcanych nauczycielom.

Zaglądam do pokoju nauczycielskiego.

- Jesteś tu nowa? - pyta chudy osobnik z jasnymi jak len włosami i trądzikiem. - Zrobić ci herbaty?

- Poproszę.

- Jestem Rowland Picken.

- Kate Cadogan. - Ściskam jego dłoń i pytam, którą klasę uczy.

- Trzynastolatki. To nie boli, gdy masz tak ściągnięte do tyłu włosy? Cukru?

- Nie, dziękuję.

Mleko jest sterylizowane, ciężkie i gęste. - Gdzie mieszkasz, Rowland?

Głupawo się uśmiecha. - A czemu chcesz wiedzieć?

- Z ciekawości.

Staram się być miła, głupku.

- W Digs przy Dewey Road. A ty?

- Przy Albion Road.

Błyskam pierścieniem zaręczynowym, ale spojrzenie Rowlanda biegnie w stronę drzwi. - Panno Angelo Braithewaters, ślicznotko. Stęskniłem się za tobą, słodziutka.

Zostaję porzucona na rzecz ładnej i wysokiej. Stoi przy dzbanku na herbatę, a Rowland Picken proponuje, że zanieś jej ciężką filiżankę i spodeczek.

- A może przyniesiesz mi kilka bułeczek figowych? - Angela przerzuca włosy przez ramię i patrzy na mnie z góry. Siedzę na najniższym fotelu. - Okropny ten pokój nauczycielski, prawda? Cześć, jestem Angie.

- Kate. Cześć.

Opada jak łabędź na siedzenie obok mnie. - Rowland myśli kutasem - szepcze. - Proszę, poczęstuj się bułeczką. Można się od nich uzależnić, prawda?

Uczy w Eglwys od trzech lat, ma chłopaka, ups, poprawka, miała chłopaka, bo rzuciła go w połowie wspólnych wakacji na Korsyce. Teraz ma nowego, nic poważnego, mieszka w Holland Park.

- Holland Park?

Tak, odpowiada. Co? Masz przyjaciółki i narzeczonego w Londynie? Świetnie. Pokaż pierścione. Śliczny! Prowadzisz? Nie? To może podwożę cię, w ostatni weekend ferii w połowie semestru?

- Angie, to cudownie. Dziękuję.

Przeciąga się, sięgając rękoma ku pomalowanym palcom stóp, zaciska pięść, żeby ukryć ziewanie i bierze filiżankę. - Dziękuję, kochanie - mówi do Rowlanda. Kiwa głową i uśmiecha się, gdy wchodzi pozostali nauczyciele. Wszystkich mi przedstawiono, ale nie mam pamięci do nazwisk i przyznaję się do tego Angie.

Mruga szarymi oczami. - Ale mojego imienia nie zapomniałaś, prawda? Chodź bliżej - mówi. - Pozwól, że opowiem ci o tej bandzie. Picken, którego już poznałaś, właśnie w tej chwili próbuje telepatycznie nakłonić twoje nogi, aby rozchyliły się nieco bardziej, żeby mógł zobaczyć kolor twoich majtek.

Ściskam kolana razem.

- Panna Broomhead, szkolna sekretarka, wiecznie zajęty mały...

- Bóbr?

- Aha. - Angie uśmiecha się, odsłaniając idealne zęby. Ted Ashcroft, o kształtach jak Budda, tak, ten, z rudą brodą i zaczeską, uczy historii i prac ręcznych. Brian Wharton, wychowawca dwunastolatków, delikatny, wspaniałe ramię, na którym można się wesprzeć. Hattie Harris, ta z cukierkowymi sznurkami zamiast włosów, totalna hipiska. Zwykle nosi kaftany i sandały jak Jezus. Uczy plastyki. Ciemnowłosa dama

w kącie to Evie Cudrow. Wiecznie dzierga swetry na drutach. Nigdy nie przestaje.

Dowiaduję się o zastępcy dyrektora, okrągłym jak piłeczka mężczyźnie, sama radość. Co do nauczycielki trzeciego roku Jane Paltrow, niewiele od niej usłyszę, trzyma się na uboczu, tajemnicza stara panna. I jest jeszcze Eunice Banks, która ma pięcioro dzieci i męża, który siedzi w domu.

Angie musi przerwać, bo wchodzi dyrektor Basii Kirby. O Boże, teraz już go pamiętam. Doktor B.J. Kirby. Najgorszy w mojej komisji kwalifikacyjnej. Nie wierzę, że zaproponował mi pracę. Ma czerwoną twarz i szopę siwych włosów, która pasuje do jego jedwabnego garnituru. Piorunuje wszystkich wzrokiem, jego podbródek wystaje, dłonie uderzają w biodra. - Członkowie grona pedagogicznego, za pięć jedenasta. Nie powinniście już być w klasach gotowi na spotkanie z dziećmi?

Przyglądam się jego profilowi, a on obraca się w moją stronę. Schyla się. Jego oczy są tuż od moich. Jasnioletowa pajęczyna żyłek pojawia się na jego pulchnych policzkach. - Panno Cadogan, to pani pierwszy dzień. - Krople potu pojawiają się na jego górnej wardze. Boże, on nie ma rzęs. - Ze wszystkich ludzi właśnie pani powinna być już w klasie. I to już. Ma pani przygotowane lekcje?

Kiwam entuzjastycznie głową. Nadal mam herbatę w ustach i nie śmiem jej przełknąć.

Dyrektor wypada z pokoju.

Angie podnosi środkowy palec w stronę zamkniętych z trzaskiem drzwi.

Jest boska.

- Ostatniej nocy niczego nie zaliczył, to jego problem - rzuca Rowland Picken.

- Wiesz, że ten ohydny pedał woli małych chłopców, prawda? - stwierdza Ted Ashcroft, przylizując kosmyki włosów.

- Nie denerwuj się - grucha Eunice Banks, ujmując mnie za podbródek. - On tylko dużo szczeka, ale mało gryzie.

- Pół rękawa jeszcze i koniec - mówi Evie. - Kate, robisz na drutach?

- Czasem.

- Pożyczę ci parę wzorów.

- Dzięki, to wspaniale.

Rowland Picken bierze moją pustą filiżankę ze spodkiem i mruga. - Wskoczyłabyś wieczorem na drinka?

- Rety, przykro mi, jestem zajęta. Może innym razem?

Brian Wharton podaje mnie i Angie ramię. - Drogie panie, idziemy?

- Katie, wyskoczysz wieczorem na drinka do Queen's Head? - pyta Angie.

Kiwam głową. A kiedy Rowland nie może nas już usłyszeć, szepczę: - O siódmej?

Zanim wychodzimy, zerkam raz jeszcze na pokój nauczycielski, moje przyszłe schronienie przed dziećmi, lekcjami, kredą, atramentem i farbą... i rzecz jasna mąką, wałkami, miskami. Prowadzę lekcje z zajęć praktycznych, a poza tym jestem wychowawcą. Widzę, jak hipiska Hattie wrzuca garść bułeczek z figami do swojej zrobionej na szydełku torebki.

Kradnie je.

Ha! O tak, myślę, że polubię nauczycieli z Eglwys. Z wyjątkiem Basila Kirby'ego.

Rozdział 17

Środa, 24 października Cherry Blossom Road 33, Dorton

Kremowa satyna wzmocniona jest zasłonową podszewką, i nie mówię o zasłonach, tylko o swojej sukni ślubnej.

- Jest o wiele bardziej solidna niż ubraniowa podszewka - stwierdza Biddy, drapiąc mnie w głowę wsuwkami, gdy upina mi welon.

Trzeba oddać jej sprawiedliwość, doskonale wykonana robota. Suknia jest dopasowana, z bufiastymi rękawami unoszącymi się nad ramionami. Od kolan przybrana jest trzema warstwami falban.

- Chodź tu - mówię, ocierając się policzkiem o jej twarz. - Dziękuję, mamo.

- Goście pomyślą, że zapłaciłam za nią ponad trzysta. Wejdź na krzesło, to podepnę brzeg.

Mam nadzieję, że Jackowi spodoba się suknia. Złapał dziś rano wczesny pociąg do Londynu. Musiał być w St. Bartholomew przed dziesiątą.

Miło spędziłem te kilka dni wolnego w Dorton, podziękuj Biddy i Tomowi, do zobaczenia w sobotę, jak się umówiliśmy, najśłodsza. Wreszcie zobaczę dom, w którym mieszka w Islington!

Zeszłego wieczoru leżał w łóżku i patrzył, jak robię kakao. „Tra - la - la”, nuciłam, jutro przymierzam suknię.

Zanim wślizgnęłam się do łóżka, Jack już spał. Nie mogłam go obudzić, żeby pogadać o ślubie, więc wtuliłam się w jego plecy.

- Kate, słyszałaś, co powiedziałam? - Biddy mówi, trzymając w ustach rząd szpilek. - Odwróć się, sprawdzę tył.

- Mamo, a może pójdziemy po południu do papierniczego wybrać zaproszenia?

- Nie mogę nic zrobić, kiedy tak się kręcisz, stój nieruchomo. Jasne, jakbym już nie miała zaproszeń.

- Już je masz?

- W biurku na dole. Trzy paczki po pięćdziesiąt. A teraz daj mi sprawdzić, czy wszystko jest równo.

- Trzy paczki po pięćdziesiąt? Ilu gości przyjdzie?

- Jak na razie mam na liście sto osiemdziesiąt osób,

- Kto do diabła...

Biddy pyta, kto nauczył mnie tak mówić, może Jack? Pracuje przez cały dzień w piekarni, codziennie wraca do domu, żeby pracować nad suknią, jak już ugotuje tacie kolację, więc chyba ma prawo zaprosić parę pielęgniarek i klientów wraz z rodzinami na ślub własnej córki. Nie uważam?

Oczywiście, odpowiadam, ale wtedy wesele będzie kosztować fortunę, prawda?

Tata weźmie pożyczkę, mówi, i mam zachować tę informację dla siebie. Nie chce, żeby całe Dorton albo rodzina Jacka Thorpe'a myślała, że jesteśmy biedni jak mysz kościelna.

- A teraz zejź z krzesła, odłóż welon i zdejmij sukienkę przez głowę.

- Auć. - Oblizuję ramię, gdzie ukłuła mnie szpilka. - Chodźmy do Brayminster na herbatę i kanapkę albo coś innego. Ja stawiam.

- Pod warunkiem, że wrócimy na czas, żeby wyjąć pieczeń z piekarnika. Kate, jaki rozmiar stanika nosisz?

Odwracam się, wkładam ręce w rękawy zielonej bluzki, wciągając ją przez głowę, i wskakuję w niebieskie dżinsy. - 75 D, a czemu pytasz?

Biddy wkłada wieszak przez dekolt sukienki i mówi: bez powodu, idziemy?

Urosły mi piersi jak u Dolly Parton, odkąd dwa miesiące temu lekarz przepisał mi minipigułkę. Modłę się, żeby Biddy

nie połączyła tych faktów. Krzyżuję ręce wyżej niż zwykle i mówię, że jestem gotowa.

- Ale w tym ubraniu wyglądasz jak cyganka. Nie masz ładnej plisowanej spódnicy?

Tłumaczę Biddy, że mam tylko to, w czym przyjechałam. Obiecuję, że okryję się wielkim czarnym płaszczem, a jak ktoś mnie zapyta, zaprzeczę, że nazywam się Cadogan.

Zakładam skórzane rękawiczki, które rodzice kupili mi na dwudzieste pierwsze urodziny.

- Zobaczymy, jak tata radzi sobie w piekarni?

- Och, nie teraz. Jak mnie zobaczy, to pomyśli, że go zastępuję. Nie zaszkodzi mu, jak jeden dzień popracuje w sklepie. Betty i nowa sprzedawczyni Carole pomogą mu.

W Brayminster mijamy sklepy obuwnicze. Biddy kupuje dwie pary pantofli na płaskim obcasie, bo zasługuje na nie, skoro musi przez cały dzień stać w sklepie. Czy wiem, że ojciec nie kiwnie nawet palcem, dopóki nie będzie go błagać, żeby wziął ścierkę i powycierał trochę naczyń wieczorem? Cały czas ma tę samą pracę w laboratorium i patrzy, jak wszyscy wokół awansują. Jest zbyt potulny, żeby prosić o podwyżkę. Ale w domu nie jest już taki potulny, o nie, ostatnio nawet kilka razy jej się sprzeciwił.

Prowadzę ją w stronę Farthing Lane, żeby ominąć sklepy obuwnicze z przecenami. Właściwie to żadna ulica, tylko brukowany zaułek. Po obu stronach stoją budynki w stylu Tudorów z drewnianymi belami i kratami w oknach. Kafejka, do której idziemy, to Ye Olde Tea Shoppe. Chyba w każdym angielskim miasteczku jest taka herbaciarnia.

W środku pełno jest tkanin w paski i kratki, suszonych kwiatów, brązowych imbryczków i dzierganych ocieplaczy.

- Bardzo miło - stwierdza Biddy, gdy siadamy w kącie. - Bardzo przyjemnie - mówi do kelnerki.

Zamawia herbatę. I proszę nie dawać nam ekspresowej, chcemy dobrej mocnej herbaty liściastej, same wlejemy mleko do filiżanek, dziękuję, kochana.

Kelnerka przewraca oczami i zapisuje w notesiku. - Dzbanek herbaty dla dwóch. Coś jeszcze?

Proszę o bułeczkę z tuńczykiem i ogórkiem.

- Dla mnie kanapka z kurczakiem. - Biddy przewraca kartę menu. - Bez majonezu. - Przesuwa palcem po liście ciastek i deserów.

- Mamo, zostanmy przy kanapkach.

- I dwa ciastka do herbaty. Podajecie do nich prawdziwe masło? Proszę nie przynosić margaryny.

Kiedy kelnerka odchodzi, mówię: - Porozmawiajmy o kolorach dla druhen.

Zjawia się herbata.

- A co powiesz na bładoniebieski? - proponuje Biddy. - A przy okazji, poprosiłam twoją kuzynkę Josie, żeby była druhną.

Sapiącą Josie z wystającymi zębami.

- Ty poprosiłaś?!

- Miałam prawo. Kto płaci za wesele?

- Niech to licho! Na miłość boską, nie. Nie Josie.

- Niech to licho? Kto cię nauczył tak mówić? Biddy nauczyła mnie tak mówić.

Na stole pojawiają się talerze, jemy w milczeniu. Kanapka z kurczakiem Biddy zdaje egzamin, ale mam przeczucie, że ciastka obleją.

- Te, które sprzedajemy u nas, biją tutejsze na głowę. Wiedziałam.

Macha do kelnerki. - Przepraszam? Może pani zabrać masło? Już skończyłyśmy. - Zapala papierosa i przysuwa do siebie popielniczkę.

- Mamo, chcę tylko Moirę i Ingrid. Tylko dwie druhny. Opiera się o krzesło i prowadzi cichą rozmowę ze sobą, poruszając ustami i stukając palcami. Wychwytyję koniec zdania: te dziwki.

- Dziwki?

- Tak, dziwki - syczy. - Słuchaj, odkąd Moira Murphy skończyła trzynaście lat, wiecznie wisiała na jakimś chłopaku. Zmieniała jednego po drugim. Nie potrafiła trzymać nóg razem. A ta Ingrid Beddoes, cóż, ta to dopiero pochodzi z dobrej rodziny. One mają zły wpływ na ciebie, Kate.

Moja ręka wędruje do szala na szyi, tego z frędzlami, z jasnozielonym wzorkiem po jednej stronie i liliowymi kropkami po drugiej.

Kaszmir i jedwab tak delikatne, że szal prześlizgiwał się między moimi palcami.

Twarz Bidy zmienia się, a głos zniża. - Czy ty przypadkiem nie bierzesz pigułek?

Rzucam krótkie „Ha!” i mieszam herbatę łyżeczką. Czy przypadkiem nie biorę pigułek? Tak po prostu, jak grom z jasnego nieba. Bidy zawsze wybierze właściwy moment.

- A może wiosenne kwiaty zamiast róż w bukietcie? - zastanawiam się na głos. - W końcu to będzie maj i w ogóle. Chcesz resztę mojego ciastka?

- Pozwalasz Jackowi, żeby cię wykorzystywał?

Czuję na twarzy falę gorąca. Co do cholery, a raczej co do ciała, mam powiedzieć? - Nie.

Kiedy Bidy z trzaskiem otwiera torebkę, przypominam jej, że ja płacę.

- Więc co to jest? - Rzuca na stół listek pigułek antykoncepcyjnych.

- Seks przed ślubem? - Wykrzywia usta. - Co z ciebie za katoliczka?

- Kiedy przeszukałaś mi torebkę?

- Gdy zobaczyłam rozmiar twoich piersi. Za długo pracowałam w szpitalu, żeby dać się tak łatwo oszukać.

Wstaje, żeby zapiąć granatowy ocieplany płaszcz, za duży do jej drobnej figury. Chowa do kieszeni moje pigułki, podnosi paczki z butami i patrzy na mnie z góry. - Mała głupia suko - syczy. - Myślisz, że w ten sposób zatrzymasz przy sobie faceta?

Łapię spojrzenie kelnerki i ledwie poruszając ustami, mówię: - Rachunek, proszę.

Idę za Bidy na stację autobusową w Brayminster, ale czekam na numer dziewięć, nie trzy. Kiedy przyjeżdża autobus i kierowca zmienia tabliczkę z przodu na „Cynboyd”, wsiadam.

Ten autobus zabierze mnie prosto do Cardiff.

W autobusie wyobrażam sobie Bidy w Dorton, jak kroi porcję wołowiny i mówi: Kate to zwykła dziwka, Tom. Nie ma za grosz rozumu.

I widzę, jak tata patrzy, słucha, kiwa głową. W jego oczach jestem pozbawionym dziewictwa dzieckiem.

Pigułki, Tom, ona bierze pigułki. Czy on słyszy, co Bidy mówi? I co teraz sobie myśli o kochanej córeczce, hę?

Rozdział 18

Piątek, 26 października Pokój 2B, Albion Road 350, Cynboyd, Cardiff

Warkot silnika, pisk hamulców i trąbienie klaksonu. To Angie!

Łapię receptę z za zegara, bo potrzebuję pigułek, a nie mam zapasowych. Biddy zabrała ostatnią paczkę, jaką miałam. Kupię następne w Londynie, tak właśnie zrobię. Przegapiłam tylko dwa dni, żaden problem.

Wrzucam trochę karmy do akwarium Abbotta i Costello, wystawiam walizkę za próg i wychodzę w październikowy wieczór.

Angie macha do mnie chustką na głowę. - Będzie ci potrzebna - woła. - Wrzuć walizkę do bagażnika.

Wskakuję do samochodu i ruszamy z rykiem silnika.

Angie każe mi poszukać w radiu czegoś, co wprawi nas w odpowiedni nastrój.

- Przyłączmy się - krzyczy, przyciskając spiczastym butem pedał gazu.

Gdy przyspieszamy i śpiewamy Bom to Be Wild drzewa zamieniają się w barwne wstążki, uliczne lampy w migoczące neony.

Odchylam się, żeby popatrzeć na księżyc wschodzący na niebie upstrzonym chmurami. Dziś wieczór będę z Moirą i Ingrid.

A jutro z Jackiem. Ale niestety dopiero jak odeśpi nocny dyżur na oddziale intensywnej terapii.

- Londynie, nadchodzimy! - woła Angie.

Solborne Road 67, Notting Hill, Londyn

- Więc przyjdiesz na urodziny Josha?

- Tak, Angie, to fantastyczny pomysł. I dzięki za podwiezienie.

- Zabawa zacznie się koło ósmej. - Cmoka mnie w policzek. - Nie mogę się doczekać, kiedy poznam Jacka. Pamiętaj, mały domek, żelazne ogrodzenie, numer dwadzieścia pięć, dobrze?

- Do zobaczenia jutro!

Wysiadam z samochodu. Stukot butów zagłusza mruczenie silnika. Obejmuję się ramionami. Bum! Moira i Ingrid rzucają się na mnie. Boże, twoje włosy! Popatrz na jej włosy! Absolutnie precudne buty, Katie.

O mój Boże, Moi, te kolczyki są prześliczne. Ingrid, nosisz perukę? Nie, serio, wygląda kapitalnie. Nie żartuję, naprawdę. Cholera, jak dobrze was obie widzieć!

Wyciągam walizkę z bagażnika.

- Muszę lecieć, dziewczyny - woła Angie. Nakłada szminkę, pociera wargi i zatrzaskuje puderniczkę. - Ciao.

I już jej nie ma.

- Rety, ale laska, kiedy spadła z wybiegu? - mówi Ingrid.

- Aha, wiem. A jak tam wasza praca? Moira śmieje się. - W aptece?

Apteka. Recepta. Muszę pamiętać o pigułkach.

- Och, sprzedawanie leków na hemoroidy, luźny stolec, pieczenie w kroczu to czysta zabawa.

- Nawet nie pytaj - mówi Ingrid. - Jak szybko nie trafię na niezłą historię do „Bugle'a", to ta lesba Dora mnie wyleje. Nie żartuję.

- Lesba Dora?

- Naczelna. Nosi męskie garnitury i goli brodę.

Idę za Moirą i Ingrid do ich sutereny. Opowiadam o mojej klasie, o mojej zgrai siedmiolatków.

Dzieciaczki sprawiają wrażenie kochanych, takich słodkich, takich zabawnych. Och. Co powiedział ten Rowland Picken? Boże, co za oślizgły typ, Katie. To nasza chata, wchodź.

- Cholera, to mieszkanie jest fantastyczne!
- Same je urządziłyśmy - promienieje Moira.

Ingrid głaszcze bok biblioteczki. - Znalazłyśmy to cudo na ulicznym bazarze przy Petticoat Lane.

- Kosztowało nas całą miesięczną pensję - dodaje Moira. Biblioteczka jest sosnowa, w ciepłym miodowym odcieniu. Tak, oczyściły ją na podwórzu. Zużyły ponad dwadzieścia pięć litrów ługu.

Przesuwam palcami po książkach i płytach stojących na baczność na półkach.

Tapeta Williama Morrisa. Zawinięte liście paproci i kwiaty w odcieniach turkusu i zgaszonego brązu. W kącie czarno - biały telewizor. Wzorzysty dywan, stonowany i podniszczony, na nim trzy pufy: okrągła, kwadratowa i trójkątna.

Patrz, patrz, mówi Moira, unosząc róg materiału w kolorze musztardy i odsłaniając dwie skrzynki po herbacie - to ich stolik do kawy.

- Bardzo mi się podoba ten pokój - mówię. Ingrid przerzuca płyty. - Co puścimy, Moi? - Tę.

Gdy tylko słyszę pierwsze dźwięki, wiem, co to jest. Alice Cooper School's Out.

Zakrywam uszy i udaję, że krzyczę. - Och, nie, błagam, nie to...

- Nie oszukasz nas, kochana, widać, że uwielbiasz uczyć. Herbata czy wino? - pyta Moira.

Zastanawiam się. Tak, uwielbiam dzieciaki, ale nienawidzę kontroli. Szkoła, college, znowu szkoła. Ciągłe ograniczana i kneblowana przez zasady.

- Wino, proszę. - Uśmiecham się szeroko do przyjaciółek.
- Porządne czerwone byłoby idealne.

- Twoje zdrowie, Angie Braithewaters. Boże, sprzedałabym duszę, żeby mieć takie kości policzkowe jak ona.

- Nie zgadniecie - mówię. - Angie zaprosiła nas na imprezę. Jutro wieczorem w Holland Park.

- Powinno być fajnie. - Ingrid podaje Moirze trzy kieliszki. - Umieram z głodu, zjesz coś?

- Może gdzieś w Covent Garden? - proponuje Moira.

Są godziny szczytu, więc stoimy. Trzymamy się kurczowo, kiedy metro pędzi z Notting Hill Gate do Queensway. Kołysze się w drodze do Lancaster Gate, a potem wyje jak syrena przez całą drogę do Marble Arch.

Za Bond Street siadamy, ale oddzielnie, obok biznesmenów o kamiennych twarzach, sekretarek z minami bez wyrazu i turystów z niezdrową cerą. Nikt się nie odzywa, choć ciała są blisko siebie, za blisko, kołysząc się razem zgodnie z rytmem pociągu. Tata - tatam, tata - tatam. Oxford Circus, Tottenham Court Road. Wyglądamy przez zakurzone okna i czekamy na znak mówiący, że to Holborn.

Wskocz, wyskocz, odskocz na bok. Szukaj miejsca, żeby włączyć się do tłumu, przepychając dalej w milczeniu. Dołącz do ogonka ludzi na ruchomych schodach. Maszeruj, trzymaj się lewej, trzymaj się idących, podejdź do bramki... szybko, pociąg już czeka...

Tata - tatam, tata - tatam. - Ech, Londyn. Jak nie kochać tego miasta? - rzuca Moira.

Ja już je kocham.

Wskocz, wyskocz, gdzie winda?

W uszach nam dudni, gdy nagle pociąg się zatrzymuje.

Jesteśmy. Covent Garden. Błazny, klauni, akrobaci. Irlandzka melodia rzępolona na skrzypcach, protest song brzdąkany na gitarze, jazz sączący się z saksofonów. Rytm, puls, hałas. Londyński żar wybijany na perkusji.

Londyn.

Tak, kocham to miasto. Boże, mogłabym tu mieszkać. Naprawdę. Porozmawiam z Jackiem.

- Co powiecie na Punch and Judy? - Ingrid prowadzi nas na dziedziniec obok ulicznych artystów. Wchodzimy do wesołego, gwarne go baru w piwnicy.

- Rety, spójrz na menu. - Rozkoszuję się listą pysznych dań, kopiać nogami o stółek barowy jak dziecko. - Kiełbaski i puree, zapiekanka z wołowiną i nerkami, zapiekane parówki w cieście. - Nie potrzebuję dużo czasu na decyzję. Wezmę zapiekankę.

- Ja też - dołącza się Ingrid.

- A ja rostbef z puddingiem Yorkshire - mówi Moira. - Zachowajmy się jak ostatnie prosiaki, dobra? Weźmy sobie po guinnessie, co?

Tak, zdecydowanie tak. Podoba mi się to.

A jeszcze w dodatku jutro jest impreza. I będę z Jackiem. Moim Jackiem.

Rozdział 133

Sobota, 27 października

- Pokręcmy się po stolicy, a potem pójdźmy na zakupy - mówi Moira. - Co ty na to, Kate? Zgadzam się.

Kawa pachnie rozkosznie, moje przyjaciółki nie pracują w ten weekend, życie jest piękne, prawda? Na zewnątrz ćwierkają wróble. Butelki brzęczą, mleczarz pogwizduje.

- Proszę - Moira podaje mi duży kubek kawy. - Zaniosę też Ingrid. Ty jedz śniadanie.

Wgryzam się w tost, sączę kawę i jem jajecznicę. Planuję kupić coś specjalnego na ten wieczór.

Przed dziesiątą jesteśmy już ubrane i gotowe do zwiedzania. Ingrid zakłada beret na bakier. - Wyglądam jak francuska mademoiselle?

Idziemy do metra, schodzimy schodami ciemnymi od kurzu i lepкими od gumy. Przyłączamy się do ogonka stojącego po całodniowe bilety, przeciskamy się przez bramki, obok turystów, aparatów, obiektów i plecaków.

Do pociągu.

Wskakujemy i wyskakujemy. Robimy sobie objazd autobusem po Londynie.

- Biegnijmy.

Wspinamy się na górę piętusa i zajmujemy przednie siedzenia.

Komentarz nagrano w trzech językach. Co on powiedział? Słyszę tylko trzaski. Co to było? Nosowe buczenie. Cholera, nie rozumiem ani słowa.

- Usłyszysz, jeżeli zamkniesz się chociaż na pięć minut - mówi Moira.

Zdzielam ją w zebra.

Portyki, pilastry, balustrady. Łuki, kopuły, gzymsy.

Budynki tłoczą się, pochylają, przykucają i sięgają nieba.

Mijamy gwardzistę przy pałacu Buckingham. Widzimy migoczące światła Soho. Striptiz, Niegrzeczna Nagość, Wino i Kobiety. Gołębie drepczą, dziobią i brudzą na Trafalgar Square. Plakaty na West Endzie krzyczą: The Rocky Horror Show! Jesus Christ Superstar!

Tower Bridge, katedra św. Pawła, Piccadilly Circus, Waterloo Bridge. Komentarz każe spoglądać to w lewo, to w prawo, w górę, w dół i tłumaczy: „Za Parliament Square znajduje się wspaniale opactwo westminsterskie, Big Ben oraz...”

- Ej, Kate, patrz, siedziba parlamentu. Pamiętasz nasz rysunek w szkole? - Moira zanosi się śmiechem.

Przyłączam się do niej. - O Boże, tak, musiałyśmy zostać po lekcjach za gadanie!

- To były czasy - mówi Ingrid.

Tak, to były czasy. Czy już dorosłam? Nie wydaje mi się.

Gdy tylko autobus zatrzymuje się z sapnięciem, zbiegamy po schodach, wyskakujemy, pędzimy do metra i ruszamy na Oxford Street.

Kupujemy płyty, koraliki, tanie kolczyki. Widzimy na wystawach napis „Wyprzedaż”. Magia! Znajduję wspaniały kostium khaki z mosiężnymi guzikami.

- Ej, Katers, weź go.

- Włóżysz go do tych brązowych butów, które masz na sobie.

- Włóżysz go dziś wieczorem.

- No dobra - zgadzam się, przytulając go do siebie. Czy spodobałby się Biddy?

Nie. A Jackowi?

Nie miałam wieści od matki i pewnie jakiś czas tak zostanie.

Wracamy do Notting Hill, bierzemy hot dogi od sprzedawcy na ulicy, a potem wpadamy do monopolowego.

Zrzucamy się na caberneta, którego wręczymy Angie na imprezie, i butelkę taniego białego wina, które wypijemy dla kurażu przed wyjściem.

Biorę Moirę pod ramię. - A teraz pokaż mi, gdzie pracujesz. Muszę wykupić receptę.

A z powrotem w mieszkaniu...

- Katie? Dobrze się bawiłaś z dziewczynami?

- Jack! - Wkładam słuchawkę między ucho a ramię i zaczynam zdejmować buty.

- Nie złość się na mnie, najśłodsza, ale dziś wieczorem muszę znowu popracować przez parę godzin. Odwołania, zastępstwa, no wiesz, jak to jest.

Jestem tak rozczarowana, że nie mogę wykrztusić słowa.

- Katie? - Aha?

- Ingrid, nalej wina - słyszę, jak mówi Moira.

- Dobra, posłuchaj - Jack zniża głos. - Możemy spotkać się na imprezie, powiedzmy, koło północy. Nie muszę siedzieć całą noc w szpitalu.

Tak, doskonale wie, gdzie jest Peignton Mews. A potem kochanie, zgadnij co?! Będziemy mieli cały dom w Islington dla siebie. Współlokatorzy wrócą dopiero za jakiś tydzień. Wyjechali na Ibizę. Szczęściarze, co? Poczekaj, aż zobaczysz dom. Spodoba ci się.

Ingrid włącza nową płytę Stonesów Exile on Main Street.

- O północy nie będzie za późno, kotku? - pyta Jack. - Impreza pewnie jeszcze będzie trwała, prawda?

- Myślę, że tak.

- Tęsknię za tobą, najśłodsza.

- Ja za tobą też, Jack.

O północy? Chyba lepsze to niż nic.

Rozdział 20

Peignton Mews 25, Holland Park

Peignton Mews ukryte jest przy cichej brukowanej uliczce.

- Tres elegancko - mówi Moira, przyciskając dzwonek.

- Cudnie - potwierdzam.

Porządna cegła i wykończenia pomalowane na czarno za ogrodzeniem z kutego żelaza.

- Kate, rozdziawiłaś usta - mówi Ingrid.

Zliczyłam trzy piętra okien. Budynek wygląda zupełnie jak domek dla lalek.

- Cholera, nikt nas nie słyszy - martwi się Moira.

Nie przy dźwiękach Tubular Bells Mike'a Oldfielda. Nie usłyszą nas. Ingrid wali do drzwi mosiężną kołatką i wtedy zasłonka się porusza. Potem pada: „Chryste, ilu jeszcze gości zaprosiłaś, Angie?” i „Niech ktoś do cholery otworzy drzwi”. Otwiera się klapka na listy i ktoś zerka przez szczelinę. - Najwyraźniej stoją tam trzy damy.

- Och, dobry Boże, Giles, wpuść je. Drzwi się otwierają.

- Witajcie, dziewczynki. - Chłopak Angie nosi brokatową kamizelkę i ma zimne palce. - Jestem Josh. Miło was poznać.

Życzymy mu wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Chłopak, na którego wołają Giles, opiera się od niechcienia o framugę i szczerzy zęby w krzywym uśmiechu.

Angie pędzi do mnie w małej czarnej na ramiączkach.

- Katie, masz precudny kostium! - Cmoka mnie dwa razy w każdy policzek. - Ingrid, Moira, miło was widzieć. - Zakręca gwałtownie na delikatnych obcasach i mówi: - Za mną.

Idziemy za nią na naszych koturnach z zaokrąglonymi noskami. I, o cholera, wszystkie kobiety są w sukienkach koktajlowych, Satyna, krepa i tiul. Moje drewniane koraliki to

zwyczajne kawałki dębu w porównaniu ze sznurami pereł i diamentowymi naszyjnikami.

Zaprowadzono nas do eleganckiego salonu. Jest żółto - szary, z delikatnymi akcentami różu w postaci fantazyjnych poduszek, abażurów i frędzelków.

- Kate, nic nie mówiłaś... - mówi Moira, ledwie otwierając usta. Urywa, żeby skinąć głową do innych gości, kiedy jesteśmy przedstawiane. - ...że to tak będzie wyglądało!

- Przepraszam - mamroczę. Uśmiech, uśmiech, miło mi poznać, tak, pracuję z Angie, o tak, w Cardiff jest cudownie. Zgadza się, zamek jest prześliczny.

- Płaszcz na górze, tak mówiłaś, Angie? - pyta Moira, a do mnie syczy: - Dlaczego przepraszasz? - Łapie najpierw mnie, a potem Ingrid za ramię. - Chodźcie, będzie zabawnie!

Mruga do Gilesa, który przechodzi obok.

Sypialnia jest jasnobłękitna, złota i biała. Na ścianie wisi gobelin przedstawiający umierającego jelenia ze strzałą w szyi. Dokładamy nasze płaszcze do stosu na kanapie.

- Dałaś caberneta Joshowi Elegantowi? - pyta Ingrid.

- Yhm. Cholera, żaden z niego przystojniak, co? - odpowiada Moira.

- Zupełnie jak moja kuzynka Josie - mówię.

Moira uśmiecha się szeroko. - Aha, zębiska jak u bobra.

- Więc co teraz? - pytam.

- Upijemy się i tyle. - Ingrid wybałusza oczy. - Ej, widziałyście tę wyżerkę?

- Krewetki, pasztet, fondue i kawior - wyliczam.

- Kawior? Cholera, żartujesz sobie? - Moira prowadzi nas. - Chodźmy, panienki.

Ale, och, czuję się jak strach na wróble. Te wszystkie Mirandy, Audrey, Deirdre i Penelopy gapią się, oceniając każdy centymetr mojego ciała.

Zapisuję sobie w głowie, żeby kupić małą czarną i parę butów na obcasach z mojej następnej wypłaty.

Angie sunie do mnie z tacą pełną kieliszków z sherry.

- Napij się. Nie wstydz się. Czemu nie wmieszasz się w tłum jak twoje przyjaciółki?

Tak, moje przyjaciółki zdecydowanie się odnalazły. Moira jest zafascynowana Gilesem. Och, serio? Ale jesteś mądry. Powiedz mi coś więcej. Naprawdę?

Giles jest dość przystojny, ale do cholery, musi mieć co najmniej trzydzieści pięć lat. Kąciaki oczu opadają mu lekko, a źrenice mają kolor najczystsze błękitu. Włosy ma szorstkie, grube, czarne. Kwadratowe dłonie. Niezbyt wysoki. Aksamitna marynarka.

Ingrid zdołała wysepić dymka od jakiegoś tęgawego gościa w psychodelicznej koszuli. Mais non! Quel horreur. C'est pas possible!

O, dobry Boże, znowu jest francuską mademoiselle.

Gonię za Angie, żeby załapać się jeszcze na trochę sherry, a potem ruszam do bufetu, aby napęlić talerz mussem z łososia, kilkoma trójkącikami tostów, czterema tłustymi krewetkami i - tak! - ostrygami. Super. To dopiero życie. Spróbowałam nieco kawioru, małą łyżeczkę, i rozgryzłam ikre między zębami.

Josh zamachał do mnie butelką. - Nie możemy pozwolić, żebyś kręciła się bez drinka w ręku. Spróbuj odrobiny chablis.

Próbuję odrobiny chablis.

Jesus Christ Superstar? Kto puszcza muzykę? Uśmiecham się do Moiry, która próbuje tańczyć w rytm Hosanny. Tancerze klaszczą w ręce. Sanna - senno - soho, śpiewają. Albo coś w tym stylu.

Smukła blondynka opiera się o ścianę. - Jest członkiem obsady - mówi mi, wymachując kubkiem z winem w stronę tancerzy.

- Kto?

- Zak Neeley. Ej, może trochę wina, już ci się skończyło.

- Nie trafia do kieliszka i wino kapie na moją rękę. - Zak uczy się na West Endzie.

Super, aktor? To dopiero życie!

- To on, o tam, z długą brodą. - Patrzy na mnie i się uśmiecha. - To skończony łajdak, wiesz.

- Och?

- Jest moim cholernym narzeczonym, a zabawia się z jakąś francuską zdzirą. Widzisz?

Widzę. Francuska zdzira to Ingrid. - Przepraszam na chwilę - mówię.

- Ingo. - Klepię ją w ramię. - Chodź ze mną.

Idę zygzakiem do bufetu. Moira dołącza do nas, a ja tłumaczę, dlaczego Zak Neeley to łajdak.

Więc Ingrid oznajmia, że zamiast tego uwiedzie Oscara w okularach.

Moira jest zakochana. Czy Giles nie ma najcudowniejszych oczu? A jego głos jest słodki jak miód. Jest jej, w porządku? Staram się stuknąć drugim kieliszkiem chablis z kieliszkiem martini Moiry. - Jest twój - mówię, próbując skupić się na jej twarzy.

Zerkam na zegarek. Dziewięta trzydzieści.

Moje przyjaciółki podrygują w rytm piosenki Stir It Up. Jest fajnie. Przygaszono światło, zapalono świece. Biorę czysty kieliszek, żeby wlać sobie caberneta.

Wkręcam się w miejsce za sofą i tańczę samotnie. Dołącza do mnie James. Jest producentem, mówi, potrząsając do rytmu dredami. Filmy dokumentalne, kochanie.

Super, producent? To dopiero życie!

Zajmuję się antykami, mówi Rupert. (Siedemnasty wiek).

Super, handlarz antykami? To dopiero życie!

Jedenasta.

Czy powinnam tańczyć z tymi mężczyznami? Dlaczego nie? To tylko niewinna zabawa, ale i tak cały czas patrzę na drzwi. Nie chciałabym zdenerwować Jacka. Czy już jestem pijana?

Agenci nieruchomości, lekarze, doradcy - moi partnerzy do tańca przychodzą i odchodzą. Muzyka płynie łagodnie, gdy Roberta Flack śpiewa Killing Me Softly With His Song. Dudni głośno, gdy Stonesi śpiewają Brown Sugar. Bum, bum, bum.

Pierwsza w nocy.

Głowa mi się kołysze i mam pusty kieliszek. Ruszam do kuchni w poszukiwaniu alkoholu. Zostało mnóstwo kawioru, więc jem dwie kopiaste łyżeczki.

Podskakuję, czując czyjeś palce na swoim ramieniu. Słyszę głos słodszy od miodu i już wiem, kto za mną stoi.

Odwracam się. Giles przyciąga mnie do siebie. - Gdzie Moira? - pytam.

- Jaka Moira? Gdzie jest Jack?

Giles gładzi mnie po włosach.

- Ślicznotka - szepcze. - Małolata. Rety.

Aksamit jego marynarki pieści moje ręce.

Patrzę mu w twarz i dostaję czkawki. - Która godzina? - pytam.

Odrzuca głowę do tyłu i śmieje się.

Łapie mnie za rękę i ciągnie do drzwi, przez korytarz, schodami na górę. Biegnę za nim posłusznie. Kiedy patrzę w dół z półpiętra, widzę uniesioną twarz Moiry, na której maluje się mieszanina zaskoczenia, zakłopotania i bólu.

- Moi, ja...

Giles popycha mnie do łazienki.

Kiedy już jesteśmy w środku, zamyka drzwi, bierze lusterko i przytrzymuje mi przed twarzą. Uśmiechnij się,

mówi. Uśmiecham się i widzę, że moje zęby wyglądają jak podziurawione.

Cholerny kawior.

Giles szczyrzy zęby w uśmiechu. Napełniam kieliszek wodą, żeby przepłukać usta. Jestem idiotką, dzieciakiem.

- Małolata - powtarza Giles.

Na dole grają Nights in White Satin. Uwielbiam tę piosenkę. Gdzie, och, gdzie jest Jack?

- Zatańczmy - mówi Giles.

- Czekam na narzeczonego - odpowiadam.

- Więc gdzie on jest? Cholera, na pewno nie tu.

Idziemy korytarzem, a ja myślę, o Boże, a co z Moirą? Nigdzie jej nie widzę. Frontowe drzwi są otwarte, a na zewnątrz noc spowita jest w czerń. Idę za Gilesem do salonu.

Ciekawe, czym się zajmuje.

- Czym się zajmujesz? - pytam, gdy Moody Blues śpiewa o czerwieni, która jest szara, żółta i biała.

Giles oddycha mi do ucha. - Giełdą.

- W Londynie?

- Tak, i w Buckinghamshire. Mieszkam zaraz obok, to znaczy, kiedy przyjeżdżam tu z interesami.

Całuje mnie w ucho. - Napij się ze mną kawy, Kate. Kiedy patrzę w jego twarz, kiwa głową w stronę swojego domu.

Ludzie mijają nas w płaszczach, mówią: ciao, cudowna impreza, Josh, super. Wszystkiego najlepszego, staruszk. Angie biega boso, zbiera rozrzucone serwetki i puste talerze.

- Nie mogę iść do ciebie na kawę - odpowiadam. Bo właśnie wszedł Jack.

Wyplątnę się z objęć Gilesa i biegnę przywitać się z narzeczoną.

- Jack, już prawie druga - mówię i przyciskam usta do jego warg. Jego język zanurza się w moich ustach, a kiedy

mnie obejmuje, rozpływam się w jego uścisku. Tak bardzo się cieszę, że wreszcie go widzę.

- Przepraszam, najśłodsza. Musiałem zająć się nagłym wypadkiem.

Kiedy już przedstawiłam go Angie i Joshowi, znajdujemy Ingrid siedzącą na schodach z Oscarem. Jedzą z jednego talerza tort czekoladowy. - Impreza jeszcze się nie skończyła - uśmiecha się szeroko. - Zostanę jeszcze chwilę. Cześć, Jack.

- Gdzie Moira? - pytam.

- Rozboliła ją głową, wyszła wcześniej. Nic wielkiego.

Wzrok Ingrid wędruje za moim spojrzeniem do frontowych drzwi, gdzie Jack czeka już z moim płaszczem.

- Była zdenerwowana? - pytam.

- Nie sędzę. A dlaczego miałyby być?

- Tańczyłam z Gilesem.

- No pewnie - dowcipkuje Oscar.

- Moira nie miałyby nic przeciwko - odpowiada Ingrid i wzrusza ramionami.

Szkoda, że sama nie mam takiej pewności.

Rozdział 21

Niedziela, 28 października Brewery Place 218, Islington

Budzi mnie podmuch wiatru. Jack musiał otworzyć okno, gdy spałam. Leżę nieruchomo, patrząc, jak falują zasłonki, i liczę uderzenia dzwonów kościelnych w oddali. Kończą się po jedenastu. Jack staje w progu i patrzy na mnie.

Zeszłej nocy jego palce czule mnie dotykały, ciało nalegało, słowa pieściły aż do bólu. Nigdy wcześniej tak nie było.

- Skarbie, zrobiłem śniadanie. Usiądź.

Taca załadowana jest tostami, marmoladą i dwiema filiżankami najczarniejszej kawy. Jack całuje mnie, uśmiecha się, rozplątuje mi włosy, przeprasza, że je tak potargał. Wszystko jest odnowione, naprawione, inne.

Wchodzi do łóżka. Pragnę zostać z nim na zawsze w tym domu o białych ścianach, ciemnych meblach i wielkich niczym drzewa roślinach w glinianych donicach.

- Najwyraźniej rozstanie dobrze nam robi, Jack. Uśmiecha się szeroko.

- Naprawdę chciałabym zamieszkać w Londynie. Uśmiecha się.

- Mówię poważnie.

- Domy są tu za drogie, kotku.

- Moglibyśmy wynająć mieszkanie, może nawet kupić, nie potrzebujemy jeszcze całego domu. Poszukam ofert pracy dla nauczycielki w „Educational Timesie”.

Przysuwa filiżankę do moich ust.

- Pij, póki gorąca.

- Albo wiesz, może w ogóle poszukam innej pracy? Czegoś związanego z cateringiem. Spójrzmy prawdzie w oczy, pensja nauczycielska jest marna.

Mówię mu, że chociaż kocham dzieci, nie chcę, aby przez resztę życia kontrolowały mnie dzwonki lekcyjne. Wsuwa mi

ostatni kawałek tostu do ust, a potem odstawia tacę na podłogę. Przewraca się na mnie, przekomarza, rozsuwając mi nogi swoimi i idzie mu łatwo. Jego ruchy są delikatne, język słodki. Taka zmiana, taka różnica, odkąd ostatni raz byliśmy razem. Przyjemność opływa mnie długimi, leniwymi falami. Szepczę, że go kocham, żebyśmy zamieszkali w Londynie, a nie w Cowbridge. Patrz, jak nam się układa w Londynie, zobacz, jacy jesteśmy.

Odpowiada krótkimi sapnięciami, wstrzymując oddech i wzdycha na koniec. Słyszę ciepły szept, kojące słowa, delikatne namowy. Zapewnia mnie, że dobrze robimy, że nasz dom w Cowbridge będzie otoczony polami, drzewami i rzekami. Trzymajmy się pierwotnego planu, Katie.

- Wykap się ze mną - proponuje.

Wyślizguję się spod czarnej pościeli, a on prowadzi mnie do łazienki.

Myje mi włosy, namydla ręce, nogi, plecy. Modłę się, żeby ten dzień się nie skończył. Zawinięta w najgrubszy ręcznik otwieram szafkę, żeby poszukać dezodorantu Jacka, który wcześniej czułam na jego skórze. Na skórze mojego mężczyzny. Grzebię wśród kobiecych maszynek do golenia i wody toaletowej o zapachu orchidei.

Coś do mnie boleśnie dociera.

Chanel N° 5. Łzy napływają mi do oczu.

Szminki Max Factor. W głowie mi się kręci. Jack?

- CHOLERA!

- Jack?

Jego twarz ciemnieje, gdy widzi, jak ściskam paczkę tamponów.

- Kochanie, wszystko ci wyjaśnię. Nie płacz, nie wściekaj się.

- Wyjaśnisz? - Rzucam w niego paczką. - Zapomniałeś sprawdzić szafkę w łazience, tak?

- Nie idź, proszę, wracaj.

Zbiegam na dół i stoję oszołomiona pośrodku salonu z zasłonami w kolorze oberżyny i dopasowanym kolorystycznie perskim dywanem.

- Poczekaj, posłuchaj. - Słyszę, jak Jack dyszy, łapie mnie za ramiona i potrząsa mną. - Do cholery, spójrz na mnie, dobrze?

Jest nagi, ocieka wodą, mydliny spływają mu po nogach.

- Dobrze, wyjaśnij.

- Mieszkam... cóż, mieszkam z kobietą.

Krzywię się.

- A ci dwaj koledzy?

- Nie ma żadnych kolegów. Nie, nie, posłuchaj mnie!
Rozejrzyj się tylko, odrzuciłabyś coś takiego?

Dobry Boże.

- Och, daj spokój, nie zrozumiałabyś.

Mieszkają jak dwoje obcych ludzi. Kochanie, bądź rozsądna. Ledwie się znają. Osobne sypialnie. Osobne życia. Czy powiedział coś, gdy zobaczył mnie w ramionach jakiegoś hulaki na wczorajszej imprezie? Nie, bo mi ufa. Bo wie, że to nic nie znaczy. Pomyśl tylko, no proszę. Na miłość boską, czy to nie oczywiste, jak bardzo mnie kocha?

- Och, naprawdę?

- Cholera, tak.

Siadam na sofie, żeby zebrać myśli. Morelowe ściany. To ona wybrała kolor? To ona kupiła aksamitne zielone poduszki?

- To jej dom?

- Tak.

- Wie o mnie?

- No pewnie! Katie, w porządku, wszystko jest dobrze.
Przysięga z całego serca.

Drzę mokra pod ręcznikiem. - Obejmij mnie, Jack. Chcę mu wierzyć.

Siada i przyciąga mnie do siebie, całuje policzki.

- Ładna jest? - pytam, gdy rozwiązuje ręcznik.

- Ha! Żartujesz? Felicity mogłaby być zawodniczką sumo.

- Tuli twarz do moich kolan. - Chodź na górę.

- Chcę przeprowadzić się do Londynu.

- Chodź. - Ma przyspieszony oddech. - Udowodnię ci, jak bardzo cię kocham.

Wreszcie się ubieram, znoszę tacę po śniadaniu do kuchni i dorzucam talerze i filiżanki do stosu w zlewie. Muszę zadzwonić do Moiry.

W korytarzu stoi telefon, krzyczy Jack, skorzystaj z tego aparatu. Podnoszę słuchawkę i wybieram numer.

- Słucham.

- Moi?

- O, to ty.

- Wszystko w porządku?

- Cudownie. Wiedziałaś, że Giles mi się podoba. Nie było to dość oczywiste? Cholera, Kate, masz tupet. Wielkie dzięki, przyjaciółko.

- Co? Ale...

- Ingrid będzie tu cały dzień, jeśli chcesz wpaść po walizkę. Bach.

Połączenie przerwane.

Mrugam, żeby pozbyć się łez, i patrzę na liścik leżący na biurku przede mną.

Kiedy słowa przestają pływać, odczytuję je.

JACK!

Ładnie to tak bezwstydnie mnie uwodzić? Przez ciebie spóźniłam się na samolot, ty niegrzeczny chłopaku! Ale co to był za wieczór! Trzy razy pod rząd... mm... mmm.

Bogu dzięki, że udało ci się załatwić mi miejsce na następny lot!

Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś na imprezie. Zachowywałeś się jak należy?

Zadzwoń z Ibizy. Do zobaczenia za siedem dni, przystojniaku.

Buziaki, Felicity

Odliczam siedem dni w myślach i dochodzę do soboty.

- Najśłodsza?

Jack zbiega z hukiem po schodach.

- Najśłodsza? - woła znowu. - Może zadzwonisz jutro do tego potwornego dyrektora i powiesz, że jesteś chora?

Odwracam się plecami. Jego kroki rozlegają się echem, gdy idzie po terakocie w korytarzu.

Białe plamy latają mi przed oczami.

Jack przytula się do moich pleców i całuje mnie w kark. Czuję ciepły oddech, gdy szepcze mi od ucha: - Zostań ze mną jeszcze parę dni, Katie.

- Do soboty? - pytam.

- Najlepiej będzie, jak złapiesz pociąg powrotny do Cardiff w piątek, kotku, bo wtedy będę mógł cię odprowadzić. Pójdziemy dziś wieczorem na West End? - Obejmuje mnie w pasie. - W New London Theatre grają Grease. Słyszałem, że przedstawienie jest świetne.

- Kto tak powiedział?

- Felicity.

No pewnie. Rozrywający ból ściska mi żołądek.

Jack kołysze się, nuci melodię, zaczyna śpiewać, że tylko mnie pragnie, och, och, kochanie. Aż dostaje dreszczy...

Trzymam w ręku liścik. Zwijam go i ściskam coraz mocniej i mocniej, aż powstaje kulka twarda jak kamień. Wyrrywam się z objęć Jacka, obracam. Moja twarz płonie, gdy wyrzucam z ust oskarżenia. Jest kłamcą, zdrajcą, śmieciem.

Niczego nie rozumie, a kiedy zauważam jego ogłupienie, moje „jak mogłeś” zamienia się w krzyk: Jesteś pieprzonym, zakłamanym draniem, prawda, Jack?

Czy myśli, że jestem kretynką? Wsuwam zwinięty w kulkę list w jego dłoń i zaciskam mu palce. - Masz, to chyba do ciebie.

Patrzę, jak rozwija kartkę. Jeszcze jest w połowie zmięta, ale widzę, że przeczytał wystarczająco dużo, bo opiera się plecami o ścianę i uderza w czoło.

I po raz drugi tego dnia słyszę, jak mówi „nie, nie, posłuchaj”.

- Jesteś, jesteś... żalony. - I płaczę rozczarowana, bo „żalony” to za słabe słowo, a ja muszę go zranić, obrazić, zadać mu ból.

- To koniec. - Serce wali mi jak szalone, głowa pęka, nie ma już powrotu. - Z nami skończone. Jak mogłabym wyjść za... Za co?

- Jesteś odrażającym robalem. Ohydną gnidą.

Ogarnia mnie wściekłość, jestem tak zszokowana, że nogi mam jak z waty.

Teraz jest kimś obcym, jest śmieciem. Chcę wiedzieć, gdzie położył mój płaszcz. Kiedy wyciąga rękę, rzucam: lepiej, żebyś mnie nie dotykał, łajdaku, słyszysz?

Mijam go, żeby zadzwonić do Angie.

Nie mówię jej, co się stało, tylko pytam, czy mogłaby mnie odebrać z Notting Hill, gdy zabiorę walizkę.

- O cholera, Jacka wezwali do szpitala? - pyta.

- Tak - kłamię.

I opuszczam dom przy Brewery Place, zamykając za sobą drzwi bez słowa. Kiedy idę samotnie chodnikiem na stację metra, zastanawiam się, jak długo będę pamiętała tę żalony przeczyszającą minę Jacka.

O Boże, o dobry Boże.

Rozdział 22

Albion Road 350, Cynboyd, Cardiff

Gdy tylko wysiadam z samochodu Angie, wyczuwam zapach mgły. Wzdłuż Albion Road szary welon zamazuje zarys żywo płotów i ulicznych lamp. To dziwne, jak mgła tłumi dźwięk kroków, ruchu ulicznego, głosów. Jak przygnębia. Wchodzę głównym wejściem i otwieram drzwi do kawalerki.

Złote rybki poruszają ustami, budzik tyka, w rurach gra woda. Czarne, wszystko jest czarne.

Przesuwam rękę za framugę i macam w poszukiwaniu włącznika światła.

Samotna żarówka odsłania schludne wnętrze. Żadnych rozrzuconych ubrań, rozsypanych płyt, rozwleczonej pościeli, stosów talerzy. Żadnego radia mruczącego na moje powitanie. Ślady obecności Jacka zniknęły z naszej kawalerki, gdy wyprowadził się do Londynu. Dziś zniknął też z mojego życia.

Włączam radio i słucham, jak Gilbert O'Sullivan jęczy, że znowu jest samotny.

Oczywiście.

Mój Boże, Jack, Felicity nauczyła cię paru sztuczek, co? I to w tak krótkim czasie! Spodobały ci się praktyki ze mną? Byłam dobra, przystojniaku? Drepczę do umywalki, przytrzymuję się kranu i czekam, aż miną mdłości. Noszę twój pierścionek, Jack, szlocham, a w Dorton czeka suknia ślubna z bufiastymi rękawami i trzema warstwami falban, Biddy kupiła zaproszenia, trzy paczki po pięćdziesiąt.

To lata siedemdziesiąte, mała. Wolna miłość.

W uszach słyszę głucho dudnienie. Cholera, czy planował używać sobie z Felicity przez rok, zanim by zamieszkał ze mną w tym pieprzonym Cowbridge?

Torebka zsuwa mi się z ramienia i spada na podłogę. Leży tak i wygląda idiotycznie, więc ją chwytam i rzucam o ścianę.

Szminki, grzebienie, klucze, rachunki, skasowane bilety, listek z pigułkami. Wszystko rozrzucone po całej podłodze.

Zanurzam się w fotelu, skubię luźne nitki, a potem obracam zaręczynowy pierścionek, który od trzech lat noszę na palcu. Pod spodem swędzi czerwone otarcie. Czy chce z powrotem swój pierścionek? Rzucam go na podłogę, obok reszty śmieci. Wstaję niezgrabnie, jak ogłupiała mocuję się z guzikami i jednocześnie próbuję zrzucić buty. Mam wrażenie, jakby moje dłonie nie należały do mnie. Nie wiem, czemu to robię. Naga, drżąca spoglądam na te parę rzeczy w pokoju, które można by określić jako „nasze”. Nasze rybki, nasze plakaty, nasze pudełka ryżu i puszki z zupą, nasze zasłony, te, które uszyłam z niebieskiego materiału wypatrzonego na targu.

Patrzę na to, co było kiedyś naszym łóżkiem.

Wsuwam się do pościeli, ściskam ją, wącham, szukając zapachu Jacka. I płaczę, głośno, nie przejmując się, że boli mnie gardło i palą mnie oczy.

Ty mała głupia suko. Myślisz, że w ten sposób zatrzymasz przy sobie faceta?

Złote rybki poruszają ustami, budzik tyka, woda gra w rurach. Leżę na brzuchu z twarzą w mokrej poduszce i wącham zapach stęchlizny. Odwracam się na plecy i krzyczę. Raz, dwa. Nie dbam o to, że usłyszą mnie inni lokatorzy, pieprzyć ich.

Pieprzyć.

Poniedziałek, 29 października

Nad ranem udało mi się zasnąć na godzinę, tylko tyle zdołałam. Przesuwając grzebień we włosach, wycieram zaspane oczy i wkładam wczorajsze ubranie. Nigdy nie było nas stać na telefon, Jacka i mnie. Nigdy nie potrzebowałam go tak bardzo jak dzisiaj.

Zmuszam nogi do wyjścia z pokoju, otwieram drzwi, wychodzę z budynku i wlokę się na koniec Albion Road do budki telefonicznej. Ciągnę ciężkie metalowe drzwi. Smród moczu i środków dezynfekujących drażni mój nos. Podnoszę słuchawkę, wkładam monetę do szczeliny, wybieram numer i słyszę podwójny sygnał. Bez przerwy. Ani Moira, ani Ingrid nie odbierają.

Dzwonię do Basila Kirby'ego i mówię mu, że nie mogę dziś prowadzić zajęć, bo zaraziłam się paciorkowcem.

A co teraz? Fanny Smith kocha Phila Hywela. Bryn Jones ma wielkiego fiuta. Czytam słowa nabazgrane na szybach i wtedy dostrzegam w kawałku chromu odbicie moich zwichrzonych włosów.

Włosy wiszą ci jak stare zasłonki po bokach twarzy.

Biddy. Tata. Wybieram ich numer. Nie wyszli jeszcze do sklepu i do pracy.

- Mama?

Ostre westchnienie, a potem warknięcie: - Czego chcesz? Zamykam oczy, żeby powstrzymać łzy.

- Zostawiłaś mnie samą w Brayminster - mówi Biddy. - Jaka córka tak traktuje matkę!

Szloch wyrywa się z głębi moich trzewi.

- Co jest? Co się stało?

Rozlegają się szepty, puste odgłosy i wyczuwam, że słuchawka przechodzi w inne ręce.

- Katie, mówi twój tata.

- Nie będzie ślubu.

Wdech, wydech, wdech, wydech, słucham, jak oddycha i analizuje sytuację. Ale w jego westchnieniu wyczuwam ślad podniecenia.

- Jedziemy do ciebie.

- Nie...

Boże, nie. Mam mętlik w głowie. Dowiedzą się, że mieszkałam z Jackiem.

Głos taty jest przytłumiony, ale i tak słyszę: „Bidy, sprzedawczynie zajmą się sklepem. Nie, nie musisz dzwonić do mojego szefa. Sam to załatwię”. A potem już wyraźniej:

- Będziemy u ciebie za dwie godziny.

Wycieram nos chusteczką.

- Katie?

- Wszystko w porządku, tato.

Czy Jack zostawił szczoteczkę albo maszynkę do golenia? Jakież dowody? Nie. W szufladach w starej komodzie leżą tylko dwie zasuszone ćmy i wsuwka.

Spryskuję twarz lodowatą wodą, wcieram podkład i próbuję ukryć cienie, zamaskować ból. Nakładam róż na policzki, maluję usta różową szminką, wiążę włosy w ciasny węzeł. Znajduję plisowaną spódnicę, tę, w której chodzę do szkoły, grube rajstopy i brązowy sweter. Nalewam wody do czajnika, sięgam po kawę i szukam kubka. Smaruję dwa tosty masłem i przypominam sobie, żeby przykryć maselniczkę, bo mamy myszy. Nie pozwoliłabym Jackowi rozstawić pułapek.

Powinna wziąć kotka, własnego kotka.

Czajnik gwizdże. Lecę do kuchenki, żeby wyłączyć gaz, bo naprawdę muszę słyszeć każde słowo Jimmy'ego Cliffa śpiewającego w radiu I Can See Clearly Noto.

Wzdycham głęboko i rozkoszuję się łykiem kawy. O cholera, cholera, dywan jest brudny. Przejeżdżam po nim szczotką elektryczną, cholerną, bezużyteczną namiastką odkurzacza. Dobry Boże, ale tu bałagan. Co mam zrobić? Ścieram kurze, poleruję, skrobię, a potem przecieram okna. Zmieniam pościel. Wyrzucam zapach Jacka do kosza na brudy.

Słyszę głośnie pukanie do drzwi wejściowych i krzyczę w kierunku korytarza: „To do mnie”.

I oto ona.

- Mamo.

Przytula mnie, kołysze, a potem ujmuję moją twarz w dłonie i mocno całuje w czoło.

- Lepiej ci będzie bez niego - mówi, odgarniając pasemko moich włosów za ucho.

Kiedy tata mnie obejmuje, cała drzę.

Wycieram nos w jego chusteczkę, cholera, a szło mi tak dobrze. Zamierzałam nazwać kotka Dinah i w ogóle.

- Więc tu mieszkałaś - mówi moja matka, pocierając płamę na wykładzinie w korytarzu czubkiem buta obszytego futerkiem.

- Chodź, Biddy, wejdźmy do środka. - Tata popycha ją w stronę pokoju. - Bo ludzie nas usłyszą.

Rzucam spojrzenie na prawo i lewo. Czy zostawiłam jakieś inne ślady obecności Jacka? Boże, nie sprawdziłam pod łóżkiem, ani za szafą, ani...

- Więc to jest twój pokój - mówi Biddy, kładąc płaszcz na fotelu. - Oh, Kate, czy tylko na to cię stać? Tom, a nie mówiłam, że powinniśmy tu przyjechać? - Biddy poprawia narzutę, podchodzi do niebieskich zasłon, sprawdza obszycie. - Zawsze zostawiaj przynajmniej dziesięć centymetrów na podwiniecie. Pożyczyłaś maszynę do szycia?

Kiedy odpowiadam, że obszyłam je w ręku, mówi:

- Biedactwo. - Siada przy stole i płacze, chowając twarz w dłoniach. - Musisz wrócić i zamieszkać z nami - mówi.

Opieram się o zamknięte drzwi.

Tata podchodzi i pochyla się, żeby spojrzeć mi w oczy. - Nigdy nie lubiłem Jacka. Może zamieszkaasz z nami? Och.

- Kate? - Na twarzy ojca maluje się pytanie. Bierze moje dłonie. - Nie zamartwiaj się tak. On nie jest tego wart.

- Nie mogę jeszcze wyjechać z Cardiff. Powinnam najpierw skończyć próbny rok w Eglwys.

- Więc może potem. - Mama klaszcze w ręce. - Jeszcze tylko dziewięć miesięcy. Czas szybko płynie, prawda? Nie będziemy mogli się doczekać, prawda, Tom?

- Zastanowię się nad tym, mamó.

Szaroniebieskie oczy taty błyszczą. Uśmiecha się szeroko. Proponuje, żebym do tego czasu spędzała w Dorton weekendy. Chciałabym?

Mówię, że tak. Myśl o powrocie do domu jest dziwnie pocieszająca. Jednak nie jestem całkiem przekonana do przeprowadzki na stałe.

- A co powiesz teraz na filiżankę herbaty? - pyta tata. - Masz jakieś czekoladowe herbatniki?

- Przyniosę kubki. Są w kredensie.

- Nie masz porcelanowych filiżanek i spodeczków? - pyta Bidy. - Zimno tu. Mogę pożyczyć ciepły sweter?

Przesuwam wieszaki i grzebię w szafie. Wisi w niej stary płaszcz Jacka. Cholera. Odsuwam go, ale jest za późno. Bidy opiera brodę na moim ramieniu.

- To Jacka? Co to tu robi? - Odsuwa mnie na bok biodrem. Tata grzebie w nożach, widelcach i łyżeczkach. - Katie, gdzie masz zapalki? - pyta.

Bidy wkłada ręce do kieszeni płaszcza Jacka i wyrzuca na łóżko cukierki na kaszel, monety, bilety autobusowe. Wyciąga jego starą legitymację studencką.

Tata spluwa do zlewu. - To mleko jest świeże? Faj, zepsute.

Bidy też spluwa, na zdjęcie Jacka, zanim podejdzie do taty, żeby pokazać mu, co znalazła.

Tata zaciska usta. - Ty draniu - mówi do fotografii.

- Nie mieszkałaś z Jackiem, zanim wyprowadził się do Londynu, prawda? - pyta matka.

Och, a jakie to ma teraz znaczenie.

- Mieszkałam.

I moje żałosne „ja” pogrąża się w wyrzutach sumienia i cierpieniu. Jeśli dasz mężczyźnie przed ślubem to, czego chce, nigdy więcej go nie zobaczysz. Mam rację, Tom? Wygląda na to, że masz.

Siadamy przy stole, sączymy herbatę z mlekiem w proszku. Nie pada ani jedno słowo.

Złote rybki poruszają ustami, budzik tyka. Woda gra w rurach.

Rozdział 23

Piątek, 16 listopada Szkoła podstawowa i gimnazjum Eglwys, Cardiff

- Dzwonił doktor Jack Thorpe. Powiedział, że otrzymał twoją wiadomość, i zaproponował, żebyś skontaktowała się z nim w czasie lunchu.

- Dziękuję.

Patrzę, jak sekretarka przemyka między stołami w pracowni zajęć praktycznych.

- Paul, przytrzymaj drzwi pani Broomhead.

Ponownie skupiam się na ludzikach z piernika. Są idealne. Przypieczone na chrupko, teraz wystarczająco wystygły, żeby je zapakować. Każdy upiekł trzy i nie wyszło to najgorzej. Tylko dwóch chłopców postanowiło oprócz guzików, oczu i ust dorobić ludzikom ptaszki.

- Sam, Myfawny i Sara, wytrzyjcie, proszę, stoły. Tu są ściereczki.

- Ma pani ładny sweter, naprawdę śliczny.

- Dziękuję, Myfawny. Sam, zbierz okruszki na rękę, nie zrzucaj ich na podłogę. Tak, Saro, widziałam, jak David Llewelyn pociągnął cię za włosy, ale więcej tego nie robi, prawda, Davidzie?

Jak szalona uwijam się z miotłą. Wszystko musi być gotowe na zajęcia teoretyczne z trzynastolatkami dziś po południu. Sprawdzam notatki. Witaminy, minerały, węglowodany, dieta, niedobory.

Dzwonek na lunch brzęczy mi w uszach. Serce mocniej bije.

Minęło dwadzieścia dni od wyjazdu do Londynu i musiałam zadzwonić do Jacka, powiedzieć mu, co podejrzewam. Czego się obawiam.

- Stańcie wszyscy, proszę, przy ławkach. Nie zapomnijcie zabrać po lekcjach swoich pierników, dobrze?

Zgodnie kręcą główkami.

- Świetnie się spisaliście. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, panno Cadogan - odpowiada klasa. Dzieciaki wychodzą, tłocząc się w grupkach, jak to siedmiolatki.

Rowland Picken cmoka językiem, gdy mijam go na korytarzu.

- Drink dziś wieczorem o ósmej?

- Przykro mi, nie mogę - odpowiadam, nawet się nie zatrzymując. Trzymam głowę nisko, zdecydowana dorwać telefon w biurze jako pierwsza.

Kilka metrów dalej Angie wyciąga rękę, żeby mnie zatrzymać.

- Skąd ten pośpiech? Miałaś wieści od Moiry?

Przykro mi, Katie, odpowiada Ingrid, bo to zawsze ona odbiera telefon, Moira mówi, że jest zbyt zajęta, żeby teraz rozmawiać.

- Nie, jeszcze nie.

Angie robi nadąsaną minę i mówi, jaka to straszna szkoda.

Przyspieszam, mając nadzieję, że nie wpadnę już na nikogo po drodze. W końcu docieram do biura, otwieram drzwi, zaglądam do środka i widzę, że teren jest czysty.

Wybieram numer do szpitala St. Bartholomew, a potem wewnętrzny

- Doktor Thorpe, w czym mogę pomóc?

- Jack? - Przełykam ślinę. Słowa kotłują się w mojej głowie i nie potrafię ich uporządkować.

- Kochanie, wreszcie... - mówi pospiesznie. - To był tylko seks, najśłodsza, nic więcej, przysięgam. Nie kocham jej. Słuchaj, wyprowadzę się z tego domu, dobrze?

Patrzę na sufit, a potem zaciskam powieki.

- Posłuchaj, Katie, to się nigdy więcej nie powtórzy, obiecuję. To była ogromna pomyłka. Nie myślałem. Byłem pod wielką presją, widzisz i... - Urywa.

Ale co to był za wieczór! Trzy razy pod rząd. Moje ciało drętwieje.

- Jack, myślisz, że jestem kompletną idiotką? - pytam. - Wiesz, dlaczego zadzwoniłam? Słuchaj, ty kretynie, wykorzystałeś mnie, a potem... - Biorę głęboki wdech, żeby uspokoić serce, które wali jak szalone. - A teraz...

Odkładam słuchawkę na biurko i słucham, jak zawodzi, wołając moje imię. Czekam, aż w końcu rozlega się sygnał.

Nie mogłam mu powiedzieć. Do cholery, nie potrafiłam.

Znajduję Angie w pokoju nauczycielskim, jak wymachuje świeżo pomalowanymi paznokciami, żeby wyschły. Zerka na mnie i mówi: - Chodźmy coś zjeść.

Kiedy odjeżdżamy spod szkoły, odzywa się: - Powinnaś zrobić prawo jazdy. Pomyśl tylko, jaką to ci da swobodę.

Mówię jej, że ma rację, powinnam i zrobię.

Zajeżdża drogę innemu kierowcy, pokazuje mu środkowy palec na skrzyżowaniu, a ja, przekrzykując klaksony, mówię jej, że właśnie dzwoniłam do Jacka.

- Boże, Katie. Co się stało, skarbie? Opowiedz mi o wszystkim. Zamawiamy sałatkę ze szpinaku i marchewki w Wholefood Café.

Angie współczuje mi, naprawdę się przejmuje. - Katie, kochana moja. - I obie pogrążamy się w żalu. Ale nie jestem w stanie powiedzieć jej wszystkiego.

Och, Moi, myślę, tak za tobą tęsknię.

Ingrid? O Boże, zadzwoń czasem, dobrze?

Kiedy wracamy do pokoju nauczycielskiego, podziwiamy pulower, który Evie zrobiła dla swojego męża.

- Jest naprawdę piękny - mówię.

I rzeczywiście jest: wypukły wzór z kratek, warkoczy i supełków. Ma najcieplejszy, jaki można sobie wyobrazić, odcień brązu z odrobiną błękitu. Myślę, że pasowałby idealnie do karnacji Jacka.

Cholera!

Zrobię coś dla Griffa.

- Chciałabym pożyczyć jeden z twoich wzorów, Evie - mówię. W końcu będę teraz miała mnóstwo czasu na dzierganie, prawda? Rozbrzmiewa dzwonek na lekcje.

Rowland wpada, porywa papiery z krzesła.

- Zapomniałbym. Angie, Kate, którą z was, ślicznotki, mogę porwać dziś wieczorem?

- Ja jestem wolna - odpowiadam.

Angie otwiera oczy szerzej niż Rowland. - Nie on - odradza mi bezgłośnie, stając za jego plecami.

A niech to, sama powiedziała, że znowu powinnam zacząć chodzić na randki. W końcu Rowland jest niegroźny, więcej gada, niż robi. Tylko szybki drink, to wszystko, żeby przestała mnie męczyć. Do licha, równie dobrze mogę zacząć od niego. Możemy zabawić się w tę grę.

Nabazgrałam mu adres na kartce papieru.

- Ósma? - pyta.

Kiwam głową, a on w podskokach wychodzi za Angie.

W sali zajęć praktycznych zastaję dyrektora Basila Kirby'ego. Siedzi za moim biurkiem z Biblią w ręku.

Dzieci siedzą cicho, nieruchomo. Poruszają tylko oczami, rzucając spojrzenia to na mnie, to na niego. Włosy jeżą mi się na karku, gdy podchodzę do drapieznika.

- Dzień dobry, panie Kirby.

Zaciskam pięści, ale to nie wystarcza, nogi mam jak z waty.

- Panno Cadogan. - Basil Kirby wstaje, powoli podchodzi do mnie i zatacza krąg. - Sprawdziłem pani klasę. Nie ma pani Biblii w biurku.

- A po co miałabym mieć, panie Kirby?

W końcu i tak nie mam już szansy na odkupienie.

Jego twarz z bladej zmienia się w pąsową. - W każdym domu, w każdym hotelowym pokoju, w każdej szufladzie nauczycielskiego biurka w całej Wielkiej Brytanii powinien się znajdować egzemplarz Pisma Świętego.

Trzymając Biblię na wzniesionych do góry dłoniach, oferuje ją niebu. Właściwie to sufitowi.

- Panie Kirby, może da mi pan ten egzemplarz, który pan trzyma?

Wciska Pismo Święte pod pachę i wychodzi, odrzucając siwe włosy.

To wariat.

Szalejący świr.

Uśmiecham się i wzdycham do trzynastolatków. - No to zaczynamy - mówię, wzruszając ramionami. - Porozmawiajmy o witaminach, minerałach, węglowodanach, diecie i niedoborach, dobrze?

- To wariat, panno Cadogan - mówi Dimitri Kasoulos.

Jako nauczycielka powinnam umacniać autorytety i nigdy nie pozwalać uczniom na spoufalanie, jak mówią podręczniki pedagogiczne. Ale pieprzyć to.

- Nie da się ukryć, Dimitri.

Otwieram dziennik i znowu liczę, ile tygodni upłynęło od przyjęcia w Holland Park.

Proszę, powiedz, że się mylę, że to niemożliwe.

Albion Road, Cynboyd, Cardiff

Stojąc w budce telefonicznej przy Albion Road, wyjaśniam, dlaczego mogę przyjechać do Dorton dopiero jutro.

- Co to za okazja? - pyta Bidy.
- Wychodzę na drinka z kimś ze szkoły.
- Nie z tą Angie, mam nadzieję.
- Z Rowlandem.
- Mów dalej.
- Jasne włosy, wysoki i szczupły. Mnóstwo pryszczycy.
- Próbował leku na receptę?
- Boże, mam, nie wiem.
- Czy powinnaś się spotykać z mężczyzną, którego prawie nie znasz?

- On jest w porządku.

Zapomnij i idź naprzód, zasugerowała Angie. Wracaj do gry.

- Jemu może chodzić tylko o jedno - ostrzega mnie Bidy. Czeka na dalszy ciąg.

- A jak dobrze znałaś Jacka Thorpe'a? Nie zrozumiałaś tej lekcji?

- Zobaczymy się jutro, mam.

Istnieje szansa, że będę uczyła się tej lekcji przez resztę życia.

Siadam na miejscu pasażera w samochodzie Rowlanda. Plastikowy troll z różowymi włosami zwisa z wstecznego lusterka, a na tylnym siedzeniu - Boże, pomóż mi - wala się sterta „Playboyów”. Materiałowa tapicerka, czarna deska rozdzielcza, włączone radio i ja siedząca obok maniaka seksualnego.

- Dokąd jedziemy? - pytam.

- Do Dirty Duck w Pontycullin. Muszę powiedzieć, że jesteś seksowną kobietą, Kate Cadogan.

- Zabierz łapę z mojego uda, Rowland.

W Dirty Duck przypadkowa zbieranina siedemnastowiecznego piękna. Dębowe belki, niskie sufity, ściany z plecionki pokrytej tynkiem. Proszę Rowlanda o mały

kufel jasnego i ruszam do kominka, bo jest zimno i nie ma gdzie usiąść. Pub jest pełen robotników z farm. Są ich całe tabuny.

Patrzę, jak płomienie obejmują kłody, i zastanawiam się, co mnie opętało, żeby spotkać się Rowlandem. To forma zemsty? Jakby to obchodziło Jacka.

Kiedy Rowland wraca, oznajmia, że jestem mu winna siedemdziesiąt pięć pensów. Och, racja. Sięgam po portmonetkę. Myślę sobie, dobrze, każdy płaci za siebie, więc to znaczy, że zrozumiał.

- Tłoczny pub, prawda? Widzisz jakieś wolne miejsca? - pytam.

- Nie.

Staram się podtrzymać rozmowę. - Wiesz, kiedyś nazywał się Black Swan.

- Wiem.

- Gdzie chodziłeś do college'u?

- Do Bath.

- Lubisz uczyć? - Aha.

Hm.

Rowland upija łyk piwa, a potem łapie mnie za wolną rękę. Szybko, mówi, zanim ktoś inny zajmie miejsce. Przeciskamy się między ludźmi w stronę drewnianej ławy. Rowland siada, przez niego tracę równowagę i bum! ląduję mu na kolanach. Piwo leje mi się po rękę. - Rowland!

- Tak lepiej - odpowiada.

Teraz przynajmniej coś mówi. Rozmawiamy o Basilu Kirbym, który jest pomylnym psycholem, jak mówi Rowland. Napomykamy o moich zerwanych zaręczynach, a ja szybko zmieniam temat. Zastanawiamy się, co byśmy robili, gdybyśmy nie uczyli. Zająłabym się cateringiem, stwierdzam. Urządzałabym kolacje, robiłabym pyszne kanapki dla biur.

Otworzyłabym restaurację. Tak, Rowland, to prawda, naprawdę chciałabym otworzyć własną restaurację.

A on zająłby się taksówkami, podwoziłby bogaczy, a może dostarczałby limuzyny na śluby i woziłby panny młode.

Och, jak marzę, żeby wyrwać się z uścisku Rowlanda i zeskoczyć z jego kolan. Jest kościsty i kolana wbijają mi się w lewe udo. Ale nie chcę go urazić.

Kiedy pod prawym udem czuję, jak gniecie mnie coś innego, schowanego w bordowych dzwonach, zrywam się na równe nogi i proponuję, że przyniosę coś do picia.

Czekam przy barze, zastanawiając się, kiedy ta piekielna randka się skończy. Myślę, czy nie zamówić koniaku, ale wolę nie.

- Jesteś następna, kochana? - pyta barman.

- Duże piwo proszę i sok pomarańczowy. Wracam na miejsce. - Twoje piwo, Rowland.

Kiedy przeciąga palce po mojej dłoni, kręcąc głową i mówię mu, żeby oddał mi pieniądze.

Sięga do kieszeni, wyciąga drobne i proponuje: - Chodźmy do kina.

- Dobra.

A czemu nie? Co do diabła?

- A co grają w Odeonie?

- Egzorcystę. Dobry Boże.

- Świetnie - mówię.

Po bilety stoi całkiem spora kolejka. Patrząc na plakaty z umęczonym dzieckiem o żółtych demonicznych oczach i zastanawiam się, czy nie poprosić Rowlanda, aby odwiózł mnie już do domu.

Przesuwamy się do przodu w kolejce, dwadzieścia osób dzieli nas od „filmu, który otworzy drzwi do twoich najgłębszych lęków”. Czy naprawdę chcę to obejrzeć? Tak, bo

„gdzieś pomiędzy nauką a przesadami znajduje się inny świat”.

Każdy płaci za siebie i wchodzimy. W kinie panuje mrok, pełna napięcia atmosfera. Siadamy w pluszowych fotelach i zaczyna się film.

Rycząca i zgrzytająca muzyka zamienia moje nerwy w napięte postronki. Kiedy dziewczynka - demon rechocze i wymiotuje, zamieniam się w garstkę trzęsącej się galarety. Rowland z całej siły wbija mi paznokcie w kolano.

Kiedy film się kończy, wychodzimy w milczeniu. To było coś potwornego.

- Chyba lepiej odwiozę cię do domu, Kate.

- Dzięki, Rowland.

Otwiera drzwi do samochodu i wsiadam. Trzy razy musi przekręcić kluczyk w stacyjce, zanim udaje się zapalić silnik. Kopie w pedał gazu i klnie: - Pieprzony wóz.

Kiedy pieprzony wóz zatrzymuje się przed Albion Road 350, Rowland rzuca się na mnie. Jego język porusza się w moich ustach, a ręce obłapiają piersi, prycha jak dziewczynka - demon. Cholerna dźwignia zmiany biegów wbija mi się w biodro. Okładam go pięściami, bez skutku, więc łapię go za włosy i odciągam jego głowę.

- Zejdź ze mnie, ty... ty zboczeńcu! - Odpycham jego usta od moich. - Niech cię cholera!

Rowland opada na kierownicę i zakrywa twarz rękoma, śmiejąc się. - Przepraszam - mówi.

- Co do cholery tak cię śmieszy?

- Och, daj spokój, co złego w tym, że człowiek trochę się zabawi? Poprawiam włosy, naciągam kurtkę. Wystawiam nogę z samochodu, żeby szybko wysiąść, i rzucam: - Dobranoc, Rowland.

Co złego w tym, że człowiek trochę się zabawi? Do cholery, czy oni wszyscy są tacy sami?

Rozdział 24

Niedziela, 18 listopada Cherry Blossom Road 33, Dorton

Nic ciekawego nie działo się w Cardiff, więc uległam namowom ojca: „Przyjedź do nas na weekend, dobrze? W twojej kawalerce jest pewnie bardzo zimno”.

Rzeczywiście jest. Lodowato jak cholera.

Oczywiście Biddy lubi, kiedy chodzę z nią do kościoła, jak jestem w Dorton. Ale właśnie dochodzi jedenasta, a ona jeszcze mnie nie obudziła. Chociaż pewnie jest już za późno, schodzę na palcach w niedzielnym ubraniu z modlitewnikiem i różańcem w ręku.

- Biedna, biedna mamusia.
- O dobry Boże, biedactwo.
- Biedna babcia. Co się dzieje?

Biddy i ciocia Shauna szlochają cicho w korytarzu. Tata kręci się za nimi, powtarzając „ojej, ojej, ojej”, a Josie stoi z boku ze zmiętą chusteczką pod nosem.

- Babcia z Irlandii miała zawał - mówi Josie. - Byłaś w łóżku do tej pory?

Matka i ciotka proszą Najświętszą Panią, żeby poprowadziła ich mamusię do Boga w niebiosach.

Obejmuję je obie i mówię, jak bardzo mi przykro. Kiedy to się stało, gdzie była?

- W Cloondray, w fotelu na biegunach - mówi tata. - Lekarz powiedział, że zmarła we śnie.

Ledwie znałam babcię. Widziałam ją tylko cztery razy. Trzy razy w Irlandii, kiedy byłam dzieckiem. A potem, po jej ostatniej wizycie w Anglii dziesięć lat temu, coś się stało. To musiała być jakaś kłótnia. Biddy patrzyła, jak babka odpływa do Irlandii na promie St. Patrick, a jej usta i ręce poruszały się, jakby prowadziła ze sobą cichą, pełną westchnień rozmowę.

Potem w samochodzie, w drodze powrotnej do Dorton, wszystko się wydało. Mamusia nie przyznałaby, że Barney i

Shauna to jej ulubieńczy, Tom, ani że Biddy równie dobrze mogłaby zgnieć w piekle.

Płacz matki przywołuje mnie do terażniejszości. - Jasne, a Barney, mój wspaniały brat, jest teraz ustawiony, skoro przekazała mu w testamencie całą farmę, prawda?

- Biedna mama, miała tylko siedemdziesiąt siedem lat - mówi ciotka Shauna, odsuwając się, żeby wytrzeć nos. - Liczyłam na to, że Bóg da jej trochę więcej czasu. Tak szybko zabrał tatę.

Nadal jedną ręką obejmuję Biddy, a mój różaniec wisi nad jej ramieniem. Matka klepie moją rękę, a potem ją strąca.

- Napijemy się herbaty? - pytam.

- Ja zaparzę, ciociu Biddy - mówi Josie, maszerując ze skrzyżowanymi rękoma.

Dobra, więc w takim razie przyniosę cholerne herbatniki. Odkładam modlitewnik i różaniec na schody i ruszam do kuchni za kuzynką, wołając: - Mamo, tato, ciociu, wy sobie usiądźcie.

- Co za szkoda - mówię do Josie, sięgając po herbatniki.

- Aha. Poproszę Colina, żeby pojechał ze mną na pogrzeb.

- Odpowiada, machając mi pod nosem palcami.

- Jaki piękny pierścionek - zauważam.

- Przykro mi z powodu Jacka - odpowiada.

Jej narzeczony to kolega z pracy, kasjer w banku Barclay. Josie nie dostała jeszcze pracy w kancelarii prawnej, mówi Biddy, ale jaka z niej bystra dziewczyna, skoro skończyła studia prawnicze.

Wnoszę do salonu tacę, pozwalając, żeby Josie przyniosła imbryk.

Stawia go na stoliku do kawy, potem wyjmuję z kieszeni inhalator i siada obok mojej matki. Tak, nic jej nie jest, ciociu Biddy, a raczej nie będzie, gdy tylko weźmie kilka wdechów.

Siadam u stóp taty.

- Kto wystawi ciało mamy? - pyta ciotka Shauna.

- Och, na pewno sąsiedzi. No bo nie żona Barneya. Oona nie ma za grosz rozsądku. - Biddy nalewa herbaty. - Kate, zapomniałaś o mojej sacharynie, wiesz, że nie tknę cukru. Och, dziękuję ci, Josie, kochana z ciebie dziewczyna. Jest w kuchni, trzecia szafka.

- Cóż - mówi Shauna. - Lepiej popłynemy do Dun Laoghaire. Wyruszymy w środę i wrócimy w niedzielę?

Sączę herbatę. - Ja też pojedę?

- A masz czarną spódnicę? - pyta Biddy. - Pożyczę ci przyzwoity płaszcz i kapelusz.

Powinam jutro zawiadomić Basila Kirby'ego.

- Weźmiemy ze sobą pieniądze - mówi ciotka. - Na jedzenie.

- Weźmiemy trochę chleba i ciast owocowych ze sklepu, nic więcej. Barneya i Oonę stać na porządną stypę.

- Muzyka. A co zrobimy z muzyką?

Rozmowa trwa. Jaki rodzaj trumny? Och, pani Dunstable, dobra klientka piekarni, odzywa się Biddy, zamówiła dla swojej matki piękną trumnę. Okleina dębowa, wyściełana na biało, z falbanką i poduszką. Z mosiężnym wykończeniem i grawerowaną tabliczką.

Cóż, stwierdza ciotka, mam numer do domu pogrzebowego w samym Cloonray, dostałam go w zeszłym roku od znajomego Franka. Shamus pochował żonę w luksusowej trumnie Buckingham.

Zachłystuję się okruszkami z herbatników i kaszlę.

- Czysty dąb z podnoszonym wiekiem - ciągnie ciotka. - Nic ci nie jest, Katie? Napij się herbaty. Wspaniałej jakości wykończenie, odlewane z brązu dodatki i ręcznie malowana tabliczka.

- Musimy zapewnić biednej mamie to, co najlepsze - mówi Biddy. - I pokazać całemu Cloonray, że to my

kupiłyśmy trumnę i nagrobek, a co ważniejsze, że stać nas na najlepsze. - Urywa, po czym dodaje: - Chociaż nie odziedziczyłam nawet porcelanowej wazy, nie wspominając o kawałku ziemi. - Nalewa sobie herbaty. - Och, Shauna, muszę kupić nowe buty. Widziałam czarne z zamszowymi guzikami. Byłyby wspaniałe.

Rozdział 25

Środa, 21 listopada Port Holyhead

Ciotka Shauna wzdycha ciężko na myśl o wypłynięciu na morze, a nie opuściliśmy jeszcze nawet portu Holyhead. Siedzę obok niej na ławeczce. Pogoda jest równie marna jak moje samopoczucie. Niebo jest szare, morze się burzy, fale załamują. Będziemy miały nieprzyjemną podróż, och, dobry Boże. Spóźniam się już trzynaście dni.

Inaczej niż zwykle.

Mija nas grupka hałaśliwych dzieci. Cała piątka drepczących, śmiejących się i podskakujących dzieciaków. Biegają wokół matki w zaawansowanej ciąży z szóstym.

- Patrz, nie żal ci kobiety w takiej sytuacji? - odzywa się ciotka Shauna. - Zapomnij, co mówi papież, można chyba oczekiwać, że facet czegoś użyje i da odpocząć żonie.

O Boże.

Samochody stoją nieruchomo, każdy rząd czeka na pozwolenie na wjazd. Josie i jej narzeczony śpią na tylnym siedzeniu samochodu wujka Franka, podczas gdy on sam pochrapuje z przodu. Moi rodzice wypełniają samochód dymem papierosowym, żeby zabić czas.

Musiałam wysiąść, aby uciec przed „co się dzieje”, „nie mam za bardzo o czym mówić” i „czy mogłam, proszę, odpowiedzieć ojcu jak należy?”.

Nieźle ze mnie towarzystwo.

Och, Jack.

Ciotka mnie szturcha. - Samochody wjeżdżają na prom. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Idziemy, Katie.

Wlokę się za nią. Wstaliśmy o czwartej rano. Wsiadam do kapsuły pełnej dymu, a tata podjeżdża do promu. Zamykam oczy i słucham wrzasków. Ej, ej! W lewo, ostro na prawo, odrobinę, no dalej, dalej, naprzód, bum! Dobrze, proszę wyłączyć silnik, proszę pana.

Potem rozlega się brzęk łańcuchów, ryk syreny, a wokół rozchodzi się zapach benzyny, oleju i smażonego bekonu. W stołówce zaczęli już szykować irlandzkie śniadanie.

- Tom, zamknij samochód. Sprawdziłeś wszystkie drzwi? Pamiętałeś o moim płaszczu? Zapomniałeś o poduszce. Potrzebuję jej. - Biddy poprawia włosy w bocznym lusterku i pyta mnie, czy z tyłu leżą płasko.

Jesteśmy gotowi, rodzina Cadoganów i Boyle'ów, stawić czoło rejsowi przez Morze Irlandzkie do Dun Laoghaire.

Ruszam do poczekalni. Reszta idzie na kaszanke, jajka, kiełbaski i smażony chleb. Rety, po czymś takim ciotka Shauna będzie nieraz potrzebowała papierowej torby. I ja też, jeśli będę o tym myślała.

- Cead mile failte - mówi piegowaty steward. - Witamy. Prom przechyla się lekko w jedną stronę. Czuję, jak się zanurza i kołysze na falach.

Jest mi niedobrze, potwornie niedobrze.

Rozdział 26

Czwartek, 22 listopada Farma Longshank, Cloondray

No to jestem tu, na farmie Longshank w Cloondray, w Irlandii. Przyjechaliśmy wczoraj, o szóstej wieczorem.

Wuj Barney powitał nas ciepło. Tego się nie spodziewałam. I poznałam wreszcie jego żonę Oonę. Nakarmiła nas zupą i chlebem sodowym, a łóżka miała już zaścielone świeżą pościelą. Padłam na swoje o dziesiątej i szybko zasnęłam.

Teraz już nie śpię, patrzę na pęknięcia na suficie i myślę o babce, która leży w sąsiednim pokoju otoczona świecami. Spojrzałam na jej ciało wczoraj wieczorem. To pusta skorupa, sztywna, w falbaniastym habicie. W jej twarzy ujrzałam siebie i Biddy. Nazywała się Theresa Geraghty z domu Connolly.

Cholera, jest dopiero wpół do szóstej, ale lepiej już wstanę. Zdecydowanie za dużo myślę, gdy zostaję sama, a na pewno już nie przysnę, gdy obok chrapie Josie.

Spuszczam nogi z puchowego łóżka. Podłoga jest zimna. Myślę o Biddy, która biegała po tych kamiennych płytach jako dziecko. Pomyśleć, że właśnie w tym pokoju pchała się na świat, gdy Theresa Geraghty krzyczała, prosząc Boga, żeby położył temu kres, z nadgarstkami przywiązanymi porwanymi prześcieradłami do wezłowania. Ciotka Shauna mówiła, że była przy narodzinach brata i siostry, nosiła gorącą wodę, mydło, nawet miskę na łożysko.

Owijam się w długi sweter i wsuwam stopy w drewniaki. W nich przejdę po trawie, żwirze i błocie do wychodka na zewnątrz.

Poranek jest wilgotny, słońce blacie, żywopłoty i drzewa przybrały żywy odcień musztardy i zieleni. Pukam do drzwi ubikacji i zerkam na kamienną sylwetkę i kryty strzechą dach Longshank, domu jak z obrazka, w którym dorastała moja matka.

Wygląda na to, że toaleta jest pusta, więc wchodzę. Zbieram się w sobie, zanim podnoszę klapę siedzenia. Nie wiem, co jest nie tak z tym turkusowym środkiem chemicznym, ale wydziela przyprawiający mnie o mdłości słodkawy zapach.

Dobra, dość tego. Wychodzę z budki, przechodzę przez bramę i znajduję sobie ustronne miejsce, żeby przykucnąć na polu.

Co za ulga wejść z powrotem do ciepłego domu. Gdy idę do kuchni, słodki aromat podobny do tytoniu fajkowego napędza mnie uczuciem, którego nie potrafię zdefiniować. To zapach, który witał Bidy każdego ranka. To zapach płonącego torfu. Jest i Oona wpychająca jego kawałki do pieca.

- Dzień dobry, Katie. Ale z ciebie ranny ptaszek. Dobrze spałaś? Przynieść ci śniadanie?

- Bardzo chętnie. Dziękuję.

Ociera ręce o fartuch w kratę i wyciąga ramiona, więc w odpowiedzi podchodzę dwa kroki bliżej.

- Bardzo proszę - mówi, przytulając mnie. - To cudownie, że wreszcie cię poznałam. Szkoda, że w tak smutnej chwili. Wczoraj było za ciemno, ale teraz wyraźnie widzę, że jesteś nieodrodną wnuczką Theresy Geraghty.

Wsuwam się na długą ławkę i kładę łokcie na stole, opierając głowę na rękach. I wtedy właśnie dostrzegam gromadę kociąt śpiących grzecznie w kartonowym pudełku. - Gdzie jest ich matka?

- Prudence poszła się napić. Zawsze się wymyka w porze dojenia.

Patrzę, jak Oona kroi chleb i wrzuca jajka do gotującej się wody. - Planuję wziąć sobie kotkę. Pewnie nazwę ją Dinah - mówię.

Oona pochyła się i podnosi jedno z kociąt. Rozkłada małą łapkę między kciukiem a palcem wskazującym.

- Zobacz tylko.

- Rety, sześć paluszków!

Oona całuje wierzące się kocię i kładzie mi je na kolanach.

- Jedyna dziewczynka w miocie, dla ciebie. Zabierz ją do domu.

Trzymam w dłoni małe ciało o kruchych łapkach i pytam Oonę, czy na pewno mogę.

- To prezent ode mnie - mówi.

- Dziękuję!

- Powiem Barneyowi, żeby poszukał drewnianej skrzynki dla Dinah. Na pewno nie będzie problemu z przewiezieniem jej do Anglii.

Odsuwa pasemko wilgotnych włosów z czoła i widzę, że nad zielonymi oczami lśni pot. - Zrobiłam dwie pieczenie, szynkę i porcję świeżego masła. Miejmy nadzieję, że razem z chlebem, ciastami i piwem starczy tego dla gości i żałobników. - Wierzchem dłoni ociera łzę z policzka. - Boże, miej w opiece duszę babki.

Oona to głupia kobieta, leniwa. I prawda, że zawsze miała oko na każdy grosik mamy, nie wspominając już o ziemi?

- O, idą krowy. Już po dojeniu. Barney zaraz będzie chciał zjeść śniadanie. - Rozrabia w misie mąkę i zimne ziemniaki na ciasto.

- Placki z ziemniaków? - pytam.

- Chcesz spróbować?

Odkładam Dinah z powrotem do braci i potwierdzam z uśmiechem, że chętnie. Oona przechodzi do zlewu, żeby splukać ręce. Wtedy słyszę szuranie, brzęk, chlupot i kroki Barneya. Czarno - białe krowy przechodzą obok otwartych drzwi, mucząc cicho. Zalatuje cierpki zapach mleka i siana. Kilka krów wychodzi z szeregu i zagląda ciekawie do kuchni.

Rozdymają różowe nozdrza, przewracają oczami i machają ogonami, a potem ruszają za resztą, znowu mucząc.

- Hałaśliwe, prawda? - mówi Oona, stawiając przede mną śniadanie.

Patrzę na procesję, aż Barney strzela ostatnią w zadek i posyła przez bramę na pole. Podoba mi się tutaj.

- Jak ci się układało z babcią? - pytam Oonę.

- Cóż, szczerze mówiąc... Theresa miała ostry język i wszystko trzymała żelazną ręką. Była bardzo dziwna. Słodka, a potem złośliwa. W jednej chwili mnie kochała, w drugiej mną gardziła.

Zupełnie jak Biddy.

Oona śmieje się, ale ze smutkiem. - Twoja matka też nie za bardzo mnie lubi. Zamiera.

- Och, przepraszam, nie powinnam tego mówić. Zasłaniając usta pulchną dłonią, siada przy stole. Zanurzam łyżkę z jajkiem w maleńkim kopczyku soli na brzegu talerza i zjadam je z kawałkiem tostu. A niech to, powiem.

- Mnie też matka za bardzo nie lubi. Ale dlaczego?

- A do kogo właściwie należy serce twojego ojca? - szepcze Oona. - To jasne, że ma obsesję na twoim punkcie.

Patrzemy sobie w oczy. Biddy jest zazdrosna? Ale nic więcej nie możemy powiedzieć, bo wchodzi Josie. Oona ściska mi rękę i kiwa głową, a potem głaszcze mnie po włosach. Złowieszcze wycie przerywa ciszę.

- Co to było, do diabła? - pyta Josie.

Oona zgrzyta krzesłem po kamiennej podłodze, gdy podrywa się, żeby wstawić czajnik. - Nie zwracaj uwagi. To stara pani Rooney.

Pani Rooney zaczęła lamentować, gdy biedną Theresę wystawiono w poniedziałek, mówi Oona, wałkując ciasto z ziemniakami, a potem wycinając kółka starym słoikiem po dżemie. Już rzadko w tych okolicach praktykuje się takie

lamenty, ale starsza pani nalegała. Przez całą noc siedziała przy Theresie. Pewnie zdrzemnęła się na chwilę w fotelu, a teraz obudziła się i znowu zaczęła. Oona powinna jej zanieść filiżankę herbaty i coś na ząb, jak tylko wrzuci placki z ziemniakami na ruszt.

Wychodzi z kuchni. Jej spódnica ma mnóstwo fałd, a brązowe włosy są zupełnie splątane i związane wstążką. Jak ktokolwiek na świecie mógłby jej nie lubić?

Josie stoi do mnie tyłem i grzeje ręce nad kuchenką. - Ciotka Bidy mówi, że Barney i Oona mogliby przynajmniej dać mi parę mebli. W końcu niedługo pobieramy się z Colinem - mówi.

Ignoruję tę głupią sukę i kończę jeść, a potem wychodzę, żeby się ubrać. Pomogę Oonie przygotować wszystko do pogrzebu. Wątpię, czy w ogóle spała tej nocy.

Spotykam ją w korytarzu. - Niedługo stara pani Rooney znowu zacznie lamentować, więc się nie przestrasz - szepcze. - Pomożesz mi nakarmić kurczęta i cielęta, jak już się ubierzesz?

- Z przyjemnością - mówię i wtedy pojawia się Bidy całkiem już ubrana.

- Dzień dobry, Kate - uśmiecha się do mnie przelotnie.

- Dzień dobry, Oona - rzuca, nawet nie patrząc na bratową.

Karmimy cielęta z wiader, a potem pomagam Oonie przygotować tłuczoną karmę dla kurcząt. Przekrzykując gdakanie, Oona mówi mi, że Bidy potrafi być okrutną kobietą. Ile razy, już po zaręczynach z Barneyem, widziała, jak Oona płacze, gdy dawała jej jasno do zrozumienia, że nie chce, aby weszła do rodziny Geraghty. Wracaj do domu, mówiła, do swoich siedemnastu braci i sióstr. Myślisz, że mama zdoła utrzymać tabun dzieciaków, które urodzisz?

- Biddy miała tylko mnie - mówię. - Jak myślisz, co robiła? Zachowywała wstrzemięźliwość? Jest gorliwą katoliczką.

- Nie, Biddy w dość jednoznaczny sposób wytłumaczyła mi, że jeśli jednak się pobierzemy, Barney powinien wycofywać się w odpowiedniej chwili. - Oona szturchnęła mnie. - Wyobrażasz sobie, żeby ktoś dawał ci takie rady?

Potrafię wyobrazić sobie moją matkę, jak udziela wszelkich rad.

- Ale naprawdę smutne jest to - mówi Oona, zeskrobując resztki karmy na ziemię - że nie mogę mieć dzieci. Bóg nie dał mi ani jednego własnego dziecka.

Biedna Oona. Dobry Boże, mam nadzieję, że nie dałeś mi żadnego.

To byłoby takie niesprawiedliwe.

O dwunastej goście i żałobnicy wypełniają ciemną sypialnię, żeby pożegnać się z Theresą. Stoi tam Biddy. Głaszcze solidną dębową trumnę ze wspaniałym obiciem, uniesionym wiekiem, wykończeniami z odlewanego brązu i ręcznie malowaną tabliczką.

Tak, to piękna trumna, mówi. Obie z Shauną zdecydowały, że tylko to, co najlepsze, jest dość dobre dla mamusi, która sama dla siebie wybrałaby to samo.

Idę do kuchni, żeby podawać bułki z kawałkami wołowiny i szynki. Narzeczony Josie Colin męczy się strasznie przy rozlewaniu drinków. Twarz ma czerwoną jak pomidor, gdy stara się nadażyć.

- Whisky, proszę pana? Już podaję.

- Dobra, ale nalejesz porządnie? - pyta bezzębna postać, szturchając szklanką szyjkę butelki.

- Zatrzymaj sobie lód - mówi potężny brodacz wciśnięty w czarny garnitur. - Chcesz zepsuć porządny napitek?

- Duży guinness dobrze by mi zrobił - szepcze słabo pani Rooney.

- Słodką sherry, proszę.

- Kropelkę szkockiej.

- Jedno czerwone i trzy białe wina.

- Jeszcze jednego guinnessa. Potrzebujemy nowego barmana, chłopcy? Jasne, przecież stoimy tu i umieramy z pragnienia!

Biedny Colin.

Kiedy mówię, że jestem z rodziny, współczują mi, składają kondolencje. Zostają ze słowami składającymi się na obraz, który wiele mówi o mojej babce. Miała najgęstsze włosy, najbardziej rumiane policzki i najgłębsze oczy w całej okolicy. Piekła wspaniałą wołowinę, potrafiła w jeden dzień skopać pole ziemniaków. Potrafiła kopać torf na bagnie razem z najbardziej krzepkimi robotnikami, pomagała przy belowaniu siana, prowadziła traktor. Silny charakter, ostry charakter, nikt nie śmiałyby się jej przeciwstawić, niech spoczywa w pokoju.

Zdrowie, Kate, prawda, że masz oczy babki? Pewnie, że ma, prawda, Oona? Tylko popatrz.

Wkrótce w domu Longshank roi się od ludzi świętujących bogate i ogniste życie, jakie Theresa Geraghty wiodła na ziemskim padole.

Kiedy zjawia się ojciec Rafferty, zmawiamy różaniec chórem, kończąc słowami et lux perpetua luceat ei. Requiescat in pace. Amen. Amen.

Babka zostaje wyniesiona do sterylnej karawanu. I wtedy płaczę.

Biddy poprawia mi czarny kapelusz, mały toczek z piórkiem, i odsuwa się na krok.

- Obciągnij spódnicę, podnosi się z tyłu. Masz czerwoną szminkę? Jesteś blada jak ściana. Pokaż mi. Dobrze. Ściągnij łopatki. Shauna, weźmiesz do kościoła pudełko chusteczek?

Tata jest cały sztywny i wyprostowany. Włosy ma porządnie ulizane, obnosi się z nowym przedziałkiem na boku. Bidy liże palec i ściera mu coś z kołnierzyka. - Tom, wyprowadź mnie.

Wuj Frank i ciocia Shauna idą za nami, a potem Josie z Colinem, a kiedy się obracam, widzę Barneya z rękami na biodrach. - Weźcie mnie pod ramię, dziewczyny - mówi do mnie i Oony. - Czas pożegnać się z mamą.

Mijamy przy wyjściu muzyków, którzy siedzą na kamiennej ławeczce na podwórzu i piją portera. - Urządzimy niezłą zabawę - zapewniają Barneya, unosząc kufle.

- Mama zawsze lubiła porządne tańce - mówi Barney.

Po nabożeństwie, kiedy stoimy na cmentarzu przed pochówkiem, biorę Bidy za rękę w rękawiczce.

- Musisz mnie puścić - szepcze. - Potrzebuję obu dłoni, żeby się modlić.

Patrzę, jak przesuwa koraliki różańca z cichym zacięciem, bezgłośnie poruszając ustami.

Autorytet, dyscyplina. Chwytam się myśli, że wynika to z miłości i potrzeby opieki. Cokolwiek to jest, w dziwny sposób uspokaja.

Zwłaszcza teraz.

- Boże, za Twoim miłosierdziem dusze wiernych odnajdują spokój - mówi ksiądz. - Proszę, pobłogosław ten grób. Niech Twój święci aniołowie go strzegą. I uwolnij od wszystkich grzechów duszę Theresy Geraghty, której ciało chowamy tutaj, aby na wieki połączyła się z Tobą i wszystkimi świętymi. Per Christum Dominum nostrum.

Niedziela, 25 listopada

Oona pyta tatę, czy zostało jeszcze miejsce w bagażniku jego samochodu. Kiedy mówi, że tak, Oona pędzi do jadalni i pojawia się z paczką podpisaną „Kate/Ostrożnie”.

- Tom, zapakuj to ostrożnie - mówi, mrugając do mnie. - Nie chciałabym, żeby coś z tego się potłukło.

A kiedy ściskamy się i żegnamy, Oona mówi: - To szkło twojej babki. Chciałam, żebyś je dostała.

Uśmiecha się i w policzkach robią jej się dołeczki.

- Barney, włożyłeś do drewnianego pudełka dużo gazet?

- Tak. Proszę, Katie.

Kiedy widzę okrągłe patrzące na mnie oczy Dinah, dziękuję szeptem.

- Nie stój tak, marnując czas na podziękowania - mówi Oona ze łzami w oczach. - Bo spóźnicie się na prom i matka zrobi ci awanturę. - Zniża głos. - Skup się na dobrych stronach Bidy. Tych dziwnych chwilach miłości. W ten sposób znosiłam Theresę. Niech Bóg opiekuje się jej energiczną duszą. A teraz jedź i nie zapomnij napisać kartki albo dwóch.

Rozdział 27

Sobota, 1 grudnia Cherry Blossom Road 33, Dorton

Nadszedł weekend, więc znowu jestem w Dorton. Siedzę po turecku na swoim starym łóżku. Pociągając za wełnę, patrzę, jak prują się oczka, rząd za rzędem. Ale kiedy dochodzę do mankietu, włóczka się rwie.

Pęknięta nić. Złamane serce.

Łapię skręconą włóczkę i chowam w niej twarz. Czy kiedykolwiek uda mi się ten cholerny ścieg? Czy zdążę skończyć sweter dla Griffa przed Bożym Narodzeniem?

I tylko ciągle szepczę: Jack, Jack, Jack.

Chyba nadal cię kocham, Jack.

Pozwalam spadać łzom, ciężkim i gorącym.

Osobne sypialnie, Kate, osobne życia.

Jego słowa pieściły, palce czule mnie dotykały, a ciało nalegało aż do bólu.

Kochasz mnie?

Pozwól, że pokażę ci, jak bardzo, Katie. Cholera, cholera, cholera.

Dinah przerywa moje żale miauknięciem. Wskakuje na łóżko, kręci się i zapada w nagły sen, jak to kocięta. Głaszczę jej malutkie ciało.

Frontowe drzwi zamykają się z trzaskiem, słyszę gorącą wymianę zdań. Biddy i tata znowu się kłócą, ale wygra moja matka. Zawsze wygrywa.

Wstaję z łóżka, zakradam się do drzwi, uchylam je i słucham.

- Kiedy ostatni raz zabrałeś mnie na wakacje, Tom? Powiedz tylko.

- O czym ty mówisz, Biddy? Każdego lata wiozę cię z przyczepą tam, gdzie chcesz.

- I ja odwalam prawie całą robotę. Pakuję, sprzątam, gotuję. Większość mężów zabiera żony do hotelu, ale ja nie mam tego szczęścia.

- A skąd mamy wziąć pieniądze na hotel?

Wiem, co teraz będzie. Ona spodziewa się, że on się trochę wysili. Ale nie, on tylko patrzy, jak inni dostają awans, i co robi? Nic. Przez całe małżeństwo urabiała sobie ręce po łokcie, bo on nigdy nie zarabiał dość, żeby utrzymać ich oboje.

- Mam dość słuchania tego, Biddy. Dość. Nigdy nie przestajesz, co?

Zamykam drzwi na zamek. Matka rzeczywiście ciężko pracuje, obsesyjnie wręcz, nie sposób zaprzeczyć.

Słyszę mamrotanie: - Staram się jak mogę, Biddy. Biedny tata.

Co za beznadziejny wieczór. Wyglądam przez okno i widzę deszcz spadający na falujące na wietrze prześcieradła. Znowu trzaskają frontowe drzwi. Widzę sylwetkę Biddy stojącą na podjeździe z czerwonym punkcikiem od zapalonego papierosa między palcami. Przejeżdża samochód i jego światła ukazują jej twarz. Biddy podnosi wzrok i patrzy na mnie. Ma twarz wykrzywioną z gniewu.

Zaciągam zasłony i słyszę jej dźwięczący czysto głos. - Tylko nie waż się podrzeć tych porządnych zasłon.

Tak, ,to jest Biddy. Moja matka. Nadal mająca blizny, żywiąca urazy z dzieciństwa. A może taka się już urodziła? Taka jest i nigdy się nie zmieni?

Jak było na początku, teraz i zawsze i na wieki wieków.

Może od teraz powinnam spędzać weekendy w Cardiff. Cholera, co tak naprawdę chcę robić? Co powinnam? Kiedy podejmę decyzję i będę się jej trzymać do końca życia?

Gaszę światło i kładę się obok Dinah.

Sen pomoże. Zawsze tak było.

Obejmuję brzuch i zamykam oczy.

Dinah budzi mnie miauczeniem. Chce do kuwety. Która to godzina? Za zasłonami rozbłyska światło, a po nim przetacza się grzmot. A razem z grzmotem rozlega się głośnie pukanie do drzwi.

Łapię zegarek. Jest pierwsza w nocy.

- Mamo? - Zwlekam się z łóżka, otwieram zamek i Dinah przelatuje między nogami Biddy.

- Kolacja czeka na ciebie na stole. Zimna.

Tata krąży za plecami matki. - Dlaczego nie zeszłaś?

- Bo się kłóciliście - odpowiadam.

Kładę rękę na splątanych włosach i próbuję rozczesać je palcami.

- Mam wyrzucić wszystko z talerza do kosza czy zjesz kolację? Frustracja narasta we mnie. Chcę warknąć, odgryźć się, zemścić, ale jestem zbyt zmęczona. Poza tym jaki to ma sens?

- Zjem. Dziękuję.

Po tym jak Biddy podgrzała smażoną rybę, próbuję przełknąć kolację mimo guli w gardle. Czy ktoś do mnie dzwonił, tato? Nie. Dlaczego ostatnio tyle śpię? Nie wiem.

Siedzą po obu stronach kuchennego stołu i patrzą, jak bawię się jedzeniem. Grzmot znowu rozdziera niebo i ryczy.

- Słuchaj - mówi Biddy. Ma jeszcze wilgotne włosy. - Tata robi mi prezent na Gwiazdkę. Wybieramy się na wyspę Wight.

- Zatrzymamy się na tydzień w hotelu - mówi tata. Wygląda na zadowolonego i dumnego z siebie.

- Pracownicy zajmą się piekarnią - mówi Biddy. - A ty gdzie pojedziesz?

- Do Llandafan - odpowiadam bez chwili zastanowienia. - Spędzę święta w Walii.

- Będziesz się dobrze bawić - uśmiecha się tata.

Odsuwam talerz i patrzę na świeżo pomalowane kuchenne ściany. Na szaro. Przełykam gulę stojącą w gardle i mam ochotę westchnąć. Czy jestem w ciąży?

- Popatrz na nią, jest urażona tym, że wyjeżdżamy - stwierdza Biddy.

- Wcale nie - staram się mówić cicho, żeby nie sprowokować kłótni. To ostatnia rzecz, jakiej mi teraz trzeba.

Biddy zabiera moją kolację i wrzuca wszystko, łącznie z talerzem, do kosza. - Chodźmy na górę, Tom. Jestem zmęczona. Raz, dwa, trzy, cztery... W myślach liczę do dziesięciu.

- Zaraz przyjdę - mówi tata.

- Chodź, Tom.

Tata patrzy na moją twarz, potem odwraca się, wyjmując talerz z kosza, wkłada go do zlewu i wychodzi.

Dinah ociera się o moje nogi. Podnoszę ją i wsuwam pod brodę. Może spać dzisiaj w moim pokoju, potrzebuję towarzystwa.

Kiedy mijam sypialnię rodziców słyszę: - Wcale się nie wygłupiam, Tom. Zawsze wolałeś Kate ode mnie.

- Na miłość boską, Biddy, co ty wygadujesz?

- Mówię serio, Tom.

Rozdział 28

Solborne Road 67 Notting Hill, Londyn 5 grudnia 1973

Katie!

Nawet nie wiesz, jak bardzo się ucieszyłam, że do mnie napisałaś. Ale to JA, kochanie, powinnam przepraszać. Czy wybaczysz mi kiedykolwiek, że byłam taką podłą i okropną wiedźmą? Nie wiem, co mnie ugryzło, żeby tak się obrażać, bo jakiś facet wołał ciebie zamiast mnie.

Byłyśmy przyjaciółkami, odkąd pamiętam, a ja prawie to zniszczyłam. Angie dzwoniła, powiedziała mi o Jacku. Słuchaj, niedługo wpadnę odwiedzić moich staruszków. Spotkamy się? Wyproszę kilka dni wolnego. To może oznaczać, że będę musiała pracować w Boże Narodzenie, ale co mi tam. Jestem na każde twoje zawołanie, jak zawsze.

Wszystko u ciebie w porządku? Boże, jak za tobą tęskniłam. Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Tony całusów, Moira

Rozdział 29

Boże Narodzenie Ty Wen, Llandafan

Zeskrobuje paznokciem mróz z szyby, żeby popatrzeć na wirujące w powietrzu płatki śniegu. W oddali widzę jak za mgłą bażancie pióra: szkarłatne, szmaragdowe, rdzawe. To jakiś samotny samiec.

Zapadam się z powrotem w poduszkę i rozkoszuję wygodą łóżka na poddaszu w Ty Wen.

Mamgu wymiesza cebulki z szałwią i okruchami chleba, żeby zrobić nadzienie do indyka. Może wyłuska parę orzechów laskowych, które znalazła przy żywopłotach, rozgniecie je i też doda razem z jajkami.

Za minutę wstanę i jej pomogę. Skropię świąteczny pudding, który zrobiłam w Dorton, odrobiną brandy, zanim zawinę go w muślin. A potem zostawię, żeby parował nad gotującą się na wolnym ogniu wodą. W puddingu jest mnóstwo rodzynek, skórki pomarańczowej, suszonych śliwek, orzechów włoskich...

Burczy mi w brzuchu. W moim okrągłym brzuchu. Dotykam piersi, ich wrażliwość napętnia mnie niepokojem. Bogu dzięki, że Biddy niczego nie zauważyła. Na razie. Zatrzymam dziecko, choćby nie wiem co, ale nie wolno mi teraz o tym myśleć. Nie dziś. Nie w Boże Narodzenie.

Myślę o żłóbku i pasterzach, o mędrkach i podarunkach. Skończyłam szalik dla Biddy, zwiewny jak pajęczyna, a kiedy zrobiłam ostatni rząd kamizelki taty, pracowałam nad swetrem dla drobnego Griffa. Tym razem się udało. Schowałam paczki w walizkach rodziców, zanim wyjechali na wyspę Wight. Zawinęłam je w papier ozdobiony ostrokrzewem.

Kiedy słyszę stłumione uderzenia dzwonów z kaplicy w Llandafan, moje myśli znowu płyną do tamtej niedzieli w

Holland Park, tego ranka, gdy leżałam w łóżku Jacka, patrząc, jak zasłony falują w oknie.

Wiem, że powinnam do niego zadzwonić. Moira powiedziała, że muszę. Właściwie to zagroziła, że zrobi to za mnie, jeśli będę dłużej zwlekać. CO? Jesteś w ciąży? A to pieprzony łajdak, Kate. Oczywiście, że dotrzymają z Ingrid tajemnicy. Kiedy powiem Biddy? Czy chcę, żeby były wtedy przy mnie?

O Boże. Muszę wstać.

Mamgu i Griff nie idą do kaplicy. Mówią, że mieli dość szkółki niedzielnej, kiedy byli młodzi i wmuszano im religię na siłę. Wzdrygam się z zimna, gdy wciągam grube skarpety, wsuwam nogi w sztruksy i walczę z dzierganym swetrem. Zbiegam na dół. Aromat ziół i przypraw, blask ognia i zaśpiew walijskiego chóru rozgrzewają mi serce i poprawiają samopoczucie. To jest najwłaściwsze miejsce.

Podkręcam nieco głośniej radio.

- Nadolig Llawen. - Całuję i przytulam dziadków. - Szczęśliwego Bożego Narodzenia.

Mamgu powiesiła ciasteczka w kształcie gwiazdek na małym świerku przy tylnych drzwiach, a wokół kubła, do którego wsadzono drzewko, leży masa prezentów.

- Zrobię śniadanie! - mówię, zanim zamknę się w łazience.

Woda jest ciepła, piecyk gazowy dobrze się spisał. Namydlam ręce i twarz mydłem Imperial Leather, a kiedy wycieram twarz, postanawiam dobrze się bawić w Llandafan w Boże Narodzenie 1973 roku.

26 grudnia, drugi dzień Bożego Narodzenia

Zegar odmierza godziny. Jest czwarta nad ranem, a ja nie mogę zasnąć. Dlaczego aż tyle zjadłam? Teraz boli mnie brzuch. To przez jedzenie, a może się przeziębiam?

Griff uparł się, żebyśmy porzucali śnieżkami wczoraj po kolacji. Czubek nosa mu poczerwieniał, gdy kuśtykał za mną.

- Twpsen - krzyknęła Mamgu, opierając ręce na biodrach.
- Zabijesz się, Griff. - Rzucił śnieżką w jej pulchny tyłek, gdy ruszyła z powrotem do domu.

- Głupek! - wrzasnęła.

Griff śmiał się tak bardzo, że górne zęby spadły mu na język. Tym razem to ja pękałam ze śmiechu. Upadłam na plecy na pokrywę śniegu. Leżałam tam, wymachując rękoma, żeby zrobić aniołka w śniegu.

A może chce mi się do łazienki. Zapalam świecę i chwytam palcami za jej uchwyt. Staram się ze wszystkich sił stawiać każdy krok w innym miejscu, aby uniknąć w ten sposób skrzypienia podłogi. Znam schody na pamięć. Schodziłam wtedy już jako maluch z warkoczykiem.

Cholera. Powinnam się najpierw ubrać, jest zimno jak diabli. Na stojaku do suszenia ubrań leży nowy sweter Griffa. Ściskam wełnę. Pewnie zostawił go, żeby włożyć rano.

Wkładam sweter. Już pachnie Griffem, tytoniem i mydłem.

Przy palenisku stoją kapcie Mamgu, w szkocką kratę i z pomponami.

Idealnie.

Wlokę się do łazienki.

Ale już w kuchni chwytam mnie ostry ból, puszcza i znowu chwytam. Stawiam czajnik, żeby zagotować wodę. Drepczę, a gdy tylko słyszę, że zaczyna się gotować, zdejmuję czajnik z ognia. Nalewam wrzątku do termoforu, a resztę do imbryczka, korzystając ze światła gazowego płomienia.

Zwijam się w fotelu. Herbata przynosi ulgę, gdy ściskam filiżankę i sączę. Ciepło termoforu rozlewa się i przenika, osłabiając kłujący ból i skurcze.

Tak, to skurcze. O Boże.

Tracę dziecko.

Moje dziecko.

Zbieram się w sobie i zataczam w kierunku łazienki, chwytając się mebli, opierając o ściany, starając się prosto trzymać świeczkę, póki nie dotrę do toalety.

Szkarłatny kwiat mówi mi, że nie muszę już dzwonić do Jacka. To koniec.

Stawiam świecę na brzegu wanny i pochylam głowę. Czy nie tak powinno się postąpić, gdy robi się ciemno i latają plamki przed oczami? Włosy opadają mi między nogami, łapię się za kolana i kołyszę w przód i w tył, modląc się, aby ból minął.

- Katie? - woła cicho Mamgu.

Nie mogę jej odpowiedzieć. Krew cały czas ze mnie kapie. Łazienkę spowija światło lampy parafinowej. - Beth sy'n bod? Powinnam była zamknąć drzwi na zamek. Patrzę w twarz Mamgu i drzę. Nie mogę się poruszyć, nawet nie śmiem.

Znowu mnie pyta, tym razem po angielsku: - Co się stało?

- Dim byd.

Nic. Dlaczego mówię, że nic?

Mamgu kładzie mi chłodną rękę na czole, a potem na policzku. - Masz mokrą twarz, bach. Oblał cię zimny pot. Możesz wstać?

Stawia lampę na podłodze i pochyla się, żebym mogła zapleść palce na jej karku. Włosy ma nawinięte na plastikowe wałki.

Krew kapie mi po kostkach. Kiedy Mamgu pomaga mi usiąść na stołku i staje obok, zauważa to, zagląda to toalety i mówi: - Och, bach. Który to tydzień?

Wie.

- Drugi miesiąc. Trzeci. Nie bardzo wiem, jak powinnam liczyć. Kiedy ból maleje, zaczynają płynąć łzy i Mamgu

przysuwa się bliżej. Czuję pod policzkiem miękki materiał jej koszuli, gdy tuli moją głowę.

- Ćśśś, nie ma po co mówić twojej matce.

- Mildreth, beth sy'n digwydd? - woła Griff z sypialni obok.

- Nic ważnego. Śpij dalej. - Mamgu zamyka drzwi, włącza piecyk gazowy i odkręca kurki. Łazienkę wypełnia para. - Podnieś ręce - mówi i ściąga mi przez głowę sweter Griffa. Poplamiona krwią koszula nocna zsuwa się i zgrabnie zwija. - Czujesz się dość dobrze, żeby wziąć ciepłą kąpiel?

Kiwam głową.

Jack wyciągnął rękę. Wykap się ze mną, zaproponował.

Umył mi włosy, namydlił ręce, nogi, plecy. Modliłam się, żeby ten dzień się nie skończył.

Mamgu pomaga mi wejść do wanny. Zanurza myjkę w wodzie.

- Proszę. Wkrótce poczujesz się lepiej, cariad.

Odwraca się, żeby splukać toaletę. - Zaraz wracam - mówi. Straciłam dziecko. Czy miało maleńkie rączki i nóżki? Nadal tracę dużo krwi, ale w cieplej wodzie cały ból ustępuje. Mamgu wraca z jedną ze swoich koszul wciśniętą pod ramię i zaczyna drzeć ją na kawałki. - Postaramy się, żebyś szybko doszła do siebie.

Kiedy już jestem czysta i sucha, Mamgu pomaga mi wejść na poddasze. Rozkłada drugą kołdrę na łóżku i kładzie się obok mnie. Śnieg pada cichutko za oknem, a kiedy jedna sowa pohukuje, druga odpowiada jej żalobnym zawodzeniem.

Obracam się na bok. - Mamgu, straciłaś kiedyś dziecko?

- Tak, bach. Po pięciu miesiącach. Pochowaliśmy kruszynkę w sadzie, kiedy drzewa stały w pełnym rozkwicie. Pomyśleliśmy, że spodobałoby mu się tam.

Obejmuje mnie w talii i kiedy już prawie zasypiam, słyszę jej szept.

- Nazwaliśmy go Jack.

Rozdział 30

1974

Piątek, 29 listopada Cherry Blossom Road 33, Dorton

Atmosfera jest chłodna, a rozmowa oschła w kuchni przy Cherry Blossom Road 33.

- Tom, smaruj kromkę masłem na talerzu, a nie na dłoni.

- Co? Co znowu? Ach.

- Dziękuję.

Posiłek trwa. Moi rodzice popijają herbatę, kroją szynkę, przetykają i wyrzucają z siebie uwagi.

- Zamieszkać w przyczepie, zatrzymaj ten cholerny dom, Biddy.

- Zapłaciłam za przyczepę, nie ma mowy, żebyś ją zabrał.

- Może weźmiesz wszystko, co?

- Wezmę. Piekarnię też. Sama na nią zarobiłam.

- Ach, tak. Gdyby nie ty, nic byśmy nie mieli, co?

- ZAMKNIJ SIĘ, Tom! - wrzeszczy Biddy.

- Mam się zamknąć? Zamknąć?! - Tata wali pięścią w stół i wychodzi z kuchni.

Oczywiście nie zamierzają się tak naprawdę rozstać. Tak się kończy większość ich kłótni. Odkąd wyjechałam z Cardiff, życie nabrało tu kolorów.

Zbieram sól, sos i cukier. Zamierzam wrócić do sypialni, bo mam jeszcze coś do zrobienia na drutach. Evie dała mi paczkę wzorów, nim odeszłam ze szkoły Eglwys. Wypróbuj ten, Katie, powiedziała wskazując na obrazek z żakietem. To dopiero wyzwanie. Naucz się go, kochana!

- KATE!

Łapię się zlewu. Dobry Boże, mój umysł to supeł pełen ściegów w kolorze jeżyny i mchu.

- Siadaj - mówi Biddy. - Nadal jem, nie zauważyłaś? Nalewam sobie herbaty i siadam posłusznie. Wykorzystuję ten czas, żeby zaplanować lekcje zajęć praktycznych, które mam

przygotować na przyszły tydzień do szkoły średniej Heybridge. To dopiero wyzwanie! Uczenie szesnasto- i osiemnastoletnich dziewczyn jest trudne samo w sobie. Większość z nich jest o głowę wyższa ode mnie. Biddy stuka paznokciami o blat stołu.

- Ostatnio twój ojciec szybko traci cierpliwość - stwierdza. - Zauważyłaś?

Zauważyłam iskry i to, że oboje szybko tracą cierpliwość.

- Mmm - odpowiadam.

Dlaczego przeprowadziłam się z powrotem do Dorton? Układam w głowie listę powodów i okoliczności.

Po pierwsze: w Cardiff żyłam samotnie. Angie wyszła za Josha i trach, zniknęli jedyni moi przyjaciele w mieście. Po drugie: skończyłam rok próbny i nie mogłam się doczekać, kiedy pożegnam Basila Kirby'ego. Po trzecie: oblałam trzy rozmowy kwalifikacyjne w Londynie, więc marzenia o zamieszkaniu z Moirą i Ingrid spełzyły na niczym. Po czwarte: rodzice urządzili mi pokój u siebie i kupili białe meble. W stylu królowej Anny, stwierdziła Biddy. I patrz, powiedział tata, zrobił mi półkę na telewizor i gramofon.

Jak mogłam odmówić?

W Llandafan straciłam coś cennego, co mogło mi dać bezwarunkową miłość. Moje dziecko. Od tego czasu miałam mętlik w głowie. Szukałam porządku w swoim życiu, a kto lepiej go zapewni od Biddy?

Więc oto jestem. Znowu przy kuchennym stole, gdzie mój ojciec zawsze siada po lewej, a Biddy po prawej stronie.

To nie tylko awantury, ale też „kiedy wróciłam do domu”, „dokąd idę”, „z kim byłam”. Tata się martwi, to wszystko. Z kim rozmawiałam?

Biddy wie, ile zarabiam. Mówi, że zajmie się moimi rachunkami. Nie wiedziałabym, od czego zacząć. Nie mam

pojęcia. Jak było mnie stać na tę nową spódnicę? Nic nie zostało w banku.

Teraz z pewnością wszystko mam uporządkowane.

To nie mogą być bóle miesięczkowe, Kate. Niemożliwe. Skąd wie? Bo zaznacza moje miesiączki w kalendarzu. Dlaczego? Żeby wiedziała, kiedy ma przynieść paczkę tamponów z apteki, po prostu. I ściska mi rękę.

Biddy zna rozkład jazdy mojego ciała. Zna każdy włos na mojej głowie, każdy paznokieć, każdą rzęsę, każdy pieprzyk i pieg. To jednocześnie uspokajające i krepujące.

Tylko moje sekrety chronią mnie przed absolutną kontrolą.

Takie jak poronienie.

- Kate, o czym myślisz? - pyta Biddy.

- O wzorach do dziergania. Przynajmniej myśli należą do mnie. Strzela zapalniczka Biddy.

Czy powinnam krzyczeć, kiedy prosi mnie, żebym przykryła masło?

Zaciąga się głęboko. - Twój ojciec traktuje mnie jak śmiecia, o tak. Nie będę tego znosić. Przykryj masło. Słuchasz mnie?

- Tak. Arrgghh.

Moira powiedziała, że gdyby to tylko ode mnie zależało, w ogóle nie wychodziłabym z domu. Ale ja potrzebuję hibernacji, odparłam. No wiesz, po Jacku i wszystkim. Poza tym uwielbiam robić na drutach.

Och, daj spokój, Katie, już dawno przebolełaś Jacka. To było dawno temu. Ile swetrów już zrobiłaś, zapytała.

Hm. Osiem.

I pół.

Nazywać to hibernacją? To depresja, stwierdziła. Posłuchaj jej, Katie, mówi śmiertelnie poważnie. To

przeszłość. Zaczynij od nowa. Będzie sprawdzać gazety, oferty pracy związane z edukacją, będzie patrzeć, co się pojawia.

- TOM! - wrzeszczy Biddy.

Podskakuję, a potem ostrożnie zlewam herbatę ze spodka z powrotem do filiżanki.

Biddy przechyla głowę w stronę salonu. - Zamierzasz siedzieć

przed telewizorem przez całą noc, Tom? Czy zechcesz mi pomóc?

Więc sprzątam, wycieramy, myjemy, odkładamy i suszymy w milczeniu, do czasu.

- Mam zaparzyć drugi imbryk herbaty? - pyta tata.

- Nie, dziękuję, Tom. - Biddy odpowiada sucho i ostro.

Ale tata i tak parzy herbatę, stawia porcelanową filiżankę i kładzie kawałek ciasta na talerzu. Biddy mięknie, bo w końcu ojciec wykonał pierwszy ruch, a tylko to się liczy.

I on też mięknie, bo bez niej by nie przetrwał.

Jest całkowicie uzależniony. Zastanawiam się też, czy przetrwałby beze mnie.

W zeszłym miesiącu uczył mnie prowadzić samochód. Cieszyły go nasze wspólne wieczory, powiedział. Twarz mu promieniała, rozpogadzał się, przyspieszał kroku, gdy ramię w ramię wychodziliśmy z domu. Dobrze się bawiliśmy, przygotował mnie porządnie, zdałam za pierwszym razem. Wybiegłam z ośrodka egzaminacyjnego, machając magicznym papierkiem i powiedziałam: „Wolność, tato, nareszcie!”. Objęłam go, pocałowałam w policzek i zapytałam, czy nie powinnam tego zrobić już parę lat temu.

Kiedy odsunęłam się, na jego szarej twarzy widniał wymuszony uśmiech.

Biedny tata.

Teraz jest piątkowy wieczór. Mam fiata 127, który stoi przed domem i kosztuje mnie fortunę w tych tak zwanych

dogodnych ratach. Powinam gdzieś wyjść, gdziekolwiek, ale jaki to ma sens?

- Wychodzę porobić na drutach - mówię.

- Usiądź z nami w salonie, dobrze? - proponuje Biddy. -
Zaraz zacznie się General Hospital.

Dzwoni telefon, tata biegnie, żeby go odebrać.

- Do ciebie, Kate - woła. - Moira.

- A czegoż ona chce? - pyta Biddy.

Tata klepie mnie w ramię i podaje słuchawkę.

- Cześć, Moi.

- Cześć, Katers. Jutro będę w Dorton u rodziców, a potem może gdzieś razem wyjdziemy, dobrze?

- Dokąd?

- Potańczyć w ratuszu w Brayminster. Będzie bombowo.

- Och, Moi, nie wiem...

- No chodź.

- A jakie to tańce?

- Bal młodych konserwatystów.

- O Boże.

- No chodź.

- No dobra - wzdycham.

- Cudownie. Spotkamy się około siódmej w Plough. Jak zwykle najpierw na drinka.

Zegnam się i zaglądam do salonu. - Jutro idę na tańce do ratusza.

- Z tą Moirą? - dopytuje się Biddy.

- Och, na miłość boską, a co mam robić? Siedzieć w domu, pić herbatę i przez resztę życia wędzić się w kłębach papierosowego dymu?

Biddy się krzywi.

Tata ściąga brwi. - Jak śmiesz mówić w ten sposób do matki? - Krzyżuje ręce i kiwa głową w stronę Biddy.

- CHOLERA, mam DWADZIEŚCIA TRZY LATA, na miłość boską!

Dobry Boże, naprawdę krzyczę. Wypadam z salonu.

- Jak popsujesz zawiasy, to zapłacisz za naprawę! - wrzeszczy Bidy. - Niewychowana młoda damo!

Opieram się o drzwi i nasłuchuję.

Mija pięć minut i nic nie słyszę. Ale potem...

- Cóż, mogłaby poznać przyzwoitego mężczyznę.

- Lepiej, żeby rzeczywiście był przyzwoity - stwierdza tata.

- Czasem zastanawiam się, czy naprawdę chcesz, żeby ona wyszła za mąż.

- Nie zaczynaj znowu, proszę.

Rozdział 31

Sobota, 30 listopada Ratusz w Brayminster

- Posłuchaj tego - mówi Moira. - „Ratusz w Brayminster, wybudowany w 1906 roku, to jedno z najwspanialszych w okolicy miejsc na bankiety i bale. Barwne dywany, ozdobne tynki i wspaniałe sklepienie sufit. Przepiękne detale podkreślają wagę każdej uroczystości. Eleganckie wnętrza i spokojne otoczenie zadziwiają przy tak dogodnej lokalizacji”.

Moira składa zaproszenia, które załatwiła dla nas jej siostra, i chowa do kieszeni. - Więc oto jesteśmy, Katers.

Łapie mnie za rękę.

- Jestem pod wrażeniem, Moi - mówię, łapiąc ją, żeby nie stracić równowagi. - Ale lokalizacja tego pierońskiego parkingu nie jest już tak dogodna, prawda?

Jest mi zimno, przemokłam, a brzeg sukienki wlecze mi się po błocie i brudzi. Od trzech dni lało.

- Cholerne kałuże - klęę, gdy woda chlupie mi między palcami stóp.

Kiedy docieramy do budynku, popędzam Moirę, żeby się pospieszyła, bo muszę iść do toalety.

- Wysuszymy stopy papierowymi ręcznikami - proponuje.
- Tylko skończ z tą żalną miną, Kate Cadogan. Przyszliśmy się dobrze zabawić.

Po nałożeniu drugiej warstwy makijażu bezskutecznie próbuję szczotką podwinąć włosy.

- A niech to, Moi. Nie uwierzyłabyś, jak często mam ochotę ściąć tę grzywkę. Ty zawsze wyglądasz tak porządnie.

Szczerzy zęby jak elf i zdejmuję ze mnie płaszcz.

Zerkam ukradkiem do lustra. - Co mnie opętało, żeby kupić tę sukienkę, Moi?

Żółty materiał spływa z marszczonego stanika sukienki, a rękawy są w stylu Marysi pastereczki. Mówię Moirze, żeby

przestała się podśmiewać, dobra? Ale rozśmiesza ją to jeszcze bardziej.

W końcu łapie oddech. - Och, Katie, wybierzemy się na poważne zakupy, kiedy następnym razem przyjedziesz do Londynu.

Oddajemy płaszcze do szatni, podajemy nasze zaproszenia i wchodzimy do sali balowej, gdzie jest zbyt ciemno, żeby podziwiać przepiękne detale i barwne dywany. Pełno tu tańczących i skaczących młodych konserwatystów.

Co teraz? Ruszamy do baru, rzecz jasna. Jest umieszczony wzdłuż ściany po lewej stronie, urządzony bardzo elegancko, w stylu podkreślającym wagę uroczystości.

- Rozchmurz się - mówi Moira.

- Dżin z tonikiem? - proponuję.

Siadamy w kącie. Wspominam dawne czasy. Szkoła średnia Shawhurst, siedzenie w kozie, szkolne obiady, błogosławieństwa w piątki, ojciec Flannagan, panna Noonan, Guy Fawkes, pokazy sztucznych ogni.

Barry Finch.

Przyglądam się tłumowi jak idiotka. Jakby mógł tu być, głupia, mówię sobie. Założę się, że lata temu wyprowadzili się z Sophie Greengough z miasteczka.

Po dwóch kolejnych dżinach z tonikiem jesteśmy gotowe wyjść na parkiet. Stroboskopowe światło rozświetla nieco wnętrze i ozdobne tynki zaczynają lśnić.

Moira przekrzykuje Waterloo Abby. - Ej, Kate, zapomniałam ci powiedzieć. Poznałam fantastycznego faceta wczoraj na dworcu Euston. Och, uwielbiam tę piosenkę!

Tańczymy i czekam, aż skoczy śpiewać razem z Abba, o tak, o historycznych książkach na półkach, że zawsze się powtarzają.

- Zapytał mnie, czy pociąg się spóźnił, i zaczęliśmy rozmawiać. Moira kołysze rękoma nad głową i, och, nie mogłaby uciec,

nawet gdyby chciała, w końcu musiała stawić czoło Waterloo...

- Moi, opowiadaj.

- Nazywa się Gus, nosi trencz, wziął mój numer telefonu, wawa - wa - wa - Waterloo.

Światło stroboskopowe znika, zatrzymujemy się dla nabrania oddechu. Gdzie pracuje Gus? W wydawnictwie. No, no, mówię. Ciemne włosy, niebieskie oczy, niesamowicie przystojny. Cudowny głos.

Paul McCartney i Wings zaczynają piosenkę, więc znowu tańczymy. Zauważam wtedy dwóch facetów stojących przy barze. Jednego niskiego, drugiego wysokiego.

Wysoki uśmiecha się do mnie krzywo. Przyciska do piersi duże piwo niczym ukochane dziecko. Pokazują nas sobie, kiwają głowami. O co się zakładamy, że poproszą nas do tańca? W każdej chwili mogą podejść, mówię Moirze, widzisz ich?

Stwierdza, że nie ma o mnie najlepszego mniemania. Który, pytam. Ten niski z brwiami jak gąsienice, odpowiada.

Ale całkowicie się myli. Gąsienice są dla niej.

Więc skaczymy w rytm muzyki, ostrożnie zerkając na lewo. W czasie ostatnich dźwięków Band on the Run panowie pukają nas w ramiona.

- Dobrze się bawisz? - pyta ten wysoki.

- Tak. - Nasłuchuję następnego nagrania.

Dyskdżokej mruczy do mikrofonu. - Ludzie, pozwólcie, że zagrają teraz dla was Hollies piosenkę Air That I Breathe. Łapcie partnerów i niech się zrobi troszkę romantycznie. Absolutny odlot.

Moira rozszerza oczy w udawanym przerażeniu, nim porywa ją facet z gąsienicami.

Wysoki przytrzymuje mnie pewną ręką, którą kładzie na moich plecach. Jestem Kate, mówię, gdy krążymy po parkiecie.

Miło mi poznać, odpowiada. Nazywa się Rodney. Czy mieszkam w okolicy?

- W Dorton.

- A ja w Oakley Green - mówi Rodney. - Grałem dziś w hokeja w Brayminster i facet z przeciwnej drużyny zaprosił nas na ten bal. Sympatyczne miejsce.

- Wybudowane w 1906 roku i niedawno odnowione. Eleganckie wnętrza i spokojne otoczenie zadziwiają przy tak dogodnej lokalizacji.

Aha.

- Mogę się z tym zgodzić.

Jestem na poziomie jego apaszki w turecki wzorek. Rodney pachnie zatechłym tweedem i dezodorantem. Pierś ma mocną, ramiona długie. Podnoszę wzrok i widzę wysokie kości policzkowe i kwadratową szczękę. Pod nosem ma jasny wąsik, a jego oczy wydają się ogromne za grubymi szklami. Próbuję zdecydować, czy jest przystojny. Na myśl przychodzi mi określenie „dobrze się prezentujący”. Spodobałby się Biddy.

- Mój dziadek był bardzo ważną osobą - oznajmia.

- Och?

- Był burmistrzem Tinchley. O tak, spodobałby się Biddy.

Rodney prowadzi rodzinny interes, ma dwie siostry. Mieszka w jednym domu ze swoim przyjacielem Bobem. Zgaduję, że Bob to ten z gąsienicami. A czym ja się zajmuję?

- Uczę zajęć praktycznych - odpowiadam.

- Interesujące. Więc wiesz, jak gotować, hę?

Jest mocniej zbudowany niż Jack. Mówi jak spiker z BBC. Dojrzały. Solidny. Dający poczucie bezpieczeństwa.

- Chodziłem do King's w Worcester. Ty też chodziłaś do szkoły z internatem?

Ha! Szkoła z internatem. - Skończyłam miejscową szkołę katolicką. - Czuję się mała i niewiele warta w tej sukience pastereczki.

Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.

Hollies powtarzają kilka razy, że potrzebują tylko powietrza, aby oddychać, ale w końcu piosenka i taniec dobiegają końca.

Nagle pojawia się Moira z naszymi płaszcami przerzuconymi przez rękę. Ciągnie mnie za bufiasty rękaw. - Musimy iść - ryczy. A potem mówi mi do ucha: - Szybko, nim Bob Gąsienica zacznie mnie szukać. Jest w toalecie.

Uśmiecham się do Rodneya. - Przepraszam, ale musimy pędzić. Później zabiję Moirę.

- Mogę prosić o twój numer telefonu? - pyta.

Moira podaje mi torebkę. - Proszę. Mam nadzieję, że autobus nam nie ucieknie. Autobus?

Zapisuję numer do rodziców na rachunku i podaję Rodneyowi.

Kiedy pędzimy do wyjścia, Moira przeprosza, ale ten Bob przyprawiał ją o ciarki. Gąsienica w każdym rozumieniu tego słowa, jego ręce były wszędzie. Mam coś przeciwko, że wyjdziemy wcześniej? Wygląda na to, że dobrze się dogadywałam z tym wysokim gościem. Czy popsowała mi wszystko?

- Chodźmy coś zjeść - śmieję się. - Umieram z głodu.

W Hanged Man w połowie kurczaka z frytkami i groszkiem zastanawiamy się, czy Gus albo Rodney zadzwonią w przyszłym tygodniu.

Rozdział 202

1975

Sobota, 5 kwietnia Piekarnia, Dorton

- Zrobić kaczkę w sosie pomarańczowym? - zastanawia się Bidy.

- Czy homara thermidor?

- A może wołowinę i pudding Yorkshire? Zawsze to jemy w niedzielę.

- Jestem w stanie upiec kaczkę albo ugotować homara, Kate. Kiedy do piekarni wchodzi pani Bootsby - Smythe, Bidy mówi:

- Dzień dobry, proszę spojrzeć na te gorące drożdżówki z cynamonem, prawda, że wspaniałe? Świeżutkie i mocno przyprawione.

To nie potrwa długo, doda tylko kilka rzeczy do listy zakupów dla Kate, jej córki.

- ...i dwie oskubane dzikie kaczki. Proszę. To chyba wszystko. A teraz w czym mogę pani pomóc, pani Bootsby - Smythe? Planuję obiad na jutro dla nowego chłopca Kate. To wnuk burmistrza Tinchley.

Łapię dwa koszyki i wychodzę do sklepu z dziczyzną.

Rodzice Rodneya z pewnością żyją w wielkim stylu. Nancy podaje herbatę w najlepszej porcelanie: Royal Doulton, Worcester i Wedgewood. Rodney senior pije najzadsze gatunki brandy i pali cygara o najbogatszym aromacie. U Fanshawów stoją wielkie skórzane sofy. Ich dębowy stół to potwór o szponiastych łapach. Zasłony są bogate, z włoskiego brokatu i najgrubszego aksamitu.

Ale, och, gdyby tylko Bidy wiedziała. Może i mają pieniądze, ale w domu zalega gęsty i nieruchomy kurz, brud i nieznośny odór.

Jakby śmierdziało gnojem. Typowe dla Fanshawów. Ale lubię Rodneya. Rozsądny, praktyczny Rodney. Można na nim

polegać i zaufać mu, w przeciwieństwie do Jacka Thorpe'a albo Rowlanda Pickena. Żadnego obściskiwania, obmacywania, żadnych oczekiwań.

Dziś wieczorem przychodzi na kolację, a ja modłę się, żeby Bidy go polubiła. Jej komentarze po przelotnych spojrzeniach i uprzejmych uwagach przy drzwiach i korytarzu jak do tej pory były pochlebne. Na razie spodobało jej się wszystko, co usłyszała. Partner ojca w interesach? Cóż, jeśli to nie robi wrażenia na ciotce Shaunie, to już nic nie robi.

Niedziela, 6 kwietnia Cherry Blossom Road 33, Dorton

- Kate, zmień obrus. Powiedziałam irlandzkie płótno, a nie ta stara szmata. Gdzie jest mosiężny kandelabr? Czy Rodney Fanshaw nie zjawi się za chwilę? - dopytuje się Bidy. - Tylko ja patrzę na zegar? Tom, zapal świece, zdejmij kapcie i dlaczego nie włożyłeś porządnej koszuli?

Pędzi do kuchni, pytając, dlaczego nie sprawdziłam kaczek. Stoję z garścią sreber, zastanawiając się, czy mam ustawić talerze, przelecieć jeszcze raz podłogę odkurzaczem, czy doprowadzić do porządku włosy. Nie mogę sobie przypomnieć, jaka była kolejność rozkazów.

Ding - dong.

- Ja otworzę - krzyczę.

Rodney ma na sobie granatową marynarkę, krawat w paski i szare flanelowe spodnie. Wymieniamy się pocałunkami, ściska moją rękę i idzie do salonu, wołając: - A gdzie pani domu?

- Tutaj - woła wesoło Bidy. - Chowa się w kuchni. Rodney z rozmachem wręcza jej bukiet frezji.

Bidy poprawia włosy. - Och, jak pięknie pachną! Kate, przynieś wazon Waterford.

Kiedy wracam, Rodney i tata ściskają sobie z entuzjazmem ręce, a Bidy korzysta z okazji, żeby dokonać inspekcji. Jej wzrok jest szybki, a spojrzenie aprobujące.

- Postaw kwiaty na kredensie, Kate, i daj mężczyznom porozmawiać. Przejdźcie, proszę, do jadalni, Tom, a my zajmiemy się obiadem.

Dobrze, że tata zna się trochę na hokeju i krykiecie, ale teraz jąka się i waha. Jest wyraźnie pod wielkim wrażeniem Rodneya.

Kiedy wykładam na talerz parujące szparagi, Biddy mówi mi, że dobrze się sprawiłam, znajdując tak wspaniałego mężczyznę. Ale dobry Boże, co za kaczki kupiłam? Nie mają na sobie choćby odrobiny mięsa, same kości. Może powinnyśmy usmażyć kilka kiełbasek? Prawda, że Rodney wspaniale mówi? O wiele lepiej wychowany od Jacka.

A potem matka odkłada nóż do mięsa i całuje mnie w oba policzki. Jestem uradowana, ponieważ podoba jej się Rodney. Wreszcie zrobiłam coś tak jak trzeba.

Och, tak bardzo chcę opuścić dom, bo Biddy doprowadza mnie już do szału.

- Kate, obudź się. Wymieszaj sos. Nie, nie drewnianą łyżką, weź tę. Trzymaj rondel za ucho, bo wylejesz wszystko na moją porządną podłogę. Co znowu wyrabiasz?

- Mieszam ósemkami.

Odpycha mnie na bok. - Wspaniale, nie ma co. Zobacz, jakie grudki. Podaj mi trzepaczkę.

- To skórka pomarańczowa, a nie grudki.

- Wrzuć kiełbaski na patelnię. Och, nakłuj najpierw skórę, bo inaczej mięso ją rozerwie.

Po ubiciu sosu na pianę podkręca ogień, a kiedy sugeruję, że sos może zamienić się w karmel, mówi mi, że nie pilnuję ziemniaków i czy nie zrobiła się już zupa, bo zupełnie się rozgotowały? Czy pomyślałam, żeby włożyć kaczki i szparagi do piekarnika i je podgrzać? Och, nie kłopot się, ona jak zwykle wszystkim się zajmie. Otwórz wino, dobrze? Bo ojciec o tym zapomni. Och, i przystawki. Wyjmij je z lodówki.

Ustawiam wino i przystawki na tacy i niosę je do jadalni.

Kiedy tata zajmuje swoje miejsce przy stole, patrzy z przerażeniem na różową mieszankę, którą przed nim stawiam,

- To koktajl z krewetek - wyjaśniam.

Przełyka z trudem ślinę. Małże jeszcze zniesie, ale krewetek nie cierpi.

Trudno, mówi Biddy, gdy jej o tym przypominam. Lubi czy nie, pozostaną w menu dla wnuka burmistrza Tinchley.

Rodney pyta, czy ma nalać wina. - A cóż my tu mamy? - pyta i zanurza palec w sosie do koktajlu.

- Po prostu majonez z keczupem - odpowiadam.

- Mm, przepyszny dressing - mówi.

Nadchodzi Biddy. - Rodney, poczęstuj się ciemnym chlebem. Siadaj, Kate.

Tata wykrzywia usta, gdy krewetka ześlizguje się mu z łyżeczki i ląduje z powrotem na sałacie.

- Tom, nie zapomnij o serwetce - mówi Biddy, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie.

Uśmiecham się do Rodneya, żeby ratować tatę, i zmieniam temat.

- Rety, pewnie umierasz z głodu - mówię, patrząc, jak Rod wkłada do ust dwa kawałki chleba naraz.

Więc jemy, a rozmowa się toczy. Tak, Rodneyu, Biddy rzeczywiście urodziła się na farmie w Irlandii. To sto pięćdziesiąt akrów ziemi, która należała jeszcze do jej dziadka Bernarda Connolly'ego. Tak, Rodneyu, masz rację, uważając, że Biddy wywodzi się z rodziny posiadaczy ziemskich. Och, Tom, jest pewna, że Rodney nie ma pojęcia, gdzie znajdują się chaty walijskich górników w Ffynnon Beuno.

- Czy nie tam urodził się Griff? - pytam.

- Kate - warczy Biddy. - Pomóż posprzątać ze stołu przed głównym daniem, proszę.

Sprzątam nietkniętą przez tatę przystawkę, zastanawiając się, jak poradzi sobie z canard à l'orange, kiedy już wyląduje przed nim.

W kuchni mam dodać sporą porcję masła do ziemniaków i uważać na nową żaroodporną zastawę Evesham. Nie zniszcz 18 - karatowego złocenia na brzegu. Czy słyszałam, że Fanshawowie mają jeszcze letni domek? Słyszałam?

Tak, wiem mam, odpowiadam, w Crickmouth Bay, nad morzem.

Tylko nie mów Rodneyowi, że twoi rodzice muszą zadowalać się przyczepą, mówi Bidy. Prawda, że Rodney wygląda sztywnie?

Mam obciągnąć spódnice z przodu, przygładzić kołnierzyk, wyprostować się. Czy marchewki nie są rozgotowane? Włóż ciasto wiśniowe do piecyka, żeby je podgrzać, ubij śmietanę, a potem wyłóż ser stilton i porto, jak ładnie, na później.

Stilton i porto?

- Kate, kazałam ci robić sos?

- To dla taty. Nie będzie mu smakował ten pomarańczowy. Każe mi podać rondel i wylewa sos do zlewu, a ja mam przestać robić taką minę, ale już, albo po raz ostatni robi coś dla mnie, słyszę?

Przepraszam, bo nie mam zamiaru słuchać dalszego ciągu w jadalni. Krótkie odpowiedzi, oziębłość, niefortunne uwagi. Dobry Boże, jak długo jeszcze będę musiała tu mieszkać? Staram się jak mogę, ale nadal nie znalazłam pracy dla nauczycielki w Londynie.

Rodney pomrukuje z zadowoleniem, gdy przeżuwa kielbaski, gryzie pieczone ziemniaki i zlizuje z noża sos pomarańczowy. A wiśniowe ciasto jest przepyszne, o tak, weźmie trzecią dokładkę i jeszcze trochę sosu i kremu, proszę.

Uprzejmie odmawia porto, ponieważ musi sprawdzić, do której drużyny został wybrany na następny weekend, a kiedy pociera moje kolano, mówi, że chciałby zabrać Katers na drinka do klubu...

Patrzę na niego jak na zbawcę.

Potem mój adwokat broni mojej sprawy, wysłuchuje błagań i w swojej nieskończonej mądrości przychyła się do moich próśb. Bo mówi rodzicom, że zaprasza mnie latem do Crickmouth Bay na kilka dni w towarzystwie jego rodziny.

Alleluja.

Rozdział 33

1976

Piątek, 9 lipca Cliff House, Crickmouth Bay, Farmouth

- Rod, próbuję sobie przypomnieć, co miałeś na sobie, kiedy się poznaliśmy. - Uśmiecham się do jego profilu. Widzę wyrazisty, dość duży nos, wystającą szczękę. Księżyc odbija się w soczewkach jego okularów.

Odwraca się twarzą do mnie. - Miałem tweedową marynarkę

i apaszkę - odpowiada, a potem znowu patrzy na morze. - Kate, zastanawiałem się ostatnio.

Pociąg przejeżdża w oddali, fale chlupoczą pod drewnianym molo.

- Nad czym? - pytam.

Siedzę na deskach z nogami zwieszonymi nad wodą. Dzwonki brzęczą na zakotwiczonych łodziach, a żagle drżą na wietrze.

To piękny wieczór i piękne miejsce. Patrzę na wstęgę domów u podstawy klifu. Ten różowy, który nazywa się Cliff House, należy do Fanshawów.

- Zastanawiałem się, czy...

- O Boże, Rod, popatrz!

Jego matka stoi w oknie, całkiem naga, pokazując wszystkim ciemny trójkąt i wielkie piersi.

- Lepiej powiem matce, żeby gasiła na noc światło w sypialni

- mówi Rodney.

- Albo zaciągała zasłony - sugeruję, zasłaniając usta.

- Tak, tak. - Macha ręką w stronę domu. - Kate, chciałem cię o coś zapytać.

- Dobrze.

Hm. Przecierają mi się kolana w dżinsach, powinnam naszyć łąty.

- Znamy się od dwudziestu miesięcy. - Rodney unosi twarz do granatowego nieba. - Rozważałaś małżeństwo? W Oakley Green jest przyzwoity dom do kupienia.

Miałam na to nadzieję.

Pocałunki, trzymanie się pod ramię, dotyk dłoni, odrobinę więcej, gdy zostawaliśmy sami, ale poza tym zachowywał dystans. Nie żebym miała coś przeciwko...

Jeśli chłopak chce zrobić to przed ślubem, powiedziała Bidy, to znaczy, że cię nie szanuje.

...ale czasem zastanawiałam się, czy jestem atrakcyjna fizycznie dla Rodneya. Ale najwyraźniej tak, bo właśnie poprosił mnie o rękę. Hura!

Dzięki Rodneyowi moje życie staje się znośne. Zabiera mnie z Cherry Blossom Road na większość weekendów, żebym patrzyła, jak gra w krykieta, hokeja albo bilard.

Moira i Ingrid pytały, czy tylko to robimy, ale wyjaśniłam im, że po grze bawimy się, idziemy na drinka, krążymy po klubach. Czasem idziemy coś zjeść.

I znalazł dom, i prosi, żebym zostawiła za sobą Dorton. O Boże, to znaczy, że zostawię też Bidy.

- No więc? - Rodney siada obok i bierze mnie za rękę.

- Rod, kochasz mnie?

- Myślę, że tak. Bardzo.

- Wyjdę za ciebie - szepczę.

Wtedy dotyka ustami moich zamkniętych warg, a jego wąsy łaskoczą mnie w nos.

Sobota, 10 lipca

- O, jesteś, Kate. Możesz pożyczyć te bryczesy.

Gaynor, siostra Rodneya, rzuca mi spodnie.

- Muszę?

- Jak chcesz - stwierdza i wybiega jak szalona z powiewającymi czarnymi włosami.

Rozkładałam bryczesy na łóżku. Ku górze rozszerzają się trochę jak tulipan i są przy udach wzmocniane skórą. Będę wyglądała w nich wspaniale. Wyciągam brązowy T - shirt z walizki i szykuję się do jazdy na kucyku. Betsy, młodsza siostra Rodneya, mówi, że będę potrzebowała wysokich butów albo nawet zwykłych, ale z mocnymi obcasami.

Puk - puk.

- Tu Rodney. Gotowa?

- Prawie.

- Świetnie. - Uchyła drzwi i wsuwa rękę. - Twój kapelusz do jazdy.

Widzę, że Gaynor stoi obok niego w korytarzu w obcisłych spodniach. Betsy, zdrowa i dorodna, włożyła spodnie od dresu. Dziewczyny chichoczą, gdy wychodzę w bryczesach.

- Rod, czekaj, przebiore się - mówię, śmiejąc się, żeby pokazać, że mam poczucie humoru.

Wiedzmy.

- Za późno, świetnie wyglądasz, chodźmy.

- Spotkamy się na miejscu - rzuca Gaynor, pobrzękując kluczykami do samochodu.

Kiedy docieramy do stajni, pięć tłustych kucyków czeka uwiązanych do płotu. Wszystkie stoją w bezruchu.

- Och, Fanshawowie. Witam, nazywam się Joe Nagel. - Mężczyzna macha i sięga po najszerszą uzdę dla kucyka, gdy Betsy idzie przez podwórze. - To dla pani - mówi.

Patrzę, jak cała trójka rodzeństwa wsiada z łatwością. Biedny kucyk Betsy zatacza się lekko w bok i kładzie uszy po sobie. Joe Nagel widzi, że czaję się za samochodem Rodneya i woła do mnie. - Ładny strój - mówi, mrugając. - Dobrze, proszę podejść do Webster z właściwej strony.

- Słucham? - pytam z wahaniem.

Joe Nagel żuje zapalną, odsuwa do tyłu czapkę z daszkiem i klepie Webster w lewy bok. - Tu, proszę stanąć obok mnie. Proszę słuchać i patrzeć uważnie. Gotowa?

Kiwam głową.

- Stojąc twarzą zwróconą do kuca, cugle należy trzymać w lewej dłoni, a całą lewą rękę położyć na łęku siodła. Zrozumiano?

Dobra. Łęk.

- Cugle powinna pani trzymać dość mocno, żeby Webster nie mogła się odsunąć, gdy będzie pani próbowała na nią wsiąść, widzi pani? Teraz proszę odwrócić się do zadka, wziąć strzemień w prawą rękę, obrócić zgodnie z ruchem wskazówek zegara, o tak, i wsadzić w nie lewą nogę, tak żeby środek stopy opierał się na strzemieniu. Na razie wszystko jasne?

Jak cholera.

- Z lewą stopą w strzemieniu należy prawą rękę położyć na tylnym łęku. A potem lekko się odbić, podskoczyć i prostując lewą nogę, przerzucić prawą, pamiętając przy tym, żeby przesunąć prawą rękę w przód i delikatnie usiąść w siodle. Zrozumiano?

Drży mi dolna warga. Czuję się tak nie na miejscu. Gaynor i Betsy pewnie siedzą na kucach i ziewają z nudów. Chcę zrobić wrażenie na Rodneyu.

- Jak się nazywasz? - pyta Joe Nagel. Mówię mu.

- Kate, patrz na zad Webster, lewa stopa w strzemieniu. Wali z całej siły w mój zadek.

- Hop! Przerzucić, obróć się i SIADAJ. Rodney podjeżdża.

- Szybko się nauczysz. - Bierze głęboki wdech. - Powąchaj to górskie powietrze. Daj kopa kucykowi. Jedźmy.

Reaguję posłusznie. Webster jest równie posłuszna. Siodło trzeszczy. Jest wspaniale.

Joe Nagel prowadzi, ja jadę za nim. Webster kołysze się, jej kopyta stukają na drodze. Kiedy docieramy do stromej kawałka, traci rytm, wzdryga się, sapie i zaczyna dreptać z większą determinacją.

- Ściśnij kolanami, Kate! - krzyczy Rodney. - Trzymaj się w siodle.

W górę, w górę, wspinamy się i wspinamy, aż docieramy do płaskowyzu. Klepię Webster w kasztanową szyję i przeciągam przez palce pasma jej grzywy. Ciągnę za cugle i kucyk zatrzymuje się. Popuszczam i Webster spuszcza głowę, żeby pogryźć trawę.

Rodney zatrzymuje się obok mnie i bez słowa podziwiamy krajobraz. Ziemia opada ku jezioru, wokół którego rosną wrzosi, a w oddali widać połąć piachu i pasek morza.

Kiedy patrzę na Rodneya, w mojej głowie pojawia się słowo „stabilizacja”, i to podkreślone.

- Rod! Co powiesz na galop? - krzyczy Gaynor, krążąc na kucyku.

- Śmiało! - woła Joe Nagel. - Ale bez Kate. Nie ma obawy.

Betsy podjeżdża do mnie. - Kłusuję, ale nie galopuję - wyjaśnia.

Ma takie same jasne jak piasek włosy co Rodney. Tak samo obcięte, krótko, w kędziorkach. Jej policzki są różowe, a paski przy jeździeckiej czapce mocno wrzynają jej się w podbródek. - Rodney to świetny jeźdźca - mówi.

Nogi jego kucyka podwijają się do kłusa, a potem Rodney gwałtownie przyspiesza. Pochyla się i galopuje z siostrą łeb w łeb.

Zsuwam się z Webster, przekładam wodze przez jej głowę, domyślam się, że powinnam to zrobić, i siadam na ziemi. Kucyk dalej pogryza trawę, kiedy głaszczę jej

aksamitne chrapy wierzchem dłoni. Słońce grzeje mnie w plecy. Zapowiada się kolejny upalny dzień.

Rodney kłusuje, zwalnia, zakręca zgrabnie na kucu. Zwierzę dyszy, gdy się zatrzymuje.

- Dajmy im chwilę odpocząć, a potem zjedziemy nad jezioro - mówi Joe Nagel.

- Szkoda, że nie umiem tak galopować - mówię, zerkając na Rodneya.

Zsiada i przykuca obok mnie. Odchyła głowę i popija z manierki. - Nauczę cię kiedyś jeździć - mówi, ocierając usta rękawem.

Nawiązanie do przyszłości jest pocieszające. Proponuje mi wodę i wypijam pół łyka tego, co zostało. - Dzięki. Rodney obejmuje mnie, kładzie rękę na moim ramieniu, a ja trzymam go za palce.

Czuję się bezpieczna.

Niedziela, 11 lipca

Gaynor wyjechała z Betsy odwiedzić swojego chłopaka Huw Williamsa, który mieszka w Browen Bay.

Rodney zapytał, czy miałabym coś przeciwko, gdyby zagrał w niedzielę w golfa z przyjacielem Toddem Grimleyem. To nie potrwa długo. Jego matka, mogę mówić do niej Nancy, powiedziała, że się mną zajmie.

Jego rodzice są trochę... dziwni. Tak samo jak ciotka Glenda. Wuj Bertie jest w porządku... chyba.

Siadam prosto i czekam, aż Nancy i ciotka Glenda podadzą herbatę w salonie, w którym sofa ma obicie w kolorze pomarańczowym, a na podłodze leży wełniany dywan.

Nie wiem, jak ktokolwiek może zasnąć w tak jasnym pokoju, ale wuj Bertie Bishop właśnie tego dokonał. Jego głowa opadła na jedną stronę, usta rozchyliły się w małe „o”. Cicho pochrapuje.

Po mojej lewej stronie stoi mahoniowa komoda wielka jak słoń, a naprzeciwko niej szklana gablota pełna brandy i słoików z duńskim tytoniem. Niedaleko w oparach dymu siedzi mój przyszły teść, Rodney Fanshaw senior. Nie wypowiedział jeszcze nawet słowa.

Powinam zacząć rozmowę?

Ale chwileczkę... słyszę, że zmienia pozycję w fotelu.

Zaciąga się głęboko cygarem. - W zeszłym tygodniu rozegrałem szybką partyjkę golfa z młodym Rodneyem. - Obwieszcza to w kierunku sufitu, a potem urywa, pochyla się do przodu. I puszcza bąka.

- W każdym razie przypomniałem synowi, że mężczyzna potrzebuje wszelkich możliwych rozrywek. Mam rację? He? Co?

- Tak, do cholery, mam całkowitą rację - odpowiada na własne pytanie.

To mężczyzna o niezwykłym wyglądzie. Wielkie górne zęby opierają się na wilgotnej dolnej wardze, nos jest idealnie zakrzywiony. Szalony Kapelusznik, na ile potrafię go sobie wyobrazić.

Przygryzam policzek od środka i oglądam swoje sandały. Nancy i ciotka Glenda strasznie długo parzą herbatę.

Jamnik Desmond wbiega do salonu i wspina się na lewą nogę wuja Bertiego.

- Co do cholery? Przynajmniej to go obudziło.

Im bardziej wuj stara się wyrwać, tym bardziej entuzjastyczny staje się pies i tym mocniej trzyma nogę.

O dobry Boże, szczęki mnie boją, tak bardzo chce mi się śmiać. Biorę trzy powolne oddechy. - Kopnij go! - doradzam przez zaciśnięte zęby.

Wuj strzela psa wolną nogą. Pisk jamnika przyciąga uwagę Rodneya seniora.

- Kochana paróweczko! Co się stało? - mówi głupawym falsetem. - Szukasz mamusi? Gdzie Nancy? Gdzie ciocia Glenda?

W kuchni, ty stary pryku.

- Założę się, że są w kuchni. - Wkłada palec do nosa, grzebie i pstryka. - Tam gdzie jest miejsce dla kobiet.

To jest komiczne.

Obrzydliwe, ale i cholernie komiczne. O Boże, niech tylko opowiem o tym Moirze i Ingrid.

Ciotka Glenda wchodzi dumnym krokiem do salonu.

- Hen - ry, Bertie, Bertie - cmoka. - Gorąca herbata. Chodź, Katie, siadaj.

Przesuwa rozrzucone gazety na stoliku i robi miejsce dla imbryczka, a potem siada obok mnie. - Witaj, kochanie. To cudownie, że śliczna narzeczona młodego Rodneya siedzi tu z nami. Słyszałam dobrą nowinę.

- Dziękuję. Cieszę się, że tu jestem.

Zjawia się Nancy. Stawia tacę z filiżankami, spodkami i rozrzuconymi ciastkami z lukrem.

- To ulubione Rodneya seniora - mówi mi.

Nancy robi dwa ostrożne kroki do tyłu. Zatrzymuje się, przykuca i ląduje prosto na skórzanej otomanie, z której z sykiem wylatuje szwami powietrze. Kiedy siada z rozłożonymi nogami, spódnica układa się wokół jej kolan jak hamak.

Okropnie dużo widać. Trudno nie zauważyć pomarszczonego ciała wylewającego się z pończoch. Zastanawiam się, czy nadal to robią, ona i Rodney senior. W końcu mężczyzna potrzebuje wszelkich możliwych rozrywek.

Przestań, Kate.

- Domowe ciasteczka! - krzyczy Rodney senior. - Dobra robota, Nancy. Wiesz, ożeniłem się z nią ze względu na jej

wypieki. - Okruszki sypią się z jego ust jak trociny. - Dobrze sobie wybrałem, prawda?

- Jeszcze herbaty? - skrzeczy Glenda. Porywa moją filiżankę, zanim mam okazję odpowiedzieć, i wlewa mi następną. Przechyliła głowę na bok. - Katie to śliczna dziewczynka, prawda, Nancy?

Żadnej odpowiedzi.

- Czekaliśmy na półce, dopóki nie poznałaś mojego syna, prawda, Kate? - Uśmiecha się krzywo Rodney senior. Wstaje z fotela i pochrząkując, idzie w kąt salonu. - Ktoś ma coś przeciwko temu, żebym włączył telewizor? Nie? To dobrze. - Na ekranie pojawia się obraz, ale bez dźwięku. - Ej, Nancy, pudło znowu miga.

Nancy rozmawia szeptem z ciotką Glendą. Jest zbyt zaabsorbowana, żeby odpowiedzieć, więc Rodney senior, mrużąc z niezadowoleniem, wraca do swojego kąta.

Mijają minuty.

Wuj Bertie znowu przysypia, a szmer szeptów i jego pogwizdujące chrapanie wprawiają mnie w miły trans. Ale wtedy...

BUCH! Rodney senior wali w telewizor, który ożywa. Rozlega się huk, wybuch i wycie. Kobiety piszczą, syreny wyją. Desmond ujada. Wuj Bertie siada prosto i mruga.

- Mój ulubiony serial! - papie Rodney senior. - The Sweeney. Patrz, ci kretyni właśnie wjechali samochodem patrolowym prosto w ścianę. Ale bajzel!

Przy drzwiach słyhać hałas i wchodzi Rodney. - Witaj, Kate. Wróciłem. - Uśmiecha się promiennie.

Tak, wrócił. Stawiam talerz na stoliku i wstaję, by pocałować go w policzek.

- Lepiej odwiozę cię do Dorton. Żebyś była w domu przed zmrokiem.

Nancy przywołuje mnie w wyszukany sposób, dając do zrozumienia, że musi mi coś szepnąć do ucha. Pachnie tak samo jak jej salon. Pleśnią, psimi sikami i tytoniem.

- Nie zapomnij o przyszłej sobocie, dobrze? Unoszę brwi.

- To urodziny ojca. Urządzam małe przyjęcie. Nic wyrafinowanego. Wiesz, jak zwykle, tylko paru przyjaciół i rodzina.

- Mogę pomóc? - pytam.

Podnosi tacę pełną pustych filiżanek i brudnych talerzyków. - Cóż, jesteś nauczycielką zajęć praktycznych. Mogłabyś zrobić tort, jeśli chcesz.

Widzę wyraz twarzy Rodneya, pełen wyczekiwania, więc odpowiadam: - Z przyjemnością.

Telewizor nadal ryczy i strzela. Mówię do widzenia, ale Rodney senior mnie nie słyszy, nadal zahipnotyzowany przez The Sweeney. Więc próbuję głośniejszym głosem: - Wychodzę już.

- Co za bajzel! Co za cholerny bajzel! - wykrzykuje.

W korytarzu składałam się w pół ze śmiechu. - O mój Boże, twoja rodzina - mówię do Roda z oczami pełnymi łez. - Oni są szaleni, ale to takie wspaniałe!

Nie mogę rozpracować zagadkowego wyrazu twarzy Rodneya, zanim on łapie mnie i mocno całuje w usta.

Rozdział 34

Piątek, 24 października Cherry Blossom Road 33, Dorton

- Och, ślub zimą to wspaniały pomysł - mówi Bidy. - Dobrze zrobiłaś, nakłaniając Rodneya Fanshawa, żeby się oświadczył. A teraz nie ruszaj się, żebym zobaczyła, gdzie skończyłam.

Łapię się oparcia krzesła, bo inaczej się przewrócę, a matka upina brzeg. Zachowała sukienkę uszytą na ślub z Jackiem. Oczywiście, że wiedziała, że będzie następna okazja, no i po co marnować tyle satyny?

Rodney to porządny facet, mówi, mężczyzna z pieniędzmi, z rodzinnym interesem, który odziedziczy, i w ogóle. Doradca finansowy, nie mniej. O niebo lepszy od tamtego. Co ja sobie wtedy myślałam? A teraz odwróć się.

Zamykam oczy, zaciskam zęby i staram się nie uśmiechać.

Tylko poczekaj, aż poznasz Rodneya seniora i Nancy.

- Wspaniale - mówi Bidy. - Teraz muszę tylko przyszyć perełki do rękawów. Zejdź z krzesła.

Zdejmuje mi sukienkę przez głowę, a kiedy znowu widzę światło dzienne, jej wzrok jest przykuty do moich piersi. Wiem, czego szuka. Nabrzmiąłych piersi. Wkładam sweter. Tym razem Bidy nie znajdzie pigulek w mojej torebce. O, nie.

Jeszcze nie, powiedziałam Rodneyowi.

Jak chcesz, stwierdził.

Och, dobrze zapamiętałam lekcję.

- Mamo, może ubierzemy drużyny w czerwony aksamit? To byłoby takie bożonarodzeniowe.

- Jeśli kupisz materiał. Ja uszyję suknię dla Josie - proponuje. - Ty dla Gaynor i Betsy.

- Mamo, biorę na drużyny tylko Moirę i Ingrid, to wszystko. Zaczyna się.

- I nie byłam druhną na ślubie Josie - dodaję. - Więc dlaczego miałabym...

- Zobacz, ile dla ciebie zrobiłam, Kate. Chcę, żeby Josie była druhną. W końcu to moja chrześnica. - Bidy grzebie w pudełku z guzikami. - I powinnaś poprosić dziewczyny Fanshawów.

Wzdycham. Ale chyba ma rację.

- Dobrze, mamó. Zaprośmy je do Dorton na przymiarki.

Bo Bidy nie postawi nogi w domu Fanshawów tak długo, jak będę mogła tego uniknąć.

- Proszę, nawlecz mi tę igłę. Jest tak cienka, że jej nie widzę. Ach, pięć druchen, całe miasto będzie mówić.

Biorę igłę i zerkam z ukosa na matkę. Nie cierpi moich przyjaciółek, ale jest gotowa na ustępstwa, jeśli dzięki temu zrobi na innych wrażenie.

- Z czego się śmiejesz? - pyta.

Rozdział 35

Piątek, 17 grudnia Cherry Blossom Road 33, Dorton

Wygladzając marszczenia na aksamitnej sukience Betsy, wiem ją w mojej szafie obok pozostałych. Potrzebny był dodatkowy metr materiału na tak dużą dziewczynę.

Jutro rano spokojnie nałożę brązowy cień na powieki, pomaluję usta na czerwono i musnę różem policzki. Wyszczotkuję włosy, aż zaczną lśnić. Wsunę jedwabne pończochy i włożę kremowe pantofle. Biddy zapnie na mnie suknię, upnie wianek i przymocuje welon, a potem poda mi różę.

Bo jutro jest mój ślub.

Pięć druhen. Pięciu drużbów w cylindrach i frakach. Stu sześćdziesięciu pięciu gości i bankiet w hotelu Elms. Trzypiętrowy tort, tradycyjny i śmietankowy, żeby pasował do sukni panny młodej. Pełna msza w kościele Niepokalanego Poczęcia z mieszanym chórem.

Kate, kiedy Gaynor wychodzi za mąż, dopytuje się Biddy. W czerwcu? Ha! Zobaczymy, czy Fanshawowie przebiją ten ślub. Czy jestem zadowolona? Będą z tatą latami spłacać pożyczkę. Czy jestem wdzięczna?

Torty, ciastka, wędliny i zapiekanki z naszej piekarni stoją hojnie wystawione dla domowych gości. Pozostałych z hotelu jak najbardziej zapraszamy, wpadnijcie. Zobaczcie salon wypełniony po sufit prezentami ślubnymi. Zapakowane tostery, miksery, porcelana, pościel i obrusy, stalowe patelnie, zatrzesienie sreber.

W pudełku czeka na mnie złota obrączka.

Na palcu mam pierścionek z brylantem. Zaliczka zapłacona, umowa na dom podpisana. Za późno, żeby zmienić zdanie.

Na dole rozbrzmiewa śmiech Biddy. Jest w swoim żywiole. Zabawia gości ubrana w nowy kostium. Zielona

welńiana sukienka wisi pod czerwonym płaszczem, czekając na wielki dzień. Odpowiedni kapelusz leży na toalecie. Mała czarna sukienka czeka w hotelu Elms na zakończenie bankietu razem z nowymi butami do tańca.

Jeden z muzyków zagra parę melodii w trakcie przyjęcia. Tego ranka obsługa hotelowa przepchnęła jego organy między nogami stołów, więc wszystko jest już gotowe. Och, daruj sobie te świńskie myśli, Kate, powiedziała Biddy. Dobrze wiem, co miała na myśli.

Mam wrażenie, jakby to był jej ślub, taka jest podekscytowana. Nie było ich stać na coś takiego, gdy pobierali się z tatą. Mieli tylko dwoje świadków, żadnego tortu. Wynajęty pokój zamiast domu, żadnego miesiąca miodowego w Paryżu. Dobrze zrobiłam, że skłoniłam Rodneya Fanshawa do oświadczeń. Żałuje, że ona nie miała tyle szczęścia.

Ktoś cicho puka do moich drzwi.

- Oona!

- Oto panna młoda we własnej osobie. Uściśnij mnie i ucałuj.

- Oona, musisz być zmęczona po całym dniu podróży. - Jej policzek jest chłodny, na zewnątrz jest lodowato.

- Ach tak, ale wystarczy malutki drink, żeby mi przeszło jak ręką odjął. - Trzyma mnie za ręce i odsuwa się na krok. - Katie, ale to ty wyglądasz na zmęczoną.

Łzy napływają mi do oczu.

- Co się dzieje, Katie?

- Nie wiem.

Oona ściąga brwi. Zdejmuje płaszcz i rzuca go na krzesło. - Przyniosę ci porządnego drinka. Zaraz wracam.

Wraca z butelką whisky i dwiema szklankami z lodem. Zamyka za sobą drzwi, popychając je tyłkiem. - Na dole jest naprawdę wesoło. Co za tłumy!

- Jest tam Rodney senior, mój przyszły teść?

- Jest starszy facet z zębami prostopadłymi do nosa. To on?

Kiwam głową i szczerzę zęby w uśmiechu, a Oona się rozpromienia. - Ach. Wreszcie się uśmiechnęłaś. I jest kobieta z twarzą wielką jak wiadro.

- O Boże! To Nancy.

Oona wydyma policzki, zezuje oczami, a ja parskam ze śmiechu. Nalewa mi whisky. - Jezus, Maria i święty Józefie, a ta Betsy jest wielka jak pień drzewa.

- Och, przestań. - Padam na łóżko i przekręcam się na plecy. Łapie mnie kolka i im więcej się śmieję, tym bardziej mnie kłuje. - Boże, Oona, aż mnie brzuch boli.

Zrzuca buty. - Szkoda, że nie widziałaś miny swojej matki, gdy się im przyglądała. To dopiero obrazek. Masz drinka i przesuń się.

Oona wyciąga się obok mnie, wkłada jedną rękę pod głowę, a drugą sięga po szklanę.

- Sla'inte. No dobra, co się stało? - Krzyżuje pulchne nogi.

- Zdrowie. - Whisky przyjemnie rozpala, drętwieje mi język. - Nie wiem - łapie mnie czkawka. - Naprawdę.

- Może to nerwy. Jaki jest twój facet?

- Solidny, no wiesz, można na nim polegać.

- Silny mężczyzna?

- Hm, nie. Jego praca wymaga rozumu, nie mięśni. Oona zamyka oczy.

Sączę drinka i pozwalam wędrować myślom. Nasz nowy dom to kompletna ruina. Tynk odpada ze ścian, okna są potłuczone, nie ma ogrzewania. Popękane sufity, przeciekające rury. Umarła tam starsza pani i dom stał pusty przez dwa lata. To była okazja i nie mogę się doczekać, żeby wziąć się do odnawiania. Rodney nie przepada za remontami, ale dom mu się podoba. Będzie mógł pracować w pokoju na

tyłach, kiedy nie będzie siedział w biurze. Mogę tam ustawić jego biurko. Kije golfowe staną w kącie. Spodziewa się, że wkrótce wszystko będzie idealnie wysprzątane. Po prawej stronie przy ścianie będzie miał zamkniętą szafkę na masonskie insygnia.

Oczywiście, co złego w tym, że jest masonem, powiedziała Biddy. Czyż oni nie mają w bród pieniędzy?

Na tyłach domu przy Copper Lane 75 jest kraina czarów. Jabłonie, śliwy z jemiolą, ukryty ogród, pnący się tymianek, wszelkiego rodzaju rośliny czekające, aby zakwitnąć na wiosnę.

- Twoja mama powiedziała Barneyowi, że Fanshawowie to prawie milionerzy - mówi Oona.

- Tylko to się dla niej liczy. Nalej mi jeszcze - odpowiadam.

- A co się dla ciebie liczy, Kate, wielkość jego portfela? Parskam do szklanki.

Rozlega się delikatne pukanie do drzwi i do pokoju zagląda tata.

- Witajcie. Katie, przyszedłem powiedzieć ci, że Mamgu i Griff dzwonili z hotelu. Chcieli, żebyś wiedziała, że bezpiecznie dojechali.

- Dziękuję, tato.

Twarz ma różową i uśmiecha się szeroko. Więc też się trochę napił. - Lepiej wrócę na dół. Muszę pomóc twojej mamie. Siadam i zaczynam schodzić z łóżka.

- Nie, zostań z Ooną - mówi mi, podnosząc dłoń. - Jutro twój wielki dzień, odpocznij.

To naprawdę zabawne. Tym razem tata nie ma nic przeciwko ślubowi. Odkąd poznał Rodneya, wydaje się zadowolony i spokojny.

Opadam znowu na poduszkę.

Jutro mój ślub. Jutro moja noc poślubna.

Rodney powiedział, że ojciec wezwał go w zeszłym tygodniu do sypialni na rozmowę jak mężczyzna z mężczyzną. Pokazał mu słoiczek z wazeliną, wziął prezerwatywę z paczki i zaprezentował sposób użycia na kciuku Rodneya. Dobra robota, synu, powiedział. Mrugnął, szturchnął go i poklepał po plecach.

Kiedy zawyłam ze śmiechu, wyraz twarzy mojego narzeczonego najlepiej byłoby opisać jako... hm... zdeorientowany? Nie, raczej zbity z tropu. Bardzo kocha swojego zwariowanego ojca, nie powinnam się śmiać. Muszę bardziej uważać.

Kupiłam sobie prześliczną czarną koszulkę ze wstawkami z beżowej koronki.

Miesiąc miodowy w Paryżu, wyobraźcie sobie.

Wszystko będzie dobrze.

Odwracam się, żeby spojrzeć przez okno i widzę spadający śnieg, delikatny jak puch. Biorę głęboki wdech i pytam Oonę, czy denerwowała się tak przed swoim ślubem.

Ale nie może odpowiedzieć, bo śpi jak suseł.

Rozdział 36

Niedziela, 19 grudnia Hotel Copthorne Plaza, Horley, Surrey

Rodney wpycha kawałek wędzonego łupacza (Łupacz, plamiak - ceniona ryba z rodziny dorszowatych o smacznym mięsie (przyp. tłum.)) do ust.

- Jedz, Kate, musimy złapać pociąg na lotnisko Gatwick za trzydzieści minut.

- Czy naprawdę musimy tam być cztery godziny przed odlotem?

- Lepiej być wcześniej niż się spóźnić, moja panno młoda. Kate, bądź ostrożna, powiedziała Bidy, albo go stracisz. Nie mów Rodneyowi, że żyłaś w grzechu z Jackiem Thorpe'em.

Poczekajmy, aż będziemy w Paryżu, zaproponował Rodney. Najpierw powinniśmy się przespać jak należy.

Przeżuwam ostatnią łyżeczkę płatków ryżowych.

- Gotowa? Więc, idziemy, pani Fanshaw. Lepiej zbierajmy się tout de suite.

Rodney wyciera ręce w serwetkę, zwija ją w kulkę i wrzuca mi do miseczki. - Gol! - krzyczy.

Przełykam kawę, podciągam rękawy sukienki do łokci i mam nadzieję, że wyglądam jak Parisienne. Biegnę za Rodneyem w nowych czarnych szpilkach. - Podoba ci się moja nowa sukienka? - pytam, gdy wchodzimy po schodach.

- Bardzo praktyczna, ale nie jestem pewien butów. Mogą ci spuchnąć stopy w samolocie. Zawsze mi się to przydarza. To pewnie coś z wysokością.

Z powrotem w naszym pokoju wkłada sweter do krykieta.
- Och, Rod, to wkładasz?

- Jest wygodny.

- Dobrze. - Całuję go w brodę. - Prawda, że nasz ślub był wspaniały?

Bidy nadal tańczyła, gdy wychodziliśmy.

Lotnisko Gatwick

W strefie wolnocłowej na lotnisku szukam prezentu dla Anthony'ego Basterfielda (naprawdę się tak nazywa). To księgowy mieszkający w Paryżu, szkolny kolega Rodneya. Wyprowadza się do domu swojej dziewczyny żebyśmy mogli spędzić miesiąc miodowy w jego appartement.

- Tony jest taki hojny, musimy mu coś kupić.

- Skoro tak uważasz.

Biorę butelkę czerwonego johnniego walkera i porto cock - burn's dla koneserów.

- Ej, przystopuj trochę.

Zanim wchodzimy do hali odlotów, uzbrajam się w kilka czasopism. Nigdy wcześniej nie leciałam samolotem i drżę z niepokoju. - Poczekaj, Rod, zwolnij. - Łapię go za rękę i staram się za nim nadążyć.

W hali odlotów patrzę, jak samoloty odrywają się od ziemi i wzbijają w niebo. Aer Lingus, Pan Am, Air France, Iberia. Ryk silników tylko zwiększa moje podniecenie.

Kiedy wywołują nasze numery miejsc, wsiadamy do samolotu znacznie mniejszego, niż się spodziewałam. Każdemu z uśmiechem kiwam głową na powitanie. Proszę poznać kapitana, mówią stewardesy. Miłej podróży, dziękujemy, witamy na pokładzie British Airways.

Zapinam pasy. Pomruk, potem wycie i samolot niesamowicie przyspiesza na pasie, a potem bam i podrywa się do pionu. W górę, w górę, w górę, aż mi w uszach strzela. W czarodziejski sposób wznosimy się ponad chmury.

- Czy to nie jest niesamowite? - zagaduję Rodneya. Wygląda przez okno i mówi: - O tak. - I znowu zanurza się w powieści Harolda Robbinsa.

Paryż

Na chodniku przed lotniskiem Charles'a de Gaulle'a ciągnie się kolejka. Stajemy na końcu i czekamy na taksówkę.

W Paryżu nie ma śniegu, ale zaczyna deszcz, a ja nie pomyślałam, żeby spakować parasolkę. Niedługo mój płaszcz zamieni się w przesiąknięty wodą worek.

- Rod, może wynajmiemy samochód? - pytam, mrugając oczami zalanymi przez deszcz i zlizując wodę z nosa.

- Za drogo, Kate.

Dopiero dwadzieścia minut później nadchodzi nasza kolej, żeby wsiąść do taksówki.

A kiedy Rod podaje taksówkarzowi zwitek banknotów na rue des Abbesses, mówi: - Niech to cholera. Chyba będziemy się trzymać autobusów i metra.

Taksówkarz wymachuje pięścią i gwałtownie zawraca. - Pamiętałeś o napiwku? - pytam.

- A w życiu!

Stoimy na bruku układającym się w wirujący wzór. Przesuwam stopą po kilku kamieniach, a potem patrzę na wielki płaski budynek. Okna do połowy schowane za żelaznymi kratami ciągną się w idealnym porządku. Rynny i rury dzielą budynek na wąskie części.

Rodney wskazuje na środkową i mówi: - Tam mieszka Tony. Powiedział, że w płowozółtej części. - Przerzuca torbę przez ramię, podnosi pudełko ze sklepu wolnoćlowego i mówi: - Chodźmy.

Łapię za rączkę walizki i popycham ją jedną stopą. Tylko w ten sposób przeciągnę ją przez plac. Jest cholernie ciężka. Dlaczego do diabła tyle spakowałam? Och, niech tylko Rodney zobaczy mnie w bieliźnie, która zbyt długo czekała zapakowana. I te buty. Spodoba mu się to.

Dźwięk francuskiej melodii i piosenki napływa z baru po lewej. To takie ekscytujące i przytłaczające zarazem. O Boże, jesteśmy w Paryżu! To takie fantastyczne! Kogo obchodzi deszcz lejący się za mój kołnierz?

- Bonjour. - Kobieta z włosami zaczesanymi w kok wita nas w drzwiach. Wyciera ręce w ściereczkę, a potem wtyka ją za pasek fartucha. To musi być la consierge, o której wspominał Tony.

- Bonjour - odpowiadam. - Anthony Basterfield?

- Pas moi - uśmiecha się, odsłaniając złoty ząb. - Je m'appelle madame Bouton. Vous êtes les Fanshaws?

- Tak, Fanshawowie - mówi Rodney, kiwając głową jak wariat.

- Un moment. - Madame znika i wraca, dzwoniąc pękiem kluczy tuż pod nosem Rodneya. - Tędy - mówi.

Prowadzi nas przez następne drzwi i wchodzimy do wyłożonego terakotą korytarza. - Tędy - powtarza madame.

Jej stopy stukają o drewniane schody, a ja uderzam o nie walizką. Po czterech kondygnacjach muszę usiąść. - Piękne schody - mówię do madame Bouton, żeby zyskać na czasie i złapać oddech. - Takie stare i oryginalne.

Madame kiwa palcem na Rodneya. - Ależ monsieur, to mężczyzna powinien nieść les bagages.

Rodney bierze walizkę i daje mi paczkę ze sklepu wolnocłowego. - Brakuje tu windy. Które piętro, pani Button (Bouton (fr.), button (ang.) - guzik (przyp. tłum.))? - pyta, mijając madame i znikając nam z oczu.

Madame wzrusza ramionami, a potem krzyczy: - OSTATNIE!

Po następnych dwóch piętrach mamrocze. Gdy doganiamy Rodneya, mówi: - Monsieur, de quoi est mort votre dernier esclave?

Mort - martwy? Esclave - niewolnik? Kto wie, co powiedziała, ale cieszę się ze wszystkiego jak dziecko. To Francja!

Rodney zatrzymuje się, mierzy sobie puls i bierze klucze od madame. - Nieźle - stwierdza. - Sześćdziesiąt pięć uderzeń

na minutę. Jestem w niezłej formie, nawet jeśli to tylko moje zdanie.

Madame patrzy na mnie i szczypie mnie w policzek: - Il a les chevilles qui enflent, eh? - Odchodzi, nucąc. - A bientôt.

Wdycham woń cebuli i czosnku. Ktoś gotuje, a ja umieram z głodu.

- Rod, zrzućmy te mokre rzeczy i chodźmy coś zjeść! Boże, uwierzysz w to? Jesteśmy w Paryżu. Spróbujemy ślimaków? Mieszkamy tuż obok Montmartre'u. Chodźmy zobaczyć wieżę Eiffla, Luwr, wszystko, nie mogę się doczekać!

Rodney wnosi moją walizkę do mieszkania Tony'ego, a potem rzuca swoją torbę na podłogę. - Ja też - mówi.

Kładę zakupy wolnocłowe na blacie. - Popatrz tylko, Rod. Prawda, że cudownie? - Kuchnia, salon i sypialnia, jedno za drugim. Niesamowicie eleganckie. Wypolerowane ciemne podłogi i złote zasłony obficie zwisające z mosiężnych karniszy. Na kanarkowych ścianach wiszą ogromne abstrakcyjne plakaty.

Obracam się w miejscu i gapię na granatowy sufit. - Rod, sprawdźmy, czy w lodówce jest wino.

- Rod?

Stoi przy łóżku z rozpiętym rozporkiem. Uśmiecha się szeroko.

- Powiedziałem, że nie mogę się doczekać.

Bierze mnie za ramiona, zaciska usta na moich i prowadzi do łóżka. Usiądź, mówi. Kolejny mocny pocałunek każe mi odchylić głowę, jeszcze raz i patrzę już na sufit. Och, ktoś przykleił tam złote gwiazdki. Próbuję coś powiedzieć, ale mam w ustach język Rodneya. Kiedy się rozluźniam, czuję, że podwija mi sukienkę do ud. - Rod... czekaj...

Biorę wdech, nim jego usta znowu mnie uciszają. Rod ściąga mi figi i...

I jest we mnie. Szarpię głową w bok. Dlaczego to tak boli?

- Och, och, och, och. I och.

I koniec.

Żadnej wazeliny, Bogu dzięki, ale też żadnej prezerwatywy.

- Ach - wzdycha Rodney. Wstaje i wychodzi.

- Rod, myślałam, że będziemy... czegoś używać.

- Przepraszam. - Skrupulatnie mydli ręce nad umywalką. - Jutro coś kupię. Zobaczmy, czego używają żabojady.

- Chcesz kropelkę płynu dezynfekującego? - pytam z uśmiechem. Wchodzę do łazienki z jedwabnymi figami wokół nogi. - Och, tu jest bidet.

Z mosiężnymi kurkami. Rety.

- To bardzo mało prawdopodobne, że zajdziesz przy pierwszym razie - krzyczy Rodney.

Bidet jest niesamowity. Też taki chcę. Miękkie żółte ręczniki. Wspaniałe.

- Gdzie zjemy? - wołam w odpowiedzi.

Po zupie kalafiorowej, kiedy rozkoszuję się foie gras i sącę słodkie wino w bistro Pot - au - feu na Montmartrze, myślę sobie: „Wszystko będzie dobrze”. Siedzę sucha w długiej spódnicy, nowej bluzeczce w paski, zamszowych ciepłych butach i upajam się Paryżem, językiem, aromatami.

Przede mną całe życie.

Przyglądam się, jak Rodney zajada galaretę. Biorę go za wolną rękę, oglądam jego paznokcie i patrzę mu w twarz. - Witaj, mężu - mówię.

Uśmiech rozjaśnia mu twarz, zanim zwraca na siebie uwagę przechodzącego kelnera. Odsuwa się, żeby podnieść palec wskazujący. - Tak, proszę tutaj. Mercy bon.

- Encore un minute, monsieur.

- Co zamówimy teraz, żoneczko? Co jest w menu?

- Rod, menu jest tak wspaniałe, że nie wiem, od czego zacząć!

MENU

Crème de choufleur aux girolles Salade de pommes de terre Sole poêlée, beurre noisette ou perdreau roti Fromage fermier Figs roties à la crème d'amande

Mam wspaniały pomysł.

- Może przestanę uczyć i zajmę się cateringiem? Nie mam jeszcze nowej pracy, więc może otworzyłabym restaurację albo bistro? Wiem, że teraz to niemożliwe, ale mogłabym zacząć od czegoś małego, no wiesz, kanapki dla biur albo coś takiego, żeby zebrać pieniądze. Jesteś doradcą finansowym, co o tym myślisz? - Znowu biorę go za rękę. - Mógłbyś zająć się księgowością i takimi tam.

Zjawia się kelner.

- Takimi tam? Droga Kate, już widzę, że nie masz nawet jednej komórki biznesmena w tym drobnym ciałku. Miałem raczej nadzieję, że dorobimy się syna. Nie możesz jednocześnie prowadzić restauracji i wychowywać dziecka. Podnosi wzrok na kelnera, żeby zapytać: - Co to jest perdreau roti?

Rozdział 37

1977

Piątek, 10 czerwca Copper Lane 75, Oakley Green

- Boże, Kate, ale jesteś ogromna, biedactwo. - Moira obejmuje mnie w pasie.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłam w zeszłym tygodniu, Moi. Miałam tyle do roboty. Wejdz. Ciężko się jechało M6?

- Nie najgorzej. Tylko trzy godziny.

Sięgam po walizkę, a ona bije mnie po rękach. - Żartujesz sobie? Sama to wniosę. Prowadź.

Łapię się poręczy, żeby podciągać się przy każdym kroku, i wymieniam kolejne rzeczy, które zrobiłam od czasu jej pierwszej wizyty przy Copper Lane 75. Mamy już ogrzewanie, mówię. Nową kanalizację, nową instalację elektryczną. Zerwałam starą tapetę ze ścian, usunęłam farbę ze stolarki, wykopałam to, co zbutwiało, zreperowałam okna. Zainstalowałam karnisze, uszyłam zasłony. W kuchni jest nowy kolor.

Zatrzymuję się, żeby złapać trochę tchu.

Skleiłam, wypełniłam, wyglazurowałam, zdarłam, zdrapałam, zatynkowałam, wywiórkowałam, polakierowałam, wyłożyłam terakotą, wyszorowałam, zeskrobałam i wypolerowałam...

- Oszalałaś? Żeby to wszystko robić, kiedy jesteś w ciąży!

- Nie planowałam zachodzić w ciążę w czasie miesiąca miodowego, Moi - mówię, siadając na brzegu łóżka dla gości.

- Podobają ci się szarobeżowe ściany? Uszyłam narzutę w prążki pod kolor.

Nagradza mnie żywym skinieniem głowy.

Chociaż, myślę sobie, głęboka morela z tymi sosnowymi meblami wyglądałaby cieplej. Z okazji wizyty Moiry zerwałam bukiet peonii i włożyłam go do zielonego wazonu.

Moira podchodzi do nocnego stolika i bierze w dłonie jeden z kwiatów.

Są cukierkowe w kolorze, okrągłe i pełne. Zupełnie jak ja.

- Och, i ten ogród, Moi. Kopałam, grabiłam, podnosiłam, przenosiłam, sadziłam i przycinałam...

Moira kładzie walizkę na dywanie i podchodzi do okna. - Piękny. - Zdejmuje sweter i mówi, żebym się przesunęła, to położy się obok mnie na łóżku. - Och, popatrz, jakie masz tłuste palce w tych kapciach.

Kiedy staram się ze wszystkich sił, żeby spojrzeć na stopy, Moira uśmiecha się szeroko i obie wybuchamy śmiechem.

- Nie mogę wcisnąć moich spuchniętych nóg w nic innego. O Boże, Moi, to nie było zabawne. Rod nie bardzo może mi pomóc w domu, pracuje, a w weekendy gra w krykieta, hokeja i golfa. No i jeszcze łoża masońska. Widzisz, Moi, Rod jest ważnym członkiem drużyn, klubów, stowarzyszeń i takich tam. W ten sposób zatrzymuje klientów i zdobywa nowych. Niesamowite, jak wiele osób tam poznaje.

- Pewnie tak.

- Biddy i tata byli cudowni. Pomogli mi wyburzyć ściany, wyrównać podłogi, powiesić półki i regały.

- Ale jak ci się układa z Biddy? No wiesz, dogadujesz się z nią ostatnio?

- Jest kochana. Pomaga wybrać kolory, płytki, materiały, dywany. Wszędzie miałabym oberżynę i jasną zieleń, gdyby nie Biddy. Mówi, że nigdy nie byłam dobra w dobieraniu kolorów.

Moira szturcha palcem moje tłuste fałdki, gdzie kiedyś miałam żebra. - Pozwalasz jej się rządzić.

- Nie, naprawdę. Ona ma dobre oko, mówię szczerze. A niech tam, oboje z tatą tak ciężko pracowali. Tata podzielił pokój i zrobił mi pralnię, a Biddy przez całą noc pomagała mi

przy naprawianiu ścianki działowej. Powiedzieli, że robienie tego wszystkiego dla mnie to prawdziwa radość.

Moira kręci głową. - O rety, więc teraz czujesz się zobowiązana znosić kałdzie gównno, które pojawi się na twojej drodze. - Skacze na równe nogi, nim zdążę odpowiedzieć. - O Boże, Katie, poczekaj, aż zobaczysz, co kupiłam dla małego Rodneya.

Prycham. - Zobaczymy, czy nazwiemy dziecko Rodney. Poza tym to może być mała Lucy.

Wyciąga torbę z walizki i mówi: - Zaprowadź mnie do dzieciennego pokoju. Wiesz, że Rod urwie ci głowę, jeśli urodzisz dziewczynkę, prawda?

Pokój dla dziecka pomalowałam na cytrynowo. Żadnych dziecięcych wzorków, nadruków z misiami albo podskakującymi owieczkami. Pamiętaj, Kate, dzieci dorastają, powiedziała Bidy. Wybierz ładną farbę. Bładożółtą. Neutralne zasłony. Zapomnij o Laurze Ashley i jej księżycach, gwiazdach i muszelkach.

- Patrz, Moi - otwieram szuflady i wyjmuję maleńkie pasiaste sweterki i spodenki. - Mamgu je zrobiła. A to sama zrobiłam do koszyka. A to do kołyski. - Potrząsam dwiema narzutkami ozdobionymi rzędami żółtych kaczuszek i wijących się rzeczek.

- A spójrz na to - mówi Moira. - To od Ingrid i ode mnie. Spomiędzy palców Moiry spływa przepiękna sukienka do chrztu.

- Jedwab? - wzdycham. Kiwa głową, a oczy jej lśnią.

- To jest... piękne jak cholera. - Biorę sukienkę, przesuwam palcami po plisowanej górze i szeptem dziękuję. - Powiedz Ingrid, że jestem zachwycona, dobrze? Cholera, jesteście najlepszymi przyjaciółkami na świecie, przysięgam.

Moira wskazuje na moje obgryzione paznokcie. - Bez lakieru? - Ściąga mi gumkę z włosów. - Och, Kate, masz tak długie włosy, że praktycznie sięgają ci tyłka.

Czy ona kiedyś się zmieni? Mam nadzieję, że nie.

Patrzy mi w oczy. - Jesteś szczęśliwa?

Tak myślę.

- Nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła potrzymać to dziecko - mówię, przesuwając ręką po brzuchu.

- To już za trzy miesiące - szturcha mnie w ramię.

- Proszę, Moi. Wymieszaj sałatkę.

Wkładam zapiekankę rybną do piekarnika, żeby ją podgrzać. - Otworzę dla ciebie butelkę wina - mówię. - Zjemy na patio? Na zewnątrz jest jeszcze ciepło.

Włosy Moiry są obcięte do linii szczęki. Bluzkę ma w kolorze spranego błękitu, takiego samego jak jej džinsy. Stoi wyprostowana w sportowych butach. Wygląda znakomicie i sprawia wrażenie szczęśliwej. Chyba wiem dlaczego.

- Kiedy sformalizujecie wasz związek z Gusem? - pytam.

- Na przyszłą wiosnę. - Moira zamiera. Odkłada widelec i odwraca się, żeby oprzeć się o szafkę kuchenną. - Katie, słuchaj, wygląda na to, że wydawcy Gusa oczekują, że przeprowadzi się do Stanów na rok. Do St. Louis. Po tym, jak już się pobierzemy, rzecz jasna.

- To wspaniale, Moi.

Ustalamy szczegóły. Ingrid i ja będziemy druhnami. Stukam się swoim sokiem pomarańczowym z jej kieliszkiem chardonnay i ustalamy coś jeszcze. Ona i Ingrid będą chrzestnymi.

I wtedy nagle otwierają się drzwi, rozlega się już znajome uderzenie upuszczanej teczki, a potem trzaśnięcie i brzęk kluczy.

- Cześć, Moira. Pomagamy Kate, co? - Rodney pochyla się, żeby pomasować moje ramiona, i zerka przez szybkę do

piekarnika. - Zjadłbym kawałek przed wyjściem. Co to? Mięso? Ryba? Ser?

Moira wyciąga rękę. - Cześć, Rod, co u ciebie?

- Mogłoby być gorzej. Zaraz wracam. Obraca się i pędzi na korytarz.

- Dokąd on idzie? - pyta Moira.

- Rety, nie wiem.

Gwałtowne kroki mówią nam, że idzie na górę. W ciągu kilku minut pojawia się znowu ze sportową torbą na ramieniu.

- Uprałaś mój strój? Nie mogę znaleźć spodenek.

- Są w suszarce. Dokąd idziesz? - Wyciągam parującą zapiekankę i stawiam na desce do krojenia. Ser bulgocze na wierzchu, chrupki i brązowy na brzegach.

- Nie sprawdziłaś w kalendarzu? Dziś gram w squasha. Siódma piętnaście w ośrodku sportowym Sebastiana Crowe'a, z Dougiem. - Rodney grzebie łyżeczką w zapiekance i zaraz zaczyna machać dłonią przed otwartymi ustami. - Och, jasna cholera, gorące. Do zobaczenia. Muszę pędzić. Bawcie się dobrze. Wracam za jakąś godzinę.

Zbieram talerze, sól i pieprz, a Moira otwiera drzwi na patio.

Rodney krzyczy z korytarza. - Zostawcie dla mnie coś na kolację, dobrze, moje panie? Nie zjedzcie wszystkiego!

Turkusowe niebo nad topolami nabiera pomarańczowego odcienia. Jedyna ostra linia to srebrny ślad zostawiony przez odrzutowiec. - Przyniosę świece - mówię.

- A muzyka? - woła Moira. Otwieram kuchenne okno i włączam radio.

Kiedy wieczór przechodzi w noc, Diana Ross śpiewa Love Hangover, a rozmowa przechodzi na Jacka.

- Powiedziałaś Rodowi o...

- Poronieniu? Boże, skąd.

Delikatne kopnięcie przypomina mi, że znowu jestem w ciąży i wkrótce życie stanie się... kompletne.

Grzebię w myślach, ale siedzą zbyt głęboko, abym potrafiła wydobyć je na powierzchnię. I tak lepiej zostawić je schowane.

- Przyniosę lody - proponuje Moira.

- Deser lodowy z bananami?

- Aha, to byłoby coś.

Kiedy Moira jest w kuchni, zastanawiam się, czego właściwie szukam. Czego jeszcze mogłabym chcieć? Bidy ciągle mi przypomina, jakie mam szczęście. Popatrz na wielkość domu. Jeżdżę własnym samochodem i mam szafę pełną ubrań. Jem wyśmienite jedzenie w eleganckich restauracjach. Nigdy nie będę musiała pracować. Rodney Fanshaw daje mi dużo więcej, niż kiedykolwiek zdołał zapewnić jej mój ojciec.

- Proszę. - Moira stawia dwa pucharki. - Siekane orzechy włoskie, wiórki czekoladowe, kawałki banana i sos toffi.

- Och, dobry Boże!

Niebo w gębie.

Moira bierze łyżeczkę i zamyka oczy. - Orgazm. - Potem uśmiecha się szelmowsko. - A jak jest z Rodem?

- Ty najpierw - mówię, śmiejąc się. - Jak jest z Gusem? Czy to były drzwi frontowe?

- Delikatnie i ekscytująco. Dotyka mnie tak, że kolana się pode mną uginają.

- Nadal tam siedzicie, dziewczyny? - woła Rodney. Już wrócił.

- Och! - krzyczy Moira. - Prawie ze skóry wyskoczyłam, Rod.

- Jak mecz? - pytam. - Wygrałeś? Jaki był wynik? Pytania, które zadaję prawie co wieczór i w każdy weekend. Oczywiście Rod wygrał. Szybkie 4:1. Stawia zapiekankę z

rybą na stole, siada, je łyżką do nakładania, wciskając zimne kartofle do ust. Chcę powiedzieć, żeby tego nie robił. Ale nie mówię ani słowa, bo jestem kurą domową, cichą myszką.

Patrzę na księżyc i myślę sobie: Jak to jest z Rodem? Cóż, jego ciężar, gorąco, przyduszenie - za dużo tego. Czuję ulgę, kiedy schodzi ze mnie.

- Robi się trochę chłodno - mówię. - Wejdziemy do domu?

BAJKA O SZAREJ MYSZCE

Biedna mała myszko domowa.
Zanurzasz i moczysz, spłukujesz
i trzesz, woskujesz i wycierasz,
Odkurzasz i skrobiesz.

Mieszasz i szykujesz,
gotujesz i pieczesz,
trudzisz się
każdego
dnia.

Ciągle.

Pucujesz

i

zmiatasz

i

czyścisz

i

szorujesz.

Siekasz

i

kroisz

i

tluczesz

i

szatkujesz.

Pracujesz

cały

dzień,

póki

nie

padniesz.

Rozdział 38

Czwartek, 8 września Szpital Priory, Oakley Green 11.42

Siostra Meredith trzyma mój nadgarstek między palcem wskazującym a kciukiem i mierzy mi puls.

- Wywołanie o trzeciej, pani Fanshaw?

- Tak.

- Mogę ci mówić Kate?

- Tak.

Spóźniam się cztery dni, jestem wielka jak wzdęty wieloryb i czuję się podle. Może do mnie mówić, jak chce. Mam to gdzieś.

Zaciąga zasłony wokół mojego łóżka i rozpromienia się. - Mamy co nieco do zrobienia dziś rano - mówi, zakładając rękawiczki. - Możemy podnieść pupę?

Możemy, odrobinę. Plastikowe prześcieradło zostaje pod mnie wsunięte.

- A teraz podnieśmy koszulkę. Dobrze. Rozłóż nogi, skarbie.

Słyszę zgrzyt maszynki do golenia na skórze i palce przesuujące ciało to w jedną stronę, to w drugą. Byłam nieustannie popychana, ciągnana, trącana i przyciskana, odkąd zgłosiłam się do szpitala trzy dni temu. Przekraczam granicę upokorzenia. Leżę na taśmie produkcyjnej, trzecia w kolejce do wywołania. Wyglądam przez okno na puste niebo. Nie ma tam nic ciekawego, więc patrzę na wskazówki zegara.

Mija dwanaście minut.

- Skończyliśmy, Kate. Jesteśmy świeżutkie i czyste. Czuję się jak oskubany kurczak gotowy do dalszej obróbki. Pielęgniarka nie odchodzi. Grzebie coś przy długiej rurce i naczyniu o nerkowym kształcie.

- Nie potrzebuję lewatywy - mówię, walcząc, żeby obciągnąć koszulę nocną na brzuch.

- Obróćmy się na bok. Szybkie wstrzyknięcie, a potem możemy popędzić do łazienki i od razu lepiej się poczujemy.

- Nie, dziękuję. Nic mi nie trzeba. - Podciągam koc pod brodę.

- Nie zachowuj się jak dziecko, Kate.

To samo powiedziała Biddy, gdy dowiedziałam się, że rodzice zarezerwowali wakacje w Szkocji. Nie zachowuj się jak dziecko, Kate, nie ma co robić takiej miny. Oczywiście, że wie, że dziecko niedługo się urodzi. Co mam na myśli, mówiąc, że jej potrzebuję? Mam dwadzieścia sześć lat i męża. Najwyższy czas, żeby Rodney przestał żyć jak kawaler. Chciałaby złapać trochę świeżego powietrza i zobaczyć parę ładnych widoków, nim przyjdzie październik. Mam coś przeciwko?

Siostra Meredith odchodzi od łóżka razem z lewatywą, obiecując, że wróci później.

Zastanawiam się, czy jestem egoistką, że chcę przeżyć narodziny pierworodnego razem z matką. Nagle odsuwają się zasłony i wchodzi Biddy.

Czy ja śnię?

- Mama!

Całuje mnie w czoło i odsuwa koc.

- Poprawmy te poduszki. Tata zaraz tu przyjdzie, parkuje samochód.

Odpychając się piętami, zmuszam się, żeby usiąść.

- Dziś po południu będą wywoływać poród. Rod ci powiedział?

- Tak? - Troska pojawia się na jej twarzy, ale szybko znika. - Cieszę się, że jesteś już w szpitalu. Jedyna informacja, jakiej udzielił mi twój mąż, to numer oddziału i piętra.

Tata uśmiecha się z zadowolenia, gdy mnie widzi. - Jak się ma moja Kate? - Przyciska policzek do mojego, a potem wręcza mi pudełko czekoladek i kiść winogron.

- Dziękuję, tato.

- Przyniosę ci krzesło, Tom - proponuje matka uszczypliwym i suchym tonem.

- Dobrze, Biddy. Pomyślałem, Kate, że odwiedzimy cię przed jutrzejszym wyjazdem. - Zasmuca się. - Twoja matka nie jest zbyt szczęśliwa. Jeszcze nie skończyła pakować przyczepy.

Och.

Jednak jadą.

- Tom? Pomyślałeś w ogóle, żeby pomóc mi nieść te krzesła? Wkładam do ust trzy winogrona. Przeżuwam, a łzy płyną mi

po policzkach. Cholera. Wycieram je ze złością o prześcieradło. Nie bądź egocentryczką, Kate.

Przełykam, pestki i wszystko, zmuszam się do uśmiechu, kiedy Biddy przesuwają zasłonki.

Sharon, moja ciężarna towarzysząca z naprzeciwka, macha.

- Więc nim dojedziemy do Szkocji, śmiem przypuszczać, że będziemy już dziadkami. Czy wyglądam dość staro?

- Nie - chórem odpowiadamy z ojcem.

- A teraz Kate, bądź dzielna, niech Bóg nad tobą czuwa i dba o twoje bezpieczeństwo. - Odgarnia mi włosy w oczu. - Wiem, że nic ci nie będzie. Powinniśmy iść za jakieś pół godziny, Tom.

14.38

- Więc zaczęłyśmy same, tak? Bez żadnej pomocy? - mówi siostra Meredith. - Och, dzwoniła twoja babcia Mamgu. Bardzo się denerwowała, bo myślała, że przez cały dzień będziesz sama, mówiła coś o pociągach i że dojedzie na czas. Powiedziałam, żeby się nie martwiła, bo mężulek tu będzie. Daję słowo, już jesteśmy rozwarte na dwa centymetry, możesz mi wierzyć lub nie.

Wierzę. Żelazna pięść przeciska się przez mój krzyż.

- Kiedy dostanę znieczulenie zewnątrzoponowe? - pytam.
- Och, moja biedna, doktor Bates przeprowadził się do Australii.

- Nie ma innego anestezjologa?

- Nikogo, kto by się w tym specjalizował. Nic ci nie będzie, dziecko. Nie jesteś pierwszą kobietą, która rodzi. Mamy wszelkie środki przeciwbólowe. Kiedy skurcze będą co dwadzieścia minut, przewieziemy cię na porodówkę.

- Już są co dwadzieścia minut. Miałam pięć, jestem pewna - mówię.

- Niemożliwe.

I zostawia mnie. Gdzie jest Rodney?

Mężczyzna w brązowym uniformie wjeżdża z telefonem. - Skurcze są co dwadzieścia minut - mówię mu. - Naprawdę.

- To portier, kochanie - mówi kobieta z sąsiedniego łóżka.

- Jest telefon do pani, pani Fanshaw - mówi mężczyzna i wycofuje się.

- Halo? - dopytuje się znajomy głos.

- Ciocia Shauna?

- Tak kochanie. Będę u ciebie za dwie godziny. Powiedzieli mi, że już się zaczęło.

Zagryzam usta.

- Katie, wszystko w porządku?

- Tak, tak.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę, słyszysz?

- Spróbuję.

Kochana ciocia Shauna. Wykręcłam numer do biura Rodneya. Nikt nie odbiera. Dzwonię do domu. Nic z tego. Pewnie jedzie.

- Jak się trzymasz, kochana? - pyta Sharon z łóżka naprzeciwko.

- Trzymam się.

- Dopóki się nie puścisz, nie jest źle, kochana. Ha, ha. Ha, ha.

15.55

Siostra Meredith wkłuwa mi igłę w nogę. - Dostajemy zastrzyk petydyny, żeby skurcze tak nie bolały - mówi. - Zabieramy cię na dół.

18.20

Ciotka Shauna przykłada mi lód do ust.

- Dziękuję, że tu jesteś - mówię.

Jej okrągła twarz łagodnieje, a w oczach pojawia się uśmiech. Włosy ma przyprószone siwizną. Zawsze była taka ładna. - Moja biedna Kate. Nie zamierzałam być nigdzie indziej. Biddy powinno się zastrzelić i to jej powiedziałam.

To znaczy, że miesiącami Biddy będzie traktować ciotkę lodowato. A może nawet latami.

- Co sprawiło, że moja matka jest taka? - pytam.

- Niewiele, kochana. Jest tą samą siostrą, jaką znam od lat. Jak twoja irlandzka babka. Bierz, co się da.

Zaciskam zęby, czekając, aż fala bólu złagodnieje.

- Podaj mi entonox - sapię, ściskając rękę ciotki.

- Za dużo tego wdychasz, rozchorujesz się.

- Podaj mi ten pieprzony gaz.

Patrzę na nią znad gumowej maski. O Boże! Czy ja to powiedziałam? Jakbym szybowała do sufitu. Zauważam, że ciotka sięga do guzika na ścianie.

- Czas wezwać położnika - szepcze.

Kroki.

- Kate musi być prawie gotowa. - Głos ciotki dobiega z zaświatów, ale wiem, że się śmieje. - Moja siostrzenica klnie jak szewc.

- Ach. Wspaniale.

Mówię z maską na twarzy.

- Jest tu ktoś? Gdzie Rod?

- Tu doktor Raphael. Zajmę się tobą, Kate.

Czuję pocałunek na czole. - Świetnie sobie radzisz, skarbie - mówi ciotka Shauna. - To już nie potrwa długo. Pozwolę teraz lekarzowi robić swoje. Spróbuję znaleźć Rodneya, a potem zadzwonię do Mamgu i Griffa. Co ty na to?

Jej głos słabnie, kiedy mija pielęgniarkę i znika za podwójnymi drzwiami.

Zaciągam się znowu przez maskę i czuję mrowienie na głowie. Czy słyszałam, jak ktoś mówi: o, witam, panie Fanshaw?

- Siedem centymetrów. - Głowa doktora wynurza się spomiędzy moich nóg. - Myślę, że za jakieś dziesięć minut będzie pani gotowa na salę porodową.

Dziesięć minut, dziesięć minut...

W zimnym pomieszczeniu pełnym stali nierdzewnej i jasnych świateł widzę okulary Rodneya nad białą maską. Jest cały ubrany w szpitalną zieleń i w ogóle.

- Gdzieś ty się podziewał, do diabła? - warczę.

- Zagrałem szybką partyjkę golfa z ojcem, a potem matka przygotowała mi obiad. Nie martw się, dobrze się mną zaopiekowała.

- Co?!

- Cśś, Kate. Już jestem. Podejrzewam, że czeka cię jeszcze długa runda, nim zaczniesz zdobywać punkty.

- Gra pan na polu golfowym Plattsworth? - pyta dr Raphael.

- Tak, w rzeczy samej, gram.

Och, Boże, niech już przestanie tak boleć.

- Udana partyjka?

- Cudowna. Całkiem załatwiłem staruszka.

- Dał się pan złapać na ten bunkier przed piątym dołkiem?

- Tak, do diabła. Podszedłem za blisko do piłki i zepsułem uderzenie. Powinienem był podkreślić ósemką.

Z moich ust wyrywa się dźwięk podobny do muczenia krowy w Cloondray.

- NIE PRZYJ! - wrzeszczy lekarz. - Chyba nie chcemy się rozerwać, prawda?

Rozerwać? O dobry Boże. Ześlizguję się do Nibylandii, gdzie błyskają ostrza, kłują igły, tną noże i podkręcają kije. Odpływam.

- Wszystko u nas w porządku, Katie? - pyta dr Raphael. - Mieliśmy epizjotomię, małe nacięcie tam na dole. To nie potrwa długo, kochana. Pediatra stoi już obok.

- Tu doktor Stubbs, pani Fanshaw.

Odpowiadam pomrukiem. Cholera, teraz charczę jak świnia.

- Przyj, raz jeszcze, dobra dziewczyna, ładnie. O, jest główka.

Główka? Główka? Główka! Znowu prę i coś się wyślizguje. Słyszę bulgotanie i płacz. Lekarz podnosi dziecko. To siniutki chłopczyk.

- Czy ojciec chce go potrzymać? - pyta dr Raphael, podając dziecko pielęgniarce do zawinięcia.

Wyciągam rękę. - Jest mój.

Kołyszę syna, teraz już różowego, o skórze jak aksamit. Jego malutkie usta krzywią się, gdy moja łza spada mu na buzię. Włoski ma beżowobrazowe.

- Witaj, mały - mówi Rodney.

Pediatra uśmiecha się. - Zaraz będę musiał go zbadać. Mamy dla niego imię, panie Fanshaw?

- Mamy. Będzie się nazywał Rodney.

- Nie, Charles - szepczę, całując maleńką buzię, która pachnie jak ja. - Mój Charlie.

Rodney głaszcze mnie po splątanych włosach.

- Zobaczymy - mówi.

Część trzecia
Lata osiemdziesiąte

Rozdział 39

1981

Sobota, 19 września Sansouchies, Main Street, Oakley Green

Shane wkłada mi do ręki kopertę pełną brązowych loków i zamyka na niej moje palce.

- Przykro mi, Kate. Loczki Charliego musiały odejść. Fryzjer kładzie ręce na oparciu krzesła i obraca je.

- Iiiii - piszczy Charlie. - Jeszcze raz.

- Zakręci ci się w głowie - mówi Shane. - I twoja matka da mi klapsa.

Charlie mruga spod lśniącej, świeżo przyciętej czupryny. Pochylam się i całuję go pod nosem, w to wygodne zagłębienie, do którego moje usta idealnie pasują. Obejmuje mnie za szyję i szepcze mi do ucha cukierkowym oddechem: - Czy dostanę teraz owocowe dropsy?

- Dobrze. - Zdejmuję białą pelerynę i Charlie zeskakuje z fotela. - Ale najpierw musimy zapłacić Shane'owi za świetną robotę.

- Dlaczego? - pyta Charlie.

Śmieję się z mojego czterolatka, który całymi dniami pyta dlaczego, gdzie, kto i kiedy. - Chodź, urwisie. - Łapię go za rękę.

Shane bierze banknoty w delikatne palce, a potem krzyżuje ręce. - Najdroższa Kate, znowu próbowałaś domowej trwałej? Te biedne włosy chcą umrzeć. Pozwól, że dam im powód do życia.

Kręcę głową. - Odrośną.

- Tylko trochę podetnę?

- To wygodna długość, wystarczy przeczesać, założyć elastyczną opaskę i jestem gotowa.

Charlie ciągnie mnie za spódnicę, a potem chowa ręce do kieszeni markowych dzinsów. Ma na sobie sweterek w paski

w różnych odcieniach niebieskiego. Mamgu godzinami wybierała stare swetry, żeby zrobić jej bach Charliemu coś ładnego. Uśmiecham się do syna przepelniona miłością.

Shane strzela palcami. - Kochana, ten przedziałek pośrodku dobija mnie, a wiązanie włosów w dwa kucyki jest takie...

- Praktyczne.

- Tandetne.

- Mamo... cukierki... Obiecałaś.

W końcu Shane macha na mnie ręką. - Nie dbasz o siebie. I odchodzi zniecierpliwiony.

Wychodzimy z zakładu. Jest ciepły dzień. Łagodny.

- Czy te drzewa umierają na raka? - pyta Charlie, podskakując na chodniku.

- Nie, tylko tracą liście. Dzięki temu mogą przetrwać zimę. Charlie przykuca i sięga po łydżkę. Zerka zza wachlarza z liści kasztanu i patrzy mi w oczy.

- Czy Griff przetrwa zimę, mamo?

Och, dobry Boże, chciałabym, że on żył wiecznie, Charlie.

- Lekarze robią, co mogą, kochanie. - W gardle rośnie mi guła. Z trudem przełykam ślinę i uśmiecham się. - Pojedziemy w przyszłym tygodniu do Walii i zawieziemy mu jakieś przysmaki?

- No! Kawalek mojego urodzinowego tortu.

- W lodówce zostały jeszcze trzy kawałki. Chodź, Charlie, kupimy ci owocowe dropsy.

- Dobrze się zachowywałem? Siedziałem nieruchomo? Dlaczego Shane nosi damskie bluzki? Tata takich nie nosi.

Nie, tata nie nosi damskich bluzek, ale lubi sobie wyobrazać, że jest starszym sierżantem sztabowym.

Wyślemy Charlesa do Sandhurst, kiedy skończy szkołę, powiedział pewnego ranka Rodney. Po moim trupie,

odparłam. Więc jesteś gotowa odmówić ojcu powodu do dumy z własnego syna?

Posłuchaj, brytyjska armia oferuje światowej klasy trening przywódczy. Rodney sam zgłosił się do Sandhurst, ale się nie zakwalifikował. To było wielkie rozczarowanie, nigdy się z tym nie pogodził. Stąd ten fetysz, te fantazje w sypialni?

Zapytałam Rodneya, dlaczego nie dostał się do Sandhurst. Co właściwie się stało?

Cóż, wada wzroku nie może wynosić więcej niż minus siedem dioptrii albo plus osiem, a...

A jego soczewki są naprawdę grube.

- Och, patrz, Charlie, już jesteśmy przy cukierni.

Widok złotych i srebrnych opakowań napełnia mnie tęsknotą, więc razem z dropsami owocowymi biorę wielką tabliczkę cadbury.

- Charlie, chcę jeszcze zajrzeć do sklepu muzycznego. Zobaczmy, czy mają coś nowego.

Grzebiemy w pudle ze starymi płytami i znajduję album pod tytułem Sing - Along Oldies. Niech to, a czemu nie, myślę sobie. Zawsze jakaś odmiana.

- To też weźmiemy - mówię, pokazując Charliemu okładkę z jaskrawoczerwonym autobusem, który obiecuje „Cały dzień zabawy dla maluchów”.

- Chodź, zapłacimy, a potem poszukamy samochodu i wrócimy do domu, dobrze?

Wracajmy do domu, który wypełniałam ręcznie szytymi narzutami, zasłonami i kapami. Do pokoi pełnych sosnowych mebli i wiklinowych koszy. Do kuchni pełnej sosów, dżemów i chleba. Do ogrodu pełnego warzyw, krzewów i klombów. Do gniazdka, które gałązka po gałązce uwiłam dla ciebie, Charlie.

W końcu znajdujemy samochód na trzecim poziomie garażu. Zawsze zapominam, gdzie zaparkowałam. Przypinam

Charliego pasami na tylnym siedzeniu, wciskam się za kierownicę, a potem odłamuję cztery kawałki czekolady, które zjem po drodze. Kiedy słodycz roztopia się w moich ustach, myślę sobie: A co do cholery? Jestem gruba. I kogo to obchodzi? Moje ciało opuchło w czasie ciąży, rozciągnęło się, rozdarło, zostało pocięte i pozszywane. Nie ma co teraz żałować.

Włączam silnik.

Copper Lane 75, Oakley Green

- Słucham. Mama?

- Tak sobie myślałam, że może w końcu podniesiesz słuchawkę - mówi Bidy. - Zapomniałaś o rodzicach?

Cholera, znowu się zaczyna.

- Dlaczego wzdychasz? - pyta.

- Nie wzdycham. - Dyszę trochę, żeby zrobić odpowiednie wrażenie. - Nie mogę złapać oddechu.

- Dlaczego? Co robisz?

Podwijam palce w butach. - Biegłam odebrać telefon.

- Gdzie byłaś?

- W Oakley Green.

- Rozumiem. Tom! Nie kazałam ci tego tam kłaść. Nie, nie pod, tylko na wierzchu. Słucham?

- Nadal tu jestem.

- Kate, czy zdajesz sobie sprawę, że nie widzieliśmy cię z ojcem od pięciu tygodni? Pięciu tygodni. Tom, podniesiesz to? Nie kładź tego na blacie, trzeba to umyć. Słucham?

- Tak.

- Słuchasz mnie?

- Tak!

- Wzdychasz.

Zamykam oczy. Jeśli teraz się odgryzę, to nie będzie się odzywać dniami, tygodniami.

- Nie masz czasu, żeby pogadać z mamą, tak?

Na tym etapie muszę być ostrożna. Czeka na moją odpowiedź. Będzie wsłuchiwała się w każdy mój oddech, intonację i dobór słów. Jeśli wychwyci poczucie winy, będzie mnie miała.

Boże, ona jest niemożliwa.

Zmieniam temat. - Charlie i ja byliśmy w zeszłą sobotę u Fanshawów na małej imprezie. - Tak?

- Skromne przyjęcie. Nic specjalnego. Wiesz, zwyczajnie, tylko paru przyjaciół i rodzina - parodiuję Nancy. Cisza.

Znowu próbuję: - Boże, mamó, to było prześmieszne. Opowiem ci, co się stało. Jamnik narobił na podłogę i...

- Wujek Bertie przewrócił się na kupie! - krzyczy Charlie.

- Czy twoi rodzice mogą czasem zobaczyć wnuka?

- Mamó, wiesz, że staram się unikać teściów jak zarazy.

- Wzdychasz. Arrgghh.

- Kate, przyjedź do nas w niedzielę na obiad, ty, Rodney i Charlie. Wrzucę udziec wołowcy do piekarnika.

Uderzam się w czoło. Co ja mam z nią zrobić?

- Dziękuję, mamó, to doskonały pomysł.

- Nie musisz pytać, czy pójdziemy razem na mszę. Wiem, że teraz rzadko chadzasz do kościoła, więc pójdziemy z tatą na wcześniejsze nabożeństwo.

- Dobrze.

- Możesz przyjechać przed jedenastą? Zrobię szarlotkę. Umyj głowę i włóż czystą sukienkę. Twój tata kupi wino.

Znowu jestem dzieckiem.

- Mamó, posłuchaj, Rod ma już plany na niedzielę, nie przyjedzie z nami. Gra w hokeja w Surminster.

Zegnam się, mówię „do zobaczenia” i przesyłam buziaki.

Charlie leży na plecach na podłodze, obok kotki Dinah. - Zapytałaś Biddy, czy Abbott i Costello dobrze się mają? - zwraca się do mnie.

- Sami jutro sprawdzimy w stawie u babci i dziadka, dobrze? Patrz, która godzina. Muszę pomyśleć o obiedzie. Chodź, uściskaj mnie.

Charlie podskakuje. Wyciągam do niego rękę i chowam twarz w jego włosach.

Moje dziecko pachnie mydłem Imperial Leather.

- Czy wszystkie złote rybki wyrastają ze swoich akwariów? Charlie jest taki wysoki. Sięga mi powyżej pasa. Pewnego dnia będzie nastolatkiem, a następnego mężczyzną i stanie się za duży na ten dom.

I wtedy moje dziecko odejdzie.

Całuję Charliego w głowę. Będę go miała jeszcze przez parę lat. - Możemy kupić w przyszłym tygodniu parę złotych rybek w sklepie zoologicznym - proponuję.

- Albo węża. - Patrzy na mnie i śmieje się, widząc moje przerażenie.

Rozdział 40

Wyjmuję płytę Sing - Along Oldies z torby na zakupy i wybucham śmiechem. Co mnie opętało, żeby ją kupić? Włączam gramofon, czekam, aż igła opadnie, i wracam do robienia chleba.

Cudownie jest wyjść za męża. Cudownie, cudownie jest być żoną...

Czyżby? Rzucam ciasto na deskę do krojenia i ugniatam, aż robi się gładkie i miękkie. Aż jest gotowe, żeby odpocząć w misie, odetchnąć i dwukrotnie urosnąć.

- Moje jest gotowe - mówi Charlie i podaje mi szarą grudkę.

- Z tego będzie ładna bułeczka dla taty. A teraz idź pooglądać telewizję. A może wolisz pobawić się klockami lego?

Charlie wyskakuje z kuchni, wołając: - Telewizja, telewizja.

- Umyj ręce, zanim pójdziesz do salonu, dobrze?

Nie ma nic równie radosnego jak radosne życie w małżeństwie...

Śpiewając razem z płytą, nalewam sobie wielki kieliszek czerwonego rhone valley.

Kroję dużą cebulę - cholera, ma moc - zanoszę się szlochom. Rzucam kawałki na skwierczący olej razem z kostkami marchewki i zmiążdżonym czosnkiem. Nie mam do tego serca. Rodney zmiata jedzenie, prawie nie czując smaku, nie ma po co się wysilać.

Jestem mężatką od pięciu lat. Czy znam Rodneya? Czy naprawdę go znam?

Zastanawiam się nad teorią jego ojca. Mężczyzna potrzebuje wszelkich możliwych rozrywek. He? Co?

Cóż, mój mąż ma ich na pewno wiele. Bawi się piłkami w każdy weekend, od rana do wieczora.

- Golf, hokej, squash, krykiet, bilard. Rod gra wszelkimi piłkami - mówię do ściany.

Cholera, gadam do siebie. Muszę się jeszcze napić.

Popijam wino i się śmieję. Dorzucam na patelnię porcję mielonego mięsa i atakuję ją drewnianą łyżką, rozdrabniając i mieszając z puszką pomidorów oraz garścią ziół.

A jakim wiernym kibicem byłam na meczach krykieta. Patrzyłam bez przerwy godzinami, jak Rod pociera piłeczką o pachwinę z dziką przyjemnością, polerując ją z jednej strony, żeby podkreślić ją przy rzucie. Prawo Bernoullego, nie wiesz? Znosiłam tego krykieta przez lata. Ciągnęłam nawet ze sobą Charliego, dopóki Rodney nie powiedział: - A nie wolałabyś zostawać w domu?

Proszę, a ja myślałam, że zależy mu na moim towarzystwie.

Mieszam sos, aż z różowego zamieni się w beżowy i brązowy, a potem dolewam trochę wina. Muszę powiedzieć Rodneyowi, żeby kupił więcej tego rhone valley. Od tego śliwkowego posmaku można się naprrrrawdę uzależnić. A teraz makaron. Nalewam do rondla wodę i stawiam na kuchence.

Jesteśmy bandą porządnych facetów

Nigdy się niczym nie martwimy

Śmiejemy się i żartujemy, śpiewamy i palimy...

Kiedy czekam, aż woda się zagotuje, pytam ścianę, czy to nie dziwne, że Rodney lubi wspólne prysznice. To tworzy więź z drużyną, mówi. To i jedzenie mięsnej zapiekanki oraz picie w barze do jedenastej wieczór.

Mydło, żarcie, picie. A potem wraca do domu na sobotni seks.

Wrzucam garść spaghetti do rondla.

Kochamy się, o tak, o tak Braterską miłością, to fakt...

To, że każdą wolną chwilę wykorzystuje, żeby się bawić piłkami, to jedno. Ale potem ze związanymi nadgarstkami, gołą piersią, spodniami spuszczoneymi do kolan i ostrzem kłującym skórę - touche został przyjęty do bractwa kolejnej loży masońskiej.

Rzadko go widuję.

Oczywiście czuję się tym wszystkim dotknięta. Kto by nie był?

Zaczęłam narzekać jednego wieczoru, aż wreszcie odwrócił się od telewizora i zapytał: - A czego ty właściwie chcesz?

Moją odpowiedź „męża” skwitował pustym spojrzeniem.

- Nudzisz się, Kate. Nie masz dość zajęć, to twój problem - odparł. - Powinnaś zająć się sportem. Golf to doskonały pomysł.

Nie zrozumiał.

Cóż, nie nauczyłam się trafiać do dołka, ale za to nauczyłam się mieć to wszystko w nosie. Kiedy Rodney jest tak zajęty, mogę przynajmniej budować swój mały świat. Mogę zajmować się domem, kochać Charliego, pić dobre wino i słuchać głośno muzyki.

Mogę śpiewać na cały głos, śpiewać o wspaniałych romansach bez choćby jednego pocałunku.

Wyjmuję ciasto na chleb z misy i znowu rzucam na deskę. Sprawdzam, czy dość wyrosło, a potem robię z niego wielką kulę.

Planuję. Przed wiosną znowu odwiedzimy z Charliem Ingrid w Prowansji i zatrzymamy się w jej ślicznym domku, który kupiła sobie wśród lawendowych pól. Jaką ma cudowną pracę w czasopiśmie „Merci France”.

Pewnego dnia polecimy też do St. Louis i odwiedzimy Moirę.

Charliemu się tam spodoba.

Cholera, tęsknię za nią, odkąd się przeprowadziła. Jednak Gus musiałby być szalony, żeby odrzucić ofertę stałej pracy w Stanach. Teraz mam wybór, powiedziała Moira. Zostać w domu i mieć dzieci czy pracować w miejscu, które nazywa się Walgreens.

Szkoda, że straciłam kontakt z Angie. Ostatni raz, kiedy miałam od niej wieści, wyprowadzali się z Joshem do Chelsea.

Wrzucam makaron al dente do durszlaka i wlewam resztki rhone valley do kieliszka. - Na zdrowie - mówię. - Za moje życie. Lepiej być nie mogło. To wspaniały związek.

- Z kim rozmawiasz, mamó? - pyta Charlie, uśmiechając się do mnie szeroko.

- Ze ścianą.

Łapię go za nos. - Cieszysz się, że jedziemy jutro do Dorton?

- Chyba tak. Lubię dziadka. - Przykłada palec do ucha. - Słuchaj! Tata wrócił.

Drzwi frontowe trzaskają, a potem rozlega się uderzenie i brzęk kluczy.

Jest wcześniej.

- Witaj synu. Cześć, mamó! - Ma na sobie spodenki i niebieską hokejową koszulkę. - Kolacja wspaniale pachnie. Co to za cholerny hałas? Czego ty słuchasz?

- Sing - Along Oldies - mówię.

- Dobry Boże! - Rodney wyłącza gramofon. Muzyka zwalnia i zamienia się w burczenie.

Spakuj kłopoty do starego worka i uśmiechnij się... uuuuśmiechniiiiij... yyyjjj...

- Wpadłem po płaszczyk małego Jamiego. Zostawił na przyjęciu Charliego - mówi Rodney.

- Rod, spaghetti bolognese jest gotowe. Moglibyśmy zjeść razem.

- Ale muszę wracać do klubu, żeby oddać ojcu Jamiego płaszczyk. Zaraz wracam.

Jedzie do klubu i zaraz wraca? Nie zobaczę go przed północą.

Wkładam swój bochenek i bułkę Charliego do piekarnika.

Kiedy frontowe drzwi otwierają się znowu, a po potem słysząc trzaśnięcie i brzęk kluczy, mówię Charliemu, żeby nakrył stół dla dwojga. Dobry chłopiec.

Rozdział 41

Niedziela, 20 września

Otwieram jedno oko i klepię drugą połowę łóżka. Nie ma Rodneya.

Tak, i jest wpół do drugiej w nocy, jak zapewnia mnie budzik.

Gdzie on się podziewa? Oblizuję usta. Zaszło mi w gardle i muszę się napić wody. I iść do łazienki.

Proszę, znajduję nagą zgarbioną postać z rozłożonymi nogami. Rodney znowu zasnął na bidecie. Przemykam obok niego i nalewam wody do kubka nad umywalką. - Rod - szepczę. - Obudź się.

Nie rusza się.

Jest sobota, a on lubi seks w soboty. Jak go tam zostawię, nie będę musiała...

Skradam się z powrotem, ale wtedy ręka się wyciąga i dłoń łapie mnie za nocną koszulę. Rod uśmiecha się, chociaż nadal ma zamknięte oczy.

- Dokąd się wybierasz? - pyta.

W łóżku mój mąż odbywa stosunek seksualny. Oglądam sufit i klepię go po plecach, gdy osiąga orgazm.

- Podziękuj panu sierżantowi - sapie.

Rozdział 42

Już rano? Powoli przytomnieję. Nie mogę uwierzyć, że znowu obudziłam się z bólem głowy.

Uwierz, łomocze mi głowie.

Muszę napić się kawy.

- Dzień dobry, Eva! Jest Mike? - Rodney wciska słuchawkę między szyję a ramię i podskakuje, próbując założyć czerwone skarpetki. - Hej, Mikey, masz naoliwione kolana, staruszkule? Nie poganiałbyś dzisiaj z kijem za piłką?

Wygląda na to, że brakuje im jednego do drużyny hokejowej. Ciekawe, o której wychodzi.

- Zaczynamy o dziesiątej trzydzieści. Niebieska koszulka. Oakley Green Clubhouse gra z Tinchley. Świetnie, Mike.

Jak na sygnał dzwoni zegar. Raz, dwa, trzy... osiem, dziewięć i... dziesięć. Zaraz wychodzi.

Rodney zerka na mnie. Uśmiezek pod wąsami starszego sierżanta sztabowego. Widzę, że je wywoskował.

- Drużyna czeka. Jestem spóźniony. Muszę pędzić. - Uderza tweedową czapkę.

- Zabawnie wyglądasz, tatusiu - mówi Charlie od progu. Wbiega, trzymając pod pachą biedną Dinah, i rzuca ją na nasze łóżko.

Nylonowy dres Rodneya ma geometryczne wzory w kolorze limetki, różu i wścieklej żółci. A do tego Rod założył czarne pantofle.

- Tak sportowcy ubierają się w weekendy, Charles. Nowa fryzura, co? Bardzo ładna. Z każdym dniem coraz bardziej przypominasz tatę.

- Kiedy wychodzimy? - pyta mój syn.

Mówię Rodneyowi, że planujemy jechać do Dorton na niedzielny obiad. - Świetnie - mówi. - Rety, jestem spóźniony.

Charlie wsuwa nogę pod kołdrę i zerka na mnie. - Dobrze, ale tylko szybkie przytulanie, kochanie, a potem musimy pędzić.

Rety, zasnęłam dzisiaj.

Samochód trzyma się drogi, gdy biorę zakręty, zanurzam się w doliny i wspinam na wzgórza. Wreszcie jesteśmy w Brickshaw. - Popatrz na kolory jesieni - mówię do Charliego, gdy przemykamy wzdłuż drzew i żywopłotów.

- Czerwone, żółte i brązowe - mówi.

- Szkarłatne, musztardowe i szpizowe - nucę.

- Karmelowe, czekoladowe i orzechowe - śmieje się Charlie. Dojeżdżamy teraz do autostrady i mówię mu, żeby wypatrywał dziewiątego zjazdu. Tuż przed Sitbury pojawia się znak z nożem, widelcem i dystrybutorem paliwowym. Kusi mnie, żeby zatrzymać się na kawę, nawet taką kawę przy autostradzie, ale myślę, że lepiej nie kazać Biddy czekać.

Siódmy, ósmy, dziewiąty zjazd. Najpierw Brickshaw Village, a potem Daleport.

W końcu jedziemy wąskimi uliczkami Dorton, na Bryre Hill, na pieczoną wołowinę i szarlotkę.

Cherry Blossom Road 33, Dorton

Wreszcie jesteśmy. Czekają na nas na podjeździe. Biddy podchodzi do samochodu z wyciągniętymi rękami. Wyskakuję, żeby ją uściskać, a ona przyciąga mnie bliżej. Zerkam ponad jej ramieniem i uśmiecham się. Twarz taty rozjaśnia się. Kiedy pochyla się, żeby wziąć Charliego na ręce, zauważam, że jego włosy bardziej przyprószyła siwizna.

- A teraz daj mi całusa, Charles - mówi Biddy, wskazując policzek. - Ale z ciebie mały Fanshaw, prawda? Nie widzę w nim wiele z Cadoganów albo Geraghtych, Kate.

- Proszę. Domowy chleb dla ciebie. Upiekłam wczoraj. Wsadza bochenek pod pachę i mówi, że się przyda. Charlie idzie, trzymając za rękę dziadka. - Chcę zobaczyć

Abbotta i Costello - mówi.

- Proszę, dziadku - podsuwa mu Biddy.

- Poczekaj, aż zobaczysz, jak urosły. - Śmieje się tata. -
Są jak pomarańczowe torpedy.

- Co to są torpedy?

- Kate, pójdziemy za nimi? - pyta Biddy. - Chcę, żebyś
zobaczyła ogród.

Tata w końcu dostał awans i Biddy sprzedała piekarnię,
więc teraz większość dnia spędza w ogrodzie. Każda gałązka
jest przycięta, każdy krzaczek podsypany, delikatne kielki
kryją się w rzędach pod folią.

- Jest idealny, mamó.

Przygląda mi się tymi swoimi zielonymi oczami. Gdy
idziemy, bacznie ogląda moją cerę, sylwetkę, ubranie. Zsuwa
okulary z krótkiego nosa, żeby uważniej przyjrzeć się moim
włosom. Przesuwa kilka pasemek między palcami.

- Jakiej farby używasz?

- Żadnej. - Próbuje przygłodzić włosy.

- Twój fryzjer nie wie, co robi. Tylko popatrz.

- To nie Shane, sama zrobiłam sobie trwałą.

- Są jak słabe porosty. Już zauważyłam pierwsze siwe
pasemka.

Czekam na słodycz po gorzkich uwagach.

- Powinnaś bardziej dbać o siebie. Dogadzać sobie. -
Przechyla głowę. - Piękna spódnica i sweter. Gdzie to kupiłaś?

- Sweter mam już od dość dawna. Spódnicę kupiłam w
Marksie & Spencerze.

- Za ile?

- Dwadzieścia dwa siedemdziesiąt pięć.

- Przytyłaś parę kilo. Wkrótce nie wejdiesz w tę
spódnicę. Myślisz, że mogłabyś ją oddać mamie?

- Mam całe pudło ubrań dla ciebie w bagażniku, mamó.

- Doceniam to. Tom, przynieś cebulki tulipanów, które obiecałam Kate. Są za szopą w małym woreczku. Tom, za szopą, a nie w cieplarni. - Biddy obraca głowę w moją stronę. - Trzydzieści jeden lat i nosisz takie obcasy? Skończysz jako kaleka. - Teraz uwaga skupia się na Charliem. - Nie pochylaj się nad stawem. Wpadniesz i zniszczysz wyściółkę. - I zaraz potem woła: - Tom, przyjdiesz wreszcie? Obiad się spali.

Uśmiecha się i całuje mnie w czoło. Potrzebuję każdej oznaki rzadkiej aprobaty ze strony matki. Sposób okazywania przez nią uczyć najlepiej można opisać jako kontrolowaną namiętność. Ta pięćdziesięciosiedmioletnia kobieta rani, obraża, doprowadza mnie do płaczu, ale po czterech latach małżeństwa z Rodneyem desperacko potrzebuję wszelkiej uwagi, nieważne jak przytłaczającej.

Skup się na dobrych stronach Biddy, powiedziała Oona. Tych dziwnych chwilach miłości.

Jestem winna Oonie list.

Delikatna wołowina, marchewka, groszek, puree i pieczone chrupkie ziemniaki. Niedzielny obiad jest pyszny.

- Za dwa miesiące jest rocznica Fanshawów - przypominam rodzicom, krojąc Charliemu mięso na małe kawałki. - To ich rubinowe wesele. Gaynor i Betsy organizują przyjęcie.

- Nie wybieramy się z tatą.

- Dlaczego? - pyta Charlie.

- Dziadek musi zostać i wyczyścić rynny. Wyczyścić rynny?

Biddy pochyla się i szepcze mi do ucha: - Bo czy twoi teściowie nie mieszkają w rynsztoku? W ich domu śmierdzi.

Tak, trochę tam cuchnie. I wiem, że sama myśl o rozmowie ze starym prykiem Fanshawem przeraża tatę.

- Jak się ma Rodney? - pyta Biddy.

- Dobrze.

Jemy w milczeniu.

A moje myśli powracają do ostatniej nocy.

Seks.

Nie zachęcam, unikam. Nie potrafię czerpać przyjemności, wzbraniam się. Nie mogę spać, kiedy on chrapie. Wzdragam się za każdym razem, gdy niechcący dotknie mnie stopą lub palcami.

- Katie, coś nie tak? - Tata przygląda się mojej twarzy.

- Nie. - Upijam łyk wina i zastanawiam się, co powiedzieć. - Pomyślałam, że wino jest trochę za słodkie.

Świetna robota, Kate, teraz masz kłopoty.

- Co jest nie tak z tym winem? - Bidy łapie biedną butelkę za szyjkę. - Kosztowało mnóstwo pieniędzy. Wiesz, że potrafię odróżnić dobre wino od złego.

- Butelka ma ładny niebieski kolor. Cholera, to było żałosne.

- Niebieski jak niebo, niebieski jak morze - piszczy Charlie. - Niebieski jak płaszczyk królika Piotrusia.

Może powinnam pójść do lekarza. Coś ze mną nie tak? Podziękuj panu sierżantowi!

Patrzę, jak groszek spada mi z widelca, jeden po drugim, z powrotem do sosu. - Chyba już się najadłam. - Odsuwam talerz i zmuszam się do uśmiechu.

- Powiedz własnej matce i ojcu, co się dzieje - mówi Bidy.

- Później. - Przechyliłam głowę w stronę syna. - Pychota. Prawda, że obiad był wspaniały?

Charlie kiwa głową i oblizuje usta. - Dziadku, wiosną idę do szkoły - mówi z szeroko otwartymi oczami.

- Ale z ciebie duży chłopak. - Tata obejmuje Charliego za ramiona. - Prawda, że wygląda jak Kate, kiedy była w tym wieku?

Bidy kroi szarlotkę. - Nie bardzo. Podaj talerz, Kate.

Ciasto kruszy się pod łyżeczką, a słodki krem rozplywa się w ustach, pozostawiając mocny aromat owoców. Mamgu piecze takie ciasta z jagodami, które znajdują z Griffem wśród żywoplotów i jałowców.

- Tato, jak się ma Griff?

- Nie za dobrze, Katie. Chciałby cię zobaczyć. - Jedziemy do Llandafan w piątek. - Charlie podnosi palce i odlicza. - Jeden, dwa, trzy, cztery, za cztery dni.

- Powinnam nauczyć się prowadzić samochód - mówi Biddy. - Co o tym myślisz, Tom? Mogłabym podróżować, dokąd zechcę. Czy to nie byłoby wspaniałe? - Krzyżuje ramiona, prostuje się na krześle i zakłada nogę na nogę. - Ach, życie jest piękne. Nie muszę już wstawać o szóstej rano do pracy. Teraz jestem panią swego czasu, Kate, jak ty. - Rzuca tacie spojrzenie. - Nareszcie.

- Nareszcie? Co to znaczy? - pyta tata.

- Co to znaczy? Pracowałam przez ostatnie trzydzieści trzy lata. Prawie padałam z wyczerpania, ale jaki miałam wybór?

- Co sugerujesz?

- Ktoś musiał spłacić hipotekę.

- Zimą tata pracuje na boisku do hokeja, a latem na polu do krykieta - mówi Charlie. - Mogę dostać jeszcze trochę ciasta?

Biddy kroi następny kawałek. - Kate, wiesz, jakie masz szczęście, że wyszłaś za mężczyznę, który ma własny interes? Yhm.

Zrywam się i ruszam do kuchni. - Zrobię kawę - wołam, słysząc za sobą szybkie kroki Biddy.

Wsypuję kawę rozpuszczalną do trzech filiżanek, a potem sięgam po szklankę na sok pomarańczowy dla Charliego. Biddy wprawnymi ruchami zeskrobuje resztki do kosza. Tata przepycha się do zlewu, łapie rondel i szoruje zaciekle.

- Mamo - Charlie opiera się o framugę. - Pójdę na górę po książki do rysowania. Pomożesz mi z łączeniem kropek?

- Ja pomogę - mówi tata. - Przenieś i porysujemy razem przy stole kuchennym.

- Pomóc załadować zmywarke? - pytam Biddy, próbując poprawić nastrój.

Wrzucam do filiżanek rodziców słodzik. Dla mnie cukier.

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę. - Zgrabnie wsuwa talerze.

- Obiad był wspaniały. - Mieszam kawę i słodzik z wrzątkiem, a kiedy matka się prostuje, szturcham ją lekko łokciem. - Może wybierzecie się ze mną na rocznicowe przyjęcie? Boże, proszę, pomóżcie mi! To wariaci!

Biddy śmieje się i przyciąga mnie do siebie. - No dobrze, pójdziemy. Pewnie spodziewają się małego prezentu.

- Coś rubinowego, coś czerwonego.

- Czerwony jak skrzynka pocztowa, czerwony jak żołnierz - mówi Charlie, maszerując z książeczkami i kredkami.

Biddy ścisza rękę taty i to tyle. Nalewam mleka do filiżanek i mieszam.

- Proszę, sok pomarańczowy dla ciebie, Charlie. - Biorę swoją filiżankę na spodku i pytam Biddy, czy usiądzie ze mną w salonie.

Zapala papierosa. - Oczywiście.

Kawa jest potworna, rozmowa ujdzie. Plotkujemy na temat Fanshawów, przeglądamy pisma. Jest coraz lepiej.

Pojawia się tata, ale słyszy tylko, że ma wracać do kuchni po kawę i czekoladowe herbatniki.

- Przysuń się, to coś ci powiem. - Biddy ścisza głos. - Wiesz, że niektóre pary całują się tam, no wiesz, między nogami. Boże wszechmogący! Możesz to sobie wyobrazić? Kto by chciał być tak blisko męskiego imbryka?

Szuranie kapci taty obwieszcza jego powrót, więc nie mam czasu odpowiedzieć, ale ostatnio najchętniej trzymałabym się z dala od imbryka Rodneya.

Tata stawia kawę i talerz z herbatnikami na kanapie.

- Charlie, usiądź grzecznie na podłodze - mówi Biddy. - Tom, przynieś ścierkę, na pewno nic nie rozlałeś na spodeczki?

Tata skacze na równe nogi.

- Zostaniesz na noc? - pyta Biddy. Lepiej tak, przesadziłam z alkoholem.

- Zostaniemy? - pytam Charliego.

- Hura! - krzyczy, wcinając herbatnik.

- Dobrze, zadzwonię do twojego taty.

Wybieram nasz numer.

- Halo?

- Kate? Nie zgadniesz! W klubie pojawili się Todd i Penny.

- Och, przykro mi, że ich nie spotkałam.

- Wyszliśmy na kolację do Horse and Jockey. Nasza trójka zdołała zmieścić się w osiemnastu dołkach tego popołudnia. Świetna partyjka golfa.

- Wspaniale, wspaniale. Zanocujemy w Dorton.

- Nie ma sprawy.

Tata potrząsa pudełkiem, unosi brwi, a ja kiwam głową i uśmiecham się. - Muszę już iść, będziemy grali w scrabble.

- Kate, nim skończysz... - Przechodzi w szept. - Podobało mi się wczoraj wieczorem. Zdecydowanie postawiłaś na bacność sierżanta.

- Tata mnie woła, Rod.

- W porządku. Pozdrów staruszka. I Biddy, rzecz jasna. Och, Kate?

- Muszę kończyć. Słyszę chichot.

- Uznaję, że to nieobecność nieusprawiedliwiona. Wobec tego należy ci się reprimenda, nie uważasz?

Nieobecna nieusprawiedliwiona.

- Cześć, Rod.

Pakuję Charliego do mojego starego łóżka i idę do łazienki w nylonowej koszuli nocnej Bidy. Gdy napełniam umywalkę ciepłą wodą, słyszę pukanie do drzwi.

- To mama, wpuść mnie. Ściąga majtki i siada na klozecie.

Namydlam policzki i mówię: - Pójdę chyba do lekarza i zapytam, czy nie wyśle mnie do specjalisty.

- Jezu, Kate wyczułaś guzek? Za długo karmiłaś dziecko. Miał osiemnaście miesięcy, gdy przestałaś. To śmieszne.

- Nie, nie, to nic z tych rzeczy. Chociaż... - Spłukuję twarz i macam, gdzie jest ręcznik. - Na pewno coś mi jest.

- Co?

- Nienawidzę seksu z Rodneyem.

Zerkam zza ręcznika, żeby zobaczyć jej reakcję.

- Ach, wszystko z tobą w porządku. Jaka kobieta ma przyjemność z seksu? - Odrywa kawałek papieru toaletowego.

- To tylko ohydna konieczność. Spróbuj po prostu ulegać mu tylko raz w miesiącu. - Sięga między nogi, żeby się wytrzeć. - Dałabyś radę? - Wstaje, żeby spuścić wodę i dodaje: - Popatrz, jak wiele masz. Rozegraj to dobrze, a wszystko zatrzymasz.

- Nauczyłam się, jak unikać seksu, opanowałam to po mistrzowsku - mówię.

- Więc to bardzo cierpliwy mężczyzna. Masz szczęście. Szkoda, że twój ojciec nie jest taki sam.

- Trzymam seksowną bieliznę zapakowaną.

- Kate! A po co miałybyś ubierać się jak dziwka? Absolutnie nie ma takiej potrzeby.

Leżę na dodatkowym łóżku, słucham świszczącego oddechu śpiącego syna i myślę o Copper Lane 75, o gniazdku,

które gałązka po gałązce uwiłam dla niego. Mój dom wypełniony jest ręcznie szytymi narzutami, zasłonami i kapami. Pokoje są pełne sosnowych mebli i koszy z wikliny. Ogród pełen warzyw, krzewów i klombów.

W kuchni stoi mnóstwo sosów, dżemów i chleba. Słyszę, jak Bidy mówi, że mam szczęście, takie szczęście, bo mam taką kuchnię. Szczerze, co jest bardziej słoneczne od jasnożółtych szafek? Półki z turkusowymi pojemnikami i rzędami solniczek i pieprzniczek w niebieskie paski. Mam nawet różowe aluminiowe sitko do przesiewania mąki. Tres w stylu lat pięćdziesiątych.

Ciepłe kolory, żeby uprzyjemnić sobie szare małżeństwo.

Obracam się na bok. Och, życie nie jest takie złe. Mam swoje gotowanie, które uwielbiam. Co może być lepszego od ubijania, pieczenia, ugniatania i próbowania? Kiedy zaspokoję zmysły, łatwiej zapomnę o reszcie świata znad miski do wyrabiania. O, to mi o czymś przypomniało.

Muszę upiec tort, który zaproponowałam, że przygotuję na rubinową rocznicę ślubu Fanshawów. Na to trzeba czasu.

Przysypiam i zanurzam się w wirującym lukrze. Weźmiemy coś dobrego dla Griffa? Kawalek mojego tortu urodzinowego go wzmocni, mówi Charlie.

O, jest, mówię, wskazując. Widzisz? Ale kiedy łapię tort Charliego, rozpada się w proszek i przesypuje między palcami. Zerkam przez chmurę, czy jest jeszcze jakiś kawałek, ale wszystko zniknęło.

Możesz upiec nowy, mamusiu, szepcze Charlie. Nie płacz.

Rozdział 43

Czwartek, 24 września Copper Lane 75, Oakley Green

- Och, Kate, bach, Griff już od nas odszedł.

- Ale... ale Mamgu... nie, ja...

Opieram się o ścianę i osuwam na kuchenną podłogę. Siedzę tam, próbując osłonić oczy przed światłem. Boże, błagam, nie.

Rodney kręci się od blatu do stołu, pytając, gdzie są jego klucze. Gdzie zostawił ten cholerny portfel? Wiem? A potem patrzy na mnie i chce, do diabła, wiedzieć, co ja wyrabiam. Zakrywam słuchawkę. Ledwie jestem w stanie wydusić z siebie te słowa. Griff umarł.

Łzy napływają mi do oczu. Chodź, mówi Rodney, lepiej, żeby babcia nie słyszała, jak płaczę. To ją tylko bardziej zasmuci. Przykro mu, naprawdę, i żałuje, że nie może zostać, ale spóźni się na spotkanie. Ważny klient i takie tam. Wróci dziś wcześniej, koło siódmej. W porządku? Dobra dziewczynka. Wszyscy wiedzieliśmy, że to się wkrótce stanie. Griff miał szczęśliwe życie.

Słucham, jak babcia cicho płacze. Już dobrze, Mamgu, mówię. Jestem przy tobie. Ćśśś, już dobrze, powtarzam cały czas.

- Przyniosłam mu dziś rano gorące mleko z łyżką miodu. To dziwne, powiedział, ale dziś w ogóle mnie nie boli. Rozmawialiśmy o tym, że ty i Charlie nas odwiedzicie. Powiedział, żebym przestała wydziwiać z poduszkami. Próbowałam ułożyć go wygodnie na starym fotelu na biegunach. Pamiętaj, żeby nasypać węgla do wiadra na jutro, powiedział, żeby rozpalić porządny ogień w weekend. Charlie uwielbia ogień. I zapatrzył się w płomienie. Właśnie podłożyłam ogień pod ładny kawałek węgla, kładąc na wierzchu grube polano. Uśmiechnął się i pokręcił głową. Posłuchaj, Mildreth, powiedz Katie, żeby wspinała się po tych

kręconych schodach, aż znajdzie właściwe drzwi. O czym mówisz, ty stary głupcze, zdziwiłam się. Przymknął oczy i powiedział, żebym się zamknęła i go pocałowała. Głowa opadła mu na bok i pomyślałam, że zasnął, ale...

Unoszę twarz do sufitu i pytam Boga, dlaczego Griff musiał odejść tak szybko. Dlaczego nie dał nam ostatniego wspólnego weekendu?

- Oszedł, Katie.

- Był dla mnie jak tata, Mamgu.

- Wiem, dobrze już, już dobrze, ćśśś, Katie.

Rozdział 44

Ku pamięci

Niech wspomnienia przyniosą pociechę

Kate i Charlie, pamiętajcie, proszę, jak bardzo was
kochamy i jak bardzo rozumiemy waszą stratę

Gus, Moira Sasha & Sophie

Niech Bóg was uleczy w tej chwili smutku.

Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą
pocieszeni.

Ewangelia według św. Mateusza 5:4 (Cytat za Biblią
Tysiąclecia.)

Tam bardzo nam przykro, Kate. Jesteśmy przy tobie
myślami i sercem.

Oona i Barney

Wyrazy ubolewania

Sercem jestem przy tobie.

Katie, tak mi przykro z powodu Griffa.

Żałuję, że nie mogę być teraz przy tobie.

Z całą miłością, Ingrid

Rozdział 45

Środa, 18 listopada Copper Lane 75, Oakley Green

Jesień się skończyła. Wyglądam przez kuchenne okno i widzę mgłę unoszącą się nad trawnikiem.

Równie dobrze mogłabym iść do łóżka.

Rodney ogląda bezmyślnie mecz. Ta - dam, ta - dam, rozlega się charakterystyczna melodyjka, kiedy ostatni uczestnik pojawia się na ekranie.

- O której wracasz dziś do domu, Rod? - pytam, opierając się o ścianę i czekając, aż skończy przeżuwać makaron z serem.

- O dziesiątej.

- Dokąd idziesz?

- Na spotkanie loży masońskiej. A przy okazji, dzwoniła do mnie z pracy Betsy. - Przesuwa językiem po ząbkach widelca. - Przypominała o rubinowym weselu rodziców w przyszłą sobotę. Ho, ho, ho, słyszałaś, co właśnie powiedział Terry Wogan? „Już sama ta odpowiedź zasługuje na wyjęcie cholernej książeczki czekowej”. Ha!

- Nie zapomniałam o przyjęciu. Upiekłam dwa torty w zeszłym tygodniu, jeden wielki i jeden mały. Zamierzam je udekorować i poskładać w piątek.

- Moje siostry zadają sobie dużo trudu, no wiesz, zapraszają drużny mamy, planują bogaty bufet. Spodziewają się, że im jakoś pomożesz.

Upiekłam dwa torty.

- Może jakiś tort? - podsuwa Rod. - Jesteś w tym dobra, docenią wysiłek.

Ta - dam, ta - dam, gra telewizor. Mecz się skończył i Rod musi pędzić. I niech to, już jest spóźniony, spójrz na zegarek. Ta - dam.

Piątek, 27 listopada

- Co myślisz o tych tortach, Charlie?

- Wyglądają jak dwa stoły.

Uderzam go lekko w palce, gdy próbuje dotknąć wypieków. - Dobrze, bo tak właśnie powinny wyglądać.

Obrusy z lukru wiszą ułożone w fałdy nad obwódką z rubinowych wstążek. Wycięłam dziurki w koronkowym brzegu i wyhaftowałam je delikatnie lukrem. Naprawdę wygląda to jak angielski haft.

Rada szefa kuchni

Polewa z lukru idealnie nadaje się do tortów na specjalne okazje. Przy odrobinie cierpliwości można nadać jej dowolny kształt, a dzięki barwnikom spożywczym sprostą wszelkim śmiałym pomysłom.

Odsuwam się na krok i popodziwiam efekt swojej pracy. Jeśli to nie olśni Fanshawów, to co? Może pozwolą mi wystąpić spośród zebranych gości i dołączyć do nich na scenie, czyli uznają mnie za członka rodziny. To była prawdziwa walka, ale nadal próbowałam.

- Mamusiu, skończyłaś już? Do czego to jest? Wyjmuję cztery małe filary z dłoni syna.

- Kiedy polewa zastygnie, ustawię jeden tort na drugim. Będzie dwupiętrowy.

Wtedy dodam ostatni szczegół. Maleńki bukietik rubinowych pączków róż.

Czy to nie wzbudzi zachwyty Fanshawów? Nie wywoła powszechnego podziwu?

Griffowi spodobałby się mój tort. Oto śliczności, powiedziałyby.

Widzę go teraz, jak kuśtyka na stacji w Llandafan w czapce z daszkiem i tweedowej marynarce, gdy wyskakuję z pociągu. - Witaj, cariad. - Słyszę, jak jego sztuczne zęby stukają, gdy mnie całuje w policzek. Ściskam jego kości, jego chude ciało.

Powiedz Katie, żeby wspinała się po tych kręconych schodach, aż znajdzie właściwe drzwi.

Co miał na myśli?

- Mamusiu, smucisz się. - Charlie ciągnie mnie za rękaw.

- Myślę o Griffie.

Kiedy widzę, jak wysuwa dolną wargę, biorę jego twarz w dłonie. - Babcia i dziadek zaraz tu będą. Pomożesz mi posprzątać? I muszę posprzątać łazienki. Wyglądają okropnie.

- A mogę pograć w piłkę? - Charlie skacze do tyłu, żeby uciec, odwraca się i wybiega.

- Dobrze - krzyczę. - Weź ze sobą Dinah... i ubierz się ciepło. A teraz muszę wziąć się do galopu.

- Och, twoje biedne włosy - mówi Bidy. - Jaki stanik nosisz? Potrzebujesz mocniejszego.

Muska świeżo zakręcone loki. Są kruczoczarne, bez śladu siwizny.

W przeciwieństwie do włosów jej córki. Ściskamy się.

Kiedy tata odstawia Charliego, podchodzi do mnie z zaciśniętymi ustami. Odwracam twarz do pocałunku.

Bidy głaszcze Charliego po głowie, a kiedy się prostuje, pyta: - Co to za zapach?

Mówię, że może wybrać między środkami czystości albo wiejską zapiekanką, która przypieka się w piecyku.

- Dołożyłaś do niej czosnku? Twój ojciec go nie lubi. - Jak dla mnie pachnie świetnie - wtrąca się tata.

- Tom, wnieś nasze walizki do sypialni na poddaszu. Zrobić filiżankę herbaty? Kate, nie powiedziałaś mi, że schudłam.

- Rety, ale schudłaś.

- Nie zauważyłaś od razu, jak mnie zobaczyłaś? Zrzuciłam dwa i pół kilo.

- Naprawdę widać. - Naciągam sweter na pupę i uda. Powinnam przebrać się z tych legginsów i kapci.

Biddy wyjmuję miskę ze zlewu i krzywi się.

- Spód jest cały w tłuszczu.

Odsuwam ją łokciem i wkładam miskę pod gorącą wodę.

- Zdejmij płaszcz. Ja zrobię herbatę.

Bo inaczej Bóg jeden wie, co jeszcze znajdzie. Kiedy w czajniku gotuje się woda, sprawdzam, czy zapiekanka jest już gotowa, i rzeczywiście jest, chrupka, przypieczona, idealna.

- Sos nie jest za gęsty? - pyta Biddy, podwijając rękawy. - Obrąć warzywa?

- Już są zrobione. Sos najlepiej zrobić na początku gęsty, potem przy zapiekaniu trochę się rozrzedza.

- Wiem, jak się robi wiejską zapiekankę, nie musisz mi mówić. He?

Biddy otwiera żółte drzwiczki szafek i zagląda do szuflad.

- Gdzie się teraz trzyma cukier? Gdzie są łyżeczki?

Denerwuję się, gdy widzę, jak przygląda się każdej puszcze, paczce, butelce i kartonowi, więc mówię: - Wszystkim się zajmę, siądź tylko przy stole. Odpręż się, odpocznij.

Kiedy przykrywam imbryczek, słyszę, jak tata i Charlie śmieją się razem na schodach. - Chodźcie, obiad prawie gotowy.

Biddy wygląda przez okno. - Twój ogród wygląda wspaniale, Kate.

- Naprawdę?

- Odwaliłaś kawał dobrej roboty. Przespacerujemy się po obiedzie?

Rozkoszuję się jej pochwałą. - Ciężko pracowałam w tym tygodniu. Nie mieliśmy ostatnio przymrozków, więc udało mi się zrobić nowy klomb, a na wiosnę planuję zasadzić parę roślin pod tymi starymi drzewami. Dzwoneczki, paprocie, naparstnice... Mamo, chodź tu z herbatą. Zobacz, jaki tort zrobiłam dla Fanshawów.

- Mam pomysł, może zostanę na parę dni? Tata mógłby mnie tu zostawić do przyszłego tygodnia. Chciałabyś?

- Bardzo. Naprawdę.

- Twój tort jest piękny - mówi.

Stoimy w spizarce, ramię w ramię. Ja w moich starych kapciach i Biddy w lakierkach na płaskim obcasie. Patrzy na mnie ogromnymi oczami za nowymi sowimi okularami. - Moja córka to sprytna dziewczyna - mówi.

Tak.

Wiem, że za aprobatę i podziw muszę się jej podporządkować. Ale... nie szkodzi. Warto. Co w tym złego?

Rozdział 46

Sobota, 28 listopada Merton Avenue 198, Plattsworth

Gaynor otwiera drzwi w różowych plisach spływających z ciężarnego brzucha. - Dobry Boże, Kate, co ty tu masz? - Wymachuje kieliszkiem szampana w stronę pudła, które niosę.

- To tort na rocznicę - odpowiadam. Mogłaby się przesunąć, bo pudło jest ciężkie jak cholera.

- Dobry Boże, Kate - powtarza, przewracając oczami. - Lepiej wejź. Witaj Charlie... och, proszę... witam, państwo Cadogan, dziękuję bardzo za przyjście!

Moi rodzice wymieniają formułki „miło was widzieć” i „jak się macie”, a Bidy pyta, gdzie ma zostawić prezent. W salonie, razem z pozostałymi, odpowiada Gaynor. Och, komplet szklanek do koktajli z rubinowym brzegiem? Jakie śliczne. Jakie wspaniałe. Jej mąż gdzieś tu jest. Weźmie płaszcze. O, jest. Proszę się przyłączyć do reszty i dobrze bawić, państwo Cadogan. Matka i ojciec bardzo się ucieszą z ich obecności.

Unoszę brwi i uśmiecham się. - Gdzie mam postawić tort?

- Och, dużo kosztował?

- Sama go upiekłam, Gaynor.

- Och, Boże.

Timothy, trzyletni syn Betsy, staje pewnie przed Charliem.

- Jestem Spider - Man, więc patrz - mówi.

- Wy dwaj, bawcie się ładnie. Tędy, Kate. Prowadzi mnie do kuchni. Zatrzymuję się jak wryta.

Co do cholery?

Na blacie stoi kawał tortu pokryty białym lukrem. „Szcześliwej rocznicy Mamo i Tato od Rodneya, Gaynor i Betsy” wypisano na czerwono w radosnych zakrętasach.

Patrzę na Gaynor.

Uśmiecha się szeroko. - Wspaniałe, prawda? Betsy zamówiła go specjalnie na tę okazję.

- Ale przecież mówiłam, że zrobię tort.
- Tak?
- Powiedziałam też Rodneyowi.
- Och, mężczyźni. Pytałam cię, prawda? Cóż, rzuć go tam obok pojemnika na chleb.

Timothy wbiega ciężko i ciągnie mnie za sukienkę. - Co tu robisz? - pyta.

Gaynor niesie biały tort w stronę drzwi kuchni. - Wiesz, co? Podaj swój jako deser. Może pokrój go na równe małe kawałki i wyłóż na ładny duży talerz? Cudownie.

Nawet nie spojrzałaś na niego, kretynko.

- Wiesz, gdzie położyć płaszcz - woła. - Zrób sobie drinka. Timothy, kochanie, przestań krzyczeć, bo ciocia dostanie migreny. Już lepiej. Tak, to jest wielki, ogromny, biały tort. Och, na zdrowie! Jak głośno kichasz. Chciałbyś zdmuchnąć świece? Ale tu żadnych nie ma. Betsy? Kochana, proszę, wytrzymaj nos Timothy'emu. - Wzrusza ramionami. - Och, nie słyszy mnie. Cóż. A przy okazji, śliczna sukienka, Kate. Jest taka... hm... ładna i radosna.

Wychodzi, a ja patrzę na moją radosną sukienkę. Kwiaty są chyba trochę zwariowane, ale strój jest bardzo wygodny. I luźny. Timothy siedzi na podłodze i ssie kawałek chleba, patrząc w górę.

- Znalazłeś to w misce Desmond'a? - pytam go.

- Nie powiem.

Wchodzi Biddy.

- Jezus, Maria i święty Józefie - szepcze. - Tylko popatrz, jak tu brudno.

Nawet słodki zapach lukru nie zdoła zabić odoru zjełczanego sera, pleśni i myszy.

- Cóż, wiesz, co mówią, Kate - dodaje. - Gdzie gnój, tam pieniądze.

Mówię Biddy o torcie.

- Boże, straciłam tyle godzin, mam, nie żartuję, pełno w nim suszonych owoców, orzechów, rodzynek i brandy. Kupiłam róże i lukier na wykończenie, kupiłam filarki i zadałam sobie tyle trudu i... i po co?

- Już mają tort, widziałam.

- Tak, kamień nagrobny z inskrypcją. A co Gaynor myśli, że przyniosłam w tym pudle? Roladę? Podaj to na deser, mówi, pokrój na równe małe kawałki i wyłóż na ładny duży talerz.

Timothy otwiera szafkę i robi potworny hałas przykrywkami od rondli. - Ooooooch! Wielki księżę Yorku! - wrzeszczy.

Biddy zakrywa mi uszy dłońmi.

- Podmień torty, ja stanę na straży.

- On i tysiąc ludzi...

Tak! Uśmiecham się do niej szeroko i unoszę kciuki.

- I oto oni, oto oni. BACH! A kiedy padną, to padną...

TRACH!

- Jezus, Maria i święty Józefie - mruczy Biddy.

Ogromny obrus przykrywa stół w jadalni, z przodu opadając nisko. Wystarczająco nisko, żeby ukryć wielki biały tort, gdyby go tam wsunąć.

Stawiam swoje dzieło na miejscu białego tortu, a kiedy się cofam, muszę powstrzymać okrzyk, nim wyrwie mi się z ust. - Timmy!

To mocno zbudowany chłopak, chodząca kula, przygarbiona, z zaciśniętymi pięściami. Patrzą, jak jego tłusty tyłek wierci się pod stołem.

- Brum, brum. Trzymam tu samochody. - Jego rozpromieniona twarz wystaje spod obrusa, gdy przesuwa po kolei każdy samochód po brązowym linoleum. - Dlaczego tort babci i dziadka stoi w moim garażu? Dlaczego?

Timothy wypęła, ściskając poobijaną ciężarówkę.

- Pozbierajmy twoje samochody - mówię. - Znajdziemy dla nich nowe miejsce?

Pospiesz się, ty smarkaczu. Wynośmy się stąd, zanim Betsy albo Gaynor mnie przyłapią.

- Nie! - odpowiada usmarkany.

- Biedactwo, masz straszny katar. Daj mi rękę. Pójdziemy poszukać Charliego.

Timothy bierze mnie na cel i zanim zdążę uskoczyć, uderza ciężarówką w moją nogę. Ból jest ostry i rwie jak diabli. Cholera.

Łapię ciężarówkę, stawiam na komodzie i idę do salonu. Boże, muszę się napić.

Timothy rzuca się, żeby mnie wyprzedzić. - Wyglądasz okropnie, naplawdę.

Kiedy dobiega do matki, Betsy bierze go na kolana i podrzuca go tak mocno, że dziecku aż oczy się przewracają.

- Och, wielki stary książę Yorku - śpiewa. - Hop - hop.

- Apsiiik!

- Przestań kichać, Tim - Tim - mówi Betsy.

Mów ostro do synka, bij go, kiedy kicha. W końcu robi to specjalnie, żeby cię zdenerwować. Gdzie do cholery są drinki?

Rodney przyszedł z meczu na przyjęcie ubrany już w garnitur.

- Cześć, Rod. Przyniesiesz mi drinka?

- Witaj. Poczekaj chwilkę. - Robi trzy kroki w stronę łysego mężczyzny i strzela go w plecy. - Dave? Tak! Cholerny Dave Thorngate, a niech mnie. Jak się masz, staruszk?

- Rodders! Proszę, to już ile, siedem lat od wspólnego krykieta? Dobrze cię widzieć!

Więc to tak.

Czuję delikatny uścisk na ramieniu. Spodziewam się, że zobaczę tatę, ale to wuj Bertie. Podaje mi duży kieliszek

szkockiej, whisky, brandy? Nieważne, co to, i tak mi odpowiada.

- Zdrowie, Bertie.

- Do dna - odpowiada i chwiejnym krokiem odpływa do fotela w cichym kącie.

Bursztynowy płyn pachnie dymem i smakuje słodem. Unoszę szklanke w stronę Nancy i Rodneya seniora i wznoszę na odległość toast, a oni dziękują krótkim skinieniem.

Rozglądam się wokół.

Cuthbert Downey, były wojskowy, rozmawia z tatą, który trzyma na kolanach Charliego. Gaynor zabawia gości czarującą rozmową, odrzuca do tyłu głowę, śmiejąc się głośno. Betsy nadal bezmyślnie kołysze Timothy'ego. Kobieta zbudowana jak koń łapie Biddy za rękę. Jak się pani ma, rzy. To Thelma, jedna z druzhen Nancy, ii - haaa. Miło mi cię poznać, Biddy, widziałaś już tort? Jest wspaniały. Kto go zrobił?

Biddy mruga do mnie szelmowsko.

Rozlega się dzwonek u drzwi i wlewają się kolejni goście. Możesz pomóc, Kate? Oczywiście, Gaynor. Przyniesiesz tartę i parę innych rzeczy? Tak, Betsy, tylko powiedz skąd.

- WSZYSCY JUŻ JESTEŚMY? - wykrzykuje Rodney z salonu.

Hałas rozmów przy Merton Avenue cichnie do pomruków, a mamrotanie przechodzi w kilka przypadkowych kaszlnięć.

- Cisza, proszę o ciszę. Panie i panowie, czy moglibyście wszyscy przejść do jadalni i tam się zebrać? Dziękuję bardzo.

Skradam się na tył salonu i ustawiam Charliego przede mną.

Rodney senior, Nancy, Rodney junior i jego siostry ustawiają się przed moim tortem. Chowam się z boku, ale Gaynor i tak łapie moje spojrzenie. Jej wzrok jest pełen jadu. Przywołuje męża, żeby dołączył do niej, rzuca mi kolejne

jadowite spojrzenie i z uśmiechem wzywa też męża Betsy. No i małego Timmy'ego, jakby mogła o nim zapomnieć? Och, to taki dobry chłopczyk.

I oto stoją w komplecie: rodzina Fanshawów.

A ja tu stoję z moim synem, nadal jako widz z najtańszych miejsc.

Rodney stuka widelcem w kieliszek, żeby uspokoić tłum, wyciszyć ochy i achy, jaka to urocza rodzina.

Gaynor wysiła się na małą przemowę i jedną lub dwie łyzy. A teraz, panie i panowie, chciałyby odczytać wiersz, który osobiście napisała, zanim przekaże głos Rodneyowi juniorowi i Betsy.

- Ehm.

Przez lat czterdzieści wiele się stało,
Często się śmiało, czasem płakało,
Niech miłość, co wiąże naszą rodzinę,
Trwa zawsze i na wieki, po ostatnią godzinę.

- Do was bowiem należy królestwo, wam cześć i chwała, amen - szepczę Bidy do ucha.

- Wszystkiego dobrego z okazji rocznicy, mamó i tato. Kiedy Gaynor i jej rodzice obejmują się, rozlega się głośne brum - brum.

- Brum - brum. - Twarz Timothy'ego szczyrzy się spod obrusa. - Mam tor wyścigowy - krzyczy, wypychając spod stołu biały tort, który teraz wszyscy widzą.

Och, jasna cholera.

Liczne ślady opon zmieniły napis „Szczęśliwej rocznicy Mamó i Tato od Rodneya, Gaynor i Betsy” w rozmazaną masę.

- Bach, brum, trach! - wrzeszczy Timothy, tworząc rowy i wąwozy.

- Charlie, nie musisz iść do łazienki? - syczę.

- Nie.

- Właśnie, że musisz. Chodź ze mną.

Biddy idzie za nami, na schodach odwracam się i rzucam jej przerażone spojrzenie.

Jej twarz krzywi się, a ja czuję się słaba i bezużyteczna. Ledwie mogę pokonać ostatnie trzy stopnie. - O Boże. O Boże - bełkoczę, gdy dochodzimy do półpiętra.

Wpycham Charliego do łazienki i zamykam drzwi.

- Och, Kate - mówi Biddy, trzymając się za brzuch. - Jak ty wytrzymujesz z tą rodziną? Biedactwo. Jak Rodney tu przetrwał?

Śmiejemy się bezgłośnie, zupełnie jak z Moi w szkole średniej Shawhurst.

Ale jak długo to będzie trwać?

Rozdział 47

Oona Geraghty Farma Longshaft Cloondray Blakestown
Eire

14 grudnia 1988

Oona!

Od czego zacząć? St. Louis to naprawdę fantastyczne miejsce mimo strasznych mrozów. Wjechaliśmy dziś na szczyt Gateway Arch - na oszałamiającą wysokość 192 metrów! Jak dotąd odwiedziliśmy zoo, planetarium i centrum naukowe. Gus zabrał wczoraj Charliego na mecz hokeja na lodzie. Moira i dziewczynki mają się dobrze, wyglądają po prostu wspaniale. Szkoda, że mam tak mało miejsca na kartce i nie mogę ci WSZYSTKIEGO opowiedzieć. Świetnie się bawimy! Zadzwoń, jak wrócimy do Anglii, obiecuję.

Całuję,

Kate i Charlie

Rozdział 48

Sobota, 17 grudnia Copper Lane 75, Oakley Green

- Więc kiedy znowu nas odwiedzicie? - Moira leciutko przeciąga samogłoski. - Dziewczynki już tęsknią za Charliem.

Uśmiecham się, słysząc zmieniony akcent przyjaciółki. Nie potrzebowała na to wiele czasu. Widzę znowu jej siedmioletnie bliźniaczki w dniu, kiedy zobaczyliśmy je na lotnisku Lambert. Boże, jak urosły, odkąd ostatni raz je widziałam. Długie nogi, opalone twarze, włosy jasne jak śnieg, ubrane w zielone ogrodniczki i cytrynowe sweterki. Kiedy Charlie wykrzywił się do nich, roześmiały się, pokazując różowe dziąsła bez śladu przednich zębów.

- Sasha i Sophie są prześliczne, Moi.

- A Charlie to smakowite ciasteczko, w sam raz, żeby schrupać. Milkniemy.

- Słuchaj, Katie, u ciebie wszystko w porządku, prawda?

- Katie?

- Będzie dobrze.

Mamgu uderza rondlami w kuchni. Przywiozłam ją wczoraj z Llandafan, żeby spędziła z nami parę dni. Smaży kielbaski i puree dla Charliego. Przeprasza na migi, a ja potrząsam głową, żeby wiedziała, że nic się nie stało.

Moira też nie powinna się martwić, bo wszystko będzie w porządku. Przywykłam do Rodneya, naprawdę, nauczyłam się uciekać myślami gdzie indziej, dopóki się to nie skończy. Garbię się nad telefonem, żeby Mamgu mnie nie słyszała:

- Mogłoby być o wiele gorzej. Nie bije mnie, nie ma żadnych romansów. - Śmieję się lekko, żeby przestała się niepokoić. - O ile wiem!

Nie mogłam jej powiedzieć wszystkiego. To zbyt... komiczne. Zbyt dziwaczne, jak sędzę. Przynajmniej tak myślę.

Inne kobiety mogą patrzeć na to inaczej.

- Katie, dlaczego nie powiesz mi, co się dzieje w sypialni? Słuchaj, rozmawiamy przez telefon, nie w cztery oczy. Nie będzie ci łatwiej powiedzieć mi teraz?

- Och, nie jest tak źle, to znaczy... Cholera, Moi. - Zniżam głos. - Teraz nie bardzo mogę rozmawiać. Jesteś kochana, że się o mnie martwisz, ale przywykłam do swojego życia i tego, jak się sprawy mają.

Słyszę jej westchnienie.

- Dobrze. A przy okazji, moi starzy stwierdzili, że sierpień to dobry czas, żebyśmy z Gusem i dziewczynkami odwiedzili ich w Cardiff.

- To cudownie! Naprawdę, Moi, u mnie dobrze. Pamiętaj, mam Charliego.

- Niedługo zaczniesz szkołę. Lata szybko miną, sama wiesz. Nie zatrzymasz go na zawsze.

Przesuwam ręką po ścianie, którą sama wytapetowałam i pomalowałam. - Mam dom. - Yhm.

- Lepiej będę już kończyć. Dziękuję milion razy za zaproszenie do St. Louis. Boże, cały czas ci to powtarzam, ale twój nowy dom jest bajeczny.

Otwarta przestrzeń, rozległe wypolerowane podłogi, ogromne lodówki, wielkie łóżka, wysokie sufity... i basen.

- Było nam bardzo miło z Gusem, kiedy nas odwiedziłaś. Przyjeżdżaj częściej, słyszysz? A teraz idź i odpicuj się na tańce.

- Dobrze.

- Kate? - Tak?

- Świetnie wyglądasz z jednym podbródkiem.

- Zamknij się.

- Sama się zamknij.

Śmieję się, gdy biegnę na górę, żeby zabrać Charliego. Rzeczywiście lepiej wyglądam z jednym podbródkiem. Dieta przed wylotem do Stanów była męczarnią, ale warto było.

Inaczej nigdy w życiu nie pokazałabym się Moi w kostiumie kąpielowym.

I mieszczę się w sukienkę! Szeleści, gdy podnoszę dół, żeby wygładzić grafitowe rajstopy. Grzebię w biżuterii w poszukiwaniu naszyjnika i masywnej bransoletki. Potrzebuję czegoś trochę tandetnego, kontrastującego z sukienką.

Stoję przed lustrem i szczotkuję włosy, które są tak długie, że sięgają do pupy. Wiążę je w kok na czubku głowy. Tak, wiem, wiem, mówię sobie, trzydzieści osiem lat to za dużo, żeby nosić tak długie włosy. Powinnam pójść się obciąć, pozwolić Shane'owi z Sansouchies postawić na swoim.

Schodzę na dół w czarnej tafcie i słyszę stukanie w szybę. Kiedy wychodzę z za rogu, widzę Rodneya przy oknie w korytarzu machającego na czarną taksówkę przed domem.

- Ha, ha, Toddzie Grimley, ty stary łajdaku. - Nagradza mnie przelotnym spojrzeniem i pyta: - Gotowa? Dobrze. Taksówka czeka. Todd i Penny płacą połowę.

- Jak wyglądam?

- Zmarzniesz w tym jak cholera. - Zaczepia palcami o ramię. - Pójdę pogadać z Toddem, a ty weź sobie jakiś płaszcz. Myk - myk, ruszaj się.

Rodney ekscytuje się dzisiejszym wieczorem, ta - dam, dziś jest bal na cześć dam z masonerii w ogrodzie botanicznym w Moreditch.

- Mamgu? Charlie? Już wychodzimy. - Wkładam płaszcz.

Słyszę na zewnątrz hałasy, dziwne dźwięki, gwizdy, okrzyki, sapanie. Kiedy wyglądam przez okno, w świetle lampy przed domem widzę Rodneya szurającego w kółko i udającego, że jest lokomotywą. Czasem zachowuje się jak ostatni głupek.

Biegnę do kuchni, żeby ucałować syna w oba policzki. - Mamgu nauczy mnie grać w brydża i pokera - mówi Charlie, tasując karty.

- Hazard, tak? - śmieję się.

- Mamo? Mamgu mówi, że pręgowana kotka jej sąsiadów ma sześcioro kociąt.

- I?

Wiem, co zaraz usłyszę.

- Byłoby super znowu mieć kota, nie? Strasznie tęsknię za Dinah, odkąd zdechła.

Ja też tęsknię za moją rudą kotką, moją małą towarzyszką.

- Porozmawiamy o tym później, kochanie.

Charlie przechyla głowę na bok i unosi brwi. - Proszę.

- Och... - Długi klakson wzywa mnie do taksówki. - No dobrze!

- Dziękuję, mamo. Jesteś najlepsza!

- Więc do zobaczenia jutro rano - mówię, obejmując Mamgu. - Wrócimy dopiero nad ranem.

- Wyglądasz jak z obrazka, bach.

Charlie uśmiecha się do mnie szeroko. - Więc możemy przywieźć kotka z Llandafan?

Klakson taksówki trąbi pibip - pibip. Na miłość boską, Rodney, poczekaj chwilę.

- Tak, Charlie. A teraz muszę iść.

- Nazwę go Rzep, mamo.

- Nareszcie! Tutaj, Katers! - mówi Todd. - Posadź swój śliczny tyłeczek tutaj, obok mnie, o tak, skarbie.

Ma małą głowę, ciemne oczka, a jeden z jego przednich zębów jest większy od drugiego. Mimo to wszystko razem tworzy harmonijną całość. Sadowię się na tylnym siedzeniu taksówki między nim a Penny i witam się z nimi.

- Jesteśmy gotowi? - pyta Rodney. Siada na małym dodatkowym siedzeniu naprzeciwko. - Jak się miewasz, Todders?

- Czuję się absolutnie doskonale, gdy siedzę obok twojej żony, kochaniutki - odpowiada z cichym pomrukiem.

Zabierz rękę z mojego uda, skarbie.

- Pod moją małą gorącą dłonią czuję solidne udo, Rodders!

Odwracam się do Penny, która wykrzywia usta do małego lusterka, sprawdzając zęby. Ma na sobie masę pastelowych falbanek. Na kolanach trzyma białą torebkę, założyła też białe buty i białe rękawiczki.

- Jak się masz? - pytam.

- Dobrze - odpowiada i wygląda przez okno. Zawsze była snobistyczną krową.

Cóż.

Nie mam więc innego wyjścia i słucham, jak Rodders i Todders wymieniają się szczegółowymi uwagami na temat golfowych bunkrów i rekordowej liczby uderzeń na dołek. Z radiowej gmatwaniny w taksówce wychwytyuję podawaną godzinę. Jest szósta trzydzieści pięć popołudniu.

Zjawiamy się w ogrodzie botanicznym dokładnie o siódmej.

- Dobra robota, panie taksówkarzu - mówi Rodney, wyciągając rękę po część należności od Todda.

Boże, jest zimno. Ruszamy za podnieconym tłumem kobiet w cekinach i jedwabiach, za rozkołysanymi mężczyznami w smokingach. Słucham pełnych zachwyków pisków, mamroczeń powitania, raz, może dwa ściskam podawane dyskretnie dłonie w czasie drogi przez korytarz.

Staję w szatni za Penny.

- Następny proszę.

Podaję płaszcz, biorę numerek i... Penny znika w tłumie.

Rodney i Todd są zajęci nawoływaniem braci ze stowarzyszenia, więc ruszam do łazienki.

Jak tylko otwieram drzwi, słyszę głośny śmiech teściowej.

- Ha - ha, ha - ha.

Tak, to ona. Stojąc pośród stadka kobiet, widzę, jak wpycha się na wolne miejsce, żeby zaanektować lustro. Kobieta w gładkiej sukni z żółtej żorżety zatrzaskuje torebkę, a ja skwapliwie zajmuję jej miejsce. Przywołuję Nancy, żeby stanęła obok.

- Witaj, Kate. - Poprawia perukę. - Widzę, że zjawiliście się na czas, ha - ha.

Ciotka Glenda staje dwie osoby na lewo ode mnie i skubie brwi, żeby wyglądały jak uniesione ze zdziwienia łuki. - Kate, kochanie, wyglądasz prześlicznie, prawda, Nancy?

- Tak. Dołączymy do Rodneya seniora i Bertiego?

Ciotka Glenda ściąga usta w dziobek i cmoka mnie pobieżnie w policzek. Potem ona i Nancy wychodzą, trzymając się pod ramię zajęte rozmową.

Poprawiam szminkę i róż, podpinam kilka luźnych pasemek włosów. Gapiąc się na swoje odbicie w lustrze, postanawiam się dobrze bawić.

Drink mógłby mi pomóc.

Kiedy tylko wychodzę, Rodney łapie mnie za łokieć i prowadzi do wejściowego holu. Truchtam, żeby za nim nadążyć. - Musimy zostać zaanonsowani - mówi, popychając mnie w stronę grubego faceta z laską.

Z zadartym nosem Rodney strzela obcasami i staje na baczność.

- Brat Rodney James Henry Fanshaw i pani Kate Marie Fanshaw. Całuję czerwoną twarz Jego Czcigodnego Mistrza Bertrama

Boswortha i upudrowany policzek jego damy. Rodney obraca mnie i błysk! Kolejne zdjęcie do upchania na dnie szuflady.

Przechodzimy do sali z pomalowanymi na złoto ścianami i niekończącymi się dywanami. Wszystko tu kręci się, wiruje. Filigranowa robota.

- Sherry, proszę pani? - pyta kelnerka.

Biorę dwa kieliszki, po jednym do każdej ręki. Cztery łyki i oba są puste.

- Simon! - bełkocze Rodney. Już pędzi przez salę, zostawiając mnie zdaną na własne siły.

- Słodka czy wytrawna?

Zamieniam puste kieliszki na trzeci z wytrawną. Skupiam się na tłumie w pobliżu baru. Czy jest tam choć jedna znajoma twarz lub postać, do której mogłabym się przyłączyć? Nikogo nie poznaję. Krzyżuję ręce i gapię się w sufit. Przytupując nogą, próbuję wyglądać na głęboko zamyśloną.

Buch! Rozlega się uderzenie młotkiem. O Boże, to pewnie jakiegoś rodzaju wezwanie. Tak, bracia i panowie mają zaprowadzić swoje panie do stołów.

Gdzie do cholery jest Rodney?

Ktoś delikatnie puka mnie w ramię.

Todd Grimley.

Nie zawracam sobie głowy pytaniem, gdzie jest Penny. Ulżyło mi, że widzę kogoś znajomego. Przyjmuję podane mi ramię i ruszamy do jadalni. Wita nas blask szkarłatnych balonów i poinsecji, płatanina purpurowych kokard i świecidełek. Czerwone, czerwone, czerwone, czerwone.

Mój teść stoi u szczytu stołu, drapiąc się w pachwinę. Obok niego widzę ciotkę Glendę. Obraca głową, przewraca oczami, a wujek Bertie... cóż, wujek Bertie drzemał na krześle, nim żona strzeliła go ostro w tył głowy. Nancy cały czas poprawia perukę i strumienie satyny, które zbierają się pod jej biustem.

Dziękuję Toddowi za przyprowadzenie mnie do naszego stołu, a jego ciemne jak czarne porzeczkki oczy błyszczą.

Rodney siada po mojej lewej stronie, Todd po prawej.

- Cześć, Rod. Gdzie się podziewałeś? - pytam.

Znowu rozlegają się uderzenia młotka, więc nie słyszę odpowiedzi. Bach, bum, bach. Głośne rozmowy w jadalni cichną do szeptów, aż ostatecznie zapada cisza. Wielki mistrz Bertram Bosworth i pani Eunice Bosworth są oficjalnie witani przy głównym stole. Rytmiczne oklaski, początkowo powolne, stopniowo przyspieszają i przechodzą w aplauz.

Honorowa para siada na drewnianych tronach. Skłaniają głowy przed wszystkimi byłymi mistrzami i ich towarzyszkami. Bach, bum, bach. Mistrz wzywa kapelana, by zmówił modlitwę dziękczynną.

- Za to, co za chwilę otrzymamy, niech Pan uczyni nas naprawdę troszczącymi się o potrzeby innych.

Amen, amen, amen.

Todd szepcze mi do ucha: - Wiesz, jakie są moje potrzeby, prawda? Ty mała niegrzeczna dziewczynko.

Rozlega się skrzypienie krzeseł i znowu zaczynają się rozmowy. Todd odsuwa krzesło Penny, żeby usiadła, a potem moje.

O rety, to będzie długi wieczór. O rety, roznoszą wino. Kelner niesie dwie butelki owinięte w białą serwetkę. - Czerwone czy białe, proszę pani?

Wybieram chardonnay, które pasuje do postawionej przede mną zupy. Biorę łyżkę i łowią grzanki.

Rodney wali mnie w plecy. - Poznajcie moją żonę!

Przedstawia mnie Maurice'owi i Fredowi, nowym członkom loży, oraz ich żonom, Amy i Nicole. Maurice potrząsa szczęką i powtarza moje imię. Amy kiwa głową. Rumiany Fred z twarzą czerwoną niczym ognisty balon ściska moją dłoń, a Nicole uśmiecha się szeroko.

Teraz Rodney będzie ich ignorował. Tak zawsze robi.

Czarki z zupą są puste. - Filety rybne? - dopytuje się kelnerka.

- Tak, poproszę! - Trzy sponiewierane paluszki rybne lądują na moim talerzu.

- Chardonnay? - pyta kelner.

- Tak, poproszę! - Mój pusty kieliszek znowu się napęlnia. Todd maca palcami zapięcie pasa do pończoch na moim udzie.

- Grrr - warczy cicho.

Rodney pociera o siebie ręce. Dlaczego ciągle to robi? - Kate, rzuć mi menu, zobaczymy, jakie będzie danie główne. Jaka fantastyczna uczta!

Bach, bum, bach.

- Toast na cześć królowej i gildii.

Wszyscy wstają. Łopoczą serwetki, dźwięczą kieliszki, słysząc mamroczącą falę odpowiedzi. - Za królową i gildię, za królową, za gildię, za gildię...

Kręci mi się w głowie.

Bach, bum, cholerne bach.

- Czcigodny mistrz pragnie wypić wino z wszystkimi obecnymi paniami.

- Panie, panie, panie.

Główne danie to porcja steku w sosie. Rodney sięga mi przed nosem, żeby wziąć od Penny marchewkę z groszkiem.

Todd ociera się o moją kostkę stopą w skarpetce.

Rodney przywołuje kelnerkę. - Poproszę więcej pieczonych kartofli. Ciągle jeszcze rosne!

Todd przymyka malutkie oczko i mruga na mnie. - Jeszcze chardonnay? - Strzela palcami na kelnera.

Pochylam się w lewą stronę. - Ej, Rod - szepczę. - Todd cały czas ociera się o moje udo.

- Wiecznie napalony drań - odpowiada trochę za głośno z wielkim rozbawieniem. - Poleci na wszystko w spódnicy, stary Todders.

Przynoszą deser.

Kolejne toasty, kolejne modlitwy, kolejne pieśni i kolejne bum i piekielne bach, a ja zdaję sobie sprawę, że za dużo wypięłam. Tu, w domu, gdziekolwiek jestem, za dużo piję. Och, niech to cholera, czy te czerwone balony, kokardy i poinsecje nie wyglądają pięknie jak diabli?

Czas na Pieśń Pań. Powitają nas ciepłe masońskie serca, wyciągną się do nas dłonie braterstwa. Patrząc wokół na krzyczące, chichoczące, ziewające kobiety i zastanawiam się, co tak naprawdę dzieje się w ich głowach. Wiem tylko, że ja czuję się całkowicie oderwana, po prostu dryfuję, robiąc to, co trzeba. Wstając, kiedy trzeba, siadając, kiedy trzeba, uśmiechając się, kiedy trzeba.

- Likier dla pani?

- Ouzo, poproszę.

Ouzo, bo już jestem „nabouzowana”. Kiedy przynoszą alkohol, zezuję, gdy patrzę na błękitny płomyk w kieliszku. Zdmuchuję go i biorę łyk.

Bracia wstają.

Z rękoma na sercu śpiewają chórem, ale dlaczego Rodney nie patrzy na mnie?

Mężczyźni mogą zapalić. Kilka pań wstaje od naszego stołu i rusza do toalety. Rodney przesiada się na puste krzesło naprzeciwko Penny i gada z nią o polu golfowym i wynikach.

A Todd dobiera się do mnie.

W końcu, panie i panowie, podane są sery i kawa. Todd karmi mnie ciemnymi winogronami, a Rod i Penny niczego nie zauważają.

Rety, dobrali się jak w korcu maku, tacy są podobni. Muzyka rozbrzmiewa w tle.

- Rod - syczę. - Todd poprosił mnie do tańca.

- Ty diable! Do zobaczenia później. Pogadamy jeszcze z Penny o normach i uderzeniach!

Więc idziemy na parkiet, na którym ciotka Glenda trzyma się mocno satyny w talii Nancy. Tańczą razem skoczno go fokstrota.

Muzyka milknie. - A teraz, panie i panowie, zapraszamy partnerów do walca. I raz - dwa - trzy, raz - dwa - trzy.

Chichoczę, bo to takie, och, takie to wszystko zabawne. Patrzę, jak pary wirują i mijają nas. Nie potrafię zatańczyć choćby jednego kroku walca.

Todd całuje czubki moich palców. - Chodź.

- Nie potrafię.

- Spokojnie, trzymaj się mnie. Nie, bliżej. Ja prowadzę.

- Nie potrafię tańczyć walca!

- Bliżej!

A co tam. Wtulam twarz w zagłębienie jego szyi i obejmuję go.

- Grzeczna dziewczynka.

Rozpływam się w leniwym rytmie. Żadnego oporu, żadnej odrazy, ciała przywierają. Todd napiera, emocje narastają, głowa wiruje, uśpione pożądanie powoli się unosi. Patrzę w jego ciemne oczy. Alkohol zmienia jego rysy w przyjemne, niemal do przyjęcia, przyjazne.

- Poczuj, co ze mną robisz, Katers.

Czuję, bardzo wyraźnie, co z nim robię. Moja reakcja jest niespodziewana i zaskakująca. Żadnego oporu, żadnej odrazy. Tańczę, raz - dwa - trzy, raz - dwa - trzy, chcę się drażnić, chcę flirtować, raz - dwa - trzy, raz - dwa - trzy.

Todd obejmuje mnie w biodrze.

Z Rodem nigdy tak nie jest.

Muzyka się kończy, ostre promienie światła prześlizgują się po tłumie. Szybko zabieram ręce i cofam się o krok.

Brzdęk, trach! Ciche uderzenia w cymbały obwieszają kolejny taniec. - A teraz panie, panowie, prosimy ustawić się w koło i... kaczuszeki!

Rodney biegnie w naszą stronę, wymachując łokciami.
Uwielbia ten taniec.

Uciekam do łazienki, bo muszę się zastanowić. Może nawet wycygnię papierosa od jakiejś miłej kobiety. Przejdę się po ogrodzie botanicznym i pogadam z gwarkiem, którego trzymają tam w klatce.

Przykryj masło.

Ukryj swoją seksualność.

Seks to tylko ohydna konieczność, jaka kobieta to lubi?
Kiedy Todd zadzwoni, a wiem, że to zrobi, powinnam odłożyć słuchawkę.

Część czwarta
Lata dziewięćdziesiąte

Rozdział 49

1995

Poniedziałek, 10 kwietnia Copper Lane 75, Oakley Green

- Mamo? Przyniosę pocztę - krzyczy Charlie. - Jest różowa koperta, wygląda na kartkę i ej... jest paczka i pachnie czekoladą! Superznaczkę. Zostawiam wszystko w kuchni, dobrze? Do zobaczenia później. Zwijam się do Baza.

Katie

Twoja przyjaźń jest dla mnie: bajeczna - jajeczna, podniecająca, wspaniała, niezwykła i absolutnie niepowtarzalna! Wesołej Wielkanocy! Tony całusów, Moira

Un lapin en chocolat avec un panier rempli d'oeufs pour toi! Joyeux Pâques! Ingrid & Thierry

Czwartek, 13 kwietnia

1995. Nie mogę uwierzyć, że jestem mężatką już od prawie dziewiętnastu lat. Nie wierzę, że zostałam, ale tak właśnie się stało. Nie mogę uwierzyć, że mam czterdzieści trzy lata, ale tyle właśnie mam.

Nie mogę uwierzyć, że tak długo udało mi się unikać seksu, ale tak właśnie było. To jeden z powodów, dla których tak długo wytrzymałam. Jestem wdzięczna Rodneyowi za to, że zostawił sprawy swojemu biegowi. Nigdy nie poruszał tego tematu, najwyraźniej nie przejmował się...

Aż do tego ranka.

Kiedy usiadł na bidecie, krzyknął: - Kate, w kwestii relacji małżeńskich... Och. Cholera.

- Nie krzycz. Charlie usłyszy - odparłam, ubierając się. - Porozmawiamy przy śniadaniu.

Oczywiście zostałam głównie z powodu Charliego.

To jest tak, Rod, powiedziałam, stawiając przed nim miskę płatków kukurydzianych. Ja jestem sową, a ty rannym ptaszkiem. W tym szkopuł. Śpimy w różnych godzinach. Takie rzeczy się zdarzają, ale to nie jest istotne, wiele

małżeństw tak funkcjonuje, a mimo to ludzie się dogadują, czytałam o tym w pismach.

Jakich?

W „She” i „Cosmopolitan”.

Pieprzyć „She” i „Cosmopolitan”, mówi. Zgodnie ze średnią krajową powinniśmy to robić dwa przecinek trzy raza w tygodniu. Więc może spędzimy wspólnie wielkanocny weekend w Crickmouth Bay i trochę się zabawimy, he? Niech nasze małżeństwo znowu normalnie funkcjonuje.

- Och, sama nie wiem, Rod. Betsy i Gaynor też tam będą, każda ze swoim stadkiem?

Nie odzywają się do mnie od sprawy jubileuszowego tortu w 1981 roku.

- Chyba nie, ale ojciec i matka zamierzają się pojawić. Och.

- Charlie ma osiemnaście lat, jest wystarczająco dorosły, żeby zadbać o dom - dorzuca Rodney.

- Charlie i tak nie chciałby z nami jechać - przypominam mu. Dlaczego tak nagle Rodney zaczął się martwić naszym małżeństwem?

Wydawał się dość szczęśliwy. Uwielbia swój sposób życia. Stroje sportowe regularnie prane i prasowane, mężczyzna potrzebuje rozrywek, synu, kolacja na stole i wino otwarte, żeby pooddychało, nieważne, kiedy wróci i skąd, czy to będzie podłoga w szachownicy w świątyni masońskiej, pole golfowe, czy boisko do krykieta. Ciepły dom, do którego można wrócić, ze światłem, telewizorem, wytapetowanymi ścianami, wyszlifowanymi podłogami i białą pościelą.

Czy Rodney obawia się, że ja też odejdę, kiedy Charlie wyprowadzi się z domu?

Piątek, 14 kwietnia

Lepiej zacznę się pakować.

Wyglądam swetry ułożone na sukienkach, spódnicach i spodniach. Przesuwam dłonią po jedwabnej halce i zastanawiam się, czy jak ją włożę, seks zamieni się w kochanie?

Gdy Rodney wpada, pocierając ręce. - Wszystko gotowe?
- Jego wzrok pada na łóżko. - Nie zapakowałaś płaszcza ani kaloszy. Pomyśl o kwietniowych deszczach. Po co te koronki? Pewnie przyda ci się ciepła piżama. I skarpetki do spania. Myślisz, że dokąd jedziemy? Do RPA?

Cóż, najwyraźniej o jedwabiu i satynie mogę sobie co najwyżej pomarzyć, nic więcej.

- Nie zapomnij, jak marzniesz w łóżku. Pamiętałaś o moim sprzęcie do pływania?

Nie, zapomniałam, ale za to pamiętałam, żeby spakować balsamy i emulsje dla Rodneya do zapobiegania, łagodzenia, rozluźniania i wspomagania. Rod rzuca kąpielówki, a potem wyciąga dwie wypchane torby z szafy. Napisano na nich „demobil”.

- Co to?

- Nic.

Zauważam leciutki uśmiech, nim zamyka swoją walizkę, łapie za rączkę i rusza na schody.

Wołam Charliego, który obiecał, że impreza w czasie naszej nieobecności będzie skromna. Kręci się, opiera o ścianę, oglądając swoje buty. Powstrzymuję się od powiedzenia mu, żeby zawiązał sznurówki. Jest już na to za duży.

- Tylko dwanaście osób, obiecaj mi.

Charlie odpowiada krzywym uśmieszkiem, który tak bardzo kocham.

- Mogę ci zaufać? - Obejmuję go w pasie i przesuwam palcami po jego szczupłych plecach. Kiedy zdążył tak wyrosnąć? Odsuwam go i odgarniam mu włosy z czoła.

- Powiedz staruszkowi, żeby jechał ostrożnie - mówi.

- Nie zapomnij nakarmić Rzepa. W lodówce stoi otwarta puszka z kocim jedzeniem, zacznij od niej. Już nakarmiłam Goldie, Freda i Mabel, tylko szczypta karmy dziennie, dobrze?

- Aha.

Dokładam do wakacyjnej walizki piżamę i kilka par skarpetek do spania.

Proszę Charliego, żeby zaniósł mój bagaż do samochodu, i biegnę do kuchni po kanapki na jutrzejszy piknik na plaży.

Rozdział 303

Sobota, 15 kwietnia Crickmouth Bay, Farmouth

PRZYTULNA KAFEJKA U CATHY Pyszne śniadanie (dla dwojga) jajko, bekon, kiełbaska i smażony chleb oraz dzbanek herbaty

Odkładam nóż i widelec, rozglądam się wokół. Pusto. Pewnie jesteśmy pierwszymi klientami tego dnia.

- Boże, ale jestem śpiąca - mówię, próbując powstrzymać ziewanie.

- To był twój pomysł, żeby wstać tak cholernie wcześnie - odpowiada Rodney, zbierając kawałkiem chleba żółtko z talerza.

Potem puka w kieszonkowy zegarek i marszczy brwi.

Czas. Rodney ma obsesję na punkcie każdej godziny i minuty.

Seks. Nadal denerwuję się na samą myśl o nim. To dlatego wyczołgałam się z łóżka, ubrałam szybko i zaplanowałam śniadanie w Przytulnej Kafejce u Cathy, zanim Rodney się obudził.

Rozpromienia się i wykrzykuje: - Jutro niedziela wielkanocna! - Sięga po jedną z broszurek rozrzuconych na sąsiednim stoliku. - Proponuję, żebyśmy poszli na poranną mszę w kaplicy Wszystkich Świętych. - Niech no zerknę. Może o dziesiątej?

- Ale ty nigdy nie chodzisz do kościoła. Ostatni raz byłeś w czasie naszego ślubu.

- Pomyślałem, że byłaby to miła odmiana.

- A golf?

- Zostawiłem kije w domu. Rety. Naprawdę się stara, ale...

Już nie chodzę do kościoła. Biddy nazwała mnie niepraktykującą katoliczką i powiedziała, że to łamie jej serce. Ale jaki to ma sens? Rodney gra w krykieta - hokeja - golfa -

squasha przez całe niedzielne przedpołudnie, a chodzenie do kościoła powinno być rodzinnym wydarzeniem, prawda? Więc weź Charliego. Nie mogę, mam, bo on uważa się za ateistę.

Po kilku pełnych irytacji westchnieniach zmienia temat. A może znowu spędzi kilka dni ze mną przy Copper Lane? Co ja na to? Pomalowałybyśmy salon na ładny beż. Nie może patrzeć na te moje musztardowe ściany, bo wyglądają jak krwi placek.

Tak mi ulżyło, gdy wiecznie powracający temat religii się skończył, że powiedziałam: dobrze, przemaalujmy salon.

Świetnie! Przyniesie na wzór swoją torebkę. Mam pędzle? Mam, mówię, mam trzydzieści pędzli, wałków, wiertarkę, piaszczarkę i piłę tarczową, pamiętasz? Jestem złotą rączką, dekoratorem, robotnikiem i ogrodnikiem w jednej osobie. Och, Kate, ale ty masz ostry język, teraz ma ochotę powiedzieć mi, żebym sama sobie malowała te cholerne ściany.

- Kate?

- Tak?

- Więc jak?

- Dobrze, pójdziemy do kaplicy. - Skoro on się stara, ja też powinnam.

- Jeszcze herbaty? - pyta Cathy, która powłócząc nogami, właśnie podeszła z imbryczkiem przy piersi. - Miło widzieć was oboje po tylu latach.

Uśmiecham się. - Pyszne śniadanie. Jajka były idealne!

- Powiem ci, dlaczego są takie dobre, kochana. - Nalewa nam po raz drugi do filiżanek. - Zeszłej jesieni kupiłam sobie kilka kur. I nakrapianego koguta. To taki wspaniały dżentelmen. Churchill, tak się nazywa. Słyszałaś, jak piał dziś rano, mało mu dziób nie odpadł? Klatka jest tuż obok podwórza twoich teściów.

Kręcę głową. Rano słyszałam tylko mewy, które darły się jak opętane. - Powiem ci coś. - Cathy stawia imbryczek na stole. - Jest partia jajek, z których jutro powinny się wykluć młode. Chciałabyś zobaczyć kurczęta?

- Będzie zbyt zajęta - odpowiada Rodney.

- Jakie to słodkie! - mówię. - I jutrzejszy poranek to najlepsza pora, żeby je zobaczyć!

Kurczęta w wielkanocną niedzielę. Nowe życie. Nowy początek? Nigdy nie wiadomo.

Jaką małą miejscowością wypoczynkową jest Crickmouth Bay u ujścia rzeki do morza. Uwielbiam ten znajomy zapach soli i wodorostów. Wzgórza za klifami toną w fioletowej mgiełce. Wiele lat temu, jeszcze przed ślubem, pojechaliśmy tam na kucykach.

Pewnego dnia nauczę cię jeździć konno.

Ale nigdy tego nie zrobił.

Cholera, gdzie jest Rodney? Wyłożyłam już wszystko na łóżko, więc co go jeszcze zatrzymuje?

- Kate - krzyknął z łazienki poprzedniego wieczoru - Myślę, że założę i czepek, i zatyczki do uszu. No wiesz, w ramach podwójnego zabezpieczenia.

Kiedy wszedł do sypialni, stwierdziłam: - Masz na sobie damski czepek kąpielowy w stokrotki.

- To matki. Sprawdzam, czy będzie pasował.

- O Boże, nie możesz go założyć.

- Dlaczego? Uchroni mnie przed zapaleniem ucha.

- Podejrzewam, że te okropne infekcje, które łapie twój ojciec, wywołują wewnętrzności z makreli zrzucone przez rybaków z mola.

- Bzdura.

- Spróbuj ponurkować z innego miejsca.

- Nie ma takiej potrzeby.

Przechadzam się wzdłuż muru oddzielającego plażę od parkingu, myśląc sobie: Więc niech sobie skacze z molo, pieprzę to, on wie lepiej... Kiedy go widzę, już czeka.

- Och, miałam się tu z tobą spotkać? - pytam.

Chwilę to trwa, nim zdaję sobie sprawę, że mam otwarte usta.

- Och, Rod, co ty masz na sobie?

- Zapakowałaś termos?

Rozglądam się wokół po gapiących się ludziach. Pary trącają się, dzieci chichoczą, mężczyźni kpią. Rodney wygląda jak w kokonie, tak szczelnie zawinał się w grupy szlafrok frotte. Niedługo jego ciało się wynurzy i zobaczymy transformację ze stanu larwalnego.

Rodney, ty idioto. Różowy szlafrok i kwiecisty czepek kąpielowy?

- Co się tak uśmiechasz? Przyniosłaś kanapki?

Stawiam przed nim torbę z rafii, żeby dać do zrozumienia, że mam wszystko.

- Masz moje okulary? - Zakłada je. - A zatyczki? - Wkłada je do uszu. - Termometr? - Podaje mi szlafrok i jest gotowy, żeby ruszyć. W okularach, z zatkanymi uszami i w czepku.

- Czekaj, te slipki są zdecydowanie za duże na ciebie. - Sięgają mu do kolan, a pas mu wypada praktycznie pod sutkami.

Unoszę brwi.

- Noszę je cały czas w ośrodku sportowym Sebastiana Crowe'a. Macha na mnie ręką ewidentnie zirytowany. - Po prostu daj

mi termometr, dobrze?

Unikając śliskich alg i resztek meduz, Rodney biegnie zygzakiem po molo, żeby zmierzyć temperaturę morza. - Dziewięć stopni! Zimno jak cholera, nie? - krzyczy.

To dokładnie tak, jak lubi.

- Przypomnij mi, żebym zapisał to w księdze rekordów ojca - dodaje.

Wrzuca termometr do torby i rusza na molo. Chwiejąc się na brzegu, mierzy puls i nurkuje w falach.

Dziecko krzyczy z uciechy. Mewy wrzeszczą, żebrząc o chleb. Na plaży pełno już rodzin zajmujących skrawki piasku. Pasiaste leżaki porozrzucane są pod najróżniejszymi kątami, otoczone przez torby, wiaderka i łopatkki dzieci. Nadchodzi przypływ, więc Rodney zjawia się punktualnie, spokojnymi uderzeniami zbliżając się do piaszczystego brzegu. Zamierzam pobić rekord ojca, Kate. Sądzi, że zdołałby przepłynąć w tę i z powrotem dokładnie w dziesięć minut. Spokojnie.

Nie potrafię oprzeć się zewowi plaży. Zdejmuję sandały i spuszcza nogi z murku. Kuśtykając po otoczkach, odstawiam torbę, idę po piasku i brnę dalej w spienione fale. Unoszę spódnicę i idę dalej, przechylając głowę do tyłu, żeby złapać promienie porannego słońca.

- Dobry Boże, kobieto, wyjdź z tej cholernej wody - wrzeszczy Rodney. - A przynajmniej włóż odpowiedni strój.

Wracam na brzeg, rozkładam piknikowy koc na piasku, siadam, przyciągam kolana i patrzę na mężczyznę, którego poślubiłam.

- Gdzie ręcznik? - Kapie mu z ciała i z nosa. Odpowiadam.

- Zrobiłem to dokładnie w dziesięć minut. Co o tym myślisz? Poczekaaj, aż powiem ojcu, że pobiłem jego rekord z 1991 roku.

- Ale on ma siedemdziesiąt osiem lat - mówię, sięgając po termos. - Proszę, napij się.

Podaję mu parujący kubek kawy. Włoskiej.

- Śmierdzi jak kocie siki.

Ubiera się i siada, żeby poczytać gazetę. Słońce przypieka.

Kładę się na plecach i patrzę na obłoczki szybujące po niebie. Szybuję razem z nimi i zapadam w słodki półsen.

Nie ma ciepła ani delikatności w moim śnie. Kamień jest zimny pod stopami, gdy wspinam się kręconymi schodami. Znajduję drzwi, których nigdy wcześniej nie widziałam, ale mają niewłaściwy kolor. Powiedz Katie, żeby wspinała się po tych kręconych schodach, aż znajdzie właściwe drzwi. Szukam czerwonych, potykam się, widzę żółte, walczę o oddech. To te zielone? Nie, ale tam jest lustro. Wypełnia je twarz Bidy, młoda twarz otoczona ciemnymi lokami. Wygląda tak delikatnie w swetrze z wyhaftowanymi pączkami róż.

Wiem, że zanurzam się dalej, coraz głębiej zapadam w prawdziwy sen, bo wszystkie zewnętrzne hałasy bledną. Jestem dzieckiem, pieczę policzek matki rozłożonymi paluszkami. Pozwól mi zawiązać kokardę w twoich włosach, mówi. Chodź do mamy. Jej uśmiech rozciąga się i pokazuje przerwę między przednimi zębami, jej rysy zmieniają się i teraz Bidy jest już Rodneyem z wąsami i kwadratowymi okularami. Piasek wypełnia mi usta, nie mogę krzyczeć, nie mogę mówić.

W dół, dół. Wpadam znowu z tunel, do dziury, gdzie jest ciemno, szaro i klaustrofobicznie, pełno tu ręcznie szytych narzut, sosnowych mebli i wiklinowych koszy.

- Zostań!

Budzę się. Dzieci się śmieją. Mewy krzyczą. Fale wzdykają.

- Co? - pyta Rodney. - Nigdzie się nie wybieram. Nigdzie nie idzie. Chociaż raz nigdzie nie idzie.

- Rod, musisz przestać wychodzić, zostawiać mnie w domu przez cały czas i nie mów mi do cholery, żebym zajęła się golfem, bo to nie jest odpowiedź, rozumiesz?

- Co ci odbiło?

Pocieram oczy. - Jak długo spałam?

- Ponad godzinę.

Obudziłam się wściekła, wściekła jak cholera. Dziura, do której wpadłam, to był mój dom, i czułam się w nim jak w więzieniu. Nie mogłam krzyczeć, nie mogłam wołać. Czy nie tak samo jest w moim życiu? Skaczę na równe nogi, otrzepuję piasek z nóg, prostuję zagniecenia na spódnicy, a kiedy stopą trafiam na okulary Rodneya, kopię je na jego kolana.

- Ej, ej, uspokój się, staruszko. Słońce ci dopiekło, co? Wiedziałem, że powinnaś była założyć kapelusz - mówi. - A teraz dokąd się wybierasz?

- Nigdzie. - Walczę z sandałami. - Masz coś przeciwko?

- Rób, jak chcesz.

Kiedy docieram na wydmy, zapadam się w zaspę piasku, gdzie mnie nie widać, gdzie jestem ukryta, gdzie mogę się zastanowić. Patrzę na horyzont.

Choć śpiewałem w kajdanach jak morze.

Napisał to ulubiony poeta Griffa. Dylan Thomas.

Nigdy nie zapominam, że jestem matką, ale często zapominam, że jestem mężatką. Oto ja, w Crickmouth Bay razem z Rodneyem, bez Charliego, po raz pierwszy od lat, i mam wrażenie, że coś jest nie tak. Zupełnie obco.

Czy wyszłam za Rodneya, bo w końcu Biddy zaaprobowała jakąś moją decyzję? Boże, czy jestem aż tak nieszczęsna?

Zawsze szukałam w Biddy matki, tolerowałam ją, znosiłam, przetrzymywałam, dostosowywałam się. Zależałam od pojedynczych iskierek miłości.

Jestem żałosna, nie można tego nazwać inaczej.

Jak ty wytrzymujesz z tą rodziną? Biedactwo, powiedziała Biddy.

I śmiałyśmy się bezgłośnie. Miałam nadzieję, że ta chwila będzie trwać.

Ale nie trwała.

Biddy nigdy nie wynagrodzi mi obojętności Rodneya, więc po co próbować?

Palce stóp natrafiają na coś ostrego. Zbielałą gałązkę. Łapię ją, łamię na kawałki i wzdycham. Co mam teraz zrobić?

Co się stało, to się nie odstanie. Nadal jestem żoną Rodneya Fanshawa. Więc...

Co innego mogę zrobić, jak nie próbować znaleźć szczęście w tym małżeństwie?

Rozdział 51

Wieczór jest chłodny, ale radosny i rześki od soli. Powinnam częściej spacerować. To coś nowego, co wypróbuję po powrocie na Copper Lane.

Gdy wędrujemy brzegiem z Maksem, terierem, myślę sobie: dobrze, Rodneyu Fanshaw, dam ci jeszcze jedną szansę, ale od teraz jesteś na okresie próbnym. Boisz się, że odejdę? Więc lepiej się zmień. Postawię ci ultimatum. Nie jesteś moim strażnikiem więziennym, z tymi dzwoniącymi kluczami i zatrzaskiwanymi drzwiami.

Wpuszczam Maksa do domu i pochylam się, żeby go podrapać za uszami. Odpinam smycz i ruszam za nim na górę. Ten pies jest o wiele bardziej przyjacielski od starego Desmonda (niech spoczywa w pokoju w psim raju).

Maks biegnie do pokoju Rodneya seniora i Nancy. A ja do łazienki.

Papier toaletowy ma na każdym listku napis „Teraz umyj ręce”. Widząc niepokojące ślady wewnątrz muszli, rozkładam go na desce i siadam.

Kate, wiesz, co mówią, powiedziała Bidy. Gdzie gnój, tam pieniądze.

Kiedy otwieram drzwi łazienki, widzę Rodneya seniora stojącego z wiadrem pełnym moczu. Ma na sobie tylko podkoszulek. - Ach, dobrze. Skończyłaś. Muszę to wylać. Jest już dość pełne.

Jego zęby błyszczą w mrocznym korytarzu. Skupiam się, żeby nie patrzeć na to, co mu tam w dole wisi.

Więc wiadro to nocnik.

Dobry Boże.

W przydzielonej nam sypialni na tyłach domu znajduję Rodneya siedzącego na łóżku i zerkającego w lustro. Podkręca wąsy.

- Jak się czujesz, staruszko? Matka uważa, że dostałaś udaru słonecznego, skoro sama poszłaś na wydmy.

- Dobrze. Świetnie. Ale... - Hm?

- Przestań do mnie mówić staruszko.

- Jak chcesz.

Podchodzę do okna, żeby zaciągnąć zasłony. Dlaczego Fanshawowie zawsze zostawiają je rozsunięte? To chyba genetyczne. Zerkając na sąsiednie podwórko, widzę, że kwoki Cathy poszły na grzędy. Słyszę tylko gdakanie.

Rozbieram się, wkładam piżamę i skarpetki do spania i wsuwam się do łóżka. Sięgam po czasopismo, a Rodney po budzik.

- Nastawię na, powiedzmy, siódmą trzydzieści. Będziemy mieli mnóstwo czasu na śniadanie przed kościołem.

Ach, tak, kościół.

Wyskakuje z pościeli i podchodzi do szafy. - Dokąd idziesz?

- Coś wziąć. - Wyjmuje dwie torby wojskowe i szybko rzuca na podłogę. Z zadartym nosem salutuje.

- Nie będę się w to bawić, Rod.

Maszeruje w kółko. Ramiona proste, kolana wysoko, lewa, prawa, całkiem nagi, w tył zwrot.

- Rod, przestań!

Początkowo, gdy to się zaczęło, chichotałam. Trochę harcowania, myślałam. Niewinne wygłupy, i tyle. Ale on nie przestał, nie potrafił i wtedy nauczyłam się tego unikać.

Wyciąga kurtkę z torby. Granatową ze złotymi guzikami, żółtymi paskami. Potem zakłada czapkę z daszkiem. Chowam się pod kocami, które śmierdzą kwaśnym mlekiem.

- No, Kate, zasalutuj starszemu sierżantowi sztabowemu. Stoi w całej krasie, w kurtce od munduru bez spodni, a ja wybucham śmiechem.

- Masz zwracać się do mnie w stosowny sposób. - Ściąga brwi i grozi mi palcem. - W przeciwnym wypadku staniesz przed sądem.

- Daruj sobie, Rod. To mnie nie rusza. Wyglądasz idiotycznie. To jest szalone, śmieszne i absurdalne. Nie wrócę do tego.

- Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. - Stoi na baczność przy łóżku, a moja twarz jest na wysokości jego bagnetu w pełnej erekcji.

- Idiota z ciebie, Rod.

- Co powiedziałaś?

- Jesteś wariat.

- Wymagana jest dyscyplina.

Rzuca się na mnie, a ja uderzam go pięściami w pierś. - Idź do diabła.

Rzuca mnie na brzuch, przyciska kolanami, a ja wyję w poduszkę. - Zejdź ze mnie, ty pieprzony dupku! Złaż ze mnie!

- Ha, ha, ha, co za duch.

Och dobry Boże, czy ja go zachęcam?

Poddaję się. Chcę, żeby już skończył. Łzy złości pieką mnie w oczy.

- Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. RAZ, DWA. Tak! - Dygocze. - I... TRZY.

Nie, nie, nie, nie.

Rozlega się pukanie do drzwi.

- Wszystko u was w porządku? - pyta Nancy.

- Tak, mam - krzyczy Rodney. Zniża głos. - Tylko się zabawiamy, prawda, Kate?

Nie, wcale się nie bawimy, do cholery.

- Dobrze kochanie, do zobaczenia rano - woła wesoło Nancy. - Pewnie słyszałam kurczęta Cathy.

Leżąc nadal na brzuchu, słyszę szelest plastikowych toreb. - Idę umyć ręce. Wrócę za dwie minutki.

- Nigdy więcej tego nie zrobisz - syczę. - Nigdy już nie pozwolę zbliżyć ci się do mnie, słyszysz?

Nie słyszał.

- TO KONIEC! - wrzeszczę. Ale on już wyszedł.

Rozdział 52

Niedziela wielkanocna, 16 kwietnia Crickmouth Bay, Farmouth

Zerkam z łóżka i widzę tylko rozszerzone nozdrza Rodneya. Jest ubrany i wyraźnie niezadowolony.

- Słuchaj no - mówi, grożąc mi palcem. - Te wszystkie bzdury, że masz migrenę i wolisz zobaczyć cholerne kurczęta, bo jest Wielkanoc, niż iść do kościoła... Całkiem ci odbiło?

To on jest skończonym idiotą, nie ja.

Wsuwa ręce do rękawów kurtki, zakłada czapkę i rzuca na łóżko klucze.

- Weź samochód - warczy. - Pójdę piechotą. Zdążysz na koniec mszy, jeśli się pospieszysz.

Nie idę.

- Tak jest, panie sierżancie - mruczę.

- Co?

- Ubiorę się.

Rodney krzyżuje ręce.

- I wezmę samochód - mówię. Bo wezmę.

Twarz Rodneya rozpogadza się. Jest zadowolony.

- Dobra dziewczynka. - Zerka na zegarek. - Jak tylko wrócimy, pójdę popływać, a ty przygotujesz piknik. A potem może pójdziemy na szybki spacer? Weźmiemy Maksa, jeśli chcesz?

Słucham, jak schodzi po schodach.

- Dzień dobry, mamó. Śniadanie? Och, dobrze, ale tylko szybki tost i filiżanka herbaty.

Ubieram się szybko, czekam piętnaście minut i skradam się na zewnątrz, żeby wyrzeć przez firankę w oknie na korytarzu. Jest, stoi na baczność na chodniku. Robi w tył zwrot i maszeruje w stronę kaplicy Wszystkich Świętych.

Zbiegam po schodach, mijam jadalnię i wyskakuję na poranne słońce.

Drzwi do Przytulnej Kafejki u Cathy pobrzękują, gdy je otwieram.

- Dzień dobry!

- Boże, co się stało, kochana?

- Pokaż mi wielkanocne kurczęta, Cathy! Wykluły się już?

- W samą porę! Chodź za mną.

Kurnik zajmuje całe tylne podwórze, w środku stoją skrzynki wylęgowe. Są. Pisk wiercącego się puchu. Bardzo żółte, bardzo miękkie. Cathy stawia mi jednego maleńkiego ptaszka na dłoni, a ja głaszczę go palcem po główce. - Nowe życie, Cathy.

Wkładam kurczaczka z powrotem do skrzynki, a potem obejmuję Cathy za ramiona.

- Szczęśliwej Wielkanocy! - Śmieję się. Czuję się figlarna i nieposłuszna.

Po prostu musiałam najpierw zobaczyć kurczęta.

Każdemu z nas przydałoby się nowe życie, kochana.

- O Boże, Cathy, lepiej już pójdę.

- Dokąd? - pyta.

Pięć minut po jedenastej wyjeżdżam z parkingu i jadę drogą do kaplicy Wszystkich Świętych. Kiedy widzę otwarte drzwi świątyni, przyspieszam i przyciskam pedał gazu, aż ucichną głosy dzwonów, chóru i organów.

Jadę dalej.

Rozdział 53

Po przejechaniu jakichś stu sześćdziesięciu kilometrów docieram do Moorely Village. Obsypane pyłkiem bazy przycupnęły na gałęziach, narcyzy kołyszą się na wietrze, baranki skaczą po polach. Zatrzymuję się przy bramie.

O Boże, co mam teraz zrobić? W domu głos w mojej głowie krzychał tylko „uciekać”. Nie dawał spokoju, ponaglał, popychał, upierał się.

Ale co teraz? Co do cholery mam robić?

Znowu włączam silnik. Poszukam pubu, w którym zjem lunch i zadzwonię do Rodneya. Nie wiem za bardzo, co powiem.

Ale potrzebuję czasu, żeby coś wymyślić. Jak ja to zrobię?

- Przepraszam, czy jest tu telefon?

Barmanka kiwa w stronę najciemniejszego kąta w pubie. Jest automat.

- Cześć, Nancy, mogę rozmawiać z Rodneyem?

- Samochód! Masz samochód? To firmowe auto, wiesz?

- Chciałabym rozmawiać z moim mężem.

- Rodney? - krzyczy, a potem słyszę zduszone: - To ona.

- Kate, co do chole...?

- Nagła sprawa. To takie dziwne, ale coś mi kazało zadzwonić do Charliego po drodze do kaplicy, nagle uderzyła mnie ta myśl, BUM! Tak po prostu. Okazało się, że być może mamy pękniętą rurę.

No, dalej, Kate. Myśl, myśl.

- Więc, zakręć wodę, Charlie, powiedziałam, w tej chwili jadę z powrotem, do Oakley Green.

Cisza.

- Tak właśnie powiedziałam. Mów dalej.

- Powiedziałam, żeby nie panikował.

Cisza.

- Cholera, co ja sobie myślałam? Powinnam przed wyjściem zostawić ci liścik.

Dobrze ci idzie, Kate.

- Rod?

- Wygląda na to, że dobrze zrobiłaś, dzwoniąc do Charlesa. Tak!

- Rod, możesz wrócić z rodzicami? Jestem już w połowie drogi do domu.

- Nie martw się o mnie. Pożyczę parę kijów w klubie. Poczekaj. Tato? Zagrasz dziś szybką partyjkę golfa? Tak? Mistrzu! Dobrze, nie ma sprawy, do zobaczenia dziś wieczorem.

Odkładam słuchawkę.

Dobrze, Kate. A teraz czas się zorganizować.

Rozdział 319

Copper Lane 75, Oakley Green

Mijając sklepienie drzew na obrzeżach Copper Lane, zajeżdżam na podjazd. Gdy tylko wysiadam z samochodu, moja sąsiadka Pam biegnie z naprzeciwka i zaczepia mnie słowami: - Mam złe wieści, Kate. Musieliśmy wzywać policję.

- Cholera, co się stało?

- Było trochę za głośno nad ranem. Nadmiar entuzjazmu, to wszystko. Odważna jesteś, że pozwoliłaś Charliemu na imprezę.

O cholera, tak, impreza.

- Wchodzisz tam sama?

- Tak.

Jak źle może być?

- Więc powodzenia.

- Cześć, Pam.

Stoję pośrodku bałaganu i ocieram łzy rozczarowania i gniewu.

- Wyluzuj, mamo - mówi. - To była tylko impreza. No wiesz, nieproszeni goście i takie tam. Nic wielkiego.

Nic go to do cholery nie obchodzi?

Wysyłam go do pokoju. Nie chcę jego pomocy. Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć. I opracować plan działania.

Kiedy sprzątam, wypijam trzy podwójne szkockie z zapasów Rodneya, po jednej na godzinę, i jakimś cudem udaje mi się jeszcze potem przygotować kolację.

Słyszę brzęk kluczy i wchodzi Rodney. Frontowe drzwi zamykają się z trzaskiem.

- Wróciłeś - stwierdzam. - Jak było na golfie?

- Dobrze.

Pochodzi do mikrofalówki i przyciska parę guzików, żeby odgrzać sobie jedzenie.

Siadając i gapiąc się na ekran telewizora, nawija nitki makaronu na widelec i ogląda historię klubu piłkarskiego Wolverhampton.

- Kopnij tę cholerną piłkę do siatki, ty pedale! - warczy, wymachując pięścią.

- Rod, spójrz na mnie na chwilę - mówię. - Nie było żadnej pękniętej rury, okazało się, że to fałszywy alarm, ale... impreza Charliego wymknęła się spod kontroli.

- GOL! Cholera, najwyższy czas!

- Dwa klosze są potłuczone, a szklanki do brandy leżą w kawałkach, ktoś nasikał w kuchni i nie uwierzysz, co jeszcze znalazłam. Pięć potłuczonych pojemników, cztery rozbite żarówki...

- Powinni wywalić tego złamasa na zbity pysk.

- ...i tresowane szczury na szczycie szklanej góry, no i prezerwatywę.

Myślę, że jestem bardzo pijana, ale wystarczająco przytomna, żeby obiecać sobie, że od tego dnia nigdy, ale przenigdy, nie będę spała z Rodneyem Fanshawem.

Rozdział 55

Poniedziałek, 17 kwietnia

Tapety, lamperie i bordiury nie pomogły korytarzowi, który nadal wygląda nijako. Rodney stoi teraz na jego drugim końcu i patrzy, jak ociągam się przed wejściem na strych. Przechyla głowę na bok, gdy mamrocze o tym, jak ostatnio źle mi się spało, i rety, Rod, chrapiesz gorzej niż kiedyś. Może po kilku nocach przespanych osobno...

- Musimy porozmawiać - mówi Rodney.

Po tych wszystkich latach musimy porozmawiać.

Ruszam za nim. Jest nagi. Dostrzegam nowy garb na jego plecach, szerszą klatkę piersiową i włosy. Nie patrzyłam od lat. Zauważałam, ale nie przyglądałam się, zerkałam, ale nie przypatrywałam się. Odwracałam wzrok od jego unoszącego się na wodzie penisa, kiedy znajdowałam go pogrążonego w kąpieli i lekturze. Odwracałam wzrok od łuku jego pośladków.

Rodney wchodzi na szerokie łóżko. Siada po środku i opiera się o poduszki.

Wskazuje na wiklinowe krzesło przy oknie, więc domyślałam się, że właśnie tam mam usiąść. Zrobię to. Powiem mu.

- Przepraszam, Rod. Po prostu nie lubię seksu.

Chociaż odczuwam ogromną ulgę, że w końcu coś powiedziałam, nie wyłożyłam tego, jak trzeba. Ze mną jest wszystko w porządku, to jego wina.

Kołdra układa się w namiot na jego kolanach. Rod gapi się w sufit.

- Chcę powiedzieć, że nigdy więcej nie chcę tego z tobą robić. Masz pojęcie dlaczego? Cała ta sprawa z sierżantem jest zwyczajnie chora, Rod.

Rusza ustami, jakby coś żuł.

- Poza tym rzadko cię widuję, nie wiem już, kim jesteś, stałeś się obcy.

- Bzdura.

Jedno słowo, tylko tyle jestem warta? Frustracja i złość przeszywają mnie, chcą się wyrwać na zewnątrz. Zrywam się i zaczynam chodzić po pokoju. - Tylko tyle potrafisz powiedzieć? - Chcę wyciągnąć słowa z jego głowy. - Słyszałeś, co powiedziałam? Nie chcę, żebyś kiedykolwiek mnie dotykał, słyszysz? - Mój głos rozbrzmiewa jak syrena. - Na miłość boską, powiedz coś! Co z tobą, do cholery? Wiesz, jak ja wyglądam? Jestem kobietą! Wiesz, jaki jest mój ulubiony kolor? Co robię przez cały dzień? Dokąd chodzę? Całe moje pieprzone życie kręci się wokół ciebie, Rod!

Przyciskam dłońmi skronie, żeby powstrzymać pulsowanie. - Odezwij się, do cholery!

Otwieram oczy i widzę, że drapie się po nosie.

- Stosunek nigdy specjalnie nie sprawiał ci przyjemności, prawda?

- Stosunek? Jaki stosunek?

- Seksualny.

- Kurwa, wal się!

Powiedziałaś... powiedziałaś... Bidy ledwie mogła coś wykrztusić.

- Powiedziałaś „kurwa”? - pyta Rod. Powiedziałaś „kurwa”, spytał tata.

- Tak, do cholery, powiedziałam.

Mruży oczy, a potem się uśmiecha. - Do tanga trzeba dwojga, kochanie. Sugerowałem, żebyśmy spróbowali innej pozycji, ale ty nawet nie chciałaś o tym słyszeć.

- Kochasz mnie, Rod?

- O tym nie trzeba nawet mówić. Na miłość boską, weź się w garść. Przechodzisz jakiś trudny okres?

- Chcę rozwodu.

- Ha! - Rodney sięga po budzik.

- Mam rano spotkanie o dziewiątej.

Wchodzi do łóżka i przestaje się wygłupiać.

- Todd Grimley to prawnik - mówię cicho. - Powiedz mi, że twoja żona odchodzi.

Włącza wentylator.

- Jak chcesz.

Słyszę szelest poduszek i skrzypienie łóżka.

Potem zapada cisza.

To już?

To wszystko?

Tak łatwo?

To znaczy, że powinnam to zrobić lata temu?

- Do widzenia, Rod.

Rozdział 324

Wtorek, 23 maja

Już nowy dzień?

Rzep drapie moją piżamę ostrymi pazurami. Leżę na brzuchu zawinięta w kołdrę razem z kotem. Kołdra jest wilgotna, lepka, ciężka, za bardzo. Obracam się i skopuję ją z siebie, a potem łapię zegarek. Fluorescencyjne cyfry mówią mi, że jest ósma rano.

Liczę, jak długo spałam sama na strychu, ile czasu minęło, odkąd przestałam gotować dla Roda, prać jego skarpetki, jego bieliznę, biały strój do krykieta. Trzydzieści sześć dni. Rzadko wymieniamy naraz choćby pięć słów.

Głowa mi pęka, a nieustanny dzwonek u drzwi nie pomaga. Wyślizguję się z łóżka, owijam w szlafrok i człapię na dół.

To Pete, listonosz. Wręcza mi wachlarz kopert, w środku, o jest, kremowobiała. - Musisz potwierdzić odbiór tej jednej, skarbie - mówi, wręczając mi długopis.

- Dzięki, Pete.

Zamykam drzwi i otwieram kopertę. Żołądek podchodzi mi do gardła. Tuż pod nagłówkiem Rodney zostaje poinformowany czcionką Courier, że pani Kate Marie Fanshaw pragnie sformalizować warunki separacji.

Widzę, że uniknięto słowa „rozwód”, ale dobry Boże, zrobiłam to. Poszłam i naprawdę to zrobiłam. Później zadzwonię do Biddy i taty.

Początkowo byłam zdziwiona, jak łatwo rodzice zaakceptowali nowiny. Och, Kate, powiedział tata. Nie, nie mogę żyć w ten sposób. To wbrew naturze. Dlaczego nie powiedziałam im wcześniej?

A potem.

Wyobraź to sobie, powiedziała Bidy. Nowy dom z ogródkiem na własność. Przeprowadź się z powrotem do Dorton. Będzie wspaniale.

I wtedy zdałam sobie sprawę, dlaczego się uśmiechają. Nie, mam, odpowiedziałam. Nie Dorton. Jeszcze nie wiem gdzie, ale muszę zacząć zupełnie od nowa.

„Londyn”, rozbłysło w moje głowie, ale nic wtedy nie powiedziałam.

Tata stwierdził, że po prostu cieszy się, że odzyska córkę. Bidy zapytała, czy jestem pewna, że Rodney robił te dziwne rzeczy w sypialni. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Wyglądał na takiego miłego człowieka. Z drugiej strony wyciągnę od niego mnóstwo pieniędzy. Nie wygłupiaj się, Kate, nie zamartwiaj się tak o Charliego, to już duży chłopak, zrozumie.

Kiedy nadejdzie czas, powiedział tata, muszę pozbierać cenne drobiazgi. Zapakować je do pudełek i schować do ich szopy w ogrodzie.

Idę do gabinetu Rodneya, pokoju, gdzie stoi dębowe biurko, które skrobałam kawałkiem szkła, żeby usunąć stary lakier. Zostawiam list od Bellini and Co. na wypolerowanej powierzchni blatu.

Po drodze do kuchni otwieram fioletową kopertę. To od Ingrid. Wie o rozwodzie, dlatego zaadresowała tylko do mnie i Charliego. Zadzwoiłam do Moiry w St. Louis i Ingrid w Prowansji. Szlochałam z ulgą, gdy obie wyraziły współczucie i prosiły, żeby polegać na nich, bo pomogą mi przez to wszystko przejść.

Gałązka lawendy wypada na podłogę.

Kate i Charlie

Mamy wielką radość zaprosić was na nasz ślub, który odbędzie się w sobotę dwudziestego czwartego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku o godzinie

piętnastej w kościele Saint Germain Przyjęcie weselne: Place de la Joliette 5 Montaurelle Aix - en - Provence

R.S.V.P.

Thierry & Ingrid Bisous!

Pomimo przygniatającego smutku, który czuję z własnego powodu, moje serce bije mocniej z powodu Ingrid. W wieku czterdziestu czterech lat wychodzi za mąż za francuskiego przystojniaka, z którym mieszkała od pięciu lat.

Lata mojego małżeństwa ciągną się za mną błotnistą smugą, chociaż dały mi Charliego, najcenniejszy skarb. Uśmiecham się. Już mi przeszło po katastrofie imprezowej. Przeprosił, trochę za późno, ale przynajmniej wylewnie. Myślę, że zobaczył mnie na nowo.

Moje samopoczucie poprawia się tylko po to, żeby znowu się popsuć. Ostatnio Charlie większość czasu spędza owinięty wokół prześlicznego stworzenia, które znalazł w college'u.

Daphne, tak ma na imię.

Chowam zaproszenie na ślub do kieszeni szlafroka, wzdycham ciężko i ruszam do kuchni po kawę. Tam patrzę na szafki w kolorze słonecznika, które sama oszlifowałam i pomalowałam, na półki, które pocięłam i wymierzyłam pod turkusowe pojemniki. Liczę solniczki i pieprzniczki w niebieskie paski. Przesuwam stopą po podłodze, którą sama wiórkowałam i polerowałam, aż moje kolana krzyczały z bólu.

Tak, nawet ten dom jestem gotowa opuścić.

Zanim znalazłam sobie prawnika, Sukey Smith w kancelarii Bellini and Co., poinformowałam przyjaciół i wszystkich innych, którzy gotowi byli słuchać. Myślę, że to właśnie trzeba zrobić, prosto z mostu wyjaśnić wszystko ludziom, bo słyszałam, że zawsze wytyka się palcami tego, kto wnosi o rozwód. To on jest winny. Nie można się przejmować tym, co mówią ludzie, ale człowiek się przejmuje.

Rodney to łajdak, powiedziałam Pam, która mieszka naprzeciwko. Pokręciła głową i stwierdziła, ale to taki porządny facet. Powiedziałam mojemu fryzjerowi Shane'owi, że przez lata jak idiotka dzieliłam dom z obcym człowiekiem. Powiedziałam kioskarzowi, który rozdziawił usta, że nie zamierzam płacić rachunku Rodneya za dostawę gazet. Po prostu nie mogłam się powstrzymać. Powiedziałam człowiekowi, który przychodzi odczytać wskazania gazomierza, że niedługo wyprowadzę się z domu przy Copper Lane 75, bo niestety jesteśmy z mężem w separacji. Powiedziałam każdemu, kto nawiązał ze mną kontakt wzrokowy, że planuję się wyprowadzić do Londynu. Tak, Londyn to miasto samotnych ludzi, ale życie tam nie może być gorsze do tego, które wiodę tutaj.

Czekałam na terenie college'u, żeby zabrać Charliego do domu. Kolejna matka, niegdyś znajoma, stała się sprzymierzeńcem, gdy podzieliłam się z nią kilkoma detalami. Dostałam od niej intymne, pełne szczegółów wsparcie. Sama jest w trakcie rozwodu, a teraz stała się moją nową przyjaciółką. Ma na imię Maggie.

Nie powiedziałam jeszcze Charliemu. Jeśli cały czas będę to odkładała, ktoś inny mu powie, a to byłoby straszne.

Próbowałam porozmawiać najpierw z Rodneyem. Powinniśmy razem poinformować Charliego, bo tak sugerują książki. Poradniki leżą stosem na nocnym stoliku obok mojego łóżka na poddaszu. Podkreślanie fragmentów stało się moim nawykiem. Co wieczór zasypiam wyczerpana po godzinach spędzonych na poszukiwaniu objawienia, wyjaśnienia, jasności.

Rozdział 328

Środa, 24 maja

- Co ty do cholery masz na sobie, tato?

- Widzisz chyba, że dres, Charles.

- Super.

Rodney podchodzi do lampy podłogowej. - Kto postawił tutaj tę cholerną rzecz? - pyta.

Przepycham się obok niego, muszę się dostać na górę, ale on łapie mnie za sweter.

- Wczoraj wieczorem znalazłem ładny list na biurku. Byliśmy ostatnio zajęci, co? - Jego głos brzmi chrapliwie, czuję gorący oddech na uchu.

- Mamo! - krzyczy Charlie. - Wrócę później, wychodzę kupić parę płyt CD.

Trach. I już go nie ma.

Chociaż raz Rodney na mnie patrzy. Naprawdę na mnie patrzy. Czuję, jak jego wzrok przeczesuje moje ciało w górę i powoli w dół. - Puść mnie - mówię, wyrywając sweter z jego ręki.

- Och, myślisz, że cię chcę, tak? Całkiem ci odbiło w tym małym łebku?

Jego komórka dzwoni, a ja wykorzystuję okazję, żeby popędzić na górę.

- Tak, Todders, rzeczywiście muszę z tobą porozmawiać. Dobry Boże, on naprawdę zamierza zatrudnić Todda Grimleya jako prawnika. Tego z oczami jak czarne porzeczki.

Zanim docieram na strych, ciężko dyszę. Przekręcam zamek i przyciskam twarz do drzwi, nasłuchując, czekając, aż Rodney wyjdzie. Nigdy go takiego nie widziałam. Nigdy nie zetknęłam się u niego z taką wściekłością, z taką furią. A niech się wali. Co on sobie wyobraża? Że niby kim jest?

Leżę na łóżku. Czekam kolejny kwadrans, wreszcie wychodzi. Sięgam po zdjęcie Mamgu i przyciskam je do

piersi. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że przytulam się do niej. Miała dziewięćdziesiąt dziewięć lat, gdy odeszła w zeszłym roku. Zabrakło jej kilku miesięcy do telegramu od królowej. Byłam z nią, kiedy położyła robótkę na kolanach i westchnęła po raz ostatni.

Sięgam po maleńkiego porcelanowego kotka, którego mi dała, i zaciskam na nim dłoń. Zbierasz porcelanę Gossa, cariad, powiedziała. Patrz, co znalazłam na wyprzedaży skautów. Możesz nazwać ją Dinah.

Na grzbiecie kota znajduje się herb: kotwica, miecz i róża, a pod nim napis „Bewdley”.

Patrzyłam, jak ciało mojej babci wjeżdża przez okienko krematorium przy wtórze muzyki organowej. Biddy nie odzywała się do Mamgu od dziesięciu lat, ale mimo to płakała, przyciskała chusteczkę do policzka, ponieważ to właśnie należy robić na pogrzebach.

Biddy nie rozmawia z ciotką Shauną od siedemnastu lat, od narodzin Charliego.

Rozbrzmiewa cichutkie dzwonienie kluczy, a potem trzask drzwi. Rodney wyszedł?

Kiedy jestem pewna, że teren jest czysty, wymykam się na dół i wołam Rzepa, żeby poszedł ze mną do ogrodu.

Planuję przesadzić do doniczek parę krzewów.

Rozdział 330

Zgodziłam się pójść na siłownię z moją sąsiadką Pam. Boże, dopomóż.

Czekam przy swoim samochodzie, nie, przy firmowym samochodzie. Widzisz tego passata na podjeździe? Nie jest twój powiedział tego ranka Rodney, kiedy brał swoje płatki śniadaniowe.

- Nie można żądać rozwodu na podstawie różnicy charakterów - wyjaśniła mi Sukey Smith z kancelarii Bellini and Co. - Prawo wymaga czegoś innego. - Jej górna warga jest cienka jak linia, dolna gruba jak poduszczyk. - Angielskie prawo wymaga, żeby małżeństwo rozpadło się nieodwracalnie albo żeby jedna ze stron zachowywała się tak nierozsądnie, że druga strona nie może z nią wytrzymać.

Sukey nosi granatowy kostium i wykrochmaloną białą bluzkę.

- Kate, powiedz mi prawdę. Znalazłaś sobie nowego mężczyznę?

- Nie.

- Więc trzymaj tak dalej. Żyj jak zakonnica aż do uprawomocnienia rozwodu.

- HEJ - HEJ! - Pam przywołuje mnie z powrotem na Copper Lane.

Biegnie w moją stronę promienna w pomarańczowej lycrze. Ja ubrałam się na czarno. Kostium kąpielowy, który zawinęłam w białym ręczniku, jest grafitowy. Żyj jak zakonnica.

- Chodźmy - woła Pam.

Ośrodek sportowy Sebastiana Crowe'a, Oakley Green

Siłownia pachnie chlorem, potem i skarpetkami, pełna jest pedałujących, wyciskających i postępujących mężczyzn. Pam zapoznaje mnie ze sprzętem, wymachując ręką. - Wybierz swoje narzędzie tortur - mówi.

Wspinam się na coś, co wygląda jak metalowa modliszka.

- Gdzie mam położyć nogi?

- Nie tak wysoko, zostaw tę pozycję dla swojego ginekologa - dowcipkuje Pam. Och, jest taka zabawna. - Nie zapomnij prawidłowo oddychać - dodaje.

Sadowię się i rzucam jej bezradne spojrzenie.

Porusza ustami, mówiąc „no dalej”, i odbiega, żeby wskoczyć na ruchomą bieżnię.

Zostałam sama, żeby walczyć ze sprężynami, dźwigniami i gumą. Raz - dwa - trzy, raz - dwa - trzy, oddychaj prawidłowo, Kate, kolana wysoko, ciągnij, pchaj. Rodney maszeruje w mojej głowie, raz - dwa - trzy, raz - dwa - trzy, ramiona prosto, całkiem nagi, w tył zwrot, raz - dwa - trzy...

Śmiech grzęźnie mi w gardle i nie mogę go przełknąć ani się ruszyć. Widzę Rodneya jako pajaca, szalonego klauna. Nagle wszystko to wydaje mi się prześmieszne, nie tragiczne, tylko cholernie zabawne.

Nie mogę zostać na siłowni.

Muszę się stąd wynieść.

Jestem skrepowana, jakbym była w pułapce czy w uprzęży. Wypchana, podpięta, ściśnięta i obwiązana. Zeskakuję z modliszki, porywam ręcznik, kostium kąpielowy i torbę. Mijam Pam, rzucając szybkie: Spotkamy się przy basenie, dobra? I uciekam.

Obiecuję sobie przepłynąć cztery długości. Może sześć.

Rzucam się do ciepłej, błękitnej, pachnącej chlorem wody i jak strzała pruję pod wodą. Kiedy wynurzam się po powietrze, wyginam w łuk i sięgam do krawędzi basenu, ale zamiast tego łapię czyjaś nogę. Puszczam, uśmiecham się przepraszająco i zamieram, bo widzę, że jeden z dużych palców nie ma paznokcia.

Bo to stopa Rodneya.

I cała reszta. - Co tu robisz, do diabła? - Jego głos rozlega się echem.

- Pływam - odpowiadam.

No, dalej, Kate, spróbuj raz jeszcze. Unoszę podbródek. - A co? Nie wolno mi? Wtedy zjawia się Todd. - Rety, toż to Kate - mówi, podając mi rękę.

Ocieram sobie kolano, gdy mnie wyciąga. Schyla się, żeby otrzeć krew palcem.

- Muszę pędzić, Todders - mówi Rodney. - Będziemy w kontakcie.

Spotkali się w saunie? To tam dyskutowali o podziale majątku?

Tak wygląda prawo angielskie, powiedziała Sukey Smith. Rozwód to główna sprawa, a rozwiązanie kwestii finansowych to zagadnienie dodatkowe. Muszę przyznać, że to raczej mylący sposób przedstawienia sprawy, ponieważ w praktyce głównym przedmiotem dyskusji w czasie każdego rozwodu są pieniądze, zwłaszcza gdy w grę wchodzi spory kapitał.

Todd, nadal kucając, zlizuje moją krew z palca, a potem zerka na mnie i mruga. - Cały czas odkładałaś słuchawkę, gdy dzwoniłem. - Wstaje i klepie mnie w policzek. - Nie powinnaś była tego robić.

Zaskoczenie miesza się ze złością w mojej głowie, odwracam się, żeby znowu zanurkować w basenie. Przepłynę sześć długości. Może osiem.

A potem nigdy więcej nie przyjdę do tego centrum.

- Zajrzyj do mnie na kawę - proponuje Pam w drodze powrotnej.

Kiedy piję i biorę małe gryzy trójkątnych kanapek, opowiadam jej więcej, niż zapewne chciałaby wiedzieć, powierzam każdy szczegół. W końcu mówi: dość, proszę, bo pomyśl tylko, Kate, Rodney jest także jej przyjacielem i sąsiadem. Pokazuje mi wnętrze dłoni jak policjant, gdy

zatrzymuje ruch samochodowy. Dosyć, mówi, napijesz się jeszcze kawy? Jeszcze jedną kanapkę z ogórkiem?

Tak to już jest. Wiele przyjaźni pogłębia się, inne okazują się płytkie. Szukasz wtedy nowych przyjaciół.

Maggie to nowa przyjaciółka. To z nią stałam, czekając, aż Charlie pojawi się w bramie college'u. Łatwo jest znaleźć kogoś, kto przechodzi przez to samo co ty. Można go wyczuć, niemal wywęszyć.

Rozdział 334

Sobota, 10 czerwca Copper Lane 75, Oakley Green

Czy naprawdę chcę, żeby Charlie jechał ze mną na wesele Ingrid? Pojedzie, jeśli chcę, ale mam - Baz, Matt, Daphne, Louise i wygląda na to, że Kev też mógłby być zainteresowany, w każdym razie myśleli, żeby pożyczyć parę namiotów i pojechać w ten weekend do Newquay. Tak, skończył już eseje do szkoły. Tak, wszystkie. Przysięga na Boga, że tak.

Charlie leży w poprzek na moim łóżku na poddaszu, nogi mu dyndają, głowa zwisa. Wyciągam ręce spod koca, żeby dotknąć jego włosów. Przesypują mi się przez palce, miękkie jak jedwab i ciężkie. Kiedyś były brązowe. Teraz mają kolor pszenicy.

Daphne zrobiła mojego syna na blond w mojej kuchni, korzystając z moich misek i pędzla do ciast. Wypełniła moje królestwo swoją obecnością i zapachem amoniaku, kiedy nakładała na głowę Charliego farbę.

Opieram się o poduszki i biorę kubek kawy, który Charlie zostawił na nocnym stoliku. Nadal mam piasek w oczach z niewyspania, bo obudził mnie o szóstej rano. Nasze intymne rozmowy stały się nawykiem, odkąd powiedziałam mu o rozwodzie. Rodney stwierdził, żebym sama przekazała radosną nowinę, a potem stawiała czoło cholernym konsekwencjom.

Spodziewałam się odrzucenia i obwiniania, a nie akceptacji. Charlie nie był zaskoczony. Sam ledwie zna swojego ojca, ale przyzwyczyił się do staruszka i jego sposobu bycia. Do diabła, wyjść za mąż za takiego złamasa? Jak mogłam wytrzymać z nim tak długo?

Mój syn zaoferował mi ochronę i zrozumienie. Byłam tak wdzięczna, że popłakałam mu się w sweter. Tak bardzo mi ulżyło, gdy zobaczyłam, że nadal mu na mnie zależy. Słowa

cisnęły się na usta. Sekrety ujrzały światło dzienne, wypłynęły prawdziwe uczucia. Szczegóły, usprawiedliwienia, przeprosiny.

- Leje jak z cebra - mówi Charlie. Podchodzi do okna i mówi mi, że chmury są szare, niebo jest ciemne i że nie chce przeprowadzić się ze mną do Londynu. Chce pojechać na południe i zamieszkać z Bazem i Mattem. Może spróbuje dostać się na uniwersytet w Southampton.

- Zgodzisz się, mamó? Puść go, Kate.

- Chodź tu. - Tylko tyle potrafię wyszeptać.

Trzymam w ramionach powód, dla którego tak długo zostałam, i kołyszę jak dziecko.

- Przynieś mi parę tostów - proszę, przelękając łzy i ból. Kiedy wychodzi, obejmuję się i wciskam palce między zębra. Znowu jestem szczupłą.

Zapach tostów i szmer muzyki dopływa na poddasze. Charlie za głośno słucha płyt. Och, do diabła, co ja mówię. Za głośno? Nie dość głośno, bo muszę chwycić się słów, które słyszę. Nieustannego rapu, rytmicznych uderzeń, które mówią, że to matka uczy cię wszystkiego.

A w każdym razie tyle, ile zdoła.

Rozdział 60

Sobota, 17 czerwca Sansouchies, Main Street, Oakley Green

Shane żuje gumę, mieszając produkty w małych naczynkach. Tak je nazywa - swoje pudry, roztwory i spraye - produkty.

- Wybierasz się gdzieś dziś wieczór? - pyta, nakładając galaretowatą miedź, sepię i paloną sjenę z odrobinką miodu. Spodoba ci się efekt końcowy, kochana Kate.

- Wybieram się na ślub we Francji. Jesteś pewny, że to będzie dobrze wyglądać?

- Kochanie, wszystko będzie lepiej wyglądać od tego, z czym tu weszłaś.

- Auć.

Włosy mi wypadają, Shane, nie widzisz? Jestem zestresowana po czubek głowy.

- Musisz pocierpieć, żeby być piękną, skarbie.

- Przekłuwanie nosa bolało?

- Nie tak bardzo jak innych delikatnych miejsc. Dobrze, prawie gotowe. To powinno też pomóc rozprostować trwałą. Wsadzimy cię pod suszarkę, a potem Katie, daj mi się obciąć.

Dać się obciąć.

- Katie, kochanie, mogę coś zasugerować?

- Tak?

- Twoje paznokcie. Dolores, chodź i zrób pani Fanshaw paznokcie. - Klepie mnie w ramię. - Ja stawiam, skarbie. Prezent od firmy.

Wiozą mnie pod suszarkę, a Shane, który znika za różową plastikową zasłoną, krzyczy: - Weź złoty burgund, Dolores. A ty, Kate, wypróbuj w domu granat, nie żartuję.

Później, kiedy Shane kończy masaż głowy, wygładzanie, wcieranie, badanie, szarpanie i cięcie, łąduję z mahoniowym

paziem, który sięga do wyraźnej linii szczęki. Nawet nie wiedziałam, że ją mam.

- Zabójczo seksowna - stwierdza.

- A gdzie mogę zrobić sobie tatuaż? Nie śmiałabym.

Ale miło się zapytać.

Rozdział 61

Wtorek, 20 czerwca Aix - en - Provence, Francja

- Obie zaczynamy nowy rozdział w życiu - mówi Ingrid, ściskając moją dłoń, gdy pędzimy autostradą.

Chwilę później zerkam na jej profil, kiedy podskakujemy na drodze do Montaurelle, na jej rozpuszczone włosy, na zaokrąglenia jej ciała. Wszystko wydaje się teraz delikatniejsze.

- Tak się cieszę z twojego powodu - mówię.

- Życie może się zacząć po czterdziestce, Katers, nigdy nie jest za późno.

Jej samochód jęczy, gdy skręcamy w Place de la Joliette. Wsiadamy i otacza nas ciepły, głośny od cykania świerszczy wieczór.

- Boże, Ingo, podoba mi się Prowansja - mówię.

- Więc przeprowadź się tutaj. - Otwiera bagażnik i wyjmuje wszystkie walizki i torby. - Przywiozłaś tyle bagaży. Stara Kate, jak widzę, nic się nie zmieniłaś.

- Zamknij się - mówię, szczerząc zęby.

- Sama się zamknij. Chodź, na pewno umierasz z głodu. Ja wezmę tę, a ty weź resztę.

Mieszanka czosnku, dymu z palonego drewna i papierosów wypełnia moje zmysły, gdy drzwi się otwierają.

Thierry wita mnie głośno:

- Salut, ma chouette! - A potem jego broda łaskocze mnie, gdy całuje mnie w policzki.

Śmieję się.

- Moje gratulacje, Thierry!

- Enfin, hein? Najwyższy czas zrobić z niej uczciwą kobietę. - Wyciąga ręce do Ingrid, trąca ją nosem w szyję, a potem łapie za walizki. - Erik! - krzyczy. - Viens, potrzebuje pomocy.

Kto to jest Erik?

Zjawia się mężczyzna, mężczyzna, którego włosy rozsypują się jak wachlarz, gdy zapala papierosa chromową zapalniczką. Nie nosi koszuli, tylko sam sweter, obcisły i w prążki. Dżinsy bez skarpetek. Skórzane sandały.

- Kate, chyba nie poznałaś jeszcze Erika Tobera - mówi Ingrid.

Jego oczy są orzechowe, a spojrzenie zza okrągłych okularów w rogowej oprawce uważne.

Chowa zapalniczkę do kieszeni i nasze ręce dotykają się.

- Miło mi cię poznać, Kate. Dużo o tobie słyszałem. - Jego usta dokładnie wypowiadają każde słowo, a głos jest niewiele głośniejszy od szeptu. To Anglik.

Thierry otwiera drzwi, odsłaniając widok na drewnianą klatkę schodową. - Depeche - toi, Erik. Je veux que tu fasses la salade.

Erik wkłada papierosa w kącik ust, łapie resztę bagażu, a kiedy jego kroki milkną, odwracam się do Ingrid. To przyjaciel Thierry'ego, mówi. Son copain. Agent nieruchomości. Mieszka w L'Auberson, kilka kilometrów stąd.

- Och.

Dlaczego Ingrid się uśmiecha? Idę za nią do kuchni i widzę krzywe szuflady oraz niepasujące do siebie szafki pod starymi belkami stropowymi. Misy lśnią na wypolerowanych powierzchniach, słoje pełne są kwiatów i gałązek.

- Co twoi rodzice myślą o nowym domu? Jest piękny.

Ingrid śmieje się.

- Podoba im się, ale uważają, że powinniśmy trzymać tu trochę kur i kóz.

Bierze ścierkę, żeby wyjąć z piecyka potrawkę z królika, w porządku? Kiedy podnosi pokrywkę, widzę bulgocący gęsty szary sos, perłowe cebulki i suszone śliwki.

- Pachnie cudownie, Ingo.

Kroi bagietkę i pyta:

- Jak sobie radzisz, kochana? Jakie masz plany?

- Plany?

- Co będziesz robić?

- Uczyć. Wyjadę do Londynu.

Przygnębiająca mgła przesłania moją przyszłość i nie chcę o tym myśleć. Chcę cieszyć się tym, co się dzieje w tej chwili.

Piosenka Thierry'ego Bum - bum - bum, padam oznajmia nam, że on i Erik już są na dole.

Czuję się brudna i zgrzana po podróży, więc pytam, czy jest dość czasu, żebym wzięła szybką kąpiel.

- Oczywiście - odpowiada Ingrid. - Twoja sypialnia to drugie drzwi po prawej.

Kiedy dochodzę do schodów, Erik macha do mnie z salonu, woła moje imię. Poprawiam włosy. Czy Shane nie ściał ich za krótko? Czy moje spodnie nie są z tyłu pogniecione? Odruchowy uśmiech błąka się na moich ustach, ale Erik jest powolny i rozluźniony. Niespieszny. Proponuje, że przyniesie mi coś do picia, sugeruje wino, które na pewno będzie mi smakować, czerwone bandol.

Jest wyższy o półtorej głowy ode mnie. Chodź, mówi, przywożem trzy butelki, są tam, na stojaku.

- Padam... padam... padam - nuci w tle Thierry. Wino jest aksamitne.

Ma intensywny aromat, mówi Erik, i głęboki śliwkowy posmak. Nie usiadłabym obok niego na sofie?

Dziękuję, ale muszę iść na górę, naprawdę powinnam się przebrać. Zabiorę wino ze sobą.

I umyję włosy, mówię sobie. Załatwię to szybko. Pomaluję oczy na ciemno, wskoczę w brązową sukienkę, założę pasek, który układa mi się na brzuchu w literę „V”.

Thierry zagląda do salonu i śmieje się. - Erik, chodź! Obiecałeś zrobić swoją słynną sałatkę! Je te l'ai demande six fois deja!

Uśmiecham się szeroko przez całą drogę do łazienki. Ile straciłam! Czterdzieści trzy lata i wkrótce znowu będę wolna!

Woda jest jak jedwab. Zanurzam się w nią, pozwalam, aby zamknęła mi oczy i wypełniła uszy. Jestem w Prowansji, daleko od Rodneya, oświadczeń składanych pod przysięgą i sądowych nakazów. Kiedy się wynurzam, namydlam ramiona i piersi mydłem z kawałeczkami lawendy.

Jestem wyzwolona, nieskrępowana. Sięgam po wino i pozwalam mu spłynąć do gardła.

Jestem wolna.

Jestem w Prowansji!

Środa, 21 czerwca

Ingrid otwiera okno, żeby przewietrzyć. - Wstawaj! - woła. - Idziemy na targ.

Siada na łóżku i stawia między nami tacę. Ciepła kawa z mlekiem i pain au chocolat pachną niebiańsko.

Opieram się o stos poduszek i mówię: - Ej, nie powinnaś mnie tak rozpieszczać! Ty jesteś panną modą. Mogę postawić ci dziś lunch?

- Jasne.

Uśmiecha się szelmowsko.

- Dzwonił Erik, ma tę książkę z przepisami, która mogłaby ci się spodobać.

- Och? - Przesuwam palcem wzdłuż szwów kołdry. - To o której wychodzimy na targ?

- Za pół godziny. Włóż szorty, zapowiada się upalny dzień. Unikam jej wzroku, skupiając się na kawałku nieba uwięzionym w okiennej ramie. - Chciałabym kupić niebieską sukienkę - mówię. - Na twoje wesele. - A potem się poddaję. - No dobrze, jest całkiem przystojny, a ty, mało jedna, specjalnie tak to ustawiłaś, żeby Erik zjawił się tutaj wczoraj i zrobił sałatkę?

- Wiedziałam, że mu się spodobaś. Ma czterdzieści siedem lat i jest dobrze rozwiedziony.

- Dobrze?

- Całkowicie, ostatecznie.

- Ale ja jestem dopiero w połowie drogi. Daj mi chwilę, dobrze?

- Wstawaj - odpowiada.

Ingrid nie powiedziała mi, że w drodze na targ będziemy musiały poobcierać sobie golenie na rowerach, manewrować pomiędzy krzyczącymi gęsiami i wytrząść się w kurzu i żwirze.

Ze będę się śmiała do rozpuku.

Zjeżdżamy ze wzgórz, mijając pola lawendy, chłoniemy pachnące powietrze, mijamy sady oliwne i wreszcie docieramy do Montaurelle, żeby wytrząść się na bruku.

Przemykamy między budynkami związanymi starym tynkiem. Prowadzimy rowery po schodach, a kiedy wyjeżdżamy z za rogu, wyrasta przed nami targ pełen wrzawy i kolorów.

Od razu znajduję niebieską sukienkę z marszczoną etaminy z krótkimi rękawami. - Patrz, Ingrid, czy ona nie krzyczy „Prowansja”?

- Uszyto ją w Indiach - odpowiada Ingrid, wskazując na metkę. Ale i tak ją kupuję. Można ją związać z tyłu i ściągnąć w talii, no i ma głęboki odcień barwinka.

Wypełniam papierowe torby jabłkami, ziemniakami i marchwią. Stawiam pokryte pajęczyną butelki wina w koszyku z przodu roweru. Białe wytrawne do bouillabaisse, którą zrobię dziś na kolację. - Dobrze, Ingo, będziesz musiała pomóc mi wybrać rybę. Wiesz, jaki jest mój francuski.

- Qu'est - ce que vous desirez? - Sprzedawczyni nosi chustkę wokół okrągłej, pomarszczonej od słońca twarzy.

Szturcham Ingrid. - No, powiedz jej!

- Qu'est - ce que vous recommandez pour la bouillabaisse?

- Sprytna jesteś, Ingo.

Sprzedawczyni rzuca okrawki, rybie głowy i filety na wagę. - Trois palourdes, un peu de perche rouge, de la dorade, trois morceaux de turbot...

- Szybko byś się nauczyła, gdybyś się tu przeprowadziła - mówi Ingrid.

- Nie mogłabym mieszkać we Francji. Bidy by się wściekła.

- Merci, madame, vous êtes tres gentille.

- Do diabła, Kate, kiedy ty dorosniesz? - Reakcja Ingrid jest ostra jak uderzenie w twarz. - Poważnie, zawsze się nad tym zastanawialiśmy z Moirą. Czasem jesteś jak wrzód na tyłku, mówiąc wprost.

Wkłada rybę obok wina, patrzy na mnie i wzdycha. - Przepraszam, ale przez całe swoje życie ulegałaś matce. Nie potrafisz zrobić niczego bez jej aprobaty?

Kiedy maszeruję na przedzie, pedał roweru uderza mnie w kostkę. - Pieprzona kupa żelastwa! - warczę, potrząsając kierownicą.

- Nie wygłupiaj się, zwolnij.

Ulegam Bidy, tak? Szukam jej aprobaty? Zawsze tak mówiły. Boisz się jej, Kate.

Patrzę na okrągłe obrusy wirujące nad stołami, wiszące ze słupów, pełne kropek, pasków i kratek. Wlokę się do następnego straganu i widzę wybór korkociągów, z rączkami i bez, z płaskimi metalowymi albo ceramicznymi główkami. Wyszukane wyciskarki do czosnku, wspaniałe łyżki. Worki pełne zbóż, soczewicy, kukurydzy i mąki, nadal z łuskami.

Na następnym straganie wyłożone są lśniące papryki, bakłażany i srebrne kapusty. Patrzę na nie i myślę. Tego dnia, kiedy obudziłam się na plaży w Crickmouth Bay, obudziłam

się do nowego życia. Co teraz z tym zrobię? Rozwód to jedna sprawa, ale co z resztą? Co dalej?

Kiedy Ingrid mnie dogania, próbuję się uśmiechnąć. Jej oczy łagodnieją. Szepczę „przepraszam”, przyznaję, że mają rację z Moirą, a ja jestem za stara, żeby się dąsać.

Koła warkoczą i stukają, kiedy popychamy rowery w milczeniu.

Mijamy gliniane garnki na chleb, ogromne misy, wysokie dzbany. Ceramikę ozdobioną stokrotkami, talerze pomalowane w fioletowe kwiaty, emaliowane naczynia gliniane z Luberon.

W mojej głowie rysuje się wyraźny obraz. Widzę swoje pojemniki, solniczki i pieprzniczki ustawione na kamiennych półkach. Bielony pokój. Rosnące ciasto. Owoce maczane w alkoholu, konfitury w czystych słoikach. Będę przykrywała stół okrągłymi obrusami, podawała kawę albo angielską herbatę ze śniadaniem. Rozciągała swoje narzuty na łózkach. Będę potrzebowała pomocy, rzecz jasna.

Łapię pęk żółtych kwiatów mimozy z następnego straganu. - Combien, s'il vous plat? - Wiem, jak to powiedzieć.

- Proszę. - Wciskami kwiaty do ręki Ingrid. Ich zapach jest słodki i trochę mdły.

- Kate?

Wiem, że pyta o mój wyraz twarzy. Biorę głęboki wdech i mówię: - Dobrze, Ingrid, zrobię to. Przeprowadzę się do Francji.

Obejmuje mnie za szyję i dotykamy się czołami. Śmieję się, chociaż w środku drzę, bo nie wiem, jak do cholery dokonam tego wszystkiego.

- Chodźmy na lunch - mówi Ingrid. - Chciałabym ci coś pokazać.

Opieramy nasze rowery o ścianę obok Le Petit Paris i wchodzimy do kawiarenki.

Ciasta jak gładkie dyski leżą na marmurowej płycie. Widzę różowy lukier ozdobiony rozmarynem i kawałkami lawendy. Czerwone porzeczki i kawałeczki czekolady na jednym, zapiekane brzoskwinie z okruchami laski wanilii na drugim.

- To jest kawowe z orzechami włoskimi - wskazuje Ingrid. - Jadłam kawałek w zeszłym tygodniu.

- Potrafię robić takie ciasta - wzdycham.

- Wiem.

Rozdział 62

Sobota, 24 czerwca

Idziemy z kościoła w orszaku i gromadzimy się na zalanym słońcem podwórzu przed domem Ingrid i Thierry'ego, żeby zrobić więcej zdjęć.

Wiatr unosi w powietrzu kolorowe konfetti i podwiewa sukienkę Ingrid, mgiełkę brzoskwiniowej żorżety bez rękawów. Bliźniaczki Moiry są w sukienkach z miętowej gazy z białymi szarfami.

Już kręci mi się w głowie od szampana, szybuję w pastelowym świetle słodkich migdałów.

Staję przed fotografem w nowej sukience i obejmuję Moirę za ramiona. Potem dołącza do nas Erik. Nasza trójka to najbliżsi przyjaciele państwa młodych.

Erik przychodził codziennie do domu przy Place de la Joliette 5, żeby dzielić z nami ciepłe wieczory i wino. Robiliśmy zupę i risotto, podczas gdy Ingrid i Thierry planowali ślub. Erik jest Żydem urodzonym w Winchester. Ma dziecko, dwudziestodwuletnią Zoé, która mieszka w Paryżu z matką.

Powiedział, że rozwiódł się wiele lat temu.

Akcenty unoszą się i opadają. Tata Ingrid próbuje rozmawiać z mamą Thierry'ego, cedząc każde słowo, jakby była kretynką. - Idealny dzień na ślub. Piękny. Słońce. Błękitne niebo. - Ona kiwa elegancką głową i odpowiada po francusku, a kiedy w odpowiedzi pojawia się zaskoczony uśmiech, Erik odwraca się do mnie i śmieje się: - Kate, est - ce que tu parles français?

Cały czas trzyma mnie w talii.

Moira opiera rękę na moim ramieniu, mówi, żebym na pewno usiadła przy tym samym stoliku co ona, i idzie szukać swojego aparatu.

- Prawie wcale nie mówię po francusku - odpowiadam Erikowi.

- Jestem bezużyteczna.

- Więc będziemy musieli to zmienić. - Zerka swoimi delikatnymi oczami w prawo. Pasma siwizny przebiega przez najdelikatniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziałam u mężczyzny. - Posłuchaj, poważnie myślisz o przeprowadzeniu się do Prowansji? Chcesz, żebym pomógł ci poszukać domu w Montaurelle? Mam kilka na liście.

- Chciałabym coś w mieście. Taniego. Sama mogę się tym zająć. - Odwracam wzrok, nagle czuje się zakłopotana. - Chciałabym prowadzić pensjonat. Sprzedawać ciasta... takie tam.

Odwracam się, żeby znowu na niego spojrzeć i przekonać się, czy się śmieje.

Schyla twarz pod rondo mojego kapelusza. - Vouloir c'est pouvoir. Jest pewien dom, jeszcze niewystawiony na sprzedaż, który mogłabyś zobaczyć. - Wyciąga rękę po kieliszek i wznosi toast.

- Za państwa młodych! - krzyczy. Wielobarwny tłum gości zatrzymuje się w pół kroku. Śmiech, krzyki, rozmowy - wszystko zamiera. Tylko talerze brzęczą w tle, gdy obsługa ustawia weselne śniadanie.

A wszyscy wykrzykują toast na cześć Ingrid i Thierry'ego. Monsieur et Madame Granville!

Uroczystości trwają do wieczora. Komary kręcą się przy maleńkich światełkach zawieszonych od drzewa do drzewa. Misy z cassoulet serwowane są z grubymi kawałkami chleba. Na stołach stoją dzbany czerwonego wina. Ktoś gra na akordeonie, a niska brunetka śpiewa jak Edith Piaf.

- Przełóż lot do Birmingham - prosi Erik. - Chciałbym, żebyś zobaczyła dom au cœur de la ville.

- Gdzie?

- W sercu Montaurelle, w pobliżu placu targowego.
Mówię mu, że zadzwonię do Charliego i dam mu znać, że
wrócę za kilka dni.

Biddy i tacie wyślę kartkę.

Rozdział 63

Wtorek, 27 czerwca Rue Fabienne 6, L'Auberson,
Prowansja

Wsiadam do samochodu Erika i podciągam rękaw swetra, żeby sprawdzić godzinę. - Są już w Paryżu - mówię. - Thierry powiedział, że zabiera dziś wieczorem Ingrid do opery. To ma być niespodzianka. Lubisz operę? Żałuję, że tak mało o niej wiem. Lubię Carmen. Słuchałeś kiedyś Fausta Gounoda? W pewnym momencie skrzypce muszą wyciągnąć wręcz niewiarygodne tony. Słuchasz jazzu? Nie za bardzo lubię country...

Denerwuję się i paplę jak podekscytowana nastolatka. A co on robi? Po prostu się uśmiecha. Siadam na dłoniach, gdy zdaję sobie sprawę, że nimi wymachuję. Jedziemy zobaczyć dom w Montaurelle i nie mogę się doczekać. To znaczy pojedziemy po obejrzeniu domu Erika. Pokaże mi, co można zrobić z domu w tej okolicy, Kate. Spory potencjał.

Zakręca ostro z poślizgiem, zaciąga hamulec, aż odrzuca mi głowę, gdy gwałtownie się zatrzymujemy. - Et voilà - mówi i wskazuje palcem.

Więc to jest jego dom, przycupnięty przy skale. Beżowy kamień kruszy się pod bluszczem, zielone okiennice wiszą na zardzewiałych zawiasach. Przypadkowe krzewy, głównie chwasty, schną w słońcu. To piękny dom.

Erik uśmiecha się szeroko. - Na zewnątrz wymaga jeszcze trochę pracy, prawda?

- Bardzo podobają mi się skrzynki pod oknami.

- Chodź - mówi.

Więc to jest dom Erika. Cały on. Kamienna zimna podłoga. Czy powinnam zdjąć sandały? Chcę chodzić boso. Może później. Ściany są chropowate, ich powierzchnię pokryto kremową farbą. Stół w korytarzu ma ciemne nogi i jasny lśniący blat. Krzesła nie od kompletu. Samotny abażur

wisi nisko. Wszystko jest czyste, wszystko jest porządne. Obrazy olejne są ogromne, pełne pól, drzew i pasm lawendy.

- To ty namalowałaś?

- Tak. Więc to on.

- Są niesamowite.

Wzrusza ramionami. - Pozwól, że pokażę ci resztę domu. Zostawiam sandały i biegnę za nim. Ma opalony na brązowo kark i szerokie ramiona.

- Na piętrze są trzy sypialnie. - Bierze mnie za rękę, a kiedy dochodzimy do półpiętra, mówi: - Alors, madame, mamy tu stary kamienny dom, dom z charakterem.

- Kupuję - odpowiadam.

- Znajduje się na samym końcu wsi L'Auberson, wśród kilku innych domów pod zamkiem. - Ciągnie mnie do okna. - Na zewnątrz widać podwórze zacienione przez kasztany, a jeszcze dalej winnice. - Milknie. - Dlaczego opuszczasz męża?

Patrzy mi w oczy, czekając na odpowiedź. Rodney jest zimny, mówię. Obojętny. Powściągliwy. Arogancki i, o Boże, czy Erik naprawdę chce wiedzieć więcej? Tak, mówi cicho, chce.

- Próbuję zrozumieć, dlaczego zostałam z nim tak długo - mówię. - Trudno mi znaleźć jasną odpowiedź. To stało się prawie wygodne.

Kiedy skończył się seks. Przełykam ślinę.

- Ale potem... - Tak?

- Och, on po prostu jest trochę dziwny.

Dlaczego musimy o tym rozmawiać? Wypuszczam dłoń Erika.

- Przepraszam, Kate, to nie moja sprawa, prawda?

- Nie szkodzi.

Naprawdę nie szkodzi, ale to nie czas, żeby rozmawiać o Rodneyu. - Pokaż mi resztę domu - mówię z uśmiechem.

- Następna jest łazienka. Chodź za mną. Jest cała w kafelkach, z wanną, umywalką i małą szafą na ręczniki. Są trzy sypialnie. Jak widzisz, dobrze rozlokowane.

Łóżka są schludnie pościelone, prześcieradła krochmalone.

- Mój Boże, Erik, jesteś taki porządny!

- Ha! Myślisz, że to ja tak dbam o ten dom? Ma dziewczynę? Jasna cholera!

- Madame Jaccard z wioski przychodzi sprzątać.

Szczerzę zęby jak głupia i zaczynam zbiegać po schodach.

- A teraz chciałabym zobaczyć kuchnię.

Zauważam najpierw wrzecionowaty kaktus wycelowany w różowy sufit. Brunatnożółte ściany, jasne szafki i kamienna kostka na podłodze. Rety!

- Kuchnia została całkowicie przebudowana i odnowiona - mówi Erik, stając w progu. - Ściany są otynkowane, podłogi wyrównane, dociągnięty prąd oraz nowiutkie rury.

- Jesteś typowym agentem nieruchomości - mówię.

- Prawda?

Rusza do lodówki i wyklada na stół ser, ryż, grzyby i wino. Potem z dumą stawia słoik z truflami i mówi, że zrobi najlepsze risotto, jakie kiedykolwiek jadłam. Poprawia okulary w rogowej oprawce na nosie. - Jak już obejrzymy twój nowy pensjonat - dodaje. - Twój przyszły chambres d'hôtes.

Kiedy wkładam stopy w sandały, Erik schyla się, żeby zapiąć sprzączki.

- Chodźmy - mówi, wrzucając klucze do kieszeni.

Rue Sainte - Marthe 9, Montauverelle, Prowansja

Erik parkuje samochód. Schodzimy kilka stopni w zaułek, w którym na szerokość zmieściłyby się najwyżej cztery osoby. Domy, wszystkie połączone, ciągną się niczym rozległe mury zamku. Druty krzyżują się powyżej między dachami.

- Mon agence immobilière te propose une propriété de caractère. To ten ostatni - mówi Erik. - Najwyższy. Widzisz tę lampę z kutego żelaza? Już prawie jesteśmy na miejscu.

Daszki w paski zacierają wielkie okna na parterze, pozostałe zasłonięte są przez bladoniebieskie okiennice. Małe doniczki z pelargoniami desperacko potrzebującymi wody tworzą schludną linię wzdłuż trottoir, wąskiego chodniczka.

- Wszystko pootwieramy - mówi Erik. - Moi przyjaciele, para gejów, prowadzili tu małą crêperie. Jakies pół roku temu kupili starą farmę z winnicą - to ich nowe przedsięwzięcie. Nadal wymaga odnowienia, ale udało im się wprowadzić dwa tygodnie temu.

Serce mi zamiera. - Więc ten dom wkrótce zostanie sprzedany? Nie mam jeszcze pieniędzy, żeby cokolwiek kupić.

- Claude i Bruno nie spieszą się za bardzo. Uznali, że najpierw zajmą się pokojami na poddaszu, nim wystawią dom na sprzedaż.

Dębowe drzwi na żelaznych zawiasach osadzono w kamiennym łuku. Są wypolerowane niemal na połysk, a wokół klamki widać sporo dziurek po kornikach.

- Powiedz mi jeszcze raz, ile by chcieli dostać za dom.

- Około stu dwudziestu pięciu tysięcy. - Erik wkłada klucz do zamka i wchodzimy w ciemność. - Jestem pewien, że zgodziliby się na znacznie mniej, gdybyś wzięła dom w takim stanie.

- Och! To jest kuchnia?

Erik otwiera okno, a potem okiennice. Popołudniowe słońce wlewa się do środka, oświetlając przemysłowy piec, rząd kurków od gazu, dwa ogromne piekarniki. Jest tu głęboki zlew z bawelnianą zasłonką. Kredensy są pojemne, wpuszczone w kamienne ściany, przeszklone, obramowane starą sosną. Wielki stół. Będą go chcieli? Czy sprzedadzą

razem z domem? Cokolwiek zostawili, będzie twoje, mówi Erik. Żeliwne patelnie! A one? Kiwa głową. Chodź, zobaczymy pokój po drugiej stronie, mówi.

- Jeden, dwa, trzy, cztery... osiem stolików, Erik!

Krzesła postawiono pod ścianą, obłazi z nich niebieska farba.

Na górze jest pięć sypialni z podłogami z desek. Pokoje są niewielkie, ale wystarczająco duże, żeby pomieścić podwójne łóżka i umywalki. Ile lat ma ten dom? Aż mi dech zapiera, gdy Erik mówi, że pochodzi z końca osiemnastego wieku.

- Więc co o tym myślisz? - pyta.

- Daj mi spojrzeć na pokoje na poddaszu. Och, wymagają remontu. Ale...

- Mogłabym tu spać. I Charlie, gdy przyjedzie w odwiedziny.

Tynk odpada ze ścian, krokwie dachowe są odsłonięte. Ale do diabła, uwielbiam sypialnie na poddaszu.

Jest coś jeszcze, mówi Erik. Quatre caves voûtées dont une avec un four à pain.

- Co takiego?

- Cztery sklepione piwniczki, jedna z piecem.

- Żartujesz!

- I dziedziniec na tyłach. Wychodzi na plac targowy.

W Montaurelle mieszkańcy tłoczą się pogrążeni w rozmowach. Głosy są ciche, delikatne, a wieczorne niebo zamienia się w fioletową noc. Mijamy fontannę, woda spływa, żadnego pryskania i chlapania. Tak cicho i spokojnie.

Kiedy słyszę delikatne stukanie, rozglądam się, zastanawiając się, skąd dochodzi ten hałas.

- Grają w pétanque. - Erik wskazuje kierunek.

Na bulwarze widoczna jest gra świateł ulicznych lamp i cieni. Mężczyźni z brzuchami przelewającymi się między szelkami spodni rzucają metalowymi kulami w inne metalowe

kule, ale przede wszystkim w małą drewnianą. Czasem metalowa kula odbija się rykoszetem od drewnianej barierki z cichym „stuk”.

- Drewniana kula nazywa się cochonnet - mówi Erik.

- Och.

- To znaczy „mała świnka”.

Widzę rozbawiony błysk w jego oczach.

- Wracamy do samochodu? - pyta.

Kiedy idziemy, pytam, od jak dawna kupuje i sprzedaje nieruchomości we Francji. Od piętnastu lat.

Pytam, jak ma na imię jego matka. Jeanette. A ojciec? Harold. Kiedy zmarli? Cztery lata temu, w odstępie kilku miesięcy. Czy poznam jego córkę?

Badanie, zastanawianie się.

Tak, oczywiście.

Jaki jest ojczym Zoé? Och, on. Gość w stylu Gerarda Depardieu, człowiek z gór z nosem jak penis. Erik uwielbia sposób, w jaki się śmieje.

- Więc zjemy kolację, nim odwiozę cię do Place de la Joliette? Macam kieszeń, upewniając się, że nadal mam klucz do domu

Ingrid i Thierry'ego, a potem odpowiadam: - Z przyjemnością.

W drodze powrotnej do domu w L'Auberson mówi: - A tak przy okazji, rzeczywiście lubię jazz.

Pyta mnie, czego chciałabym posłuchać, ale mówię mu, żeby sam wybrał. Znowu dowiaduję się czegoś o Eriku, gdy So What płynie gładką, a potem wzburzoną rzeką.

- Napijemy się pastisu - mówi, napełniając mały dzbanek wodą w kuchni. - Przynieś kieliszki. Są nad zlewem.

Wysokie, wąskie, tłumaczy. Mam nalać pastisu na dwa palce. Tutaj, tego, La Fée Verte. Tylko po jednej kostce lodu,

tak, są za duże do kieliszków, ale muszą unosić się nad zielonym alkoholem, kiedy będzie nalewał do nich wodę.

Jak za sprawą magii płyn staje się mętny i fosforyzujący. Smakuje lukrecją, anyżkiem i ziołami.

Rozdział 64

Piątek, 29 września Copper Lane 75, Oakley Green

Trzy miesiące od wyjazdu do Prowansji. Rozwód się odwleka i chociaż Claude i Bruno zajęci są zamienianiem przybudówek w winnicy w domki do wynajęcia, nadal się martwię, czy nie stracę domu przy rue Sainte - Marthe 9. Dlaczego wszystko tak się wlecze, zapytałam Sukey Smith.

Pan Fanshaw nie ujawni swoich przychodów ani nie wyśle kopii rachunków firmy, powiedziała.

Sukey Smith załatwi nakaz sądowy.

Słucham brzęku kluczy. Chrobot, a potem trzaśnięcie drzwiami. TRACH!

Dobrze. Rodney wyszedł do pracy.

Serce bije mi szybko. Mam zebrać kilka cennych rzeczy, wsadzić je do passata, a potem spotkać się z tatą i Biddy w Dunleigh.

- Dlaczego w Dunleigh? - zapytałam wczoraj wieczorem Biddy.

- Pomyślałam, że spędzimy tam dzień. To śliczne miasteczko. Możemy urządzić sobie piknik.

Zerkam to na lewo, to na prawo. Co moi rodzice mają ukryć w szopie ogrodowej? Od czego powinnam zacząć? Od mojej kuchni.

Moje najlepsze rondle, garnki do gotowania na parze, formy do ciasta. Moje noże. Deski do krojenia. Pojemniki, solniczki i pieprzniczki. Naczynia stołowe? Sztućce? Nie. Widziałam, jak w zeszłym tygodniu Rodney wynosił do samochodu komplet sreber.

Uwierz mi, będziecie walczyć o ostatnią drewnianą łyżkę, powiedziała mi moja nowa przyjaciółka Maggie.

Wpadam do salonu i przyglądam się wszystkiemu wokół. Kredens. Chowam do pudełka parę skórzanych koni, które kupiłam w Paryżu. Kominek. Wezmę świeczniki. Do drugiego

pudełka wrzucam szufladę pełną zdjęć. Dużo tam fotografii Charliego, Rodney nie może ich zabrać.

Płyty, kompakty...

Biegnę na górę i zwijam do torby sześć narzut, które sama pozszywałam. Kilka cennych książek. Jasna cholera. Jest wpuł do drugiej, a do Dunleigh jest osiemdziesiąt kilometrów. Jestem spóźniona.

Zawsze spóźniona. Bidy nie wie, jak ze wszystkim nadażam. I jak na Boga zdołam przygotować listę wydatków dla kancelarii Bellini and Co.? Nie mam o tym zielonego pojęcia, prawda? Bidy zrobi za mnie tę listę. Zostaw to jej. Załatwimy Rodneya.

Nie, mam. Poradzę sobie, odpowiadam.

Pakuję do passata rzeczy, które mam wrażenie, że ukradłam. Zerkam na dom Pam i mój wzrok przyciąga szybkie poruszenie zasłonki. To kolejna rzecz, powiedziała Maggie. Sąsiedzi uwielbiają rozwody, skandale. Będiesz obserwowana. Każdy twój ruch zostanie odnotowany. Każde słowo zapisane.

Wal się, Pam.

Wsiadam do samochodu i patrzę na swoje dzinsy. Nie miałam czasu się przebrać i nie, Bidy nie powie mi, dlaczego powinnam włożyć dziś ładną sukienkę, mam poczekać, to sama zobaczę. To niespodzianka.

Telefon komórkowy mruży.

- Chciałem tylko usłyszeć twój głos.

- Erik.

Na moją twarz wypływa uśmiech.

Podnoszę ramię, przytrzymując telefon przy uchu, a potem skręcam kierownicą, żeby wyjechać z podjazdu. Erik dzwoni do mnie trzy razy w tygodniu. Rozmawiamy, gdy chowam się pod kocami na poddaszu, kiedy czekam w kolejce do kasy, kiedy Rodney wpada na mnie na korytarzu, szukając

ochraniaczy do krykieta, i wtedy muszę mówić cześć Maggie albo Ingrid albo Moira, dzięki za telefon! Dobrze cię słyszeć.

- Spotykam się z rodzicami - mówię Erikowi. - Na pikniku.

Nagle kliknięcie mówi mi, że już go nie ma. Baterie w telefonie padły, a ja mocuję się z przewodami, żeby naładować to cholerstwo. Chwilę to potrwa. Ach, cóż.

Dociskam pedał gazu. Jestem już pół godziny spóźniona. Otwieram okno, żeby poczuć wiatr we włosach. Niebo jest przyprószone chmurami, ale słońce przygrzewa. Zastanawiam się, jaka jest dziś pogoda w Prowansji.

- Herbata zielona, earl grey, oolong czy ziołowa? - pyta kelnerka, gdy tylko siadamy przy stoliku koło okna.

- Poprosimy trzy filiżanki zwykłej mocnej herbaty - opowiada Biddy. - Tom, chciałbyś babeczkę? Chciałbyś. A ja poproszę o kawałek biszkoptu. A ty, Kate?

- Tylko herbatę.

Nie mogę uwierzyć, że nie dostałam reprimendy za spóźnienie.

Oczy taty błyskają zza nowych okularów, zbyt ciemnych i za ciężkich. Twarz ma bladą, włosy siwe. Biedny tata. - Mamy ci coś do powiedzenia - mówi.

Biddy wyjmuje plik papierów z koperty i kładzie je przede mną.

Na pierwszym napisano Low Meadow Road 61, Dunleigh. Z centralnym ogrzewaniem na gaz, za 195 tysięcy funtów, mieszkanie zawiera: korytarz, kuchnię, duży salon, łazienkę, trzy sypialnie, garaż i pomieszczenie gospodarcze.

- Patrz dalej - mówi Biddy.

Biorę papiery na kolana, żeby kelnerka mogła postawić filiżanki i talerze.

Piper Way 39, centralne ogrzewanie olejem, podwójne okna, bezpośredni dostęp do strzeżonego parkingu. Korytarz,

salon, kuchnia z jadalnią, trzy sypialnie z szafami. Dwie łazienki, małe ogródki na tyłach i od frontu. 202 500 funtów.

- Rety, nieruchomości są drogie w Dunleigh, prawda?

- Kate - mówi tata, kładąc dłoń na mojej ręce. - Nasz dom w Dorton jest na sprzedaż. Ogród jest dla nas za duży. Starzejemy się, no wiesz.

- Ej, przestań z tym gadaniem o starości!

- Już podpisaliśmy papiery - dodaje Biddy.

- Myślicie o przeprowadzce tutaj?

- Tak, ale do małego parterowego domku - odpowiada tata. - Pomożemy ci kupić większy dom.

- Moglibyśmy mieszkać na tej samej ulicy - mówi Biddy.

- Pomóc ci wychowywać Charliego.

- Charlie idzie na uniwersytet w Southampton, mamo. Wychowanie ma już za sobą. W tym miesiącu kończy dziewiętnaście lat, zapomniałaś?

Puszczanie go jest gorsze od wyrywania zęba, ale mimo to muszę to zrobić.

Wyglądam przez okno na senną uliczkę Dunleigh. Przejeżdża nią dziwny traktor, ciężarówka z bydłem i autobus. Za nimi jedzie karawan.

Patrzę na moich rodziców, to na jedno, to na drugie. Tata puka palcami. Biddy zacisnęła pięści przed swoim kawałkiem biszkoptu.

- Co myślisz? - pyta.

Staram się mówić delikatnie, ale stanowczo. - Mamo, powiedziałam ci, jakie mam plany, gdy wróciłam z wesela Ingrid. Przeprowadzam się do Francji.

- Nadal masz obsesję na punkcie tego pomysłu?

- Tak.

Tata zagryza dolną wargę, a na podbródku pojawiają mu się dołeczki. Głos mu się łamie: - Nie chciałabyś tu mieszkać?

- Blisko rodziców? - dodaje Biddy. - Mogłabyś przyjąć kilku uczniów i uczyć ich prywatnie.

- Starzejemy się - mówi tata.

Herbata pali mnie w gardło, kiedy z trudem ją przetykam, i nagle rue Sainte - Marthe 9 wydaje się znajdować bardzo daleko stąd.

- Czy to nie mały katolicki kościół? - Biddy wygląda przez okno i się żegna. - Czy to nie wspaniałe? Od razu tu, przy High Street.

- Mamo, zdecydowanie zamierzam przeprowadzić się do Francji.

Biddy zerka na tatę. Nie jestem pewna, ale chyba mrugnęła do

niego szelmowsko. Mimo to mówi, że chcą z tatą przeprowadzić się do Dunleigh. - Więc może jednak pójdziemy na spotkanie z panem Belcherem, agentem nieruchomości?

Tak więc idziemy za panem Belcherem, podziwiając przyjemne widoki, użyteczne spiżarnie i zwarte kuchnie. Tata naprawi to, Biddy zadba o tamto. Ma szafę, która by tam pasowała.

- Co panią sprowadza do Dunleigh, pani Fanshaw?

- Myśli o przeprowadzeniu się tutaj. - Biddy się uśmiecha.

Kręcę głową i mówię bezgłośnie, że nie, ale ignorują mnie.

Biddy syczy, że miałam włożyć ładną sukienkę.

- Poszukajmy ładnego miejsca na piknik - mówi tata dwie godziny później. - Jak już przepakujemy twoje pudła do naszego samochodu.

Kiedy kończymy, wsuwam komórkę do torebki.

Znajdujemy pole pełne koniczyny. Brązowy strumień płynie leniwie i powoli. Rozkładałam na ziemi obrus pełen kropek, pasków i kratek.

- Podoba ci się, mamó? Kupiłam go na targu w Montaurelle.

- Trochę krzykliwy, ale dość ładny.

Pomagam rozłożyć kanapki na plastikowych talerzach. Moi rodzice siedzą na płóciennych krzeselkach, sama sadowię się na trawie. Kiedy tata mówi, że tak się cieszy, że znowu jesteśmy rodziną, dzwoni moja komórka.

- Słucham?

Podskakuję i ze schyloną głową ruszam do strumienia.

- Erik!

Mówi mi o innym domu, który mógłby mi się spodobać, a pojawi się na rynku za miesiąc. To na wypadek, gdybym straciła ten przy rue Sainte - Marthe 9.

Patrzę na moich rodziców, którzy wydają się mniejsi, starsi i bardzo samotni pośrodku pola.

Targają mną mieszane uczucia.

Rozdział 65

Wtorek, 3 października Copper Lane 75, Oakley Green
- Charlie! Kolacja prawie gotowa.

Upuszczani otwieracz do konserw, gdy kaleczę się o nierówny brzeg wieczka. Ciemna krew płynie po palcu, cholera. Teraz muszę poszukać plastra. Nie zdążę ugotować jajek, usmażyć ziemniaków ani podgrzać pieczonej fasoli. Muszę wynieść się z tej kuchni, nim usłyszę brzęk kluczy.

Zwykle to mąż opuszcza małżeński dom albo z własnego wyboru, albo z nakazu sądowego, powiedziała Sukey Smith.

Ale Rodney wolał zostać.

Nadal odmawia zamykania drzwi do łazienki. Nadal muszę odwracać głowę na widok jego penisa pływającego w wodzie w czasie kąpieli. Robić w tył zwrot, kiedy widzę, jak podmywa się w bidecie. Wycofywać się, gdy podciąga bieliznę na korytarzu. Jego to nic nie obchodzi. Mówi, że to jego dom. A właściwie dlaczego patrzę? Jesteś nadal zainteresowana, kochanie?

Urządziłam sobie pokój obok pralni, gdzie zwykle trzymałam kosze z praniem i deskę do prasowania. Wepchnęłam stare biurko do kąta i podłączyłam aparat telefoniczny. Dopóki pilnuję, aby korzystać z niego, gdy w domu nie ma Rodneya, jest w porządku. Mam tu mały telewizor i fotel. Zwijam się na pufie, piję wino i słucham muzyki. Klucz do tego pokoju i sypialni na poddaszu noszę na szyi na łańcuszku. To są pokoje, w których się chowam, gdzie śnię o polach lawendy, odliczam dni, czekając na koniec rozvodu.

- Charlie! Pospiesz się! - Owijam palec plastrem. Rana jest głęboka.

Syn człapie do kuchni.

- Mój Boże, Charlie, coś ty zrobił?

Trzy wygolone linie w lewej brwi.

- Fajnie, nie? Całuję go w kącik szerokiego krzywego uśmiechu i mówię, że jest idiotą. - Twoja kolacja. Wychodzisz gdzieś wieczorem?

Oczywiście, że wychodzi.

- Aha. Spotkam się z Bazem, może z Daphne. Mogę to zjeść w salonie?

Mówię, że tak, zagryzając kanapkę, bo już nie przejmuję się sosem na sofach ani okruszkami na dywanie. Kurz może zalegać warstwami, tłuszcz zastygać, chwasty się pnieć. Nie obchodzi mnie to.

Kiedy trzaskają drzwi i dzwonią klucze, mam jeszcze patelnię do wyskrobania.

Rodney dumnym krokiem maszeruje do kuchni.

- Przepraszam - mówi, stawiając torbę z zakupami na blacie.

Odwracam się, żeby wyjść, ale zatrzymuje mnie:

- Czekał no chwilkę.

- Co?

- Pomyślałem, że chciałabyś usłyszeć, co powiedział dzisiaj Todd Grimley. - Wybiera paczkę kurzych udek, opiera się o blat kuchenny i uśmiecha drwiąco. - Uważa, że jesteś dziwką, kochanie. Twoje nieustanne próby flirtowania były bezowocne. Nie jest zainteresowany i nigdy nie będzie.

- Ja flirtowałam? Ha! To lubieżny dupek, dobrze wiesz. Nie wiem, jak Penny z nim wytrzymuje.

- Nie może uwierzyć, że poprosiłaś Sukey Smith, aby cię reprezentowała - ciągnie Rodney, odwracając się, żeby zerwać celofan. Wbija paznokcie w kawałek surowego kurczaka, żeby zdrzeć skórę, a potem wrzuca go na patelnię, zalewa wodą i stawia na ogniu.

Rodney podchodzi do mnie, jego przymrużone oczy znajdują się tuż przy moich, gdy się uśmiecha.

- Masz rozum wielkości ziarnka grochu. Zostaniesz bez grosza. Dopilnuję tego. Podbiję koszty twojego prawnika do astronomicznej sumy. Ona zedrze z ciebie krocie.

- Daj mi spokój.

- Proszę pana, niech pan da mi spokój, proszę pana. - Rodney staje na palcach, klaszcze i tańczy w kółko.

- Ale z ciebie dziecko, co?

Kiedy łapię butelkę wina z stojaka, uchyla się. O Boże, naprawdę myślał, że zamierzam mu ją rozbić na głowie? Kiedy siłuję się z korkociągiem, zaczynam się śmiać. Jaki z niego głupek. Skończony dureń. Nalewam do szklanki, pierwszej z brzegu. Włączam radio. Głośno, naprawdę głośno, żeby go zdenerwować.

Nie przestraszysz mnie, Rodneyu Fanshaw.

Kiedy Billy Joel śpiewa o tym, jak to szykuje się do morderstwa, wchodzi Charlie. Tańczy do muzyki, podaje mi pusty talerz. Do zobaczenia później, mamó, mówi i całuje mnie na do widzenia.

Macha do ojca i znika.

Stoję przy zmywarce. Dlaczego mam wychodzić? Nie muszę. Rodney dźga gotującego się kurczaka łyżką i, cholera, robi mi się go odrobinę żal. Powinnam mu pomóc? Ale dobry Boże, dlaczego? Z przyzwyczajenia?

- Mogłoby być zupełnie inaczej, Rod.

Śmieje się szyderczo.

Walczę ze współczuciem i poczuciem winy, słowa i myśli kłębią się w mojej głowie. Czy to moja wina, że wszystko ułożyło się tak potwornie?

- Próbowałam, Rod, naprawdę się starałam.

Piję wino jak oranżadę.

- Próbowałaś? - Parska śmiechem.

Nalewam jeszcze trochę wina do szklanki i biorę kolejny łyk. Rzucam mu listę, strzelam słowami jak pociskami: byłam

uległa, usłużna, przystosowałam się do jego egocentrycznego stylu życia. Wymieniam, jak się poświęcałam, mówię, jak wyczerpujące były te lata. Tak, wyczerpujące, niech się wali, to była czysta harówka, praca w tym domu, a on nigdy tego nie docenił. Byłam cholernie samotna, Rod, nie rozumiesz?

- Pleciesz androny (androny - głupstwa, brednie, banialuki; prawic, pleść androny) - stwierdza, wrzucając błyskawiczną pastę pomidorową do miski.

Wypadam z kuchni po słownik.

- Jak śmiesz! Jak śmiesz do cholery! - Biegnę z powrotem do kuchni, rzucając przekleństwami. - Ty głupcze! Zmarnowałeś dziewiętnaście lat mojego życia!

Ale w głębi duszy myślę, że nie, że sama zmarnowałam sobie życie. Wyobrażałam sobie, że Rodney może być moją ucieczką, a potem żyłam w wymyślonym świecie czterech ścian, udając, że wszystko jest w porządku.

- Nie muszę tego słuchać - odpowiada. - Dlaczego nie wyniesiesz się z tego domu w cholerę? Nie zostawisz mnie i Charliego w spokoju? A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym zjeść posiłek.

Idę za nim do stołu, rozlewając wino. - Pieprzony sierżant sztabowy! Pajac! Seks z tobą to żart! To, co stało się w Crickmouth Bay, to był zwykły gwałt...

Po raz pierwszy od lat Rodney patrzy mi w oczy. Jego wzrok świdruje. Draży. - Jak zawsze mówiłem, do tanga trzeba dwojga. Podobała ci się każda minuta.

Oblizuje pomidory z widelca i uśmiecha się.

Wtedy dociera do mnie, że gadam do ściany.

Kiedy idę do salonu, mam wrażenie, że nie dotykam stopami ziemi. Wrzucam karmę dla ryb do akwarium i zastanawiam się, jak przewiozę Goldie, Mabel i Freda do Francji, bo wynoszę się z tej cholernej Anglii, o tak. Mimo burzy w głowie staram się myśleć logicznie, ale tak naprawdę

to chcę się upić do nieprzytomności. Padam na kolana i sięgam do szafki po następną butelkę wina. Przycinam palec zawiąsem i świeża krew pojawia się na plastrze, ale ból jest stłumiony.

Odtwarzam w głowie drogę do pokoju koło pralni, a kiedy już tam jestem bezpieczna, zdejmuję łańcuszek z szyi i zamykam drzwi. Stawiam wino i szklanekę na podłodze, a potem kładę się obok.

Gdy zamykam oczy, wciąga mnie tunel wirującego światła, ześlizguję się, zjeżdżam, spadam na łeb na szyję w kłębiące się fale, usta wypełnia mi morska woda i wymiotuję na pufę.

Dużo później, gdy przytomnieję, ból w głowie przypomina mi, że picie nie jest najlepszym sposobem na radzenie sobie z problemami.

Rozdział 66

Niedziela, 15 października Cherry Blossom Road 33,
Dorton

Minął tydzień, a deszcz nadal ciska się w okna. Znak „Na sprzedaż” na frontowym podwórzu rodziców kołysze się na wietrze. Mają już kupca, mówią, czy to nie wspaniałe?

Wszyscy wyjeżdżają lub się przeprowadzają.

Wszystko się zmienia.

Charlie zdał egzamin na prawo jazdy, więc pojechał z Mattem do Southampton na weekend. Czuję pustkę na palcu, na którym nosiłam pierścionki. Sprzedałam je i kupiłam synowi na urodziny używany samochód. Nie miałam prawa tego robić, stwierdził Rodney. Poinformuje Todda Grimleya.

Chłopcy mają listę mieszkań do obejrzenia i nie mogą się doczekać, żeby zacząć je sprawdzać. Prześlą się u znajomego na podłodze, więc nie martw się, mamó, dobra?

Rozwód może sprawić, że nastolatki chcą szybciej uzyskać niezależność, głosiła jedna z broszurek leżących na moim nocnym stoliku.

- Będzie się bardziej martwił o siebie niż o ciebie - stwierdziła Sukey Smith, wręczając mi fakturę na siedem tysięcy sześćset pięćdziesiąt siedem funtów.

Głos Biddy przerywa moje rozmyślenia.

- Przestań, Tom. Próbuję coś ugotować.

- Zejdę ci z oczu, Biddy, tak będzie dobrze?

- Katie? - Tata staje obok mnie przy oknie w jadalni. - O czym myślisz?

- O rozwodzie - odpowiadam. - Rodney nie ujawni swoich przychodów ani nie prześle kopii księgowości firmy, więc kancelaria obciąży mnie kosztami nakazu sądowego.

- Nie martw się. - Masuje mi plecy. - Pomożemy ci, pomożemy ci znaleźć dom.

Wyglądam przez okno i patrzę, jak burza ugina drzewa, zmuszając je do uległości. - Nie, tato - szepczę. - Wyprowadzam się do Francji. - Zanim zdążę powiedzieć coś więcej, słyszę stukanie kłapek Biddy.

- To dla ciebie, mały czek urodzinowy. - Jej twarz jest zacięta, krok sztywny.

- Dziękuję, mamo. - Otwieram kartkę. - Boże, pomyśleć, że mam czterdzieści cztery lata!

Już nie dziecko.

- Przepraszamy, że tak późno, ale dawno się nie widzieliśmy. Odłóż to na swoje konto, przydadzą ci się - mówi.

Tak, myślę sobie, przydadzą się, żeby zapłacić za telefony do Francji. Czy Ingrid była dziś na targu? Z moim domem wszystko w porządku? Erik, jeszcze go nie wystawili na sprzedaż, prawda?

I za telefony do Stanów Zjednoczonych. Szkoda, że Moira nie widziała domu przy rue Sainte - Marthe 9, spodobałby się jej! Pomyślałam, że salon wyglądałby fantastycznie z terakotą. A granatowe krzesła wyglądałyby wspaniale przy lśniących stołach. Co ona o tym myśli?

- Czekolada Fry dla ciebie, z miętowym nadzieniem - mówi tata, wyjmując tabliczkę z szuflady i uśmiechając się szeroko.

Obejmuję go. - Kiedyś kupowałeś mi je co piątek.

- Teraz czuję, że odzyskałem córkę.

- Tato, naprawdę zdecydowałam się na ten pensjonat.

- Czy ty ciągle żyjesz w świecie bajek? - pyta Biddy. - Jak zamierzasz prowadzić interesy w tym obcym kraju, skoro nie mówisz nawet słowa po francusku? Ziemniaki są już gotowe. Tom, nie prosiłam, żebyś nakrył do stołu?

- Jak mamy odwiedzać cię we Francji, kiedy się zestarzejemy? - pyta tata. - Nie będziemy mogli podróżować.

- Ja będę was odwiedzać.

- Och? - Oczy Biddy jaśnieją. - A skąd weźmiesz pieniądze na samolot i statek? Z tego swojego pensjonatu? Zimno tu. Tom, nie prosiłam, żebyś rozpałił ogień? Świetnie, teraz nie mamy innego wyjścia, jak zjeść w kuchni.

- W kuchni jest przytulnie - mówi tata. - Chodź, Kate, będzie jak za starych czasów, prawda?

- Przytulnie? Przytulnie? - pyta Biddy zaczerwieniona od żaru z piekarnika. - W niedzielę powinniśmy jeść w jadalni, a nie w kuchni. Ty po prostu urosłeś, Tom, a nie zostałeś wychowany. Karmiony soloną rybą i bobem. Co ty tam wiesz.

- Dość tego, Biddy.

- Mam pokroić wołowinę? - pytam.

- Ja to zrobię - odpowiada tata.

- Ty, Tom? A kiedy ostatnim razem wzięłeś nóż, żeby pokroić pieczeń?

Ojciec wychodzi ciężkim krokiem.

Ustawiam na stole trzy talerze.

- Co się dzieje? - pytam.

Biddy odkraja plaster mięsa. - Zaczęło się, gdy twój ojciec powiedział, że ma dość tego, jak obserwuję każdy jego ruch. - Drugi plaster. - Ze według mnie nic nie robi, jak trzeba. - Trzeci. - Nazwał mnie jędzą. - Wymachuje nożem. - Więc co myślisz o swoim ojcu? Uwierz mi, zmienił się. Nie poznałabyś go.

Tata staje w progu.

- Słyszałem każde słowo, Biddy. - Przy każdym oddechu jego pierś unosi się i opada. Pięści ma zaciśnięte, a oczy wybałuszone.

- Chcesz wiedzieć, Katie, dlaczego nazwałem twoją matkę jędzą?

- Nie.

Naprawdę nie chcę.

- Bo nazwała mnie walijskim bękartem. Jestem zwykłym śmieciem w porównaniu z jej wysokością.

Kiedy Biddy nakłada głośno puree ziemniaczane, rozlega się grzmot i niebo przecina błyskawica.

- Co ty sobie wyobrażasz, Biddy, że kim niby jesteś? - Tata krąży, przeczesując włosy palcami. - Odpowiedz mi!

Widziałam już, jak się denerwował, ale nigdy nie był tak wściekły. Biddy rzuca kącikiem ust:

- Wiedziałaś, że twój ojciec potrafi ryczeć jak byk?

- Ty irlandzka... wiedzmo - mówi tata.

Biddy odwraca się, podchodzi do niego szybko i spluwa mu prosto do ucha.

Usta taty drżą. Biddy dostanie się za swoje.

- Przestańcie! Dobry Boże. Krzyczę.

- Przestańcie oboje!

Biddy wykrzywia usta. - Daj mi, proszę, numer do Sukey Smith - mówi. - Odchodzę od twojego ojca.

Idę po torebkę, ale nie po numer, tylko po zdjęcie ze ślubu Ingrid ze mną, Moirą i Erikiem. Opadam na krzesło i rzucam fotografię na stół. - Przeprowadzam się do Francji, jak tylko dostanę rozwód. Poznałam mężczyznę, który mieszka w L'Auberson, małej wiosce w pobliżu Montaurelle. Nazywa się Erik Tober. Ma czterdzieści siedem lat i dwudziestodwuletnią córkę Zoe. Pomaga mi znaleźć dom i naprawdę go lubię. Proszę.

Deszcz bębni, wiatr wyje, rozlegają się grzmoty.

Biddy bierze zdjęcie.

- Obiad stygnie - mówię. - Mogę podawać?

Pada kilka słów. Uprzejmych. Tom, otwórz wino, proszę. Którą butelkę? Niebieską, tę z zakonnicą na etykietce. Owoce i ser na deser, Kate. Czy mogłabym wyłożyć na talerz kilka krakersów? Tom, wyjmij masło z lodówki, proszę.

Dziękuję.

Przynajmniej zachowują się wobec siebie jak ludzie. Jemy w milczeniu ledwie ciepły posiłek. Potem kroimy jabłka, odrywamy od gałązek winogrona, kroimy cheddar.

- Wspaniały ostry ser, prawda, Tom?

- Bardzo smaczny. - Wstaje. - Przepraszam.

Bierze z blatu paczkę papierosów. Podaje jednego Bidy, a potem znowu siada.

Matka bierze zapalniczkę, a potem pochyla się nad stołem, żeby ojciec podał jej ogień.

- Przykryj masło, proszę, Tom.

Smużka dymu ucieka z nozdrzy taty i podpływa mu pod oczy. Moja komórka dzwoni.

- Kto to? - Bidy stuka paznokciami w blat stołu.

- Erik, mogę oddzwonić później? - pytam.

Tata bez przekonania wstaje i chce zebrać talerze. Bidy mówi mu, żeby usiadł.

- Cóż, to dopiero ładna niespodzianka, prawda, Tom?

Twarz matki niczego nie wyraża. Jest jak z kamienia.

- To za wcześnie, Katie - mówi tata. - Jeszcze się nawet nie rozwiodłaś. To on dzwonił w Dunleigh, prawda? Kiedy byliśmy na pikniku. To dlatego wstałaś i odeszłaś, żebyśmy nie słyszeli.

Liczę zmarszczki na jego czole, jedna, druga, trzecia, i kręcę głową, zbywając jego pytanie, bo to w końcu nie jego sprawa, prawda? Nie jestem pewna. Nie sądzę. Dobry Boże, dlaczego on to robi? Nie mam już szesnastu lat. Pytam, czy mogę dostać jeszcze krakersa.

Bidy zaciąga się głęboko.

- Kate, jesteś kłamczuchą.

- Kłamczuchą?

- Nie wspomniałaś, że rozwodzisz się z powodu mężczyzny.

- Bo to nie tak. Powiedziałam wam, dlaczego odchodzę od Rodneya. Nawet nie znałam Erika, gdy wystąpiłam o rozwód.

- I nie wierzę, że Rodney robił coś takiego w sypialni.

Co?

- Co? - ledwie zdołałam wydusić.

Tata strzepuje papierosa do popielniczki, unikając mojego wzroku. Co tu się dzieje? Jeszcze minutę temu był jak agresywny i wyzywający wściekły byk.

Tato, proszę, powiedz coś.

Ale on patrzy na nią, czyta w jej myślach, używa jej jak broni, pułapki. Niepewność rani moje serce.

- Ona nas zabije, Tom. Podaj mi papierosa. - Biddy znowu patrzy na fotografię. - Ten Erik zezuje jednym okiem.

Dobra. To już jest śmieszne. Szacunek dla rodziców to jedna rzecz, ale do cholery, to nie jest w porządku. Nie do przyjęcia. Wyrywam jej fotografię.

- Ma niezwykle nos - mówi. - Daj mi jeszcze raz spojrzeć na to śliczne zdjęcie.

Tata kiwa na mnie, jakby mówił: no, zrób, co matka każe. Rozlega się grzmot, ogłuszający huk. - Wychodzę stąd - mówię.

- To Żyd, prawda? Ha! Wiedziałam, widzisz, Tom? To dlatego nie dała mi spojrzeć.

Łapie moją pięść i próbuje rozewrzeć palce, jej paznokcie drapią, a przez zaciśnięte zęby mówi: - Pokażesz mi to zdjęcie. Jestem twoją matką. Nie, nie, to boli. Mam artretyzm... Tom, powiedz jej.

Tata rzuca Biddy spojrzenie. - Co próbujesz ukryć? - pyta.

Skaczę na równe nogi, krzesło przewraca się, a ja wyrywam rękę. Biegnę, cholerne dzinsy spadają ze mnie, bo za bardzo schudłam, i nie pozwalają mi wskakiwać po dwa

schodki naraz. Biddy pędzi za mną, a tata krzyczy: - Rób, co ci matka każe! Słyszysz?

Jestem w łazience, widzę jeszcze odbicie twarzy Biddy w lustrze, nim zatrzaskuję drzwi. W jej oczach widać wściekłość, ale na ustach rysuje się uśmiech...

- Otwórz te drzwi, ale już! Bum, bum, bum. Chowam zdjęcie do dzinsów. BUM. Głos Biddy obniża się.

- Otwórz. Te. Drzwi. Ale już.

Biorę głęboki wdech. To musi się skończyć. To tak cholernie głupie, muszę pójść do psychiatry. To moja wina, że pozwoliłam tej kobiecie kontrolować moje myśli, moje decyzje, całe moje pieprzone życie.

Wpuszczam ją.

Dyszy, jakby nie mogła złapać oddechu. Łapie mnie za nadgarstki, jej palce wciskają mi się w rękawy swetra. Podnosi mi sweter, ale wyrywam się z jej uścisku. Nie mogę jej odepchnąć, jest mniejszą wersją tego, kim była.

- O dobry Boże... Mamo?!

Oto mamusia, która nim urosłam, uśmiechała się i miała wtedy dołeczki, która nosiła najdelikatniejsze swetry z wyhaftowanymi pączkami róż. Ta, która śpiewała Zaśnij moja maleńka, zamknij wielkie, ciemne oczka i kołysała mnie do snu.

Chcę wypuścić z siebie całe zakłopotanie i ból, które chowałam w sobie przez tyle lat. W głowie mi się kręci. Chcę słów, potrzebuję słów, ale żadne nie przychodzą. Otwieram usta i zamykam. To zupełnie jak w tych snach, kiedy krzyczałam, ale z moich ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Wtedy zjawia się tata i cała nasza trójka gniecie się w łazience, a ja wpadam do klaustrofobicznego tunelu, spadam i spadam.

- KURWA! Mam czterdzieści cztery lata, ty WARIATKO! - krzyczę.

Tata gapi się na mnie.

- Powiedziałaś „kurwa”? Biddy unosi ręce.

Zamykam oczy, gdy czuję żar uderzenia w twarz.

- Wynoś się - mówi tata.

Wkładam ręce do kieszeni spodni, wyciągam z niej tabliczkę czekolady, tej z miętowym nadzieniem. Teraz już jest miękka, a nadzienie wycieka przez rozerwane opakowanie.

Rzucam to cholerstwo ojcu pod nogi.

Kiedy jadę z powrotem na Copper Lane, coś do mnie dociera. Jeśli usunę się z ich życia, to rozwiążą swoje problemy, prawda? Pogodzą się?

Czuję się żałosna i wykorzystana. Uderzam ręką w kierownicę tak mocno, aż boli.

Jestem tak zła i tak udęczona, że chce mi się krzyczeć.

Rozdział 67

Czwartek, 19 października Copper Lane 75, Oakley Green
Dziesiąta trzydzieści. Sięgając nad biurkiem, żeby opuścić rolety nie wpuszczam do środka nocy. Gryzę paznokcie i sumuję przewidywane wydatki na życie, a potem wymieniam zawartość domu przy Copper Lane 75.

Kończę kieliszek wina. Tylko jeden.

Jestem zmęczona. Cholernie zmęczona.

Stawiam radio na biurku i włączam.

- Ave Maria, gratia plena. - Głos solisty wznosi się melodyjnie. - Maria, gratia plena, Maria, gratia plena. - Opadająca spirala.

Dzwoni telefon, wyciągam rękę. Nie odbieraj, Kate. Instynkt, a w każdym razie coś, podpowiada mi, że to Bidy. Przestała próbować dzwonić do mnie na komórkę.

- Ave, ave Dominus, Dominus tecum...

Telefon nie przestaje. To ona, wiem, naciska przycisk ponownego wyboru numeru, domaga się uwagi, upiera przy swoim. To szaleństwo. Stawię jej czoło. Tak zrobię.

- Słucham?

Bidy wzdycha ciężko, przeciągle.

- Jesteś okrutną młodą damą, prawda?

- Mama.

- Tak, mówi twoja matka. - Słyszę drżące zduszone łkanie zwykle zarezerwowane dla taty. - Tom, nic mi nie jest, nie martw się, proszę. Nie pomyślałabyś, żeby zadzwonić, co? O nie, nie ty. Nie Kate Fanshaw. Równie dobrze moglibyśmy dla ciebie umrzeć. O dobry Boże w niebiosach, Kate, swoimi grzechami przyprawiasz nas o czystą rozpacz.

- Benedicta tu in mulieribus, et benedictus...

- Ty głupia, niemądra dziewczyno. Poznajesz mężczyznę i w pięć minut tracisz dla niego głowę. Nawet raz w życiu nie wykazałaś się odrobiną zdrowego rozsądku.

Tata pomstuje w tle:

- Robisz wielki błąd.

Zamykam oczy. Boże, pomóż mi. Ignorowałam ich telefony dwa, trzy razy dziennie od tamtej niedzieli, kiedy uciekłam z domu przy Cherry Blossom Road 33.

- Et benedictus fructus ventris...

- Temu Erikowi Toberowi chodzi tylko o twoje pieniądze - syczy Biddy. - Wiesz, jacy są Żydzi.

- Co?!

- Twoja babka miała rację, niech jej dusza spoczywa w pokoju. Powiedziała, że jedyne go porządnego Żyda, jaki kiedykolwiek istniał, ukrzyżowano.

- Ventris tuae, Jesus. Ave Maria.

- Mamo, powiedziałaś już dość. To obrzydliwe.

- Tom, twoja córka uważa, że jestem obrzydliwa. Co o tym myślisz?

- Ave Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus, ora, ora pro nobis...

Następuje przerwa, a potem Biddy znowu zaczyna.

- Uwierzysz w to, Tom? Nasza Kate słucha modlitwy do Najświętszej Panienki, a jednocześnie pławi się w grzechu.

Biddy całkiem odbija.

- Nunc et in hora mortis, in hora mortis nostrae...

Nagle ogarnia mnie fala współczucia i miłości. To demencja, to musi być to.

- Mamo - mówię delikatnie. - Obawiam się, że możesz być chora.

- Pokażę ci, jaka jestem chora. Jeśli przeprowadzisz się aż do Francji, Kate, wymażemy twoje nazwisko z naszego testamentu. Rozumiesz?

We Francji będę zbyt daleko, żeby mogła kontrolować moje życie.

- Ave Ma - ri - a. - Głos solisty rozplywa się, zanika, a na linii słycać kliknięcie.

Kliknięcie? Nie, to nie może być Rodney. Na pewno. To czwartek, a w czwartki chodzi do loży masońskiej. Zawsze wraca na Copper Lane nad ranem.

Czy słyszę oddech matki?

- Mamo, wiesz, że nie chcę twoich pieniędzy. Wiesz, że nie jestem taka.

Kliknięcie. Jeszcze jedno?

- Daj mi porozmawiać z tatą.

- On nie chce z tobą rozmawiać.

- Daj tatę do telefonu, mamu. Szuranie i trzask.

- Czego chcesz? - pyta tata.

- Tato, nie mogę się doczekać, żeby zacząć nowe życie we Francji - mówię chrapliwym szeptem, jakby dzieliła się z nim sekretem. - To wszystko wypali, zobaczysz.

- Jak mógłbym kiedykolwiek polubić mężczyznę, który zabiera mi córkę? - pyta.

Co do cholery?

- Erik nigdzie mnie nie zabiera, tato. A Rodney tego nie zrobił?

Zamykam oczy. O Boże. Teraz już to widzę. Chociaż pobraliśmy się, Rodney nigdy nie stanowił zagrożenia. W tych rzadkich chwilach, kiedy byliśmy razem, ojciec nie widział żadnej intymności, żadnej bliskości, co znaczyło, że nadal mnie ma. Ale Erik jest niewiadomą.

- Masz obsesję na punkcie tego Erika - mówi tata. - To wszystko jest złe. On ma na ciebie jakiś silny wpływ, wyczuwam to. To nie jest naturalne.

Znowu Bidy.

- Jeśli przeprowadzisz się do Francji i zdarzy się tak, że umrzesz, to nawet nie odwiedzę twojego grobu, żeby splunąć na niego.

- Na miłość boską, oszalałaś? - pytam.

- Jesteś pijana, Kate?

Krzyczę, żeby obydwójce usłyszeli:

- Nie potraficie cieszyć się moim szczęściem?!

- Ona zwariowała, Tom. Posłuchaj.

Sięgam po aparat i zrzucam go z biurka, a potem ciskam słuchawką.

Rozlega się głucho pukanie.

- To ja, Charlie. Wpuść mnie, mamo.

Oddycham powoli i czekam, aż mięśnie karku trochę się rozluźnią.

Potrząsa klamką.

Łapię przewrócony telefon i odkładam go na miejsce.

- Mamo, otwórz.

Otwieram drzwi. Charlie bierze z pralki dwa kubki herbaty. - Już zamierzałem otworzyć je kopniakiem - oznajmia.

- Och, Charlie!

Stawia herbatę na biurku i odwraca się, żeby mnie przytulić. Przyciska moją głowę do piersi i mówi: - Już dobrze. Chowam nos w jego koszuli i przywieram do niego.

- Kim jest Erik? - pyta.

Mój syn wszystko słyszał.

- Mężczyzną, którego poznałam na weselu Ingrid - odpowiadam.

- To Francuz?

- Nie.

Gregoriańska pieśń zalewa teraz moją kryjówkę.

- Masz beznadziejny gust, jeśli idzie o muzykę - stwierdza Charlie.

Udaje mi się uśmiechnąć. Sięgam po herbatę i obejmuję kubek dłońmi, żeby je rozgrzać. Charlie opada na pufę.

- Wal - mówi.

Cóż, dopiero poznałam Erika, mówię, i lubię go, nawet coś więcej, ale na razie za wcześnie na cokolwiek. Odpowiadam na większość pozostałych pytań, które zadaje mi syn, na tyle, na ile potrafię. Już wie o moim pensjonacie, powiedziałam mu o tym, gdy tylko wróciłam ze ślubu Ingrid. Ma nadzieję, że mi się powiedzie.

Przeczesuje palcami włosy i kręci kolczykiem w uchu.

- Charlie, kiedy przekłułeś sobie ucho?

- Wczoraj, po tym jak Daphne przekłuła sobie pępek. Wszystko się zmienia.

- Charlie? - Przyglądam się jego twarzy. - Wstań i uściskaj mnie raz jeszcze.

- Mamo, Bidy doprowadza cię do szaleństwa. - Oczywiście robią mu się wielkie jak spodki. - Nie mogę znieść tej kobiety... cholera, nigdy mnie nie lubiła.

- Och, myślę, że ona... - Ale urywam. Dlaczego mam jej bronić? Kręcę głową i kończę: - Często zastanawiam się, czy ona w ogóle zdolna jest kogokolwiek kochać, Charlie.

- Dobrze się czujesz?

- Powinnam pójść do lekarza. Może spędzę kilka dni u Maggie.

- Mamo, w sobotę gram w piłkę w drużynie college'u.

Moja ręka wędruje do ust.

- Tak, tata będzie, więc nie musisz przychodzić, jeśli nie chcesz. I tak dostaniemy w skórę. Nigdy nie wygraliśmy z politechniką z Gremwall. - Urywa. - Może spróbuj trochę się przespać?

Głaszczę go po ramionach. - Dobrze, chodźmy stąd. Pamiętam, żeby zamknąć drzwi na klucz.

- Dobranoc, Charlie. Kocham cię. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Charlie wchodzi po schodach. - Ja ciebie też kocham, mamo.

W salonie jest włączony telewizor, leci jakiś film z napisami. Kiedy wchodzę, żeby go wyłączyć, widzę Rodneya. Leży rozwalony na sofie, ale całkiem przytomny.

Kiedy on wrócił?

- Czekał no, Kate, nie idź... - mówi.

- Co jest?

- Kto to jest Erik? - Unosi brwi nad kieliszkiem.

- Hm?

Słyszałam kliknięcie w słuchawce. Nie, to nie mógł być Rodney. Na pewno nie.

Cholera, cholera, jasna cholera.

- Proszę, proszę, trochę się zmartwiliśmy, prawda, kochanie? - Na jego twarzy pojawia się kpina. - Ujmując to łagodnie.

Kiedy zrywa się, obracam się na pięcie i ruszam na korytarz, jego ręka jak szpon rwie mi sweter. Na czworakach wspinam się na schody, serce bije mi jak szalone, aż docieram do drzwi Charliego. Tam się zatrzymuję i czekam.

- Podejdź bliżej, a zacznę drzeć się wniebogłosy.

- Tak, jesteś w tym bardzo dobra.

Krzyżuję ramiona i mrużę oczy. Zostań tam, gdzie jesteś, ty łajdaku.

- Zrobiłem notatki. Dokładne. - Patrzy na drzwi Charliego i zniża głos. - Słyszałem każde słowo. Jakie z ciebie proste stworzenie. Nie pomyślałaś, że mogę usłyszeć?

Robi krok na przód, a ja ani drgnę.

- Nie martw się - szydzi. - Nie dotknę cię. Nie ma mowy, żeby wyrzucono mnie z tego domu. Każda cegła należy do mnie, dobrze wiesz. - Jego spojrzenie omiata moje ciało. - Nie mogę sobie wyobrazić, jakim cudem znalazłaś sobie kogoś innego, ale fakt, że popełniłaś cudzołóstwo, stosownie cię obciążę.

- Jesteś cholernym pajacem. Idź do diabła.

- Zamiast tego wyślę faks albo dwa do Todda Grimleya. -
Wyciąga zegarek z kamizelki. - Wyślę teraz. Będzie miał cały
weekend, żeby wszystko wnikliwie przejrzeć. Dobranoc,
kochanie.

Rozdział 68

Piątek, 20 października

Zerkam na budzik, kiedy dzwoni telefon. Ósma trzydzieści.

- Słucham?

- Cześć, Kate. Tu Sukey Smith. Słyszę szelest papierów.

- Cóż, przede wszystkim gratulacje! Przedstawiłaś doskonale arkusze kalkulacyjne. Doprowadzimy ten rozwód do końca i szybko będzie po sprawie.

Bogu dzięki.

- A teraz coś bardziej osobistego. Jesteś tam jeszcze? Ziewam. Nie spałam najlepiej ostatniej nocy.

- Dzień dobry, Sukey. Tak, jestem.

- Pół godziny temu dzwonił Todd Grimley. Ujmując to w wielkim skrócie, powiedział mi, że masz nowego faceta.

- Nie do końca tak bym to ujęła.

- Kate. Co ci radziłam na początku?

Żyj jak zakonnica aż do ogłoszenia rozwodu.

Co jest takiego we mnie, że ludzie myślą, że mogą nadzorować i komentować moje prywatne życie? Teraz kompletnie obce osoby wścibiają nosy w moje sprawy. W dużym stopniu to musi być moja wina. Cholera, byłam taka... słaba. Leżę na poduszkach, czekam i przyglądam się zasłonom, które zrobiłam do tych nachylonych okien, dopasowałam każdy szew, ułożyłam każdy pasek, żółty z niebieskim.

- Kate, Kate, Kate. Zapomnij o facecie. Chociaż raz w życiu bądź niezależna.

- Mamy już datę rozprawy, Sukey? To się ciągnie od miesięcy.

- Popelniasz wielki błąd. Kiedy poznałaś tego Erika?

- Sukey, to moja sprawa. Zamierzam kupić pewien dom we Francji, poza tym czeka mnie jeszcze remont na własny

koszt. Dom zapewni mi schronienie i źródło dochodów. Kłopot w tym, że jeśli sprawy nie wyjaśnią się w ciągu kilku tygodni, stracę tę szansę. Możemy się spotkać?

Cisza.

A potem pada krótkie:

- Poniedziałek dwudziestego trzeciego o dziesiątej będzie ci pasował?

- Świetnie. Co za odwaga!

Gdy tylko się rozłączam, telefon znowu dzwoni.

Numer z Dorton. To znowu Biddy. Albo tata.

Dziewiąta godzina. A potem próbują dziesięć po dziewiątej. Dwadzieścia. Wpół do dziesiątej. O dziesiątej. Chowam komórkę pod materacem.

Najwyższy czas wziąć prysznic i się ubrać.

Czuję się odświeżona. Wciągam grube rajstopy, czarne polo i czerwoną spódnicę. Kiedy schodzę pewnym krokiem, bo jestem silna i wszystkim pokażę, do cholery, tak, wszystkim pokażę, słyszę:

- O, tak, Biddy, wiem, wiem.

Zastygam w bezruchu. Rodney jeszcze tu jest.

- Mówi, że poznała go we Francji, tak? Proszę, proszę. Uwierz mi, byłem zupełnie szczęśliwy. Kompletnie mnie zaskoczyła, gdy zażyczyła sobie rozwodu. Interes? No proszę, niekończące się niespodzianki. Ha! Nasza Kate planuje prowadzić pensjonat? Dobry Boże.

Nasza Kate? Przelykam ślinę i czekam na więcej.

- Nie zamierzam tracić z tobą kontaktu, Biddy. Nie po tych wszystkich latach. Co myślę? Że zachowanie Kate jest bulwersujące.

W ustach mam sucho, w głowie mi się kręci.

- Wobec tego do zobaczenia w sobotę. Do widzenia, Biddy. Dzwon, kiedy chcesz, proszę.

Do zobaczenia w sobotę?

Ten łajdak mija mnie z uśmiechem i zadartym nosem.

Frontowe drzwi otwierają się gwałtownie, rozlega się trzaśnięcie i dzwonienie kluczami.

Mama? Dobry Boże? Mama? W żołądku mi się przewraca, serce mi się ściska. Więc teraz już po prostu szuka zemsty. Rodney dostarczy jej potrzebnego wsparcia. Któż może być lepszy od byłego męża, aby połączyć z nim siły? Usprawiedliwi jej rozgoryczenie.

Osuwam się na ostatni stopień, trzymając się poręczy. Czerwone plamy tańczą mi przed oczami, gdy zamykam powieki. Tata? Mama? Cholera, dlaczego to robicie? Jak mogliście upaść tak nisko?

Wyję jak opuszczone dziecko. Szlocham i płaczę, pytanie pozostaje zawieszony w powietrzu, aż w końcu boli mnie szyja, żołądek i mogę już tylko trząść się bezgłośnie, jęczeć z twarzą w dłoniach.

Kiedy przestaję, wybieram domowy numer mojej lekarki, mówię jej, że potrzebuję pomocy, a ona zgadza się spotkać ze mną w przychodni za pół godziny.

Odkręcam kurki w łazience, aż woda tryska i wiruje w umywalce. Mydlę twarz i spłukuję, a żeby zamienić to w rytuał, spłukuję siedem razy.

Ponieważ już nigdy więcej nie będę płakać z powodu rodziców. Przychodnia Maythorne, Oakley Green

Do diabła z całym światem. Do diabła z Pam, która zignorowała mnie, gdy do niej pomachałam. Do diabła ze wszystkimi sąsiadami stojącymi ze skrzyżowanymi rękoma. Co za skandal. Ćśśś. O, idzie. Cześć, Kate, jak się masz? Biedny Charlie. Powiedz im więcej.

- Kate Fanshaw? Doktor może już panią przyjąć. Gabinet numer pięć.

Doktor Talwar zdejmuje słuchawkę z widełek. Masz tyle czasu, ile potrzebujesz, Kate, mówi.

Moja lekarka jest piękną Hinduską, pulchną, o dużych piersiach. Bez skrepowania opisuję preferencje seksualne Rodneya. I o mój Boże, ona się śmieje. Mówię o jego arogancji. Wycofaniu.

Kiwa głową. Rozumie.

- Boże! Dlaczego znosiłaś to tak długo?

- Bo byłam swego rodzaju męczennicą - odpowiadam zawstydzona tym, że muszę się do tego przyznać.

Ponagla, perswaduje, dopytuje się, aż w końcu dziecko we mnie zaczyna opowiadać. Dziecko, któremu nigdy nie wolno było okazywać prawdziwego gniewu, strachu ani smutku.

Ujawniam każdy szczegół, otwieram każdą ranę, powtarzam każde przekleństwo, które padło z ust mojej matki, kiedy byłam nastolatką.

Przypominam sobie każdą przykrość, zarówno z ostatnich lat, jak i odległej przeszłości.

- Dalej - mówi doktor Talwar. - Nie wolno ci przestać.

- Moja matka analizowała mój wygląd i życie towarzyskie. Zabraniała kwestionować i nie zgadzać się. Nawet nie zauważała, że mnie rani.

Opowiadam, jakiego wstrząsu doznałam dziś rano, gdy odkryłam, że Biddy zadzwoniła do Rodneya.

- Skandaliczne - mówi doktor. - Śmieszne, po prostu niewiarygodne. A jakim mężczyzną jest twój ojciec? Całkiem bez jaj?

Podnoszę głowę, żeby spojrzeć w jej umalowane na czarno oczy, a kiedy widzę w nich wesołe iskierki, uśmiecham się.

- Proszę spojrzeć na mnie - mówię. Pokazuję, jaka jestem słaba i żałosna.

Doktor opiera łokcie na biurku i klaszcze w dłonie.

- Kate, na pewien okres musisz odizolować się od rodziców, zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie. Jeśli

zdecydujesz się zerwać kontakty na zawsze, to też dobrze. Masz pozwolenie.

Mogę?

Ogarnia mnie ulga, ale wtedy:

- A jak zachorują? Nie będę mogła im pomóc. Mogą umrzeć i...

- To ich wybór. Podjęli decyzję, zrobili wszystko, żeby odsunąć się od ciebie i cię opuścić. Kochanie, niestety wszyscy chorujemy. Wszyscy umieramy. Śmierć nie ma szacunku dla wieku.

Więc nadszedł czas, żeby przestać się starać? Czas, żeby po prostu... się poddać?

- Oto plan działania - mówi doktor Talwar. - Możesz zamieszkać z przyjaciółką?

- Tak, Maggie już to zaproponowała.

- Pamiętaj, żeby zmienić numer komórki. - Píše coś w notatniku. - Weź tę receptę do apteki. Bierz jedną dziennie. To pomoże, ale...

- Tak?

- Teraz nadszedł czas dla ciebie. Ściskam jej dłonie.

- Jak radzi sobie Charlie? - pyta.

- Do tej pory świetnie.

- No pewnie - uśmiecha się.

Mam opuchnięte powieki, zaczerwienione i na wpół zamknięte. Twarz mnie pali, włosy są potargane, ale wychodzę z przychodni, jakbym szybowała w chmurach.

Sycamore Road 183, Oakley Green

Maggie stoi z podwiniętymi rękawami na ścieżce przez domem. - Pomogę ci, Kate.

- Na pewno nie masz nic przeciwko?

Przyciska policzek do mojego. - Oczywiście. - Mówi to z dramatycznym, pełnym troski westchnieniem. Przerzucając

przez ramię torbę pełną moich ubrań, dodaje: - Wchodź, skarbie.

Maggie jest smukła, w dżinsach ma szczupłe nogi. Wchodzę do spokojnego sanktuarium jej domu, który pachnie słodkimi migdałami i rumiankiem.

- Siadaj - mówi, poprawiając poduszki. Kuca na podłodze i przekrzywia głowę. - Mnie było łatwiej, miałam wsparcie ze strony rodziny. Ale ty masz przyjaciół, którzy cię kochają, jasne?

- Bardzo ci dziękuję, Maggie.

- Więc co teraz?

- Sukey zostawiła mi wiadomość na telefonie domowym, nim go odłączyłam. Mam w końcu datę rozprawy. Dwudziesty listopada.

- I?

- Mamy podzielić własność, no wiesz, zawartość domu, ale Rodney odmawia zaakceptowania mojej listy. Do diabła z tym wszystkim, powiedział, co go to obchodzi, niech sąd sprzeda to wszystko.

Bawię się rąbkiem swetra. - W tym tempie nie zdążę wszystkiego uporządkować w życiu. Rodney w najbliższych dniach wyjeżdża do Holandii. Zaplanował sobie objazd z drużyną hokejową.

- Och, skarbie, może się wykąpiesz? Zapal świece, rozluźnij się, a potem zamówimy jakieś jedzenie i posłuchamy muzyki. A może wypożyczyć jakąś kasetę?

Kiedy zanurzam się w ciepłej pachnącej wodzie, pojawia się ta myśl.

Mój pomysł, mój plan.

Rozdział 69

Niedziela, 22 października

- Mamo, nie uwierzysz - mówi Charlie. - Biddy i dziadek oglądali wczoraj, jak gram w piłkę. Co za złamasy!

- Charlie!

Maggie rzuca mi zdziwione spojrzenie, więc zakrywam głośnik: - Później ci powiem...

- Właśnie, że tacy są, mammo. Po raz pierwszy w ogóle oglądali, jak coś robię. Urządzili sobie z tatą piknik koło boiska.

- Dobry Boże.

- Musieli wiedzieć, że ci powiem.

Jestem zbyt odrętwiała, żeby czuć ból, zbyt zmęczona, żeby zareagować.

- Cóż, Charlie, Biddy uwielbia te swoje pikniki. Właściwie to jest prawie komiczne.

- Mamo, masz głos, jakbyś całkiem odpłynęła. Dobrze się czujesz?

Jestem robotem wykonującym poszczególne ruchy przy załatwianiu przewozu mebli, kończeniu oświadczeń składanych pod przysięgą, pakowaniu walizek, rezerwowaniu biletów. I biorę prozac. Nic dziwnego.

- Powiedziałem Biddy, żeby spadała. Stwierdziła, że jestem bachorem nie lepszym od swojej matki.

Mogę się tylko skupić na przyszłości.

- Charlie, trzydziestego wyjeżdżam do Francji. Pojedziesz ze mną?

- Żeby tam zamieszkać? Mamo, dlaczego mnie zaskakujesz?

- Nie chcesz?

- Nie mogę... nie, właściwie nie chcę. Boże, tata próbował zainteresować mnie Sandhurst, ale wojsko to też nie miejsce dla mnie. W życiu. Mamy z Mattem załatwione mieszkanie.

Mówiłem ci o tym wieki temu. Wtedy wydawało mi się, że nie masz nic przeciwko.

Pozwól mu odejść.

- Na początku grudnia przenosimy się do Southampton. Mówiłem ci, mamó - powtarza. - Przydusiłem ojca, żeby zapłacił czynsz.

Powstrzymuję się, chociaż bardzo chciałabym chwycić się go kurczowo.

- Przykro mi, mamó.

- Maggie powiedziała, że możesz przyjechać po college'u w przyszłym tygodniu - mówię wesoło. - Kiedy zechcesz.

- Przyjadę.

- Zjesz z nami kolację?

- Mogę przyprowadzić Daphne?

- Oczywiście. Charlie, przyjedziesz do Francji na Boże Narodzenie?

- Aha, byłoby super.

Mówię mu o swoim pomysle, moim planie, że zabiorę swoją część mebli z domu przy Copper Lane za dwa tygodnie, kiedy jego ojciec będzie w Holandii.

Jak chcesz, odpowiada.

Rozdział 390

Wtorek, 7 listopada Copper Lane 75, Oakley Green

Wielka ciężarówka wypełnia podjazd przy Copper Lane 75. Przeprowadzki międzynarodowe.

- O Boże, Maggie, tylko popatrz!

Zatrzymujemy się przy ulicy za samochodem Charliego. Ogarnia mnie jednocześnie podniecenie i przerażenie. Już zasłonki się poruszają, sąsiedzi pozerają nas wzrokiem. Charlie przyciska klakson, a Daphne wybiega z domu.

Daphne?

Ledwie zauważyłam, kiedy Charlie przestał być dzieckiem... i wszedł w wiek, kiedy...

- Pa, Noah - mówi Maggie do syna.

- Pa, mamó. Do widzenia, Kate. - Noah wysiada z tylnego siedzenia. Tego ranka Charlie odwozi go do college'u.

Silnik warczy, opony piszczą. Pojechali.

- No dobra - mówi Maggie.

Poznajemy więc Berta, Boba i Mike'a, którzy spakują moją część dobytku i przewiozą do magazynów.

- Bonżur - mówi Mike. - Więc przeprowadza się pani do Francji, pani Fanshaw.

- Napilibyście się, chłopcy, herbaty albo zjedli parę tostów z masłem? - proponuje Maggie.

Uśmiecham się. Maggie zawsze proponuje tosty z masłem.

Patrzę na ciężarówkę, otwartą jamę przyczepy czekającą, żeby połknąć meble, i myślę sobie: „To naprawdę się dzieje”. Odchodzę od Rodneya. Odchodzę!

Maggie rusza do kuchni, a ja do salonu, gdzie znajduję stos pudeł. Unoszę pokrywę... i oto moje rondle oraz skórzane konie. Rodzice zwrócili łup ukryty w ich ogrodowej szopie.

Więc to koniec.

Zajmij się czymś, Kate, mówię sobie. Musisz wszystko załadować do ciężarówki, nim Rodney wróci z Holandii.

Urywam taśmę z rolki, którą dał mi Bert, i zaczynam zaklejać pudła. Kiedy dochodzę do trzeciego, płaskiego, zagłębiam ręce w stosie fotografii. Nigdy nie włożyłam ich do albumów, ale zrobię to w Prowansji. Siedzę na podłodze, odkładając te z Rodneyem, a potem podrzucam je w powietrze i patrzę, jak się rozsypują. Pieprzony sierżant sztabowy.

Na dnie leży kilka czarno - białych fotografii. Na jednym Biddy wyciąga się na trawiastej skarpie, twarz ma okrągłą jak księżyc, czerwone usta uśmiechają się, spojrzenie jest nieśmiałe. Stopy w butach bez palców, kostki skrzyżowane. Plisowana spódnica rozkłada się na niedużym wzgórku. Jest w ciąży ze mną. Czy głaskała brzuch, czując poruszenia, moje kopnięcia? Czy kochała dziecko, któremu rosły paluszki u rączek i nóżek w jej wnętrzu?

Ocieram łzy.

I jest zdjęcie taty, z włosami lśniącymi od brylantyny, przyczesanymi na gładko jak u aktorów w starych filmach. Ma na sobie spodnie ze skórzanym paskiem mocno opasującym go w talii. Ręce trzyma w kieszeniach, uśmiecha się szeroko, odsłaniając równe zęby.

Och, tato.

Zjawia się Maggie i stawia na stoliku herbatę oraz tosty. Ubrana jest w ogrodniczki, gotowa do pracy.

- Dziękuję. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo doceniam twoją pomoc.

- Och, jak słodko wyglądasz. - Sięga po moje zdjęcia z dzieciństwa, gdy byłam druhną w czepku i bolerku z angory. Moja sukienka to beza z siateczki. W dłoni ściskam stokrotki. A tu znowu ja, w marszczonym kostiumie kąpielowym, kopię łopatką w piasku. Biddy siedzi obok mnie, w szortach, z wyciągniętymi nogami, z papierosem wiszącym między palcami.

W tle widać zamek z piasku, wygładzony i ozdobiony muszelkami.

Tata go zbudował?

Łapię się za czoło i wzdycham.

- Chodź, Kate - mówi Maggie i kładzie rękę na moim ramieniu.

Wchodzi Bob i Mike, obaj z krzywymi nogami, w wełnianych czapkach.

- Proszę, pani Fanshaw - mówi Bob. - Proszę przykleić te etykiety na wszystkim, co chce pani przewieźć.

Patrzę na Maggie.

- Zaczynamy? - Biorę łyk herbaty, głęboki wdech i pochylam się, żeby przykleić naklejkę na sofie. Proszę. Rodney może zatrzymać fotel.

Wchodzimy na krzesła, żeby sięgnąć półek, wykręcamy śruby, wyrywamy gwoździe. Nogi nam się uginają pod ciężarem dębowych desek. Wykorzystam je w moim pensjonacie, mówię, w mes chambres et tables d'hotes. Tak, stoły zabieramy tak samo jak łóżka, ponieważ będę podawać moim gościom obiady tak samo jak śniadania, Maggie.

A co z pralką, suszarką, zamrażarką, pani Fanshaw? Nie, nie będą działać we Francji, tak samo jak inne narzędzia na prąd, Bert, ale wezmę swój młotek i piły. Och, i wszystkie narzędzia ogrodnicze.

Związałyśmy stos poduszek sznurem i wybrałyśmy tylko najjaśniejsze, najbardziej słoneczne zasłony. Daję Maggie jedną z moich narzut, Gwiazdę Betlejemską w odcieniach miedzi i rdzy. Zachowa ją jak skarb, Katie.

Rozglądam się za czymś jeszcze, co chciałabym dać Maggie.

Rzep. Już jest za stary, żeby przeprowadzić się do obcego miejsca, proszę, weź go Mags, mówię, całując go w futerko na

głowie. Podaj mi go, mówi i bierze kota na ręce. Będzie jej małym towarzyszem.

Charlie zostawia sobie złote rybki, przewiezie je do Southampton w wiadrze.

Podaję najgrubsze szkło Mike'owi, żeby owinął je w gazety, ale zostawiam kryształ i srebrne kieliszki. Gliniane garnki, ceramiczne misy - tego będę potrzebować.

Po lunchu biegnę do sypialni, którą kiedyś dzieliłam z Rodneyem. Przetrzęsam szuflady, szukając jego sprzętu do pływania.

Wypycham czepek skarpetkami, aż robi się gładki i okrągły jak czaszka. Proszę. Oto głowa. Okulary pływackie dobrze udają oczodoły ponad rzędem zatyczek do uszu, które robią za zęby Układam szlafrok Rodneya na łóżku, krzyżuję rękawy na sercu, wsadzam do środka kąpielówki. Ustawiam termometr pionowo, żeby stał sztywno w kroczu.

Zostawiam liścik: „Spocznij, starszy sierżancie sztabowy”.

Z pokoju Charliego zabieram gry planszowe. Wołam Mike'a, żeby pomógł mi znieść drewnianą kolejkę i zbiór samochodzików. W końcu pewnego dnia będę miała wnuki, prawda?

Podnoszę olbrzymie pudło klocków lego, pamiętając, żeby wrzucić parę klocków do kapci Rodneya, kiedy je mijam.

Kiedy Mike, Bert i Bob siłują się z ostatnim kredensem i komodą, zdaję sobie sprawę, że w domu rozlega się echo.

- Bo teraz jest już praktycznie pusty - mówię do Maggie.

Ramię w ramię stoimy na podjeździe i patrzymy na naszych trzech muszkieterów, którzy zamykają ciężarówkę. Machamy im na do widzenia.

Fiołkowe i brzoskwiniowe wstęgi przecinają niebo. Zbliża się noc. Zrobiłyśmy to. Udało nam się.

- Rodney będzie chciał mnie zabić.

- Zostawiłaś mu dobrze ponad połowę.

- Aha, plus kosiarkę do trawy, narzędzia na prąd i odkurzacza.

Trzęsiemy się w ataku bezgłośnego śmiechu, Boże, aż boli, i wtedy Maggie nie wytrzymuje i prychna na cały głos. - Tylko poczekaj, aż Rodney zobaczy kukłę, którą zostawiłaś mu na górze!

Nie możemy się przestać śmiać, bo nagle wszystko stało się tak cholernie zabawne.

Dzwoni telefon.

- Mamo? - mówi Charlie. - Jestem w domu Maggie, umieramy z Noahem z głodu.

- Dobra, niedługo będziemy.

Zamykamy drzwi do domu i planujemy na kolację rybę z frytkami.

Dopiero kiedy wjeżdżamy na podjazd Maggie, dociera do mnie że zapomniałam pożegnać się z domem przy Copper Lane 75. Ale myślę, że to dobry znak.

Rozdział 71

Piątek, 17 listopada Sycamore Road 183, Oakley Green

Upuszczam gazetę i szukam komórki. Okazuje się, że wcisnęła się między poduszkę a oparcie sofy Maggie.

- Kate?

- Dzień dobry, Sukey.

- Właśnie miałam telefon od Todda Grimleya. Rodney nie jest zadowolony z tego, że bez wcześniejszej konsultacji usunęłaś część wyposażenia domu.

- Szkoda.

- Słuchaj, Grimley mówi, że możesz zatrzymać to, co już zabrałaś, ale oczekuje, że przekażesz jego klientowi prawa do nieruchomości przy Copper Lane 75.

Zbudowałam ten dom, to gniazdko, gałązka po gałązce, dla Charliego. Dziewiętnaście lat, dziewiętnaście lat mojego życia.

- Nie!

- Posłuchaj, może spróbujemy spotkania przy okrągłym stole?

- To znaczy?

- Mediacji.

- Nie!

- Moglibyśmy całkiem uniknąć sądu. Nie.

Czy ta kobieta naprawdę jest prawnikiem?

- Kate? Jesteś tam jeszcze?

Biorę głęboki wdech.

- Żadnych mediacji. W żadnym razie, Sukey.

Cisza.

- Powinniśmy wyznaczyć adwokata na przesłuchanie w sądzie?

- Tak.

- To dużo kosztuje.

- Dobrze.

Pokażę temu łajdakowi Rodneyowi, pokażę mu, na co mnie stać.

Rozdział 72

Poniedziałek, 20 listopada

Budynek to fantazja z cegły i terakoty. Gotycka fantazja. SPRAWIEDLIWOŚĆ DAJE KAŻDEMU TO, NA CO ZASŁUŻYŁ, napisano na froncie, a nad napisem święty Jerzy zabija smoka.

Szumi mi w uszach, kiedy przepycham się przez obrotowe drzwi. Denerwuję się jak diabli. Oto jest, Percival Wilcox, wyznaczony dla mnie adwokat. To wielki facet, powiedziała Sukey Smith, łysy i zwalisty. Nie przegapisz go. Ciekawa postać.

- Pan Wilcox?

- Ach, musisz być Kate. - Skórę ma matową, a dłonie wilgotne. - Proszę, mów do mnie Percy. Pojedziemy windą?

Moja dłoń wyslizguje się z jego uścisku. Percy to mężczyzna, od którego wszystko dziś zależy.

Winda przyjeżdża, drzwi się rozsuwają. - Dzień dobry, James - mówi Percy. - Nie wysiadaj.

Młody chłopak w kamizelce cofa się, czeka, przyciska guziki, tak, proszę pana, ma dla niego akta.

Percy tuli papiery pod pachą, a potem pociera nos Jamesa kciukiem. - Troszkę żeśmy się pobrudzili.

Adwokat odwraca się do mnie. - Sukey czeka na drugim piętrze.

Dzyń.

- I oto jesteśmy. Jest Sukey.

Stoi przy groszkowej ścianie.

- Gotowa, Kate?

Krzywię się i kręcę głową.

- Czy Todd Grimley już jest? - pyta Percy.

Sukey wzrusza ramionami.

- James, sprawdź, czy znajdziesz prawnika pana Fanshawa. - Adwokat odprowadza spojrzeniem młodego

mężczyznę. - Śliczny chłopak, naprawdę śliczny. Przejdziemy do głównego holu?

Gmeram przy bluzce, którą pożyczyłam od Maggie, bo nalegała. Kołnierzyk jest sztywny, piecze i gryzie w szyję. Wyglądaj elegancko, bądź pewna siebie, pokaż temu łajdakowi Rodneyowi, kim naprawdę jesteś, powiedziała. Proszę, jeszcze czarny żakiet.

Boże pomóż mi.

Podchodzimy do schodów z zakreconą poręczą. Dlaczego w tym budynku jest tyle korytarzy? Mijamy okno z witrażem przedstawiającym nimfę oplecioną przez węża i stojącą obok nagiej dziewczyny z przewiazanymi oczami. Co oni symbolizują? Dobro i zło? Ignorancję i prawdę? Percy'ego i Sukey?

- Wchodzimy - mówi mój adwokat.

Znajdujemy się w rozległej przestrzeni pełnej siedzących, garbiących się i zdenerwowanych istot ludzkich. Dziewczynka turla się na plecach po linoleum na podłodze, śpiewając sobie znudzone „la - la - la”. Kobieta z rozjaśnionymi prawie na białło włosami żuje gumę i wkłada dziecku do ust butelkę ze smoczkiem, żeby zdusić jego płacz. Mężczyźni siedzą ze skrzyżowanymi rękoma, zaciśniętymi ustami. Emerytka szłocha, ociera łzy zwiniętą koronką. Oczy patrzą w górę, w lewo, prawo, na drzwi, sprawdzają zegarki.

- Jest pan Fanshaw - mówi Sukey, kiwając w stronę kąta.

Z rękoma w kieszeniach Rodney przemierza salę. Raz, dwa, trzy, obrót. Raz, dwa, trzy, obrót.

- Zostaniemy tutaj - mówi Percy.

Siadam na ławce, między swoją prawniczką i adwokatem.

- Sędzią będzie William Garrett - mówi Percy.

Sukey krzyżuje nogi.

- Och - mówi.

- Peng kontra Peng - pada z głośnika.

Drobny Chińczyk rusza, mijając Jamesa.

- Ach, James. - Percy się uśmiecha. - Znalazłeś brakującego prawnika?

- Pan Grimley nadal jest w sali sądowej numer trzy z innym klientem, proszę pana.

Percy odsyła chłopaka, śmieje się i klaszcze w ręce.

- Sędzia Garrett nie cierpi czekać.

- Fanshaw kontra Fanshaw - trzeszczy głośnik. - Sala numer osiem.

Sukey zrywa się. - Ja się tym zajmę - woła wesoło, podchodząc do kobiety za biurkiem.

Przesłuchanie miało potrwać godzinę. Miało zacząć się o jedenastej trzydzieści. Jest już prawie dwunasta, gdy Todd Grimley wypada z sali sądowej numer trzy. Jego ciemne jak porzeczkki oczka ogarniają hol, lądują na mnie, a potem przeskakują na Rodneya.

- Chodźmy - mówi Percy.

Przepychamy się przez labirynt ławek, przechodzimy nad stopami i nogami, żeby dotrzeć do wyznaczonej sali.

U szczytu ogromnego stołu sędzia Garrett zerka znad okularów. Kiwa głową, kiedy wszyscy mówimy mu dzień dobry. Na czole rysują mu się zmarszczki, brwi ma sztywne i splątane, usta zacięte. Wskazuje trzy krzesła na lewo od siebie, a potem zaczyna pukać palcem w stojący przed nim magnetofon.

Pojawia się zgięta w ukłonie sylwetka Todda Grimleya, który pokornie przeprosza.

- Dzień dobry, Wysoki Sądzie! - woła Rodney.

Siada. Szczery zęby w uśmiechu. Pociera ręce.

Dzwonił do domu Maggie tego ranka, nim wyszłam. Czy jestem gotowa? Jako biznesmen przywykł do sali sądowej, ale ja, moja droga, mogę się poczuć dość niepewnie. Czy

pamiętam, żeby zwracać się do sądu w odpowiedni sposób, ha - ha?

Zapytałam, czy podobało mu się to, co zostawiłam na łóżku.

Ale z ciebie dzieciak, odparł.

Nozdrza sędziego Garretta rozszerzają się. - Panie Grimley, proszę nigdy nie kazać czekać na siebie sędziemu. Czy mam teraz załatwić tę sprawę w dwadzieścia minut? W dwadzieścia minut?

Todd Grimley spuszcza głowę, pisze coś z zacięciem, bardzo zajęty, w wielkim notatniku. Kiedy zerkam na Rodneya, ten zadziera wysoko nos.

Cisza.

Sędzia zbiera papiery przed sobą i układa je w dwa schludne stosy. - Zauważyłem, że udało się podzielić wyposażenie domu.

- Mój klient nie uważa, że to sprawiedliwy podział, Wysoki Sądzie - jęczy Todd Grimley.

- Jest pani w ciąży, pani Fanshaw? - pyta sędzia Garrett.

Wytrzeszczam oczy.

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Charles to jedyne dziecko z tego małżeństwa i ma teraz dziewiętnaście lat?

- Tak, Wysoki Sądzie - mówi Percy.

Wtedy wstaje Todd Grimley.

- Czy mogę pokazać te notatki? - Obchodzi stół dumnym krokiem. - Wysoki Sąd znajdzie tu daty, fakty i dowody, które jawnie wykazują, że ona - kiwa głową w moim kierunku - popełniła cudzołóstwo przed orzeczeniem rozvodu.

Percy przyciska kolano do mojego i upuszcza długopis na podłogę. Nasze twarze spotykają się poniżej stołu.

- Spokojnie - szepcze. - Wszystkie idzie jak trzeba. Omówiłam już z Percym sprawę Erika. Wie, co jest grane.

Kiedy siadam prosto, widzę, że sędzia Garrett przegląda notatki. Pomrukuje.

- Kim jest Erik Tober? - pyta.

Kolej na Percy'ego.

- Pan Tober to agent nieruchomości w Prowansji, Wysoki Sądzie.

- Mężczyzna, którego zamierza poślubić, Wysoki Sądzie - dodaje Rodney.

- Och, panie Fanshaw - odzywa się Percy. - Proszę dać damie trochę czasu. Skąd ta pewność?

Kulę się. Mam dość tego, że wszyscy mieszają się do mojego prywatnego życia, grzebią w nim, badają. Osądzają. Kiedy to się skończy?

Sędzia Garrett zdejmuje okulary i pociera oczy. Składa notatki Todda Grimleya na pół, przeciąga paznokciem wzdłuż zgięcia i podaje je Percy'emu.

- Niech pani Fanshaw zrobi z tym, co zechce - mówi.

Krzyżuje ręce.

- Rozwód, panie Grimley, panie Fanshaw, to prosty proces, który kończy małżeństwo, co oznacza, że każda ze stron może zawrzeć powtórnie małżeństwo albo tańczyć sobie na szczycie Snowdon, jeśli tylko zechce.

Sędzia bierze mały mikrofon, nagrywa datę, czas, nazwiska stron i numer sprawy. I swoją decyzję.

- Dom przy Copper Lane ma zostać sprzedany, a uzyskane środki równo podzielone.

- Moja klientka będzie potrzebowała samochodu, Wysoki Sądzie - mówi Percy, moje oparcie, moja opoka. - Passat to firmowy samochód.

Samochód Fanshawów.

Sędzia Garrett pociera brodę, znowu chrząka nad papierami.

- Plus dodatkowa suma na...

Więcej, niż się spodziewałam.

Słysząc pociąganie nosem, sapanie, wiercenie się, skrzywienie krzesła.

- Panie Fanshaw, pozwoli pan, że będę kontynuować?

Rodney przenosi uwagę na mnie. Chwyta mnie spojrzeniem, osacza. Mruży oczy, wykrzywia usta, ale nie mogę zrozumieć słów, które bezgłośnie wypluwa.

- Pan Fanshaw ma płacić... - Sędzia Garrett patrzy na Percy'ego i unosi brew.

Percy podaje miesięczną sumę, sędzia przesuwając palcem po kilku kolumnach cyfr i kiwa głową.

Czy naprawdę potrzebowałam adwokata? O tak. Wygląda na to, że Percy pomnożył moje liczby, moje skromne sugestie, i to przez trzy.

- A pozwany, pan Fanshaw, ma płacić powódce, pani Fanshaw, okresowe świadczenia od pierwszego grudnia 1995 roku, dopóki oboje żyją i powódka nie wyjdzie ponownie za mąż bądź nie zapadnie inny wyrok.

Sukey szturcha mnie mocno.

O Boże, to już po? Skończyło się?

Widzę bieloną kuchnię, dębowy stół. Rosnące ciasto. Owoce moczące się w alkoholu. Konfitury w czystych słojach. Stoliki przykryte okrągłymi obrusami, łóżka osłonięte moimi narzutami, pomalowane pokoje. Jeden na niebiesko, drugi ochrą, pozostałe na ciemny róż i ciemną zgaszoną zieleń. I stoliki na dziedzińcu. Palmy i drzewa laurowe w donicach. Rozmaryn w rabatach. Pnący tymianek wypełni każdą szczelinę między płytami.

Wino w sklepionych piwniczkach! Och, i może... może Claude i Bruno nauczą mnie, jak korzystać z pieca.

Czytam broszurkę „Rozwód, co to takiego?“, czekając, aż Percy i Sukey wszystko załatwią. To nie potrwa długo.

Zdarza się niekiedy, że mamy w sędzie do czynienia z zachwyconym zwycięzcą. Druga strona czuje się wówczas pokonana i upokorzona.

Wielki hol pustoszeje. Na twarzach wychodzących maluje się uniesienie, rozpacz, ulga i gniew.

Rodney opiera się o kolumnę przy wyjściu, niedaleko ode mnie. Z rękoma założonymi za siebie ogląda sufit.

Ktoś puka mnie w ramię. - To już wszystko. Wszystko załatwione i pokryte kurzem - mówi Percy.

Ściskam jego wilgotną dłoń i uśmiecham się do Sukey. Właściwie okazała się bezużyteczna, ale cóż, kogo to teraz obchodzi.

- Dziękuję wam obojgu, bardzo dziękuję.

A kiedy mijamy Rodneya, on woła: rety, Todd, patrz, która godzina! Drużyna hokejowa czeka na swojego kapitana!

Upokorzony? Jeśli jest, to tego nie okazuje. Nie Rodders.

Więc, staruszkule, lepiej łap swoje kije, radzi mu Todd.

Rozdział 404

Czwartek, 30 listopada Lotnisko Birmingham

Ściskam szlochającą Maggie. Mogłybyśmy wypełnić jezioro naszymi łzami, mówię.

Więc czas najwyższy przestać, odpowiada, za dużo już płakałyśmy.

Ale kiedy obiecuję, że nasza przyjaźń będzie trwała, dobry Boże... Wtedy ja zaczynam płakać.

Przyciskam się do Charliego, który mówi: nie patrz teraz Noah, ale przy stanowisku British Airways stoi naprawdę świetna laska.

Przesuwam palcami po smukłych plecach syna. Kiedy urósł taki wysoki? Odsuwam go i odgarniam mu włosy z czoła.

Nadal mają kolor pszenicy.

Do zobaczenia w Boże Narodzenie?

Super. Pozna wreszcie tego Erika Tobera.

Przewracam oczami.

Samolot unosi się, wbijając nos w chmury. Myślę o rodzicach, których zostawiam. O rodzicach, których straciłam. Teraz mają tylko siebie.

A ja? Nie mogę pograżać się w żałobie. Muszę przejść przez złość i poczucie winy, nauczyć się znowu ufać na swojej nowej drodze.

Drodze do pól z pasmami lawendy i sadami drzew oliwnych.

Epilog

Wigilia

Rue Sainte - Marthe 9, Montauverelle, Aix - en - Prowance

Wiedziałam, że nie powinnam była tak szybko wieszać nad drzwiami talerza z wierzbowym wzorem, który dostałam od Mamgu, ale chciałam, żeby wszystko wyglądało idealnie. Farba była jeszcze wilgotna, ale och, tak, biel i błękit tak pięknie kontrastują z ochrowymi ścianami.

Ingrid zgodziła się ze mną. Ten ciepły soczysty odcień jest o niebo lepszy od białej farby w tak wielkiej kuchni, stwierdziła.

Naparłam na stół z całej siły i przesunęłam go odrobinę na sam środek.

Potrzebowałam siedmiu krzeseł na ten wieczór i aż ośmiu na Boże Narodzenie. Dodatkowe miejsce miało być dla Charliego. Miałam go odebrać z lotniska w Marsylii, nie mogłam się doczekać, kiedy go zobaczę.

Już wyszlifowałam i pomalowałam piętnaście krzeseł. Zostało mi jeszcze dwadzieścia jeden. Planowałam wykończyć jadalnię i przynajmniej trzy sypialnie przed Wielkanocą. O Boże, jeszcze trzeba będzie zrobić dżemy i sosy, upiec i udekorować ciasta na targ, żeby zebrać pieniądze. Czy to miejsce kiedykolwiek będzie gotowe? Popatrzyłam z czułością na pochyłe krokwie, na krzywe drzwi. Przymknęłam oczy i chłonełam wiek domu.

To wszystko było moje.

Garnek z pieczenią bulgotał cicho w jednym z piekarników, a na wielkiej kuchence parowały puddingi. Oona przesłała mi je w prezencie na nowy dom razem z oskubaną gęsią. Jak Bóg pozwoli, Katie, przyszłe święta spędzą z Barneyem we Francji i o co zakład, że do tego czasu mój pensjonat będzie już wspaniały?

W kuchni było gorąco jak w piecu. Otarłam ścierką pot z czoła, nie mogąc się doczekać, żeby zrzucić wełnianą tunikę.

Siódma godzina. Czas, żeby dzielnie iść do zimnej łazienki, a potem poszukać w kufrze brązowej sukienki. Tej samej, którą miałam na sobie pierwszego wieczoru w domu Ingrid przy Place de la Joliette 5.

Woda była pełna rdzy, w kolorze słabej herbaty, ale och, dokonała cudów z moimi włosami. Spryskałam się perfumami Palomy Picasso, „zapachem, który pulsuje namiętnością”. Uśmiechnęłam się szeroko do odbicia, a potem wybuchnęłam śmiechem. Cholera, czułam się szczęśliwa. Obłędnie szczęśliwa.

Zapięłam w talii czarny pasek, ten, który układa mi się na brzuchu w literę „V”.

Potem pogrzebałam w nowych płytach i wybrałam Seasonal and Downright Medieval.

„Należy pamiętać, że wiele wczesnych koled wywodzi się z tańców”, mówiła notka reklamowa na odwrocie. „Dobrym przykładem tego jest Pat - A - Pan”.

Guillaume prends ton tambourin Toi, prends ta flute, Robin; Au son de ces instruments

Dźwięki średniowiecznych instrumentów płynęły, dzwoniły, stukały. Piskliwe, puste tony i niedające spokoju rytmy wygrywane na bębnach i tamburynie. Muzyka i głos szybowały za mną od pokoju do pokoju. Zerknęłam do salonu prowadzącego na dziedziniec, żeby zobaczyć, czy ogień dobrze się pali. Palił się. Dorzuciłam dwa polana, nadal jeszcze mokre od śniegu, a one zaśpiewały i zaskwierczały w płomieniach. Poprawiłam poduszki na sofach i zmiotłam z nich kocią sierść.

Turelurelu, patapatapan Au son de ces instruments Je dirai Noel gaiment

W odległym kącie stała moja choinka, wysoka, elegancka, skrząca się białym światłem.

- Panienko, Panienko? Minou, minou, minou...

Wbiegła, drobne rude łapki cicho stukwały po kamiennej podłodze. Biorąc ją na ręce, zapytałam, czy podoba jej się nowy dom. Znalazłam ją raptem tydzień temu, małe żalosne nieszczęście porzucone na rue Sainte - Marthe.

L'homme et Dieu sont plus d'accord Que la flute et le tambour; Au son de ces instruments

Tańczyłam z Panienką. Wirowałam boso jak idiotka, wbiegałam na schody, dotykałam ścian, sięgałam do pajęczyn, aż kotka miauknęła, prosząc, żeby ją puścić, biedactwo.

Turelurelu, patapatapan Au son de ces instruments
Chantons, dansons, sautons en!

Wtedy właśnie rozległo się głośnie pukanie. Usłyszałam gawędzące głosy i kroki na śniegu. Kiedy zbiegłam na dół...

Ingrid: Otwórz! Tu jest cholernie zimno!

Moira: Skarbie, pospiesz się, otwórz te drzwi jak najszybciej.

Sacha: Jezu, Sophie, przestań mi deptać po nodze, dobra?

Thierry: Turelurelu, patapatapan, Joyeux Noel, la - la - la - lah.

Gus: Ach! Idzie. Czujecie zapach pieczeni?

Ja: Idę, idę! Witajcie! Rzućcie płaszcze na łóżko na górze. Jak chcecie, to zostawcie buty do wyschnięcia przy ogniu. Rety, ale macie czerwone nosy!

Chantons, dansons, sautons en!

Objęłam wszystkich po kolei. Deser, Ingo? Włóż to do lodówki. Pychota. O Boże, Moi, poncz pachnie bosko. Tak, Gus, w korytarzu, znajdziesz chochlę na kredensie, srebrną. Boże, Sasha, Sophie, wyglądacie prześlicznie, jakie fantastyczne kolczyki! Tak, proszę, Thierry, zapal świece.

A Erik, cóż, po prostu stał pod kamiennym łukiem, czekał, uśmiechał się. Niósł coś wielkiego, kwadratowego, zawiązanego sznurkiem. Miałam iść za nim do jadalni, gdzie nadal stały zebrane stoliki, a ściany były dopiero w połowie gotowe.

Włączył kilka górnych świateł, oparł płaską paczkę o ławkę, a potem powiedział, żebym śmiało zdarła szary papier.

Pociągnęłam za sznurek, a zapach świeżego lnianego oleju z każdą rozdartą warstwą papieru stawał się coraz ostrzejszy.

- Obraz olejny?

- Tak, dla ciebie.

Rozbłysły kolory: kobalt, cynober, subtelna szałwia, szarości i beże. Kiedy przyjrzałam się bliżej, zobaczyłam wgłębienia, fakturę ścian, obłazącą farbę z drzwi. Pęknięcia, żywe drewno, zardzewiałe zawiasy. Drzwi były otwarte, drobinę uchylone, a mosiężna klamka czekała.

- To moje frontowe drzwi - powiedział Erik.

- Piękne.

- Pomyślałem, że obraz będzie tu dobrze wyglądać.

Włosy rozsypały mu się jak wachlarz, gdy zapalał gauloise'a zapalniczką. Zrzucił płaszcz i położył go na ławce. Nie nosił koszuli, tylko sam sweter, obcisły i w prążki.

Wyjęłam mu papierosa z kącika ust, rzuciłam na kamienną podłogę, a on zgasił go czubkiem buta.

Istnieje wiele sposobów podziękowania.

Griff uśmiechnął się, pokręcił głową i powiedział: Posłuchaj, Mildreth. Powiedz Katie, żeby wspinała się po tych kręconych schodach, aż znajdzie właściwe drzwi.

O czym mówisz, Griff, powiedziała, ty stary głupcze?

Podziękowania

Ogromnie dziękuję mojej agentce Zoe Pagnamencie, wydawcy Laurie Chittenden i jej asystentkom, Emily Sklar i Ericie Kahn.

Dziękuję Barbarze Vieru, konsultantce językowej.

Pozdrowienia dla partnerki do gry w krykieta Karen Abbott i mojej czytelniczki Maggie Dany.

Szczególne podziękowania dla mojej kochanej Trollops za nieustanne wsparcie i lojalność. Dziękuję też członkom Posse za przyjaźń i entuzjazm! A za zainteresowanie i zachętę dziękuję też wam, członkowie The Cave!

O autorce

Carrie Kabak była ilustratorką książek dla dzieci. Urodziła się i wychowała w Wielkiej Brytanii, obecnie mieszka razem z mężem w Kansas City w Missouri. Mają pięciu synów, labradora i kocura. *Odwagi, Kate!* to jej pierwsza powieść.